

ELIZABETH HICKEY

MALOWANY POCAŁUNEK

Poświęcam Jonathanowi

Podziękowania

Nieoceniony wkład w powstanie tej książki wnieśli: Catherine Drayton, Greer Hendricks, Rosemary Ahern, Suzanne O'Neill, Michael Albin, Pierce i Alexis Selwood, Jim i Anne Hickey oraz, oczywiście, mój mąż, Jonathan Selwood.

Rozdział 1

Kammer nad Attersee 21 października 1944

Opuszczając Wiedeń, wzięłam tylko jedną rzecz: grubą skórzaną teczkę ze srebrną klamrą. Wyjeżdżałam w pośpiechu i wszystko inne musiałam zostawić. Toaletkę z różanego drzewa, którą zrobił dla mnie Koloman Moser. Srebrną zastawę na dwanaście osób z Warsztatów Wiedeńskich zaprojektowaną przez Hoffmanna. Kolekcję strojów. Jedną ze słynnych delfickich kreacji wieczorowych Fortuny'ego. Szyty ze skosu jasnożółty jedwabny szlafrok od madame Vionnet. Szafirowoniebieskie szarawary Paula Poireta i kapcie wyszywane drogimi kamieniami. A także obrazy. Najcenniejsze ze wszystkiego, ale zbyt duże i nieporęczne, by je zabrać do pociągu. I kiedy zdałam sobie sprawę, że nie będę mogła wziąć obrazów, zabieranie iluś tam metrów tkanin, szpilek do kapelusza, wycinków z prasy i żurnali mody wydało mi się zupełnie niedorzeczne. Co miałabym z tym zrobić? Zbudować świątynię z reliktywów mojego poprzedniego życia, kiedy zasuwy do niej pozostały w szafie opuszczonego mieszkania?

Moja siostrzenica Helene sporządziła listy rzeczy, które były nam potrzebne, spakowała walizki i poszła kupować szpagat, pończochy i maść kamforową. Pomyślałam, że musiała sobie znaleźć jakieś zajęcie, i to bardzo dobrze, iż pozwoliłam jej przygotować ten wyjazd, ale było to wierutne kłamstwo, które wymyśliłam na własny użytek, wymówka dla mojej tępowzroczej katatonii. Po prostu nie byłam w stanie jej pomóc, ponieważ gdybym zaczęła, musiałabym sobie uświadomić, że naprawdę wyjeżdżamy.

Weszłam do pociągu tak, jakbym się wybierała na drugą stronę miasta, aby zawieźć do galerii swoją teczkę, i tylko to kolejne kłamstwo powstrzymało mnie od rzucenia się na tory. Bałam się, że umrę, nie mogąc już zobaczyć miasta.

- Od kiedy jesteś taką histeryczką? - zapytała siostrzenica.

Była córką mojej siostry Helene i nosiła jej imię, ale czasami bardziej przypominała mi drugą siostrę, bardziej praktyczną Pauline.

- Upodabniasz się do babci - powiedziała. - Nie wyjeżdżamy daleko i jak słyhać, wojna skończy się w ciągu sześciu miesięcy.

Podowała mi twardą bułkę z grubym kawałkiem masła w środku.

Pociąg był pełen spoconych dzieci, które miały na sobie palta nałożone na marynarki, a te na swetry, i kobiet ściskających pękate tobołki z czajnikami, garnkami oraz nożami zawiniętymi w pościel. Kobiety o szarych twarzach były wychudzone i smutne. Chociaż włożyły zapewne swoje najlepsze ubrania, prawie wszystkie miały spódnice zaplamione i wystrzępione, a dzieci - marynarki połatanie obcymi materiałami przyszytymi grubą czarną nitką, co jeszcze podkreślało ich żalosne położenie.

Pociąg najpierw wolno toczył się przez miasto, potem minęliśmy peryferie i okoliczne miejscowości. Często się zatrzymywał i przyjmował coraz więcej podobnych rodzin. Za każdym razem myślałam, że już nikt więcej się nie zmieści, ale kiedy na kolejnej stacji zobaczyłam czekające tłumy, wiedziałam, że musimy zrobić dla nich miejsce. Ludzie sadowali się na półkach przeznaczonych na bagaż, siadali sobie na kolanach jak garnki wkładane jeden w drugi.

Mijaliśmy gołe wzgórza, na których kiedyś rosły winorośle. Mijaliśmy błotniste pola, gdzie w schronieniach skleconych naprędce z blach i tektury koczowały tysiące ludzi. Mijaliśmy obozy wojskowe. Po drogach ciągnęły sznury wojskowych ciężarówek z żołnierzami.

Oddałam swoją bułkę dziewczynce z zapadniętymi policzkami, która siedziała obok mnie na podłodze.

Wepchnęła ją sobie całą do buzi, a ja miałam wrażenie, że połknęła ją, nie gryząc. Żarliwe podziękowania jej matki zawstydziły mnie.

Pięć godzin później pociąg przyjechał na naszą stację, do miejsca naszego wygnania, dwa przystanki na wschód od Salzburga. Nie potrafiłam udawać, że miałyśmy tu spędzić wakacje: chmury były stalowoszare, a woda w jeziorze lodowato zimna. Nagie brzozy drżały na wietrze. W pobliskich górach leżał śnieg.

Tęskniłam za swoimi rzeczami. Miałam stanowczo za dużo czasu.

Skórzaną teczkę włożyłam do biedermeierowskiej szafki stojącej w mojej sypialni. Ojciec kochał biedermeier tak jak dobrze wykonane fajki. Stała tam, kunsztowna, perfekcyjnie wykończona, najzupełniej na swoim miejscu, jak wyrzut sumienia wobec tego wszystkiego, czym nie byłam ja.

W niektóre popołudnia, kiedy droga prowadząca do jeziora była nawet dla mnie zbyt grząska, a przez dolinę przetaczały się burzowe grzmoty, które brzmiały jak wybuchające pociski mózdzierzy, a może były to odgłosy pocisków rozbrzmiewające jak burza nad doliną, czego nie byłam w stanie odróżnić, wyjmowałam teczkę z szafy i rozkładałam ją na łóżku. Gruba skóra była porysowana, podrapana i cuchnęła fiakrami, którzy ustawiali się obok katedry Świętego Stefana. Wydawała się zupełnie nie na miejscu, gdy tak leżała na koronkowej pościeli, pod którą sypiałam jeszcze jako mała dziewczynka. Przyglądałam się teczce długą chwilę, przesuwałam po niej pieszczotliwie dłonią, jakby to był zabity przeze mnie gołąbek, i dopiero potem otwierałam zamek, odwracałam teczkę i wysypywałam na łóżko znajdujące się w środku rysunki. Było ich dokładnie sto dwanaście. Siadałam na łóżku i brałam do ręki jeden po drugim. Układałam je w mniejsze stosiki, grupowałam w

zestawy zależnie od pozy, modelki lub daty wykonania. Wybierałam te, które najbardziej lubiłam, i najładniejsze kładłam na górze.

Rysunki były bardzo różne: niektóre wykonane węglem, inne ołówkiem, jeszcze inne kolorowymi pastelami. Zdarzały się zupełnie małe, wielkości mojej dłoni, a także dużo większe, które trzeba było kilka razy złożyć, aby zmieściły się do skórzanej teczki. Niektóre narysowane były na grubym papierze o szorstkiej fakturze, inne zaś na tak gładkim, że prześlizgiwały się między palcami i spadały na podłogę. Były też wśród nich tak spłowiałe, kruche i delikatne, że rozsypywały się w palcach jak zbutwiałe koronki.

Jednakże w pewnym sensie wszystkie były takie same - wszystkie przedstawiały kobiety w różnych stadiach neglizżu. Rysowane były szybko, jakby od niechcenia, kilkoma zaledwie kreskami, bez konturów i cieniowania, w ciągu paru zaledwie minut. Eteryczne kobiety wydawały się puste, jak postacie w dziecięcych książeczkach do kolorowania. Jedna siedziała okrakiem na oparciu sofy i leniwie prężyła pierś. Druga, w sukni z wysokim kołnierzem i w długich butach, sięgała ręką pod warstwy halki, aby dotknąć się przez dziurę ziejącą w majtkach. Jeszcze inna, o bardzo wymownym spojrzeniu, ubrana w bluzkę, pończochy i podwiązki. Jeden rysunek przedstawiał kobietę leżącą na wznak z rozrzuconymi nogami, jej pośladki zdominowały całą kompozycję, a ukazane w skrócie perspektywicznym ramiona i głowa ledwo zostały zaznaczone.

Znałam ich imiona, wszystkich tych kobiet. To Alma, dalej Maria i Mizzi, i Adele. Niektóre znałam dobrze, inne mijałam, przychodząc lub wychodząc z pracowni, były też takie, których nigdy nie widziałam, ale myślałam o nich i słyszałam tak wiele przez lata, że czułam się z nimi związana bardzo intymną więzią. Znałam historie ich życia.

Mówiąc, że wszystkie rysunki były takie same, nie wyraziłam się zbyt precyzyjnie. Jeden był inny. Przedstawiał mężczyznę obejmującego kobietę, a ona zwracała w stronę widza twarz, na której malowała się najprawdziwsza rozkosz. Ten rysunek schowałam na sam spód, ponieważ czułam ból, kiedy na niego patrzyłam.

Tylko tyle mogłam wywieźć z Wiednia, rysunki Gustava. Nigdy nie traktował ich poważnie ani nie myślał

O nich jak o prawdziwych dziełach sztuki, były dla niego jedynie etapem przygotowawczym, obszarem poszukiwań, szkicami, wprawkami, pomyłkami. Ale teraz były to, być może, jedyne dzieła, jakie po nim pozostały, a ja musiałam je przechować, gdyby zabrakło czegoś ważniejszego lub skończonego. Musiałam je zanalizować, porównać, odnaleźć podobieństwa i umieścić w kontekście historycznym dla tych wszystkich, którzy w przyszłości byliby nimi zainteresowani. Ale na razie były moje, tylko moje, kiedy na nie patrzyłam, żyły.

Wymacałam drogę do sekretarzyka i zapaliłam lampę olejową. Podeszłam do toaletki i usiadłam przed lustrem. Moje włosy były już siwe, ale wciąż grube i falujące. Rysy twarzy nie tak wyraziste jak niegdyś. Artysta pominąłby zmarszczki na podbródku i na szyi, aby nie ranić moich uczuć. Oczy nadal jednak patrzyły tak samo przenikliwie jak wtedy, gdy miałam dwanaście lat. Wyjęłam z włosów grzebienie, grzebienie z kości słoniowej, które należały kiedyś do mojej matki, dostała je od ojca w prezencie z Wenecji, i pozwoliłam włosom opaść na ramiona. Helene nazywała je włosami staruchy. Uważała, że kobiety w pewnym wieku powinny nosić bardzo krótką fryzurę, jak Gertruda Stein. Mówiła mi to, bawiąc się swoim grubym czarnym warkoczem, przyprószonym bardzo delikatną siwizną. Pomyślałam, że kiedy będzie miała siedemdziesiąt lat, zapewne spojrzy na tę

sprawę inaczej, ale powiedziałam jej tylko, że kiedy umrę, będzie mogła zrobić ze mną, co zechce.

Włosie mojej wykładanej srebrem szczotki zżółkło już i zmiękło ze starości, jej płytkie pociągnięcia nie zdołały rozczesać moich poskręcanych włosów. Sięgnęłam do szuflady po nożyczki.

Mogłam skaleczyć się w udo, wycinając dziurę w swojej skromnej bieliźnie. Skórę na udach miałam cienką jak pergamin. Niewiele trzeba było, aby mnie wykończyć, mała ranka, w którą wdałaby się infekcja, drobne zakażenie krwi. Mogłam też odciąć bawełnianą tkaninę, jakbym otwierała pudełko. Odcięty kawałek spadłby na podłogę niczym papierowy płatek śniegu. Mogłabym wrócić na łóżko, rozłożyć nogi i podciągnąć spódnicę na biodra. Mogłabym włożyć rękę w wyciętą dziurę i przeciągać palcami w górę i w dół. Mogłabym się ułożyć w tych samych pozach, jakie były na rysunkach w teczce. Wówczas może pojawiłby się Gustav w swoim czerwonym fartuchu, który dla niego uszyłam i w którym wyglądał jak Jan Chrzciciel. Pozowałabym mu tak, jak nigdy w życiu nie pozowałam, a wtedy narysowałby mnie tak samo jak tamte kobiety.

Nie zrobiłam jednak nic takiego i Gustav się nie pojawił. Odłożyłam nożyczki do szuflady, zgasłam lampę i wślizgnęłam się pod kołdrę. Może we śnie uda mi się wrócić do Wiednia, do jego pracowni. Może w snach rysunki leżące obok łóżka staną się czymś więcej niż tylko zwykłymi kartkami papieru.

Akt odpoczywającej, 1888

Tego popołudnia w pracowni jest bardzo zimno, ale lufciki muszą być otwarte, aby opary terpentyny i innych chemikaliów nie zatruiły powietrza. Gerta, o kościach lekkich jak słomka i bladym ciele w kolorze parafiny, stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, czekając na wskazówki.

Gustav nie zwraca uwagi na jej nagość. Ledwo zauważa, że jest kobietą. Jest skupiony na poważnych problemach światłocienia, geometrii, bryły.

- Mogłabyś otoczyć dłonią pierś? Lewą, nie prawą. Dobrze. A teraz mogłabyś się położyć na pośladku? Rozchyl nogi. Kolana do środka. Świetnie.

Gerta wykonuje jego polecenia bez komentarza, z cierpliwością znudzonych kobiet, które zarabiają na życie własnym ciałem. Gustav rysuje ją z pasją, kostki stóp i kolana, łokcie, brzuch. Ona przyjmuje różne pozy - na dwie minuty lub na pół godziny. Gustav przewraca kartki w swoim szkicowniku.

Jest wczesne popołudnie, ale zaczyna powoli zmierzchać i Gustav spieszy się, aby zrobić jak najwięcej, nim zapadnie ciemność. Jak już nie będzie mógł pracować, powie jej, że na dzisiaj dość. Jej ciało jest chorobliwie blade i pokryte gęsią skórą, zauważa. Skóra pod paznokciami u nóg jest purpurowa. Ona staje się ponownie kobietą, czymś więcej niż wizualnym ćwiczeniem, ale jednocześnie czymś mniej. Gustav wchodzi na drabinę i zamyka lufciki. Gerta wkłada koszulkę i pończochy. Zapina guziki przy sukience i sznuruje buty. Jemu wydaje się to wszystko stratą czasu.

- Chcesz zostać? - pyta. Ona kiwa głową.

Prowadzi ją do łóżka, które stoi w kącie pokoju. Rozbiera się, a ona czeka z głową wspartą na wąskiej dłoni. Siada na łóżku obok niej i rozpina, rozwiązuje i zdejmuje wszystko, aż

zostaje znowu naga. Potem przeciąga po jej skórze dłonią jak pędzlem.

Rozdział 2

W dniu moich dwunastych urodzin poszłam z ojcem i dwiema siostrami, Pauline i Helene, obejrzeć cesarską paradę.

Dla wiedeńczyków cesarska parada była najważniejszym wydarzeniem w roku. Ważniejszym niż Wielkanoc i Boże Narodzenie razem wzięte, chociaż wiedeńczycy byli z reguły bardzo pobożni. To trochę tak, jakby sam Pan Bóg zdecydował się przybyć do Wiednia i konno objechać miasto. Kiedy byłam dzieckiem, oglądanie takiego spektaklu wydawało mi się czymś najwspanialszym, co mogłam sobie wyobrazić.

Wyszliśmy z naszej kamienicy na ulicę, przy dźwiękach południowych dzwonów z kościoła Świętej Anny, tuż za rogiem. Z odległości kilometra dobiegało słabe echo dzwonów z katedry Świętego Stefana. Wybijały tę samą melodię Bacha. Wszyscy podnieśliśmy głowy, patrząc na trzecie piętro, gdzie w oknie widać było mamę. Nie chciała pójść z nami, chociaż bardzo ją prosiliśmy. Mówiła, że nie widzi żadnego pożytku z tej wielkiej gali.

Nasza kamienica była tak nowa, że jeszcze pachniała drzewem cedrowym i wapnem. Otynkowana na żółto, pyszniła się kamiennymi syrenami na gzymsach, które wyglądały dość groteskowo. Usadowiona między starszymi i mniejszymi budynkami, wyglądała jak gigantyczny kot bawiący się z dwoma rachitycznymi szarymi myszkami.

Przeprowadziliśmy się tu rok temu ze skromniejszego domu, stojącego kilka przecznic dalej. Sufity były tak wysoko, że tata nie mógł do nich dosięgnąć, nawet gdy stanął na drabince. Stiukowe kupidyny na gzymsach spowijały pędy winorośli. W każdym pokoju stał kafłowy piec.

Pomachaliśmy na pożegnanie mamie, która też nam pomachała, ale wiedziałam, że nie będzie za nami patrzyła. Nie będzie nawet słuchała bicia dzwonów. Jej wzrok błędził

ponad dachami domów, patrzyła w stronę rzeki i nuciła arię, którą właśnie komponowała, jakby chciała sprawdzić, czy dobrze brzmi. W naszym nowym mieszkaniu była wspaniała akustyka i wielki koncertowy fortepian mamy był jedyną rzeczą, która pasowała do tych wnętrz.

Po przeciwnej stronie ulicy sprzedawca papierosów zamykał okiennice w sklepie, co znaczyło, że kończył pracę wcześniej, aby zdążyć na uroczystości. Ojciec pobiegł do niego po paczkę tytoniu. Kupił turecki gatunek, zapakowany w przezroczysty papier w czerwone paski. Zwykle palił w domu, kiedy już spałyśmy.

- Potrzebujesz czegoś, Georg? - zapytał ojciec, lustrując wzrokiem oferowany w sklepiku zestaw fajek.

- Dziś mamy święto, panie Flöge - odpowiedział Georg z uśmiechem. - Będziemy się martwić jutro. Miłego dnia.

Wręczył każdej z nas po tutce cukierków toffi i pożegnał się. Ojciec zapisywał coś w małym notesie. Powiedział Georgowi, że następnego dnia rano kogoś przyśle.

Ojciec był właścicielem fabryczki fajek, wyrabianych z miękkiego minerału zwanego dość poetycko morską pianą. W niewielkim zakładzie nad rzeką zatrudniał szesnastu mężczyzn. Kiedy byłam już na tyle duża, aby tam chodzić, odwiedzanie go stało się dla mnie wielką atrakcją, podobnie jak obserwowanie pracy rzemieślników. Wiele razy przyglądałam się mężczyźnie, który wyciągał z cebra wody blok morskiej piany. Wyłowiony kamień był miękki i biały jak ser. Rzemieślnik kroił go bez trudu nożem i doskonale wiedział, gdzie dokonać cięcia. Jak rzeźbiarz potrafił wyciąć z tego minerału konia, byka lub mężczyznę o pucołowatej twarzy. Pracownicy ojca specjalizowali się w różnych formach: wycinali królów, karykatury polityków, zwierzęta.

Po wycięciu główek dopasowywano cybuchy, a następnie wypalano fajki w piecu. Potem polerowano je i woskowano.

Tym zajmowali się czeladnicy. Wykończone fajki były lekkie i gładkie jak skorupka jajka, ale wytrzymałsze niż porcelana. Na każdej sztuce małymi złotymi literkami grawerowano napis „Flöge Meerschaum”. Nasze fajki były bardzo popularne, a ojciec mówił, że jedną ma sam cesarz.

Ojciec powtarzał nam ciągle, że mamy dużo szczęścia w życiu. Jego ojciec był biednym kowalem i zmarł na gruźlicę, zanim się urodziłyśmy, my zaś mieszkaliśmy w sześciopokojowym apartamencie w Wiedniu, najpiękniejszym, kosmopolitycznym mieście świata.

Brokowane kocimi łbami uliczki i kamienice w marcepanowych kolorach miały swoją magię, urocze też były sklepiki, w których przyćmionym świetle sprzedawano nuty lub kryształowe kieliszki. Ale ja wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. To było po prostu miejsce, w którym mieszkałam. Wydawało mi się, że wszystkie miasta wyglądają podobnie.

Ale tamten dzień był wyjątkowy. Zmieszaliśmy się z tłumem, który jak rwące rzeki wylewał się z wąskich uliczek do szerokich alei, aby w końcu dotrzeć na Ring, aleję wybudowaną zaledwie kilkadziesiąt lat temu na miejscu starych średniowiecznych fortyfikacji. Ring otaczał Stare Miasto jak naszyjnik, biegnąc obok cesarskiego pałacu, budynków rządowych i nowego muzeum sztuki. Na oglądanie parady wybierali się ludzie różnych środowisk. Pozamykano fabryki. W szkołach nie było nauki. Nawet studenci nie mieli tego dnia zajęć na uniwersytetach.

Zatrzymane przez tłumy dorożki i powozy tarasowały ulice, woźnice trzaskali batami o koła i pokrzykiwali na ludzi, aby się przesuwali, ale nikt się na to nie oburzał. Dzieciaki biegały po ulicach i karmiły jabłkami pokryte pianą konie.

Dzień był słoneczny i upalny. W miarę jak zbliżaliśmy się do Ringu, zacienione uliczki, przy których stały domy o

dachach pokrytych mchem, ustępowały miejsca szerszym, pozbawionym drzew alejom, a monumentalne kamienne budowle dawały niewiele cienia. Przez podeszwy bucików wyczuwałam płyty chodnika. Pauline zwróciła uwagę, że powinniśmy byli zabrać ze sobą parasolki. Nosiły je wszystkie damy, co krok zagrażając oczom stojących w pobliżu.

- Dziewczynki nie noszą parasolek - zauważył ojciec. - Co jeszcze? Może długie wieczorowe suknie i modny kawaler?

Schwycił mnie mocniej jedną ręką, a moją siostrę Helene drugą, jakby ktoś mógł nas porwać, gdyby choć na moment zwolnił uścisk. Jestem pewna, że gdyby mógł posadzić sobie Pauline na barana, zrobiłby to bez wahania, a tak kazał jej trzymać mnie za drugą rękę. W efekcie nasze manewry w tłumie przypominały skomplikowane figury walca.

Pauline spojrzała tak, jakby chciała mu przypomnieć, że mama miała siedemnaście lat, gdy wyszła za męża, a więc nie była wiele starsza niż ona teraz, ale wiedziała, że to na nic by się nie zdało, więc tylko przygryzła mocno usta. Na jej dolnej wardze dostrzegłam kropelkę karminowej krwi. Ojca trawił niepokój, czy uda mu się bezpiecznie doprowadzić swoje trzy córki do stanu małżeńskiego i, jak się zdawało, jego pomysł polegał na tym, aby zaprzeczać, że w ogóle doroślejemy. Nawet Pauline musiała nosić wysoki koronkowy kołnierzyk jak mała dziewczynka, chociaż miała już prawie siedemnaście lat. Chodziło o to, by nie drapać się w szyję i nie kręcić nią. Mama mówiła, że to dobra zaprawa. A koronkowe kołnierzyki to nic w porównaniu z gorsetem.

Na wprost gmachu opery stał jedwabny namiot. Wewnątrz widzieliśmy przesuwające się cienie. Mogliśmy się tylko domyślać, kto był w środku i co się tam działo. Zgromadzili się tam przedstawiciele najwyższej arystokracji, siedzieli wygodnie na aksamitnych poduszkach i raczyli się ostrygami.

Lokaje napełniali im kryształowe kielichy jabłecznikiem. Wiedeńczycy tłoczyli się nieopodal, w nadziei, że uda im się zobaczyć, kto wyłania się z podjeżdżających cały czas karet. Zobaczyliśmy chudego mężczyznę z monoklem w oku, przepasanego wielobarwną wstęgą, który prowadził do namiotu otyłą kobietę w turbanie.

Przez tłum przeciskali się chłopcy sprzedający okolicznościowe wydania gazet i konfetti, sprzedawcy kiełbasek ze słodką musztardą, babcie z różami. Ojciec kupił dla nas od kobiety w złotym czepku cztery krwistoczerwone róże, abyśmy mogli je rzucić, gdy nadjedzie cesarz. Niektórzy stojący obok nas mieli bukiety owinięte w papier. Ulica pachniała pieczonym mięsem i końskim nawozem.

Tłum wyraźnie gęstniał, a powozy poruszały się coraz wolniej. Żałowałam, że nie jestem już małą dziewczynką, którą ojciec mógłby wziąć na barana. Jak na swój wiek byłam dość niska i stojący przede mną i obok mnie ludzie zasłaniali mi widok. Nie widziałam alei, którą niebawem miała przejść parada.

- Nie martw się - pocieszała mnie Pauline. - Jak wejdziemy na schody, znajdziemy się dużo wyżej. Wtedy wszystko będzie widać.

Stojąca obok mnie Helene wyciągała szyję w koronkowym kołnierzu, tak że zauważyłam na jej skórze czerwone pręgi, jakby pomazane farbą. Pokazałam jej to na migi, bo gdyby ojciec je zobaczył, wszystkie mogłybyśmy mieć kłopoty. Pauline zabawnie zademonstrowała nam, że w ogóle nie może ruszać szyją, zwracając się całym ciałem w kierunku, gdzie chciała coś zobaczyć.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał ojciec, spoglądając na nią.
- Zachowujesz się jak kurczak.

Pauline nie odpowiedziała.

- A ty co taka swobodna? - spytała mnie zirytowana. - Jakby kołnierz ci nie doskwierał.

Gdy tylko Pauline się odwróciła, zdradziłam Helene swój sekret. Pod kołnierzem miałam przypiętą ukradzioną w czasie obiadu płócienną serwetkę. Właściwie nie było jej widać, a ja mogłam wygodnie poruszać głową.

Chociaż Helene była ode mnie prawie trzy lata starsza, obie z kręconymi rudymi włosami wyglądałyśmy na bliźniaczki. Czasami ona pierwsza na coś wpadała, czasami ja, ale zawsze dzieliłyśmy się odkryciami. Tworzyłyśmy strategiczne przymierze przeciwko naszej akuratnej starszej siostrze, naszemu zasadniczemu ojcu i naszej zmiennej w nastrojach matce. W sprawach elegancji ubioru naszym największym wrogiem była Pauline. I nie chodziło tylko o koronkowe kołnierze. Były jeszcze olbrzymie kokardy we włosach, bezlitośnie przypięte spinkami do skóry na głowie. Był zwyczaj szorowania naszych spierzchniętych rąk lodowatą wodą. Precyzyjne wyliczanie, jakiej długości powinien być każdy nasz krok i pod jakim kątem miałyśmy trzymać modlitewnik w kościele. Pauline obserwowała nas przez cały czas, a kiedy nie mogła, robił to ojciec. Po matce mogłyśmy się spodziewać, że weźmie nas w obronę albo jeszcze przykręci śrubę, i nigdy nie byłyśmy w stanie przewidzieć, jak się zachowa. Ale na Helene mogłam polegać zawsze.

- Skąd ją masz? - spytała szeptem. Powiedziałam jej o miękkiej podwiązce, którą założyłam sobie na udo, aby schować serwetkę pod spódnicą.

- Wariatka z ciebie - powiedziała z przekonaniem. - Co by było, gdyby cię na tym złapali?

Nie mogła sobie wyobrazić, jak udało mi się schować serwetkę podczas naszego sztywnego, milczącego i trwającego w nieskończoność obiadu. Siedziałam zawsze

między ojcem a Pauline. Moje dłonie trzymające szklankę czy nóż, widelec lub łyżkę cały czas były pod ścisłą obserwacją. Mogłam przecież coś rozlać lub posługiwać się nożem w barbarzyński sposób, a także ugryźć zbyt duży kęs, a takie błędy należało natychmiast srogo napiętnować. Podejrzywałam, że dawało to ojcu i Pauline zajęcie, bo w czasie posiłków niewiele się rozmawiało.

Przypomniałam Helene, że w ostatni czwartek mama miała atak kaszlu podczas obiadu i gdy ojciec wstał, żeby uderzyć ją w plecy, a Pauline poszła po wodę, wykorzystałam okazję, aby upuścić na podłogę widelec.

- Z czego tak chichoczenie? - zapytał ojciec dość nieprzyjemnym tonem.

Zamilkłyśmy, starając się nie patrzeć na siebie. Czasami to wystarczało, abyśmy znowu zaczęły chichotać. Czułam, że moja twarz była zaróżowiona i gorąca, w płucach tłumiałam śmiech. Obok mnie Helene cała się trzęsła, czułam to.

- Uspokójcie się, proszę - powiedział ojciec, a kiedy mówił takim tonem, całe nasze rozbawienie natychmiast pryskało.

Przechodzący obok nas łysiejący jegomość wyjął z kieszonki płaszcz zegarek i rzucił w przestrzeń:

- Powinni tu być w ciągu dwudziestu sześciu minut. Mijaliśmy kobietę sprzedającą lody z kolorowego wózka.

- Dziewczynki, macie ochotę na lody? - zapytał ojciec. Zdumiałyśmy się. Zwykle nie pozwalano nam jeść słodczy, a już z pewnością nie od ulicznych sprzedawców.

Pauline też była zdziwiona.

- Naprawdę, papo? Jesteś pewien, że to wypada? Obie z Helene wstrzymałyśmy oddech i mocno ścisnęłyśmy się za ręce.

- Przecież to urodziny Emilie - powiedział.

Kiedy się uśmiechał, a nie zdarzało się to często, jego rumiana twarz była niemal przystojna. Wręczył Pauline pieniądze.

- Nie wstydz się. Podejdź do niej.

Kobieta głośno zachęcała przechodniów do zakupów.

- Szybciej! Kupujcie lody, zanim się rozpuszczą. Za chwilę się ociepli!

Stanęliśmy w kolejce za kobietą trzymającą drucianą klatkę z zieloną papugą i patrzyliśmy, jak lodziarka podaje lody klientom przed nami. Miała bardzo opalone ramiona, a w pasie przewiązała się czerwonym fartuchem haftowanym w różne owoce: cytryny, gruszki i ananasy.

Tuż obok na chodniku wrzeszczała dziewczynka w białej sukience i bardzo drogich pantofelkach. Przyglądałam się jej z zazdrością, bo chociaż nie miała więcej niż dziesięć lat, trzymała w ręku parasolkę z różowej koronki, a haft na jej sukience był tak piękny, że nie mogłam oderwać od niego oczu. To chyba właśnie jej strój zwrócił moją uwagę. I scena, jaką zrobiła. Nigdy nie widziałam dziewczynki, która publicznie dostałaby ataku szału. Żadna z tych, które znałam, nie ośmieliłaby się zachować w ten sposób.

- Adele - odezwał się stojący obok mężczyzna - dobrze wiesz, że nie jadamy niczego, co się sprzedaje na ulicy.

To był jej ojciec: potężny i otyły mężczyzna z ciemnymi wąsami. Jego uwaga wywołała tylko jeszcze głośniejszy krzyk dziewczynki. Obie z Helene wymieniliśmy znaczące spojrzenia.

Ojciec dziewczynki był zakłopotany. Wytwornie ubrana matka stała obok i stuknęła pantoflem o trotuar.

- Wstydz się! - skarcił córkę ojciec. - Ludzie pomyślą, że nie kochasz cesarza.

- Nienawidzę cesarza - powiedziała dziewczynka. -
Nienawidzę cesarza - powtórzyła trochę głośniejszym głosem, a stojący w pobliżu udawali, że nie słyszą.

- Nienawidzę cesarza! - zawołała.

Matka chwyciła dziewczynkę za ręce i dłuższą chwilę patrzyła jej w oczy. Potem wzruszyła ramionami.

- Kup jej loda.

Ojciec nie pozwolił córce, by mu towarzyszyła. Obserwowałam, jak stała na ulicy, podczas gdy on przyłączył się do kolejki. Oczy dziewczynki lśniły jak szmaragdy.

Nadeszła pora na nasze lody. Kobieta włożyła je do papierowych kubeczków i zapytała, jakim syropem je poleać. Do wyboru były trzy smaki: truskawkowy, wiśniowy i cytrynowy. Poprosiliśmy po odrobinie każdego. Nalała nam syrop na lody z trzech różnych butelek. Pauline wręczyła lodziarce monetę, którą ona wsunęła za skórzany pasek ściskający ją w talii. Potem wytarła twarz fartuchem i zajęła się obsługiwaniem następnej osoby.

Liząc lody, czekałyśmy, co jeszcze zrobi dziewczynka. Kiedy przyszła kolej na jej ojca, zaczął szukać pieniędzy w kieszeni. Kobieta w fartuchu uśmiechała się do niego, ale on był bardzo poważny. Wziął lody tak niezręcznie, jakby to było małe zwierzątko. Potem podszedł do córki i nie patrząc na nią, podał jej papierowy rożek. Gdyby spojrział, zobaczyłby, że Adele trzyma lody i wcale ich nie je, aż roztopiły się i spłynęły po jej ręce lepka strużką. Rękaw jej pięknie haftowanej sukienki pokrył się różowymi plamami.

Kiedy podeszliśmy do ojca, rozmawiał z nieznanym nam mężczyzną. Miał na sobie wytarty płócienny garnitur, a w butonierce różową stokrotkę. Nigdy przedtem nie widziałyśmy nikogo tak ubranego. Nie był wysoki, ale szeroki w ramionach i mocnej postury. Był tak opalony jak kobieta sprzedająca

lody. W jednej ręce trzymał skórzaną teczkę, a w drugiej coś, co wyglądało jak skrzynka z narzędziami.

Wycofałyśmy się zawstydzone.

- On nie ma kapelusza - wyszeptała Pauline.

- Może to Cygan - powiedziała Helene.

- A oto i moje córki - oznajmił ojciec. - Podejdźcie, dziewczynki, i poznajcie pana Klimta.

- Dzień dobry, panie Klimt.

Ukłoniłyśmy się tak, jak nas nauczono, starając się przy tym nie upuścić lodów. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam, że mężczyzna uśmiecha się do nas.

- Czuję się jak starzec albo jak księżę - powiedział. - Wszyscy mówią do mnie Gustav. I nikt przede mną nie dyga.

- Pan Klimt jest malarzem - powiedział ojciec, jakby to miało wyjaśnić wszystko: garnitur, kwiatek, opaleniznę, śmiech, dosłownie wszystko.

- Idę właśnie rozstawić sztalugę w pobliżu muzeum sztuki. Jest tam już mój brat. I dobra publiczność. Czasami ludzie nawet nam płacą za rysunek, co nie jest złe.

Puścił do nas oko. Żadna nie wiedziała, jak się zachować. Czy mogłyśmy dokończyć to, co zostało jeszcze z lodów, czy byłoby to raczej niestosowne? Helene próbowała cichutko polizać syrop na samym czubku, ale Pauline kopnęła ją w kostkę.

Klimt zaczął opowiadać o swoich pomysłach na nową formę fajki. Miałyby mieć mniejszą główkę pokrytą dość skomplikowaną kombinacją orzechowego forniru i złotego filigranu. Ojciec słuchał go uważnie i wydawał się zainteresowany. Pewnie zastanawiał się, czy nie zaprosić Klimta z rysunkami do fabryczki.

W pewnej chwili powiedział jednak, że się spieszymy, i uścisnął rękę Klimta. Klimt ukłonił się i odszedł, przeciskając się przez tłum, ale jeszcze się odwrócił i uśmiechnął do nas.

Poszliśmy dalej w kierunku ratusza. Ja milczałam po drodze, rozmyślając o poznanym malarzu. W naszym dobrze strzeżonym przez przyzwoitki i bardzo mało urozmaiconym życiu nowi ludzie nie pojawiali się zbyt często.

Zapragnęłam zobaczyć rysunki Klimta. Wiedziałam, że tata nigdy by się na to nie zgodził; zostało nam tylko kilka minut, aby zdążyć na miejsce, z którego mieliśmy oglądać paradę.

- Papo, tam jest Anna Vogel - powiedziałam. - Mogę do niej podejść i przywitać się?

- Gdzie? - zainteresowała się Helene, rozglądając się po tłumie w poszukiwaniu naszej szkolnej koleżanki.

Uszczypnęłam ją.

- Tylko szybko - powiedział ojciec. - Musisz być na schodkach za dziesięć minut.

Starłam się nie puścić się od razu biegiem.

Za plecami Klimta i chudego chłopaka w kitlu narzuconym na garnitur zgromadził się już mały tłumek. Pomyślałam, że ten drugi to pewnie jego brat. Rozłożyli coś, co wyglądało jak drewniany stojak na nuty, i przyczepili do tego kartkę papieru. Stałam z tyłu, zerkając między łokciami ludzi, i usiłowałam się przedostać nieco bliżej artystów.

Obok przechodziła staruszka z wiszącymi na szyi dwoma bażantami związanymi sznurkiem. Klimt zawołał ją, wskazując gestem na ptaki. Pieniądze przeszły z ręki do ręki i Klimt dostał jednego bażanta. Kobieta ukloniła mu się w podziękę i zaczęła coś szybko mówić w języku, którego nie rozumiałam. Pomyślałam, że to może być polski.

Klimt kręcił głową, wycofując się, ale ona szła za nim, wymachując drugim bażantem, którego trzymała teraz za pomarszczoną szyję. W końcu Klimt poddał się i dał jej jeszcze trochę pieniędzy. Potem oba ptaki zawiesił na sztaludze.

Następnie z pewnym wahaniem zagadał do kobiety w jej języku, pytając, czy nie chciałaby mu pozować do portretu. Początkowo stanowczo odmówiła, ale zgromadzony tłumek zaczął klaskać zachęcająco. Jacyś mężczyźni popchnęli ją w stronę sztalugi. Klimt uśmiechnął się i zrobił kobiecie miejsce. W końcu ona też się uśmiechnęła i zgodziła się, aby narysował jej portret.

Chociaż było ciepło, kobieta miała na sobie tyle wełnianych swetrów, że przypominała gigantyczny kłęb włóczki na dwóch nogach. Wyglądała jak lalka z głową zrobioną z pomarszczonego jabłka i włosami z jedwabnych strzępków. Patrzyłam na nią, potem na papier i znowu na nią, starając się śledzić pojawiające się kreski, aby uchwycić moment powstawania podobizny. Było to jednak niemożliwe. Najpierw zobaczyłam czarny trójkąt, potem zagęszczenie przecinających się linii, kilka owalnych kształtów i nagle pojawiła się ona. Jak Klimt to zrobił?

Kiedy wręczył jej skończony rysunek, zachichotała jak dziecko, a potem dała mu mały woreczek orzechów włoskich.

Po pewnym czasie udało mi się przecisnąć przez zwarty tłumek i stanęłam tuż za plecami chudego brata Klimta. Wiedziałam, że powinnam już wracać do ojca i sióstr, bo jak się spóźnię, będę miała poważne kłopoty, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Musiałam podejść jeszcze bliżej.

Bracia porozumieli się bez słowa i obaj, jak na komendę, zaczęli szkicować dwie ekspedientki sklepowe, które stały niedaleko, obejmowały się i rozmawiały o ozdobach na czepkach. Żółte jedwabne kwiaty czy koronka z wstążkami w kolorze holenderskiego błękitu, co byłoby ładniejsze? Spójrz na tę bogatą damę z kolibrem na kapeluszu. Jak wspaniale byłoby móc sobie pozwolić na takie rzeczy! Zauważyłam, że brat Klimta rysował ołówkiem, a on trzymał w ręku gruby kawałek czarnej kredy, jak rybę wyciągniętą z jeziora.

Pracował szybko i gdy tylko skończył, natychmiast odwracał kartkę szkicownika. Miałam bardzo mało czasu, aby przyjrzeć się rysunkom.

Kiedy dziewczyny zauważyły, że artyści je obserwują, obie się zaczerwieniły i uciekły. Udało mi się zobaczyć ostatni szkic zrobiony przez Klimta i nie miałam najmniejszych wątpliwości, kogo przedstawiał. W ułamku chwili uchwycił niedbałe pozy dziewcząt, podniecenie w ich oczach, sposób, w jaki pochylały się ku sobie.

Dwaj studenci, zataczając się, podeszli do artystów i zapytali, czy mogą narysować ich portrety za kilka szylingów. Brat Klimta odmówił.

- My wybieramy tematy - powiedział. - Nie tematy nas.

Tłum zaczął się śmiać z pijanych chłopców, którzy wydawali się zaskoczeni, jakby nigdy dotąd nikt nie uznał ich za zbyt mało interesujący temat. Do jednego z nich powoli docierało, że spotkali się z odmową, i aż się zaczerwienił ze złości.

- Posłuchaj no, ty - wymamrotał, szturchając brata Klimta w pierś i omal nie przewracając jego sztalugi.

Klimt stanął przed bratem, zasłaniając go przed pięściami studenta.

- Mów za siebie - powiedział. - Ja osobiście z przyjemnością narysuję tych dżentelmenów.

Przez chwilę brat Klimta wyglądał tak, jakby chciał go uderzyć, ale potem uśmiechnął się, wzruszył ramionami i podszedł do swojej sztalugi.

Studenci wsparli się na sobie i przybrali pozy mające świadczyć o ich wielkiej mądrości. Obaj mieli za długie płaszcze, które walały się w ulicznym kurzu. W kilku szybkich kreskach Klimtowi udało się uchwycić ich młodość, wychudzone sylwetki, przypominające wygłodniałe psy, i zapijaczone oczy. Klimt i jego brat zerwali kartki ze

szkicowników na sztalugach i pokazali je studentom, którym rysunki bardzo się spodobały. Najwyraźniej zapomnieli już o gniewie. Wyciągnęli z kieszeni pieniądze.

Pokazywali rysunki każdemu, kto chciał je oglądać. Następnie wielokrotnie złożyli kartki i poszli sobie. Drgnęła mi powieka, gdy tak bezceremonialnie składali papier. Magiczne rysunki potraktowali jak śmiecie. Pewnie zapomną o nich po dziesięciu minutach lub zgubią je gdzieś po drodze. Klimt chyba w ogóle nie zwrócił uwagi, że jego prace potraktowano tak bezwzględnie. Spokojnie przeliczał pieniądze.

Jego brat zaczął w tym czasie rysować parę Węgrów ubranych w jaskrawo wyszywane stroje narodowe. Klimt podszedł do niego i zasłonił mu widok. Ludzie zaczęli się już rozchodzić, ale ja nie mogłam ruszyć się z miejsca.

- Jesteśmy artystami, a nie ulicznymi żebrakami - syknął brat ze złością.

- Skąd mamy tę kredę? - spokojnie zapytał Klimt. - I te papiery?

- Ze szkoły - odpowiedział obrażonym tonem brat.

- Wyciągnęliśmy papier ze sterty śmieci i wyczyściliśmy go. Kredę znaleźliśmy na podłodze. Dzięki tym pieniądzom będziemy mogli kupić sobie trochę niezbędnych materiałów.

Brat najwyraźniej nie chciał przyznać mu racji.

- Mamy teraz tyle forsy, że stać nas nawet na ciastko w kawiarni - powiedział Klimt takim tonem, iż domyśliłam się, że mierzył w słaby punkt brata.

Obaj roześmiali się.

- Ile zarobiliśmy? - zapytał brat.

- Głupie dzieciaki, dali mi dziesięć szylingów za rysunek, którym nawet nie podtarłbym sobie tyłka.

Huczało mi w głowie. Ci artyści byli tak biedni, że używali papieru wyciągniętego ze śmieci. O mały włos nie

wywołali burdy. Ich język był wulgarny i odstręczający. Przerazało mnie to, a jednocześnie fascynowało. Nigdy przedtem nie spotkałam nikogo takiego.

Nagle zapragnęłam, jak niczego innego na świecie, aby Gustav Klimt narysował mnie. Nie miałam pieniędzy, ale pomyślałam, że gdybym znalazła się na linii jego wzroku, może zwróciłby na mnie uwagę. Nagle ktoś zawołał, że nadjeżdża kareta, i wszyscy rzucili się w kierunku ulicy. Pobiegłam na schody ratusza. Rude włosy Helene świeciły z daleka jak latarnia morska i kiedy je zauważyłam, zwolniłam kroku i wślizgnęłam się na miejsce obok niej.

- Gdzie ty się podziewałaś? - syknął ojciec. Starłam się nie oddychać zbyt szybko i ciężko, aby się nie zdradzić.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Pofolgowałam ci dzisiaj - powiedział. - Powinnaś się wstydzić.

- Już jest! - zawołała Helene.

Zapomniałam, że ojciec był na mnie zły, i zaczęłam podskakiwać, aby lepiej widzieć. Pauline wyciągała szyję bynajmniej nie jak dama. Nawet ojciec wyprężył się i machał ręką.

Cesarz jechał wierzchem na koniu, sprawiał wrażenie bardzo dzielnego i silnego. Epolety na jego mundurze i dłonie złożone na kolanach nawet nie drgnęły, gdy wierzchowiec pod nim szedł stępa. Cesarza otaczał oddział żołnierzy.

- Jak on wygląda? - zapytała Pauline, chociaż widziała podobiznę cesarza setki razy.

- Jak smutny mors - krzyknęłam.

Byłam szczęśliwa, bo spojrzałam na cesarza, a on uśmiechnął się do mnie. Pauline była zaszokowana. Helene chichotała.

- Nie mówi się w ten sposób o cesarzu - powiedział ojciec.

- Gdzie ty w ogóle widziałaś morsa? - zapytała Pauline.

- W książce zoologicznej. W szkole.

Próbowałam im wyjaśnić, że podwinięte do góry wąsy sprawiają wrażenie, jakby się uśmiechał, chociaż jego oczy są smutne. Próbowałam powiedzieć, że cesarz uśmiechnął się do mnie.

- Nie uśmiechnął się do ciebie - powiedział ojciec. - Nie jesteś nikim ważnym. Cesarz uśmiechał się do Wiednia.

Żołnierze, którzy kroczyli za cesarzem, mieli na hełmach kity z końskich ogonów. Maszerowali w szyku przypominającym klucz gęsi, wzbijając kurz w powietrze i głośno wybijając rytm butami. Nagle dowódca wykrzyczał komendę, a oni wzniesli karabiny i wystrzelili w niebo. Tłum wiwatował.

Dopiero po chwili zobaczyłam karetę jadącą za oddziałem żołnierzy. Była gęsto pokryta filigranami, jak strona z zapisem nutowym. Ciągnęły ją wspaniałe wierzchowce z girlandami na szyjach i wstążkami w kolorach różowym i żółtym wplecionymi w śnieżnobiałe grzywy.

- Co teraz widzisz? - niecierpliwie zawołała Pauline.

- Ma welon na twarzy - powiedziałam. - Ona wcale nie patrzy na tłum.

„Ona” to oczywiście cesarzowa, czyli osoba, dla której tak naprawdę tu przyszliśmy. Wyglądało na to, że rozczarujemy się. W zasadzie już się z tym pogodziłyśmy. Cesarzowa od pięciu lub sześciu lat nie pokazywała się publicznie.

Nagle okienko w karecie uchyliło się lekko. Pojawiła się w nim dłoń w rękawiczce i spoczęła na złoconej zdobnej ramie okienka. Nie była to zwykła rękawiczka. Widziałyśmy rękawiczkę z najmiększej skórki, ufarbowanej na czarno i ozdobionej czymś, co, jak teraz wiem, było piórkiem marabuta. Dłoń wyciągnęła się w kierunku tłumu, zaledwie muskając powietrze, nawet nie machając. Rękaw z

najdelikatniejszej koronki przetykanej złotą nitką, który otaczał rękawiczkę, powiewał przez chwilę na wietrze, i to było wszystko. Karetą minęła nas i znikła z pola widzenia.

Rozdział 3

Następnego dnia przy śniadaniu papa przeczytał nam artykuł w gazecie o braciach Klimt. Pisano, że będą wykonywać malowidła ściennie w teatrze, który budowano niedaleko naszego miejsca zamieszkania. Papa powiedział, że to bardzo prestiżowe zamówienie dla takich młodych artystów.

Chciałam wiedzieć dużo więcej: co będą malowali? Jak namalują sufit? Jakiej farby użyją? Czy to będzie farba podobna do tej, którą malowano ściany naszego mieszkania? Jednakże tata zignorował moje pytania.

- Jestem już spóźniony - powiedział. - Wy zresztą też.

Chodziłyśmy do szkoły zakonnej przy kościele Świętej Anny. Traktowano nas tam bardzo serdecznie, ale ze współczuciem, ponieważ byłyśmy protestantkami, co w praktyce oznaczało, że kiedy w kaplicy pojawiała się hostia, musiałyśmy układać na piersiach ręce w kształt litery X. Zawsze miałam wrażenie, że w ten sposób same rzucamy na siebie ekskomunikę. W zasadzie wiadomo było, że pójdziemy do piekła. Jeśli tak, dlaczego zadawano sobie trud, by nas uczyć - tego siostry nam nie wyjaśniały. Mama radziła, byśmy nie słuchały takich rzeczy.

Kamienne wnętrze kościoła Świętej Anny, gdzie chodziłyśmy na msze, pokrywała patyna lat, a powietrze było słodkie i odurzające jak kadzidła. Świece tkwiły w klatkach z kutego żelaza, które przypominały średniowieczne narzędzia tortur. Obok nas przesuwały się bezszelestnie postacie w bieli z kadzielnicami, zapalając i gasząc świece. Wokół w męczarniach umierał Chrystus: na okiennych witrażach pokonywał kolejne stacje Drogi Krzyżowej, krwawiąc, roniąc łzy i raz po raz upadając, na freskach sklepienia miał na głowie koronę cierniową. Na arrasach pokrywających zimne ściany leżał w grobie okryty całunem. Ojciec mówił, żebyśmy

tego nie oglądały, bo to barbarzyństwo i bluźnierstwo, ale trudno było nie patrzeć i nie słuchać. Zastanawiałam się, czy powiedzą nam jeszcze, abyśmy zatykały nos i nie wąchały zapachów drzewa sandałowego i mirry, którymi przesycone było powietrze.

Szkoła mieściła się w klasztorze sąsiadującym z kościołem i niemal tak starym jak on. Przewody kominowe zapchały wiekowe sadze i często po powrocie do domu szczypały nas zaczerwienione oczy. Tylko zakonnicom wolno było uczyć dziewczynki łaciny, matematyki i filozofii i właśnie dlatego rodzice posłali nas do tej szkoły. Ojciec obawiał się, że jego interes może upaść, i chciał, abyśmy w razie czego mogły zarobić na utrzymanie. Nigdy nie mówił jednak, dlaczego tak miałyby się stać; chodziło o jakieś sprawy zewnętrzne, niewidzialne złowrogie ręce usiłujące go zniszczyć. Tak przynajmniej mi się wydawało, gdy go słuchałam. Nasza mama musiała zrezygnować ze szkoły, gdy zmarła jej matka, i nigdy jej już nie skończyła. Musicie zdobyć wykształcenie, mówiła ponuro, bez względu na to, co się wydarzy. Tak więc z różnych pobudek, ale zjednoczeni przeczcuciem możliwego nieszczęścia i wiążącej się z tym smutnej odmiany losu, oboje postanowili zapewnić nam edukację.

Co rano wszystkie trzy wychodziłyśmy razem do szkoły. Do domu wracałyśmy wczesnym popołudniem. Po szkole mogłyśmy czasami zapraszać do siebie przyjaciółki. Znacznie częściej jednak spędzałyśmy czas tylko we trzy. W soboty wychodziłyśmy na spacer do parku lub słuchałyśmy, jak mama gra na pianinie.

Chciała zostać pianistką, a jej nauczyciel uważał, że ma talent. Zrobiła jednak to, czego od niej oczekiwano: wyszła za męża. Ojciec bardzo lubił słuchać, jak gra, chociaż nie zdawał sobie sprawy, że wydobywanie dźwięków muzyki Straussa dla niego zupełnie jej nie satysfakcjonowało. Sporadycznie

udawało jej się wchodzić w rolę dobrej mieszczańskiej żony i matki, ale najczęściej nie pamiętała o tym. Była zbyt oderwana od rzeczywistości, zagubiona w kompozycjach, które mogła grać tylko dla nas.

Taki był mój świat. Nie miałam żadnego kontaktu z muzykami, którzy grywali w operze, z nauczycielami wykładającymi na uniwersytecie, w zasadzie z nikim oprócz naszej rodziny i szkolnych koleżanek. Od czasu do czasu chadzałam z mamą na rynek i tęsknie przyglądałam się dziewczynom, które przyjeżdżały ze wsi wraz z rodzinami, aby sprzedawać sery, jesiotry lub króliki. Bez względu na pogodę stały na świeżym powietrzu, zachęcająco nawoływały przechodzących ludzi, przekomarzały się z klientami, wydawały resztę, pakowały zakupy w paczki i przewiązywały je sznurkami. To wszystko wydawało mi się dużo ciekawsze niż moje życie. Ręce miały czerwone i spierzchnięte, ale robiły nimi coś pożytecznego. A poza tym były wolne, na pewno bardziej niż ja.

W czasie przeznaczonym na odrabianie lekcji często rysowałam w jednym z moich szkolnych zeszytów. Rysowałam dziewczynki o kręconych włosach i ogromnych oczach. Ich głowy były zwykle nieproporcjonalnie duże w porównaniu z ciałami. Przedstawiałam je w tanecznych pozach, ale nie potrafiłam prawidłowo narysować zwróconej do tyłu głowy. Wszystkie moje tancerki miały łopatki wystające niczym rybie płetwy. Kiedyś próbowałam narysować śpiącą Helene, ale udało mi się ją jedynie przestraszyć, gdy niezadowolona z siebie, cisnęłam na pokój podkładkę i przymocowany do niej papier. Dużo bardziej niż z rysunków ludzi byłam zadowolona z rysunków przedstawiających ich stroje. Narysowałam piękną rękawiczkę cesarzowej i próbowałam odtworzyć jej suknię, chociaż widziałam tylko skrawek rękawa. Wymyśliłam sobie, że

suknia była brokatowa w kolorze złocistej brzoskwini. Nie miała wysokiego kołnierza, spływała w dół od lekko rozkloszowanych kimonowych rękawów, ozdobionych drobnymi perełkami. Do przetykanej złotą nitką koronki przy dekolcie przypięta była broszka z największym na świecie rubinem. Taka suknia nie mogła rzecz jasna być dość ciepła, zaprojektowałam więc także narzutkę z futra białego lisa i odpowiedni do tego stroju kapelusz. Byłam całkiem zadowolona z rezultatu.

Kiedy już narysowałam suknię, zapragnęłam pobawić się w salon. Przyniosłyśmy z szafy w holu stare wieczorowe suknie mamy i do tego różne dodatki - szale, narzutki, serwetki do herbaty, biżuterię, co tylko udało się nam znaleźć. Oczywiście żadnej z tych rzeczy nie wolno nam było ruszać, ale mama miała migrenę i leżała w łóżku. Wiedziałyśmy, że nie wstanie przed kolacją, miałyśmy więc mnóstwo czasu dla siebie.

Przebrałyśmy się, a potem Helene zaczęła wymyślać choreografię do tańca inspirowanego słynnym zespołem tańczących sióstr. Co jakiś czas któraś z nas podbiegała do łóżka i podjadała z torby czekoladki, które przeschmuglowałyśmy po szkole do domu.

Taniec szybko przerodził się w kłótnię. Helene drażniła się ze mną, narzekając, że tańczę niezgrabnie, przez co zaczęłam się poruszać jeszcze bardziej niezręcznie i nadepnęłam na brzeg swojej sukni, która się rozdarła. Ze złości kopnęłam Helene. Interweniowała Pauline, która przypadkiem dostała obcasem w oko i wrzasnęła. Uciekłam, zanim wykluczyły mnie z zabawy. Nie tańczyłam już, tylko siedziałam sobie na okiennym parapecie.

Po chwili Helene usiłowała na powrót zachęcić mnie do zabawy. Wyciągnęła do mnie ramiona i trzepotała nimi, zapewne starając się naśladować sylfidę, chociaż jej szata z

szarej jedwabnej tafty była za obszerna i wisiała na niej jak na tyczce. Potem Helene zaczęła śpiewać. Dobrze wiedziała, że kiedy śpiewa, trudno się jej oprzeć. Miała wysoki, dźwięczny głos, jak chórzystka. Jaskrawe kręcone włosy okalały jej twarz niczym twarze na obrazach Rafaela. Ja jednak byłam jej siostrą, a nie pełnym zachwytem nauczycielem, dumnym rodzicem lub wzruszoną parafianką. Ignorowałam ją. Zakończyła frazę i ponieważ nie było odzewu, zamilkła.

- Jesteś po prostu leniwa - powiedziała Pauline, która była już zbyt duża na taką zabawę, ale brała w niej udział, aby nas rozśmieszyć.

Wcisnęła się w różową suknię wieczorową z organdy, o podwyższonym stanie, w której wyglądała jak nadmiernie wypchana poduszka.

Zresztą i tak nie lubiła za bardzo tych zabaw. Pauline była praktyczna, jak nasz ojciec. Ona jedyna potrafiła uspokoić mamę podczas jej histerycznych napadów płaczu, a także zrobić taki pudding makaronowy z cynamonem i rodzynkami, że smakował ojcu. Moim zdaniem dojmująco brakowało jej wyobraźni.

Nie odpowiedziałam jej. Bawiłam się zameczkiem broszki w kształcie róży, którą przyozdobiłam swoją szarfę. Kamienie przypominające do złudzenia rubiny i różowe diamenty były oczywiście sztuczne, ale wyglądały wspaniale.

Helene wzruszyła ramionami i spojrzała na Pauline. Były przyzwyczajone do moich dąsów. Wróciły do tańców, wymagających od nich wykonywania bardzo skomplikowanych układów z szarfami, które łatwo mogły się poplątać. I rzeczywiście, musiały dość często przerywać taniec, aby rozplatać szarfę, i kłóciły się przy tym, która popełniła błąd. Słuchałam tego jednym uchem, przyglądając się jednocześnie przechodzącym ulicą ludziom.

Miałam szczęście, że ulica, przy której mieszkaliśmy, była bardzo ruchliwa. Zawsze można było wypatrzeć na niej kogoś interesującego. Obserwowałam kobietę w aksamitnej pelerynie, ściśle otulającej jej szyję, która wchodziła do apteki. Rozpoznałam w niej bardzo znaną sopranistkę. Zaczęłam się zastanawiać, czy ma jakieś kłopoty z głosem. Po kilku minutach wyszła i z uwagą czytała etykietę przyklejoną do buteleczki, którą trzymała w ręku. O mało nie wpadła na dwóch lekarzy o zmartwionych minach, ze skórzanymi kuferkami w rękach. Wypatrzyłam też jednego z pijanych studentów sportretowanych przez Gustava Klimta. Tym razem nie wyglądał na pijanego, fryzurę miał jednak zmierzwioną, był blady i bardzo się spieszył. Szybko minął naszą kamienicę i zniknął mi z pola widzenia.

Helene właśnie zaczęła wyśmiewać się z Pauline, mówiąc jej, że wygląda jak koza, a Pauline omal się nie rozplakała, bo rzeczywiście tak trochę było z uwagi na blisko osadzone piwne oczy i pociągłą twarz, gdy nagle zobaczyłam coś, w co nie mogłam uwierzyć. Ktoś stał pod drzwiami naszego domu. Niewysoki mężczyzna z walizką w jednym ręku i laseczką o błyszczącej główce w drugiej. Postawił walizkę na ziemi i zadzwonił. Następnie zdjął kapelusz, a wtedy wiatr rozwiął jego włosy, on zaś spojrzał w górę, wprost na mnie. To był Gustav Klimt.

Uśmiechnął się do mnie, uklonił i pomachał kapeluszem. Omal nie spadłam z parapetu, cofając się gwałtownie, by się ukryć. Helene i Pauline przestały tańczyć.

- Co się stało? - zapytała Helene.

- On tu jest - powiedziałam.

- Kto? - dopytywała się Pauline. Westchnęła, gdy im odpowiedziałam.

Nie powiedziałam im o ukłonie w moją stronę. Nie mam pojęcia dlaczego. To było coś wyjątkowego, co bardzo mnie poruszyło.

- Ale co on tu robi? - zdziwiła się Helene.

Poza lekarzem nikt nigdy do nas nie przychodził. Zastanawiające było, dlaczego ten artysta, o którym jeszcze kilka tygodni temu nawet nie słyszałyśmy, stał teraz pod naszymi drzwiami. Czekaliśmy, zerkając niecierpliwie zza kotar. Kiedy drzwi się otworzyły i Gustav Klimt zniknął w głębi domu, wślizgnęłyśmy się do holu i wychylając się przez poręcz, próbowałyśmy coś usłyszeć.

Mama poprowadziła go do salonu, a walizka i laseczka zostały w holu, widoczny znak, że nasz gość chwilę tu pozostanie.

Rzuciłyśmy się pędem z powrotem do naszego pokoju, ponieważ mama wyszła z salonu i zaczęła wchodzić po schodach. Ściągnęłyśmy z siebie wieczorowe suknie i schowałyśmy je w szafie. Zanim weszła, miałyśmy już na sobie nasze normalne ubrania i zdążyłyśmy się usadowić w dość naturalnych pozach: Helene i ja wyglądałyśmy przez okno, a Pauline czytała coś przy biurku.

Mama zmarszczyła brwi.

- Nie należy na siłę udawać niewiniątek. Macie zbyt zaróżowione twarze.

Nie byłyśmy pewne, czy wiedziała o wieczorowych strojach, czy wiedziała, że my wiemy o Klimcie, starałyśmy się więc wszystkie okazać skruchę, ale na razie wolałyśmy się do niczego nie przyznawać.

- Co się stało, mamó? - zapytała dość niepewnie Pauline. - Słyszałyśmy dzwonek.

- Przyszedł pan Klimt.

Mama zawiesiła tajemniczo głos. Helene nie wytrzymała.

- Dlaczego? Dlaczego do nas przyszedł?

- Tata poprosił go, aby narysował wasze portrety.

Patrzyłyśmy na siebie z niedowierzaniem. Pauline wyglądała na przerażoną, ale Helene była tak samo podekscytowana jak ja.

- Nie pozwólmy temu biedakowi czekać na dole - powiedziała mama. - Doprowadźcie się do porządku, włożcie szkolne bluzki i zejście na dół.

- Szkolne bluzki? - zdziwiła się Helene.

- Tak chce tata.

Omam się nie rozplakałam. Szkolne bluzki uszyte z cienkiej białej bawełny były proste z tyłu, a z przodu miały żaboty przypominające śliniaczki. Te śliniaczkowate żaboty wyszyte były zwykłą, taną nicią, w dodatku przez nas same. Pauline wyszło to nawet całkiem dobrze, ale Helene, a zwłaszcza mnie, dość nieudolnie. Poczulałam się tak, jakbym miała wystąpić na konkursie tanecznym w szlafroku. Chciałam jeszcze prosić mamę, żebyśmy mogły włożyć coś innego, ale usłyszałam na dole głos taty, który wrócił wcześniej z fabryczki. Najwyraźniej miał zamiar towarzyszyć nam podczas portretowania.

Ubrałyśmy się i uczesały, narzekając przed lustrem na cerę.

- Gdybym wiedziała, zrobiłabym sobie kąpiel z miodem i mlekiem - powiedziała Helene, która i tak jaśniała jak Madonna.

Uszczypnęłam ją ze złości.

- Pomaga też czyszczenie twarzy ogórkiem i orzechami - powiedziała Pauline. - Podobno cesarzowa zawsze tak robi przed spotkaniem z fotografem.

* * *

Pauline poszła pierwsza. Czekając na swoją kolej, obie z Helene usiłowałyśmy sobie wyobrazić, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami salonu, tak grubymi, że niczego nie

słyszałyśmy, nawet podchodząc bardzo blisko. Helene, która była nieśmiała wobec nieznanym, martwiła się, że będzie musiała rozmawiać z Klimtem. Ja uważałam, że znacznie mniej naturalnie byłoby tam siedzieć i w ogóle się nie odzywać.

Wysłuchiwałyśmy się w tykanie zegara w holu, który co kwadrans wybijał kuranty. Minęła szósta, kiedy z salonu wyszła Pauline. Spojrzałyśmy na nią, aby cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Wyglądała na senną i oszołomioną.

- Helene - usłyszałyśmy głos taty.

Moja siostra z przerażeniem w oczach znikła za drzwiami.

Zacząłam wypytywać Pauline o czas spędzony w salonie, ale odpowiedziała mi lakonicznie, że nie było się czym tak ekscytować. Gdy zapytałam ją o Klimta, wzruszyła tylko ramionami. Chciałam też wiedzieć, o czym rozmawiali, ale powiedziała, że nie wie. Usłyszałam bicie zegara, które po jakimś czasie powtórzyło się. Wreszcie przyszła pora na mnie.

Kiedy weszłam, ojciec siedział w kącie salonu i czytał gazetę. Powietrze wokół niego było zadymione i pachniało skórą i cynamonem. Uśmiechnął się do mnie, ale zaraz wrócił do swojej gazety, a ja stałam zdenerwowana w progu. Malarz rozstawiał pośrodku salonu wysoką sztalugę.

- Czy to było w walizce? - zapytałam ku swojemu zdziwieniu.

Byłam tak ciekawa wszystkiego, co dotyczyło jego materiałów, że zapomniałam, iż dziewczynce nie wypada być ciekawską lub zadawać zbyt wielu pytań.

Klimt roześmiał się.

- Poręczna, nieprawdaż? - powiedział. - Pokażę ci. Położył karton na kanapie i zręcznie złożył sztalugę,

która przypominała wiązkę patyków na podpałkę. Przypomniałam sobie, że już wcześniej widziałam coś takiego.

- Tak, miał pan podobną w dniu parady.

Uśmiechnął się.

- Pamiętasz.

Wyciągnął do mnie złożoną sztalugę. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam na jego brodzie czerwone plamy. Sztaluga była zaskakująco lekka.

- Czy to się nie rozsypie? - zapytałam.

- Emilie - odezwał się ojciec - przestań zawracać głowę panu Klimtowi i rób, co masz robić.

- Nic nie szkodzi - uspokoił ojca Klimt. - Rozłóż ją i obejrzyj.

Rozłożyłam sztalugę i zobaczyłam, że ma trzy nogi, które można szeroko rozstawić, dzięki czemu jest bardziej stabilna, niż mi się wydawało. Klimt wziął ode mnie sztalugę i z powrotem ustawił ją na środku salonu.

Stałam i czekałam, aż przymocuje do sztalugi karton za pomocą czegoś, co przypominało spinacze do bielizny. Czekałam też, kiedy mi powie, co mam robić. Klimt umocował papier i odwrócił się do mnie, ale nic nie powiedział. Splótł ręce na piersiach i patrzył na mnie. To było krępujące, chociaż starałam się niczego po sobie nie okazywać.

- Dobrze - powiedział.

Nadal czekałam. Na jego twarzy malowało się niepokojące napięcie. Coraz trudniej znosiłam to czekanie. Kołysałam się, przestępując z nogi na nogę, i drapałam się po twarzy, chociaż wcale mnie nie swędziła.

- Co mam robić? - zapytałam w końcu. Chyba wytrąciłam go z transu.

- Usiądź na czerwonym fotelu i staraj się nie ruszać. Jeżeli będę chciał, byś się poruszyła, sam cię przesunę - powiedział szorstko, niemal nieuprzejmie.

Usiadłam tak, jak mnie uczono na lekcji dobrego wychowania. Kiedy Klimt znowu na mnie spojrzał, westchnął

ciężko. Podeszedł bardzo blisko mnie i ściągnął brwi. Jego marynarka pachniała cedrowym drewnem, jakby długo leżała na półce.

- Jak byś usiadła, gdybyś mogła to zrobić dowolnie? Nikt wcześniej nie zadawał mi takiego pytania. Nikt nie interesował się tym, co ja bym chciała, ważne było tylko to, co oni chcieli. Patrzyłam na niego bez zrozumienia.

- Nie wiem, proszę pana - powiedziałam.

- Me masz pojęcia? - zapytał.

- Nie, proszę pana.

- No dobrze - powiedział. Nagle wydał mi się zmęczony. - Zostań tak, jeśli ci to odpowiada. Bądź jednak tak miła i patrz na swojego tatę, tylko nie ruszaj się.

Tata nie interesował mnie tak jak artysta i jego rysunek, nie było mi łatwo patrzeć na niego. Klimt włożył na marynarkę fartuch, przez co wydał mi się podobny do apostoła. Stał przed sztalugą i patrzył na mnie, żując końcówkę ołówka. Ciężko mi było tak siedzieć, zupełnie bez ruchu. Starłam się przynajmniej miło uśmiechać.

- Uśmiechasz się zwykle? - zapytał.

- Nie za często, proszę pana - powiedziałam.

- W takim razie teraz też się nie uśmiechaj - poprosił. - Postaraj się o normalny wyraz twarzy.

- Jak wyglądam, papo? - zapytałam, chcąc, aby Klimt usłyszał, jak mnie chwali.

Ojciec odłożył gazetę i spojrzał na mnie, ale wydawało mi się, że ledwie mnie widział.

- Bardzo dobrze - powiedział. Najwyraźniej szukał w myślach największego komplementu, jaki mógłby powiedzieć. - Przypominasz mamę - dodał, ale wiedziałam, że to nie była prawda.

Moja mama była piękna. Miała lśniące kasztanowe włosy i okrągłą twarz o miękkich rysach. Ojciec po wykonaniu zadania wziął do ręki gazetę i natychmiast zasnął.

Klimt nie używał farb, rysował kredą, której kilka kawałków leżało na woskowym papierze. Obok stała szklanka z wodą. Chciałam zapytać, do czego jej używał, ale przypomniałam sobie o dobrych manierach. Klimt zauważył jednak, że zerkam na wodę.

- Używam wody, aby zwilżyć niektóre kreski - wyjaśnił. - Dzięki temu mogę osiągnąć specjalny efekt, który później zobaczysz.

Przyglądał mi się tak badawczo, że aż się zaczerwieniłam. Miałam nadzieję, że nie zauważył tego, ale przecież to było niemożliwe. Nikt nigdy dotąd tak na mnie nie patrzył. Miałam ochotę schować się pod kanapę.

- Zawsze podglądasz gości przez okno? - zapytał po chwili.

Zauważyłam, że ścięgnięta na jego nadgarstkach są naprężone jak liny grotmasztu.

- Słucham? - zapytałam, udając, że nie zrozumiałam, o czym mówi.

- Kiedy dzwoniłem do drzwi, siedziałaś w oknie na górze.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. - Nie widziałam pana. Przerwał na chwilę rysowanie i uśmiechnął się do mnie drwiąco. Przypominał mi w tym momencie starszego brata mojej przyjaciółki Ulrike, który ciągnął nas za włosy, walił po plecach i podstawiał nogę przy każdej okazji.

- Na co patrzysz, kiedy wyglądasz przez okno?

- Na ludzi - powiedziałam. - Lubię oglądać, jak są ubrani i jak się poruszają. Jedni chodzą szybko, inni drepczą lub kuśtykają. Niektórych widuję codziennie i czasami wyglądam na zadowolonych, a innym razem nie. Pojawiają się sami lub z rodzinami. To jest bardzo interesujące.

- A więc nie cała twoja osobowość jest wyuczona - skomentował Klimt i wrócił do rysowania.

- Kim chciałabyś zostać, gdy dorośniesz? - zapytał po chwili.

Zorientował się już, że miałam kłopoty z ignorowaniem konkretnych pytań.

- Aktorką - powiedziałam.

Tym razem nie uśmiechnął się drwiąco. Nie odrywał wzroku od papieru.

- Dużo sztuk teatralnych widziałaś? - zapytał. Musiałam przyznać, że nie.

- Nie chadzam często do teatru, ale znam wiele aktorek - powiedział. - Niektóre pozują mi za pieniądze.

Całą swoją wiedzę o aktorkach czerpałam z gazet i z obserwowania na Mariahilferstrasse tych, które rozpoznawałam. Zawsze były modnie ubrane i nosiły się z taką gracją, że nie mogłam sobie wyobrazić, by musiały dorabiać pozowaniem, chociaż jeżeli pozowały tak jak ja, nie było w tym nic złego.

- Nie są tak wspaniałe, jak ci się wydaje - powiedział, jakby czytał w moich myślach. - Ale są w porządku. Większość z nich bieduje. Bo to nie jest łatwy kawałek chleba, muszę przyznać. Tobie żyje się znacznie lepiej z rodzicami.

Rozzłościłam się. Skąd on mógł wiedzieć, jak mi się żyje z rodzicami? Nauczono mnie jednak, aby nie sprzeciwiać się dorosłym.

- Kiedyś zabiorę cię do teatru - powiedział. - Zobaczysz.

Nagle zmarszczył brwi i przestał rysować. Cofnął się o krok i przez minutę patrzył na papier, a potem wrócił do sztalugi. Nadal jednak miał ściągnięte brwi. Zastanawiałam się, co złego zrobiłam. Klimt odłożył ołówek i podszedł do mnie.

- Nie podoba mi się twoja fryzura - przyznał.

- Tak cheszę się do szkoły - powiedziałam.

- Brzydko - uznał.

Zacząłam niezręcznie ściągać kokardę, ale powstrzymał mnie.

- Pozwól - powiedział.

Jego ręce zbliżyły się do mojej twarzy i zauważyłam, że były miejscami pokryte brązowymi plamami.

- Nie, dziękuję - powiedziałam szybko. - Mogę to zrobić sama?

- Oczywiście - powiedział.

Wolno wrócił na miejsce. Podszedł do okna i otworzył jedno skrzydło. Walczyłam ze wstążką, szarpiąc ją tak, że łzy napłynęły mi do oczu. Pauline bardzo starannie ją przyczepiła i bez lustra nie mogłam jej odpiąć.

Klimt podszedł do mnie znowu.

- Obiecuję, że zrobię to tak, żeby nie bolało - powiedział.

- Pozwól mi pomóc sobie z tą wstążką.

Bardzo delikatnie wyplątał ją z potarganych włosów.

- Musimy je teraz uczesać - powiedział, kiedy skończył. - Masz grzebienie?

Byłam zaskoczona, że Klimt tak dobrze orientował się w kobiecych akcesoriach, takich jak grzebienie. Tata nigdy się nie nauczył, jak się nazywają, i mówił na nie „interes do włosów”. Spojrzałam na ojca, który nadal pochrapywał, przykryty gazetą.

- Mogę je przynieść? - zapytałam.

Poszłam do holu. Nikogo tam nie było. Słyszałam, jak mama nuci w kuchni Verdiego. Pobiełam na górę do jej pokoju i otworzyłam puzderko z biżuterią. Leżały tam sznury pereł, diamentowa bransoletka, złoty zegarek, a także sporo spinek i grzebieni. Mama miała kilka zwykłych szylkretowych grzebieni na co dzień i maleńkie grzebyki wykonane techniką emalii komórkowej, które kupiła, gdy byli z tatą w Paryżu.

Czy mogłam je pożyczyć? Pomyślałam, że tacie jeszcze bardziej spodoba się mój portret, gdy je na nim zobaczy.

Wróciłam do salonu, usiadłam w fotelu i pozwoliłam Klimtowi uporządkować moją fryzurę. Kiedy skończył, cofnął się trochę, żeby lepiej ocenić efekt; wyglądał na zadowolonego.

- Teraz jest dużo lepiej, bo wyraźniej widać linię twojego podbródka.

Nie bardzo rozumiałam. Zawsze mi mówiono, że mam zbyt mocno zarysowaną szczękę, męską. Radzono mi też, żebym wszelkimi sposobami starała się ją zasłaniać. Dlaczego chciał uwypuklić moje wady? Zaczęłam podejrzewać, że portret nie będzie spełniał moich oczekiwań.

- Masz w szkole lekcje rysunku? - zapytał Klimt, wracając do pracy.

- Miałyśmy przez pewien czas nauczyciela rysunku, ale poszedł do wojska i nikt go nie zastąpił.

- Lubiłaś rysować?

Jedynym wyjaśnieniem, dlaczego udzieliłam takiej, a nie innej odpowiedzi, mogło być to, że zdrętwiała mi noga i złapał mnie kurcz w karku.

- Nie bardzo - powiedziałam. - Nudziło mnie to.

Przerażona, natychmiast zasłoniłam sobie usta dłońmi, niepomna, że powinnam siedzieć bez ruchu. Spojrzałam na ojca. Spał nadal i nie słyszał tego, co powiedziałam. Czekałam, aż Klimt zwróci mi uwagę i postraszy, że powie rodzicom, jaka byłam nieznośna. Ale on, ku mojemu zdumieniu, roześmiał się tylko.

- Może zbyt łatwo ci to przychodzi. Tacy jak ja, którzy muszą ciężko pracować, aby stać się wprawnymi rzemieślnikami, nie nudzą się rysowaniem.

Bałam się otworzyć usta, aby znowu nie powiedzieć czegoś nieuprzejmego.

- A co takiego nudnego rysowałaś? - zapytał.
- Zawsze tę samą martwą naturę - powiedziałam. - Dwie butelki, trzy jabłka i winogrona.

- Wiesz, że rysując jabłka i butelki, można się dużo nauczyć o bryle, świetle i cieniu? Ale winogrona! To za trudne dla początkujących.

Miałam głęboką nadzieję, że skończymy już ten temat.

- Czego jeszcze uczą w twojej szkole?
- Historii, niemieckiego, matematyki.
- Szycia? - zapytał, patrząc na moją bluzkę.
- Raz w tygodniu - odpowiedziałam.
- Powiedz swojemu nauczycielowi, że lekcje powinny być codziennie - zaproponował złośliwie.

Śmiał się ze mnie.

- Zrobię to, proszę pana - powiedziałam najuprzejmiej jak umiałam.

Przez jakiś czas w salonie panowało milczenie. Słyszałam bicie zegara, trzy, cztery i pięć razy. Zastanawiałam się, dlaczego na rysowanie mojego portretu poświęcił najwięcej czasu. Wreszcie Klimt odwrócił kartkę.

- Jak ci się podoba? - zapytał.

Moja próżność dwunastoletniej dziewczynki została śmiertelnie zraniona, gdy zobaczyłam, jak widzi mnie artysta. Narysował tylko głowę i ramiona. Moją szczękę sterczącą jak skalny masyw górski. Wyraz ust miałam ponury i surowy jak generał. Moje oczy lśniły niczym promienie słońca. Jak on tego dokonał, używając tylko kredy? Fragment postaci poniżej szyi narysował niewyraźnie, zaznaczył tylko owalny kształt bluzki i brzoskwiniową poświatę pod spodem, która przywodziła na myśl ciało. Zupełnie pominął wnętrze salonu, czerwony fotel, tapety. Jako tło wybrał morelowy odcień kredy, którą wtarł w papier nadgarstkiem. Pomyślałam, że

jeżeli naprawdę tak wyglądałam, to jestem najbrzydszą dziewczynką w całym Wiedniu.

- Podoba ci się? - zapytał.

W jego głosie wyczuwałam niepokój. Byłam jednak zbyt przygnębiona, by się z tym liczyć. Uratowało mnie tylko wpojone głęboko dobre wychowanie.

- Uważam, że jest uroczy - powiedziałam, ale on wiedział, że kłamię.

Klimt obudził mojego ojca, a mnie posłał po mamę, aby pokazać jej skończone portrety. Oparł trzy rysunki o ścianę salonu, a my całą rodziną stanęliśmy przed nimi. Pauline była na portrecie uśmiechnięta i delikatna. Klimt narysował wokół niej wnętrze salonu, co ożywiło rysunek i wypełniło kompozycję. Helene, rzecz jasna, wyglądała jak anioł. Nawet widać było poświatę wokół jej głowy. Tylko ja wyglądałam tak, że mogłabym zamieniać ludzi w kamienie.

- Są wspaniałe - powiedziała mama. - Najbardziej podoba mi się Emilie. Naprawdę udało się panu oddać jej osobowość.

Klimt pochwycił moje spojrzenie i mrugnął. Odwróciłam wzrok. Chciałam, żeby sobie już poszedł. Wtedy ojciec zaprosił go na kolację. A on, ku mojej rozpaczy, z przyjemnością przyjął zaproszenie.

Kiedy szliśmy do jadalni, Helene szturchnęła mnie w bok.

- Podoba ci się twój portret? - wyszeptała. Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Jesteś naprawdę podobna - powiedziała niepewnie. Chciało mi się płakać.

- Twój podoba mi się bardziej niż Pauline - dodała. - Ja ledwo tam w ogóle widać.

Nigdy nie widziałam nikogo, kto jadłby tak dużo i tak szybko. Klimt miał opalone i szerokie dłonie z grubymi, płaskimi kciukami przypominającymi drewniane łyżki. Palce nieporadnie obchodziły się z nożem i widelcem; wydawało mi

się nieprawdopodobne, że tak niedawno widziałam, jak zręcznie posługiwał się ołówkiem i kredą. Przyglądanie się złym manierom innych ludzi samo w sobie świadczyło o złych manierach, ale chciałam, aby ze sposobu, w jaki na niego patrzę, wyczytał, co myślę.

Klimt opowiadał mamie o zamówieniu, jakie otrzymał od rodziny cesarskiej.

- Mam wykonać kilka malowideł ściennych do willi cesarskiej we Włoszech - powiedział. - Coś lekkiego, kolorowego, niezbyt poważnego. Nigdy nie byłem we Włoszech, to dla mnie wielka szansa, aby zobaczyć Rzym i Florencję.

- Jak pan zdobył to zamówienie? - zapytał ojciec.

- Całkiem zwyczajnie - powiedział. - W Kunstlerhaus pojawiło się ogłoszenie i złożyłem swoją ofertę. Myślę jednak, że zdobyłem to zamówienie dzięki zleceniom z Burgtheater. Poznałem tam wielu wpływowych ludzi. Każdy chce mieć na ścianie swój portret. Teraz w mojej pracowni co dzień pojawia się paru sędziów, lekarzy, dostojników dworu.

Zauważyłam, że upuścił na kolana kęs gotowanej wołowiny, i posłałam mu złośliwy uśmiech.

- Spotkał pan cesarzową? - nieśmiało zapytała Pauline. Ojciec skarcił ją wzrokiem, ale Klimt nie zwrócił na to uwagi.

- Nigdy jej nie widziałem - powiedział. - Nikt jej już nie widuje, sam cesarz chyba też nie.

Z ust wypadł mu na talerz kawałek kartofla. Mama zakasłała i zapytała, czy ktoś życzy sobie jeszcze kapusty.

- Emilie powiedziała mi, że w szkole nie mają lekcji rysunku. Moim zdaniem to bardzo źle. Każda dziewczynka powinna umieć rysować. - Zwrócił się do mamy. - Jestem pewien, że pani dobrze sobie z tym radzi.

Mama zaczerwieniła się.

- Ależ nie, ja w ogóle nie mam talentu. Nie sądzę też, aby dziewczynki go miały.

- Niemożliwe, ma pani doskonałe oko.

- No cóż, gdy chodziłam do szkoły, brałam lekcje rysunku u Hansa Lernerera.

- Hans Lerner! To była legenda. I pani była jego studentką, toż to wielki zaszczyt.

Helene kopnęła mnie pod stołem. Czemu tak nachalnie przypochlebiał się naszej mamie?

- Odwiedziłam też Włochy - ciągnęła dalej mama. - Jeszcze nim wyszłam za męża.

Klimt westchnął w zachwycie nad jej opisami dzieł Fra Angelico, Tiepola i Masaccia, które wtedy oglądała.

- Państwa dziewczynki powinny mieć taką szansę, oczywiście jeżeli sobie tego życzą.

Czekałam, aż papa odpowie, że to on będzie decydował, jakie stworzy nam możliwości, ale milczał.

- Helene jest uzdolniona muzycznie - powiedziała mama.

- Co dzień po południu ma lekcje muzyki. Nie sądzę, aby miała czas na coś jeszcze.

- A pozostałe dziewczynki? - dopytywał się Klimt.

- Na wiosnę, po skończeniu szkoły, Pauline będzie brała dodatkowe lekcje języka. Ale Emilie jest wolna.

Spojrzałam na nią błagalnie, ale mama albo nie zrozumiała wymowy mojego spojrzenia, albo nie zwracała na to uwagi.

- Domyślam się, że jest dość zajęta próbami aktorskimi - powiedział Klimt. - Sądząc po szarfie, właśnie ćwiczyła, nim przyszedłem.

Dopiero wtedy zauważyłam jedwabną różową wstęgę zawiązaną w pasie, która wystawała mi spod szkolnej bluzki i do której wciąż przyczepiona była broszka mamy. W pośpiechu zupełnie o niej zapomniałam, a podczas kolacji wszyscy byli zbyt zaabsorbowani, aby ją zauważyć. Teraz

jednak, dzięki Klimtowi, cała moja rodzina utkwiała w niej wzrok.

- Emilie - ostro skarciła mnie mama - idź natychmiast na górę i zdejmij to.

Wstałam od stołu, mając nadzieję, że nie będę musiała już tu wracać, że wślizgnę się do łóżka i zostanę tam, dopóki Klimt sobie nie pójdzie. Gorączkowo zastanawiałam się, jaka kara czeka mnie za wzięcie bez pytania rzeczy mamy. Czy zostanę pozbawiona kolacji przez trzy dni? Tym razem mogło być jeszcze gorzej, ponieważ z mojej winy rodzice poczuli się zakłopotani w obecności gościa. Czy ojciec użyje paska? Idąc po schodach, słyszałam, jak mama przepraszała za moje zachowanie.

- Wiem, że ona jest już za duża, aby bawić się w przebieranie, ale bardzo to lubi i nie widzę w tym nic złego.

Odpięłam broszkę, zdjęłam szarfę i ścisnęłam ją mocno w dłoni, wyobrażając sobie, że to twarz Klimta.

Gdy wróciłam na dół do jadalni, decyzja już zapadła. Klimt został moim nauczycielem rysunku i nic nie mogłam w tej sprawie zrobić.

Rozdział 4

W dniu, kiedy miała się odbyć pierwsza lekcja, obudziłam się jeszcze przed świtem. Próbowałam zbudzić też Helene, w nadziei, że jej słodki głosik ukoji moje nerwy, ale ona, mimo ponawianych przeze mnie wysiłków, zmarszczyła tylko brwi, przekręciła się na plecy, a potem zamrugła powiekami i zaczęła dramatycznie wymachiwać rękami niczym kapryśna królowa towarzystwa. Najwyraźniej śniło jej się coś interesującego i nie chciała się obudzić. Odrzuciłam więc na bok kołdrę, którą Helene natychmiast naciągnęła na siebie. Było zimno. Bolały mnie stopy, kiedy szłam do łóżka Pauline. Coś mruzczała przez sen, tłumacząc swojemu nauczycielowi, dlaczego się spóźniła i nie ma na nogach butów.

Usiadłam na parapecie okna i okryłam stopy batystową koszulą nocną. Już niebawem przyjdzie czas na flanelowe koszule i kołdry z gęsiego puchu, wypchane przez chłopki z okolic Attersee.

Kiedy nachodził mnie kiepski nastrój, często wędrowałam myślami nad Attersee, do małego miasteczka w krainie jezior, kilka godzin jazdy na zachód od Wiednia. Nasza rodzina spędzała tam letnie wakacje jeszcze przed moim urodzeniem. Polodowcowe jeziora otoczone były górami, a zbocza wzgórz porastały polne kwiaty. Gdy tylko wracałam tam myślami, nastrój natychmiast mi się poprawiał.

Powietrze za oknem było mgliste i gęste. Kamienica po drugiej stronie ulicy wyglądała jak zanurzona w wodzie. Na ulicy widać było tylko nielicznych przechodniów. W polu mojego widzenia pojawił się sprzedawca gazet z kiosku na rogu pchał on wózek wyładowany prasą aż po górną krawędź. Zrzucił na trotuar stertę wiedeńskiego „Timesa”. Potem wyjął z kieszeni nóż, rozciął sznurek na paczce z gazetami i sprawnie rozłożył je na ladzie kiosku. Gdy skończył, zniknął z pustym wózkiem za rogiem. Wiedziałam, że robił kilka takich

rund, pchając wózek, rozładowując go, rozcinając paczki i układając gazety.

Na ulicy pojawiły się też pierwsze furmanki ze wsi wyładowane towarami do sprzedawania na rynku. Powoził zwykle mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, a z tyłu, na dyniach, siedziała gromadka dzieci w różnym wieku. Trajkotały i obijały się o siebie jak ziarna w tykwie. Odruchowo zaczęłam się zastanawiać, kiedy musiały wstać, żeby przyjechać o tej porze do Wiednia. Z pewnością były do tego przyzwyczajone. To mogło być nawet zabawne, oglądać wieś o świcie, a potem wjeżdżać do miasta, w którym wszyscy jeszcze śpią.

Rozjaśniało się. Niebawem promienie słońca przebiją się przez mglisty poranek i wszystko stanie się wyraźne i konkretne. Wkrótce będę musiała umyć twarz w zimnej wodzie, co zostanie okupione gęsią skórą na ramionach. Będę musiała zjeść drapiącą w gardło owsiankę, o której mama mówiła, że jest dla nas najlepsza, chociaż, jak zauważyłam, sama jadła zwykle bułeczki z malinami lub jabłkami. Będę musiała wysłuchać mnóstwa uwag, abym pamiętała o dobrych manierach i potrafiła się właściwie zachować. Będę musiała włożyć swój okropny filcowy kapelusik, wyjść z domu i przejść obok sprzedawcy gazet. O tym, co będzie później, nie chciałam nawet myśleć.

Bardziej niż kanibali, bardziej niż zastrzyków, bardziej niż flaków nienawidziłam, gdy ktoś się ze mnie śmiał. Co powie ten artysta, gdy zobaczy moje nieudolne próby rysowania? To będzie takie upokarzające. Może się rozchoruję i nie będę musiała tam iść.

Obok mnie pojawiła się Helene z kapą na głowie, niczym Madonna.

- Jest za zimno, żeby tu siedzieć - powiedziała. - Wracaj do łóżka.

Potrząsnęłam głową i znowu zaczęłam obserwować ulicę. Jeden z chłopów jadących na targ zatrzymał furmankę i wymieniał torbę żółtych jabłek na gazetę. Dzieciaki rzucały w siebie czymś, co przypominało orzechy włoskie.

- Denerwujesz się? - zapytała współczująco Helene.

- Czym? - zdziwiłam się.

Nigdy jeszcze nie byłam na lekcji, której nie prowadziły zakonnice. Oczywiście dobrze znałam ich odstręczające cechy: surowe usta o wąskich wargach, upiorne stroje, skłonność do stawania za plecami, gdy pracowało się nad jakimś zadaniem, co wywoływało u mnie takie zdenerwowanie, że w końcu zapomniałam, co mam zrobić. Ale z zakonnkami już się oswoiłam. Dobrze wiedziałam, jak je zadowolić: porządnie uczesane włosy, czyste ręce, szeroko otwarte oczy, nieśmiały uśmiech, ale nigdy grymas. Z tak ułożonym wyrazem twarzy mogłam nawet zasnąć na lekcji.

- Ja też byłam przerażona przed swoją pierwszą lekcją śpiewu - powiedziała Helene. - Wydawało mi się, że zapomnę wszystkie nuty. Ostatniej nocy miałam sen, że jestem gołębiem i potrafię wydawać z siebie tylko to okropne gruchanie. A potem okazało się, że panna Schraft nie jest taka zła.

Panna Schraft miała siedemdziesiąt lat, a jej wełniane palto cuchnęło psem pasterskim. W kieszeni spódnicy zawsze nosiła cukierki orzechowe w kolorowych papierkach i rozdawała je uczennicom.

- Chciałabym iść na lekcję do panny Schraft. Helene usiadła obok mnie, rozchyliła kapek, którą miała na sobie, i okryła nią nas obie. Siedziałyśmy oparte o siebie plecami, jak kariatydy.

- Chciałabym móc iść tam z tobą - powiedziała.

Ja też tego chciałam. Skupiłaby na sobie połowę uwagi. Może po lekcji papa pozwoliłby nam pójść do kawiarni, gdzie

zamówiłybyśmy gorącą czekoladę i śmiałybyśmy się z tego wszystkiego.

- Chciałabyś nauczyć się rysować? - zapytałam.

- Chciałabym zobaczyć pracownię. Ciekawe, czy podczas twojej lekcji przyjdzie tam ktoś znany.

- Wątpię. Sądzę, że on do tego nie dopuści.

Helene pokręciła głową. Nie mogła pojąć, dlaczego nie lubiłam Klimta. Uważała, że jest interesujący.

- Co na siebie włożysz? - zapytała.

Pochyliłam się do przodu i strąciłam ją ze swoich pleców. Odwróciłam się i popatrzyłam na nią zdziwiona.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie chcesz zrobić dobrego wrażenia?

- Nie dbam o to, czy zrobię dobre wrażenie na Klimcie.

- Lepiej mów o nim „pan Klimt” - powiedziała, nieco zaskoczona. - Co będzie, jeśli usłyszy cię mama lub papa?

Wtedy zdradziłam jej mój sekretny plan: postanowiłam być na lekcji grzeczna, spokojna, ale kompletnie nieudolna. Klimt nie będzie mógł na mnie narzekać, ale tak go tym zniechęcę, że będzie musiał zrezygnować i powie mojej rodzinie, że jestem beztalenciem. Wtedy wszystko wróci do normy i nie będę go już musiała więcej oglądać.

- Nic a nic nie jesteś ciekawa? - dopytywała się Helene. - Nie interesuje cię wcale pracownia, artyści, nauka rysunku?

- Nie - powiedziałam, ale ona za dobrze mnie znała.

- Mogę ci pożyczyć moją nową szarą spódnicę - zaproponowała. - Będzie świetnie pasowała do twojej różowej bluzki.

Po śniadaniu ojciec wziął mnie pod rękę i pomaszerowaliśmy szybkim krokiem na wschód, w kierunku Naschmarkt.

- Myślałam, że pracownia jest w Leopoldstadt - powiedziałam.

Ojciec był rozdrażniony. Nie znosił, kiedy okazywało się, że nieuważnie słuchałyśmy instrukcji.

- Nie idziemy do pracowni - poinformował mnie. - Skąd ci to przyszło do głowy? Idziemy do nich do domu, w Hietzing.

Hietzing było daleko, właściwie już poza miastem. Tam, gdzie stał pałac letni. Nigdy jeszcze nie byłam w tej okolicy.

Z naprzeciwka podążał w naszą stronę, czytając po drodze gazetę, pewien znajomy ojca. O mało na nas nie wpadł, gdy ojciec zastąpił mu drogę. Mężczyzna na jego widok złożył gazetę i panowie uścisnęli sobie dłonie.

Na rogu był postój dorożek. Konne pojazdy stały w szeregu wzdłuż ulicy, czekając na pasażerów. Ojciec wykonał gest, który przypominał pozdrowienie, a dorożkarz kiwnął głową i natychmiast zeskoczył z kozła, aby otworzyć nam drzwi. Był bez marynarki, a pod tłustymi wąsami trzymał między zębami grube jak wąż cygaro. Zapach tytoniu był ostry, a ja przywykłam do słodkiego i korzennego. Mimo woli zakasłałam, gdy pomagał mi wejść do środka.

- Palił pan kiedyś fajkę? - zapytał ojciec. - Jest dużo zdrowsza.

Skuliłam się w powozie, starając się nie oddychać. Dlaczego ojciec usiłuje sprzedawać fajki każdemu, kogo spotyka?

Dorożkarz zaśmiał się ochryple, odchrząkując flegmę.

- Niech się pan o mnie nie martwi. Żona wykończy mnie wcześniej niż to.

Otulił mnie ciepłym pledem, trochę za mocno.

Jechaliśmy ruchliwą ulicą, mijając ciągi sklepów spożywczych, kwaciarnie, kościoły i piekarnie. W pewnym miejscu w zwartej zabudowie pojawiła się dziura; między dwoma ponurymi kamiennymi budynkami mieszkalnymi wznoszono nowy teatr. Robotnicy stali w błotnistym dole i

przesuwali kamienne bloki. Dalej mijaliśmy całe kwartały szeregowych domów, z oknami obrośniętymi bluszczem, geranium i niecierpkim.

Dom! Nagle zniknął wszelki urok, jaki mógłby mieć ten poranek. Pracownia jawiła mi się jako miejsce tajemnicze, egzotyczne, wypełnione ludźmi o rozognionych oczach. W domu meble były osłonięte koronkowymi ochraniaczami.

Ojciec wyciągnął fajkę i skórzany woreczek, w którym trzymał tytoń. Być może miał nadzieję, że napełniając fajkę, a potem paląc ją, skusi dorożkarza aromatem. Byłam do niego odwrócona plecami, ale wiedziałam, że za chwilę odezwie się do mnie.

- Zdajesz sobie sprawę, Emilie - powiedział - że to dla ciebie wielki zaszczyt.

Chciałam powiedzieć, że już kiedyś jechałam dorożką, gdy Pauline zachorowała na szkarlatynę, ale powstrzymałam się.

- Tak, ojcie - przytaknęłam zamiast tego.

- I dla naszej rodziny - kontynuował. - Ufam, że nie zrobisz niczego, co mogłoby nadszarpnąć naszą dobrą opinię o tobie.

- Nie, ojcie.

- Oczekuję, że na zakończenie lekcji pan Klimt zda mi pełną relację o twoich poczynaniach.

Kiwnął głową, co znaczyło, że wykład był skończony. Mogłam już odwrócić się do okna. Minęliśmy stację kolejową i krajobraz zaczął się zmieniać. Mężczyzna z gołą głową, w czerwonej kamizelce, sprzedawał coś, co wyglądało jak małe kawałki papieru.

- Co ten mężczyzna robi? - zapytałam ojca. Wyjaśnił mi, że to oszust. Sprzedaje przepowiednie, najtańsze - wcześniej wydrukowane na kartkach papieru, i nieco droższe - spiswane po rozmowie z naiwnym klientem. Kwiaty u

kwiaciarki były wątłe i lekko zbrązowiałe, jak przypalony tost. Mężczyzna, który ostrzył noże, pchał swój wózek. Trzech pomarszczonych staruszków z białymi brodami czekało przed piekarnią na stary, wczorajszy chleb.

- Byłeś kiedyś w domu Klimtów? - zapytałam, zapominając o formie grzecznościowej, ale ojciec nie zauważył tego.

- Oczywiście - powiedział. Także wyglądał na trochę zdenerwowanego. - Teraz chłopcy pracują i powodzi im się całkiem nieźle. Mają bardzo wygodny dom.

Dom był niewielki, porośnięty dzikim winem, które właśnie zaczęło przybierać intensywny czerwony kolor. Gęste podziały okiennych skrzydeł nadawały elewacji nieco średniowieczny wygląd. Z jednej strony ich dom sąsiedował z fabryczką konserw, z drugiej z ceglana czynszówką. W okolicy czuć było zapach ryb i siarki z pobliskiej huty.

Ojciec otworzył furtkę i przytrzymał ją, abym mogła wejść do środka. Widziałam, że przez chwilę wahał się, czy powinien już iść, czy zostać. W końcu poszedł za mną aż na schody i nacisnął dzwonek. Następnie wyjął z kieszeni zegarek i spojrzał na tarczę z kości słoniowej.

- Jest kwadrans po dziewiątej - powiedział. - Wrócę po ciebie o jedenastej.

Wręczył mi zegarek, który włożyłam do kieszeni płaszcza.

- Oczekuję, że będziesz gotowa.

Nie zapytałam go, w jaki sposób uda mu się przyjść punktualnie, skoro nie miał zegarka. Nigdy się nie spóźniał.

Drzwi otworzyły się, a ja ścisnęłam w dłoni zegarek, aby dodać sobie odwagi. Stała w nich pani Klimt. Była drobną kobietą o pomarszczonej, opalonej twarzy i zniszczonych dłoniach, jakie mają ludzie przez wiele lat pracujący na świeżym powietrzu. Siwe włosy upięła niedbale z tyłu głowy,

w pasie przewiązana była fartuchem pokrytym starymi, niedającymi się sprać plamami.

- Wejdz - powiedziała ponuro.

Bacznym spojrzeniem otaksowała moje porządnie uczesane włosy i flauszowy szaro - purpurowy płaszcz z aksamitnym śliwkowym kołnierzem, ozdobionym lamówką. Zdjęła go ze mnie i trzymała w ramionach jak niemowlę. Zauważyłam nawet, że delikatnie go pogłaskała.

Zaprowadziła mnie do jadalni i posadziła przy stole. Potem oddaliła się gdzieś z moim płaszczem. Bałam się, że go schowa i zobaczę go dopiero na jakiejś córce chłopca z Naschmarkt, ale musiałam go jej oddać. Później zrozumiałam, że podziwiała mój elegancki płaszcz, tak jak inżynier zachwyca się wspaniałymi planami architektonicznymi wykonanymi przez kogoś innego. Wiedziała, ile pracy włożono w jego uszycie, i doceniała to. Ja wiedziałam wtedy tylko tyle, że był drogi.

Zastanawiałam się, co robić. Przyniosłam ze sobą blok rysunkowy i pudełko ołówków. Papier był w kiepskim gatunku. Widać na nim było wprasowane drewniane wiórki. Dotknęłam czubkiem ołówka papieru, ale nie miałam pomysłu, co rysować. Do tego był potrzebny nauczyciel.

Pani Klimt wróciła z fartuchem, który wyglądał na porządnie zabrudzony.

- Włóż to na sukienkę - powiedziała. - Nie powinnaś pobrudzić tej wełny z merynosów, jest w bardzo dobrym gatunku.

Włożyłam fartuch, chociaż obawiałam się, że mógł ubrudzić moją sukienkę bardziej niż rysowanie. Pachniał trochę farbą, co było nawet przyjemne. Pani Klimt usiadła obok mnie.

- Piękny mamy dziś dzień - powiedziałam grzecznie.

Nie odpowiedziała, wpatrywała się we mnie w milczeniu. Czy powinnam próbować prowadzić rozmowę, czy raczej nie? Uśmiechnęłam się do niej, ale ona nie odwzajemniła się. Zauważyłam nawet, że zmarszczki między jej brwiami pogłębiły się jeszcze, jakby przyglądała się czemuś, co znajdowało się bardzo daleko.

Pokój, w którym siedziałyśmy, zupełnie nie wyglądał na miejsce, gdzie mogłaby się odbywać lekcja rysunku. Była to zwykła jadalnia, taka jak nasza, tylko podniszczona. Dywan nosił widoczne ślady zużycia, miejscami był przetarty aż do osnowy, a przybrudzone sadzą okna zabarwiały wpadające światło słoneczne na kolor sepii. Stół był dość prymitywnym meblem, a niektóre krzesła miały kulawe nogi, także to, na którym siedziałam. Jednak czerwona bawełniana serweta leżąca na stole wyszywana była w żółte kwiaty, a szafa na porcelanę pękała w szwach.

Klimt przyszedł po kilku minutach, niosąc znaną mi już skrzynkę na narzędzia. Prawie na mnie nie spojrzał, usiadł przy stole i zaczął wyciągać kawałki kredy, ogryzła ołówków, gumkę, która wyglądała jak kula zaschniętego kleju, kilka odbarwionych gąbek i szmatki sztywne od farby. Wszystko to wydawało mi się tajemnicze jak egipskie wykopaliska.

- To nam potrzebne - powiedział z wawym głosem, gdy wyłowił z samego dna pojemnika odpowiedni kawałek węgla.

- Przyniosłam ołówki - powiedziałam, pokazując mu nowiutkie pudełko.

- Jeszcze za wcześnie na ołówki - poinformował mnie. - Najpierw węgiel, dopiero potem ołówki.

Niechętnie wyciągnęłam rękę po grafitowy sztyft. Nie miałam pojęcia, dlaczego kawałek spalonego, sprasowanego drewna wielkości mojego małego palca był lepszym narzędziem niż ołówek, ale musiałam słuchać Klimta. Kiedy jego dłoń dotknęła mojej, zauważyłam wyraźne zgrubienia na

wewnętrznej stronie jego serdecznego palca i kciuka. Czy ja też będę takie miała? Dłonie pańienek powinny być gładkie i białe. Co sobota moczyłyśmy je w maślanie i przecierałyśmy sokiem z cytryny, aby wybielić piegi.

- Nie martw się - powiedział - węgiel jest wystarczająco twardy, sama zobaczysz.

Bez słowa opuściłam wzrok na kartkę papieru. Klimt usiadł naprzeciwko mnie.

- No więc, o co chodzi? - zapytał. - Tylko mi nie mów, że wszystko w porządku. Masz zupełnie przezroczystą twarz.

Zabrzmiało to okropnie i natychmiast się zaczerwieniłam, a kiedy usiłowałam jakoś nad sobą zapanować, zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

- Chciałabym, żebyśmy poszli do pracowni - wydusiłam z siebie. - To miejsce nie wygląda zbyt artystycznie.

Klimt roześmiał się i przechylił się na krześle do tyłu.

- Zapewniam cię, że w pracowni nie ma nic magicznego. Ale jeśli chcesz, zabiorę cię tam kiedyś, pod warunkiem jednak, że chociaż na chwilę przestaniesz marszczyć brwi.

- Pracownia nie jest odpowiednim miejscem dla pańienki - powiedziała pani Klimt, patrząc na mnie surowo.

- Ale czy nie zabrudzimy tej ładnej jadalni? - zapytałam grzecznie.

- Interesuje mnie tylko to, abyś ty wróciła do mamy czysta - powiedziała pani Klimt. - Nie chciałabym, żeby miała do mnie pretensję.

Zastanawiałam się, czy znała moją mamę. Czy wiedziała, że czasami mama na kilka tygodni potrafiła zapomnieć, kim jesteśmy?

Przyjrzałam się kawałkowi węgla, który trzymałam w ręku. Był długi, cienki i niewiarygodnie lekki. Zostawiał na palcach szary ślad.

- Jesteś gotowa? - zapytał Klimt.

- Ale gdzie jest sztaluga? - zaniepokoiłam się nagle.

- Dzisiaj będziemy pracować przy stole - powiedział. Odrzucił na bok obrus. Pani Klimt złożyła go w kostkę i położyła sobie na kolanach. Klimt przymocował karton do blatu stołu i wyjął ze skrzynki cegłę. Nie miałam pojęcia, do czego była mu potrzebna. Do obciążenia kartonu, aby nie odfrunął? Do ostrzenia kredy? Położył cegłę przede mną i stanął obok ze splecionymi na piersi rękoma. Czekałam.

- W porządku - powiedział.

Patrzył na mnie wyczekująco. W porannym słońcu jego oczy były bardzo niebieskie i lśniące, zbyt lśniące, aby w nie patrzeć. Wlepiłam więc wzrok w jego brodę.

- Co w porządku?

- Rysuj.

- Nie rozumiem - przyznałam. - Co mam rysować?

Wskazał głową cegłę.

- Mam rysować cegłę? - spytałam z niedowierzaniem.

- Właśnie - potwierdził. - Narysuj cegłę.

- Ale to tylko... cegła. Czuję, że robię z siebie idiotkę.

- A czym jest cegła? - zapytał.

Zwracał się do mnie jak do dziecka. Czyżby sobie żartował? Ale on najwyraźniej czekał.

- No, nie wiem... gliną wypaloną w piecu...

- Kamionka też jest gliną wypaloną w piecu, ale nie pomyliłabyś dzbanka z cegłą, prawda?

Nie tak powinna wyglądać lekcja rysunku. Powinnam szkicować misę z owocami lub kompozycję z butelek, tak jak robiliśmy to z nauczycielem plastyki w szkole. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Nie, proszę pana - wydukałam. Roześmiał się.

- Wiem... myślisz, że jestem nienormalny - powiedział - ale tak wyglądała moja pierwsza lekcja w szkole artystycznej,

kiedy miałem jedenaście lat, i taka też będzie twoja. Postaraj się dać mi lepszą odpowiedź. To nie boli.

Wzięłam głęboki oddech.

- Cegła to prostopadłościan z gliny, który wypala się w piecu i używa jako materiał budowlany.

- Doskonale. A teraz zapomnij wszystko, o czym rozmawialiśmy, i narysuj, co widzisz.

Wzięłam do ręki węgiel i narysowałam prostokąt. Nawet nie wypełniłam jego konturów węglem. Zajęło mi to dziesięć sekund. Odłożyłam węgiel i splotłam ręce na kolanach.

- Skończyłaś? - zapytał. Pokiwałam głową.

- Ciekawe - zamyślił się.

Wziął do ręki papier i przyjrzał mu się z bliska.

- Czy naprawdę to właśnie widzisz? Czemu udawał głupiego?

- Tak, proszę pana - powiedziałam. - Właśnie to widzę.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Następne zadanie. Masz przyjrzeć się tej cegle przez dwadzieścia minut i narysować ją jeszcze raz.

- Mam się jej przyglądać dwadzieścia minut?

- Będę kontrolował czas. Zaczynaj.

Myślałam, że umrę z nudów. Cegła leżała tuż przede mną, solidna i nudna. Patrzyłam na nią. Pani Klimt cały czas siedziała obok mnie. Nie okazywała najmniejszego zdziwienia ani rozbawienia tym, co się działo. Wzrok miała skierowany w stronę kuchni, jakby myślała o cieście, które wsadziła do piekarnika. I pewnie tak było. Obrus ciągle leżał na jej kolanach. Zauważyłam, że niektóre haftowane kwiaty miały powyciągane nitki. Płatki wielu z nich obwiedzione były czarnym konturem z muliny. Mój wzrok przykuła też półka wisząca na przeciwległej ścianie. Stał na niej bluszcz w ceramicznej doniczce, który z wolna usychał. Niżej ustawione były dwie porcelanowe figurki pasterzy. Zwróceni do siebie

twarzami wyglądali tak, jakby rywalizowali o samotną porcelanową owieczkę. Klimt siedział naprzeciwko mnie, coś tam pogwizdywał z nudów i rysował. Spojrzałam na jego kartkę. Rysował cegłę.

Poczuł, że go obserwuję.

- Masz jeszcze dziesięć minut - powiedział.

- Dlaczego pan rysuje cegłę? - zdziwiłam się. - Przecież pan już jest artystą.

- Ponieważ artysta cały czas musi się uczyć przez obserwację, nawet najbardziej pospolitych przedmiotów.

Jego odpowiedź zawstydziła mnie i dopiero wtedy zaczęłam się przyglądać przedmiotowi, który miałam narysować.

Cegła była czerwona. Czerwona, ale z domieszką ciemnego koloru pomarańczowego, jak duszone pomidory. W niektórych miejscach wypalona na czarno, w innych zwęglona na popiół. Jej powierzchnia była chropowata. Na krawędziach tu i ówdzie zauważyłam ubytki. Wzięłam ją do ręki. Na stół posypało się trochę ceglanych okruchów. Spojrzałam na Klimta, aby sprawdzić, czy akceptuje to, co robię, ale nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Pochylony nad rysunkiem, wycierał coś gumką.

Narożniki cegły wcale nie były równe, jak mi się wcześniej wydawało. Rwały się, jak mój głos, gdy próbowałam śpiewać. Jak narysować trójwymiarowy przedmiot? Jak zaznaczyć fakturę?

Spojrzałam na zegarek. Zostały mi trzy minuty.

- To za trudne - przyznałam.

W oczach miałam łzy bezsilności. Ukradkiem starałam się je wytrzeć wierzchem dłoni. Klimt spojrzał na mnie. Zamknął szkicownik i odłożył go na podłogę.

- Teraz jesteś gotowa do nauki - powiedział. Pokazał mi swój rysunek. To, co na nim zobaczyłam, przypominało kawał

sera pleśniowego, ale nie miałam wątpliwości, że to ta sama cegła, która leżała na stole. Szczegóły oddane były z większą precyzją niż linie papilarne.

- Nie umiem tak rysować - powiedziałam.

Gardło miałam ściśnięte od napływających łez i starałam się odkaszlnąć.

- Oczywiście, że nie umiesz - pokiwał głową. - Przynajmniej nie dzisiaj. Ale jeżeli nauczysz się obserwować, będziesz umiała.

Pod koniec lekcji w moim bloku rysunkowym na kilku kartkach pojawiło się coś, co miało być cegłą, ale wyglądało raczej na jakieś sine plamy. Kiedy minął czas przeznaczony na lekcję, Klimt schował węgiel do pudełka i dokładnie je zamknął. Zebrał ze stołu papiery i zapytał, czy chciałabym je zatrzymać. Pokręciłam głową. Myślałam, że zwinie je w kulę i wrzuci do pieca, ale on pieczołowicie złożył. Weź je, powiedział, za jakiś czas zechcesz je obejrzeć i pośmiejesz się. Nie bardzo mogłam sobie to wyobrazić, ale zgodziłam się. Klimt zaprowadził mnie do umywalki, abym mogła umyć ręce. Spojrzałam na siebie w lustrze i zobaczyłam pod oczami ślady węgla, które zostały, gdy próbowałam wytrzeć łzy. Wyglądałam jak zapłakana wdowa. A on mi o tym nie powiedział.

Ojca spotkałam przed drzwiami.

- Poczekaj na mnie - powiedział. - Chcę porozmawiać z panem Klimtem.

Po raz pierwszy poczułam niepokój. Chociaż bardzo się starałam, rysunki wypadły fatalnie. Byłam przekonana, że Klimt poczuł się mną rozczarowany i już wiedział, że popełnił błąd. Z całą pewnością poinformuje mojego ojca, że nic z tego nie będzie. Ojciec rozgniewa się na mnie. Powie mi, że swoją nieudolnością wprowadziłam go w zakłopotanie.

Wsiadłam do dorożki i czekałam na to, co było nieuniknione. Schowałam się pod kocem, ale mimo to cała się trzęsłam. Słyszałam, jak ojciec, idąc do dorożki, pogwizduje walca, co było zupełnie do niego niepodobne. Wcale nie wyglądał na rozgniewanego, ale pomyślałam, że udaje zadowolonego ze względu na dorożkarza.

- Masz ochotę w powrotnej drodze wstąpić do Domla? Czy oni przypadkiem nie podają tam czekoladowego tortu z orzechami, takiego jak lubisz?

Co mu Klimt powiedział? Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Po powrocie do domu pokazałam rysunki Helene.

- Co to niby ma być? - zapytała. Wyjaśniłam jej.

- Nic dziwnego, że Klimt cię wybrał - powiedziała. - Zarobi na nas fortunę, zanim nauczysz się rysować. - Nagle jej twarz pojaśniała. - Zrobiłaś to specjalnie, prawda? Nie będziesz musiała już tam chodzić? - Zobaczyła moją minę. - Och.

W następną sobotę znowu pojechałam z ojcem do domu Klimtów. A także w następną i jeszcze następną. Za każdym razem siadałam przy stole nakrytym czerwonym obrusem. Na drugiej lekcji ćwiczyłam rysowanie kul, używając płasko ustawionego węgla, co pozwalało mi zaznaczyć ich bryłowatość. Rysowałam z zamkniętymi oczami. Rysowałam, nie patrząc na papier. Rysowałam zapętłonymi liniami, zawijasami, jedną ciągłą kreską, rysowałam ostro przecinające się linie. Rysowałam rzeczy, o których nigdy nie pomyślałabym, że mogły być tematami do rysowania: otwartą książkę leżącą na stole, zdechłego gołębia. Pod koniec każdej lekcji pani Klimt przynosiła rodzinne babeczki w wiklinowym koszyczku, kawę dla syna i gorące mleko dla mnie. Dyskretnie starałam się wydłubywać rodzinne ciasteczki z ciastek.

Klimt na ogół okazywał mi cierpliwość i był w dobrym humorze, chociaż kilka razy udało mi się wyprowadzić go z równowagi. Już na drugiej lekcji odmówiłam włożenia fartucha. Nie chciałam brzydko wyglądać w czasie rysowania, tak im powiedziałam. Klimt oświadczył mi wówczas, że nikt nie zwraca uwagi na to, jak wyglądam. Czy Akademia Sztuk Pięknych odrzuciła rysunki Ingres'a, ponieważ miał potargane włosy? Czy malarstwo Toulouse - Lautreca miało mniejszą wartość z powodu jego kalectwa? Byłam jednak nieprzejednana. Po powrocie do domu strzepywałam z sukienki węglowy pył, czyściłam pantofelki i płaszcz, ale moje siostry i tak nazywały mnie pomywaczką.

Twierdził też, że źle trzymam węgiel. To nie jest garść monet, to jedwabny motek, który należy rozwijać. Ściskany zbyt mocno, może się poplątać lub porwać. Próbowałam mu wytłumaczyć, że gdy trzymam węgiel zbyt delikatnie, boję się, że mi wypadnie. Klimt na to, że jak będę go ścisnęła za mocno, może się złamać, i że powinnam mu zaufać. Jak mogę zaufać węglowemu sztyftowi, pomyślałam, kiedy wychodzą mi spod niego takie okropne, brzydkie rysunki? Chyba lepiej rysowałam, gdy byłam dzieckiem i pozwalano mi mazać na starych papierach pakowych. Nie powiedziałam jednak tego głośno i starałam się postępować tak, jak mnie prosił.

Klimt najbardziej chyba narzekał na moją niecierpliwość i uważał, że zbyt mało czasu poświęcam na obserwację. Uważał, że chcę być dobra w rysowaniu, ale nie aż tak bardzo, aby w pełni poświęcić się wyczerpującym ćwiczeniom. To była prawda. Nigdy nie grzeszyłam cierpliwością. A gdy ma się dwanaście lat, nie jest łatwo dłużej się czemuś przyglądać, może wyjąwszy samą siebie.

Pewnej soboty Klimt czekał na mnie przed drzwiami swojego domu i na powitanie powiedział, że jedziemy do Volksgarten.

Pół godziny jechaliśmy z ojcem dorożką, aby dotrzeć do jego domu. A teraz przez następne pół godziny będziemy wracać do centrum miasta. Czemu nie umówił się tam z nami w zeszłym tygodniu? I jak się tam dostaniemy?

Pociągiem, powiedział Klimt. Chciałam też wiedzieć, po co mamy jechać do Volksgarten. Czy będę rysowała kwiaty, ludzi, a może świątynię? Powiedział, że blok rysunkowy nie będzie mi potrzebny. Przez godzinę nie będę robić nic, będę tylko patrzeć. Przypominało to trochę wyglądanie przez okno i stanowiło przyjemną odmianę w nużących ćwiczeniach.

W pociągu było gwarno. Staliśmy w milczeniu na peronie, czekając, aż doczepią wagony i pociąg będzie gotowy do drogi. Potem koncentrowałam się głównie na tym, aby utrzymać równowagę i przypadkiem nie potrącić Klimta.

Wysiedliśmy na Karlsplatz. Nigdy dotąd nie byłam sama z Klimtem i nie miałam pojęcia, o czym z nim rozmawiać po drodze. Czekałam więc i przyglądałam się swojej spódnicy, która wydymała się na wietrze jak morskie bałwany. Kolorowe liście pod nogami były rozmiękle jak bułka zamoczona w mleku. Tyle pięknych jesiennych sobót spędziliśmy, siedząc w domu, dlaczego więc akurat dzisiaj postanowił, że pójdziemy do parku? Czy był zniechęcony moimi słabymi postępami? Miał już dość lekcji ze mną?

- To jest Kunstlerhaus - odezwał się w końcu Klimt, wskazując okazały gmach nieopodal. - Tutaj spotykają się artyści, wywieszają na ścianie swoje oferty, odbywają się wykłady i wystawy.

- Ładny - powiedziałam uprzejmie.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytał i zatrzymał się. - Czy po prostu mówisz to, co twoim zdaniem chciałbym usłyszeć?

Położył mi ręce na ramionach i odwrócił twarzą w stronę budynku. Poczulałam się jak w pułapce.

- No dobrze, wcale nie jest ładny - przyznałam. - Dolna partia jest za delikatna w stosunku do górnej lub góra jest zbyt ciężka w stosunku do podstawy, a marmurowe ozdoby wydają mi się prostackie.

Roześmiał się.

- Moja dziewczynka. Zapamiętaj, że mówiąc prawdę, nigdy mnie nie urazisz.

- A dlaczego budynek, który należy do artystów, jest taki brzydki? - zapytałam.

- To wina komisji - powiedział. - Członkowie komisji starają się wszystkich zadowolić i zwykle kończy się to wyborem najgorszego z możliwych rozwiązań. W Kunstlerhaus działa mnóstwo komisji. Sam jestem w jednej z nich, w Komisji do spraw Wystaw Objazdowych. Staramy się sprowadzać tutaj prace zagranicznych artystów, takich jak Pissarro, Turner czy Burne - Jones, chcemy, żeby ludzie je poznali. Komisja Finansowa chce jednak doprowadzić do rozwiązania naszej komisji pod pretekstem, że wydajemy za dużo pieniędzy, i wcielić ją do Głównej Komisji do spraw Wystaw. Tego mniej więcej dotyczą nasze ostatnie spory. Artyści są bardzo rozpolitykowani.

- Uważa pan więc, że byłoby lepiej, gdyby Kunstlerhaus działał jak monarchia? - zapytałam zuchwale.

Nie wiedziałam, czemu to powiedziałam. Chyba chciałam się przed nim pochwalić; ostatnio uczyłyśmy się w szkole o systemach politycznych.

- Tak, ze mną jako królem - powiedział buńczucznie. - Czy jest w tym coś złego?

Wzruszyłam ramionami, bo tak naprawdę niewiele mnie obchodziło, kto rządził w Kunstlerhaus. Na chwilę zatrzymałam się przed witryną cukierni, obok której właśnie przechodziliśmy, zafascynowana widokiem pysznego ciasta z

karmelem ułożonego na szczycie kryształowej tacy z ciastkami.

- Lubisz słodczy? - zapytał Klimt, obserwując moją reakcję. - Zobaczymy, czy moja mama nie mogłaby następnym razem upiec czegoś z czekoladą.

- I z orzechami - powiedziałam i natychmiast poczułam się winna. - Oczywiście gdyby to nie było zbyt drogie - dodałam.

- Jesteś socjalistką? - zapytał, wracając do tematu polityki. - Co powiedziałaś na to twój ojciec?

- Ja jestem nikim - powiedziałam. - Tylko czasami wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby każdy mógł wyrazić swoją opinię, a nie jedna osoba mówiła wszystkim, co mają robić.

- Uważasz, że należałoby dać się każdemu wypowiedzieć, ale przecież większość ludzi nie ma nic mądrego do powiedzenia. Zwłaszcza jeśli chodzi o sztukę.

Pomyślałam o moim ojcu oraz o dorożkarzu ze śmierzącym cygarem i uznałam, że chyba ma rację.

Dotarliśmy do Volksgarten i Klimt zaprowadził mnie do ławki, którą przetarł wyciągniętą z kieszeni, zaplamioną farbą chusteczką. Mała ławka była sucha, ale i tak czułam przenikające mnie do kości zimno. Miałam ochotę przytulić się do Klimta jak dziecko, aby się trochę ogrzać, ale nie odważyłam się. Siedziałam sztywno, aby powstrzymać drżenie. Widziałam parę z własnego oddechu.

Powietrze było gęste i szare od zimnego deszczu, który lada chwila mógł się zamienić w lód. Po twarzach przechodniów widać było, że starają się dzielnie znosić dyskomfort, jaki sprawiał przejmujący chłód, myśleli zapewne o przytulnej kawiarni lub kominku, czekających ich u celu. Z pewnością mijających nas z zaciśniętymi zębami ludzi nie byłoby tu, gdyby mieli jakiś wybór. Nie mogłam skoncentrować się na obserwacji. Czułam, że zaczynają mi

marznąć stopy. Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Klimt nie odzywał się. Spojrzałam na niego i zauważyłam, że ma taki sam wyraz twarzy jak jego matka, kiedy siedziała przy kuchennym stole.

- Czy torturuje pan w ten sposób wszystkich swoich uczniów? - zapytałam go po trzydziestu minutach.

Był zaskoczony, jakby w ogóle zapomniał, że tam jestem. Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie mam żadnych innych uczniów - powiedział.

- Myślałam... - zastanawiałam się nad jakimś dyplomatycznym wyjaśnieniem.

- Że muszę bardzo potrzebować pieniędzy, skoro daję ci lekcje? - Wydawał się rozbawiony. - Zamówienie na malowidła ścienne do nowego teatru przyniosło nam mnóstwo pieniędzy. Chciałem nawet kupić mamie nowy dom, ale jej podoba się stary. Przyzwyczaiła się do niego. Mój ojciec przez dwadzieścia lat kazał się jej przeprowadzać kilka razy do roku i zawsze obiecywał, że kolejny dom będzie lepszy, chociaż zwykle okazywał się gorszy. Teraz oświadczyła mi, że już nigdy w życiu nigdzie się nie przeprowadzi.

- A pan? Przecież pan potrzebuje wielu rzeczy - zauważyłam, mając na myśli jego byle jaki garnitur.

- Potrzebuję tylko farb - powiedział. - Nic innego nie jest mi potrzebne.

- To dlaczego przyjął mnie pan na uczennicę?

- Każdy chce mieć jakiegoś protegowanego.

- Po co komu taki protegowany? - zaprotestowałam. Zaskoczenie mnie ośmieliło. - Jestem okropna.

- Nie jesteś taka okropna, jak ci się wydaje.

To było tak bliskie pochwały, której jeszcze nigdy od niego nie usłyszałam, że nie wiedziałam, jak się zachować. Szybko rozejrzałam się dookoła, poszukując czegoś atrakcyjnego dla wzroku, abym mogła odwrócić jego uwagę.

Zobaczyłam kobietę o rudych włosach, która stała oparta o ciemny, śliski pień drzewa. Udało mi się sprowokować wykład na temat kontrastu. Klimt mówił, a ja rozmyślałam o tej kobiecie. Była niewiele starsza ode mnie, ale nie nosiła kapelusza, co odebrałam jako okropne faux pas, a także głupotę, zważywszy na pogodę. Miała bladą twarz i wyglądała na zmartwioną. Zauważyłam, że jej ręce cały czas się poruszają, poprawiała włosy albo wygładzała płaszcz. Na kogo mogła czekać?

Po upływie godziny, w drodze powrotnej na stację kolejową, Klimt powiedział mi, że za tydzień w Kunstlerhaus odbędzie się wystawa malowideł do teatru, które zrobili z bratem. Powinnam tam przyjść, dodał, i przyprowadzić rodziców oraz siostry. Po wernisażu przewidziane było przyjęcie. Dobrze jest, gdy uczennica ogląda prace swojego nauczyciela. Dopiero wtedy będziesz w stanie stwierdzić, czy moja twórczość jest coś warta, dodał. Obiecałam, że postaram się przyjść.

Opowiedziałam o tym Helene. Postanowiłyśmy nie mówić nic rodzicom, którzy z całą pewnością nie pozwoliliby nam tam pójść. Lepiej byłoby znaleźć wymówkę i wybrać się na wystawę tylko we dwie. Miejsce było na tyle blisko naszego domu, że mogłybyśmy wrócić, zanim ktokolwiek zauważyłby naszą nieobecność. W dniu wernisażu powiedziałyśmy, że idziemy do kawiarni na bitą śmietanę. Szczęśliwie Pauline nie miała ochoty do nas dołączyć. Uznała, że chcemy pewnie popatrzeć na nowego, przystojnego kelnera, który zupełnie jej nie interesował. Wolała zostać w domu i poczytać książkę.

Nasz plan wydawał się znakomity do chwili, gdy weszłyśmy na schody budynku, o którego brzydocie wypowiadałam się, zmuszona przez Klimta. Brzydki czy nie, bardzo onieśmiał dwie dziewczynki. Wszyscy, których tam spotkałyśmy, byli dużo starsi i wydawali się ogromnie pewni

siebie. Wyglądali tak, jakby dobrze wiedzieli, dokąd idą. Przez dłuższy czas przyglądałyśmy się gościom, którzy otwierali brązowe drzwi i znikali w środku. Dopiero potem wzięłyśmy głęboki oddech i odważyłyśmy się za nimi wślizgnąć.

Posadzka w sali rotundowej miała formę kolorowej mozaiki, a sklepienie pokrywały freski z aniołami. Przy długim stole tłoczyli się artyści i nalewali sobie do tanich kieliszków wino, które musowało w otwartych butelkach. Było tam wiele osób, o których opowiadał Klimt, a także takich, które mu pozowały, wśród nich Katherina Schratt, a nawet jedna księżniczka. Tak przynajmniej mówiła mi później Helene. Mnie interesowały przede wszystkim malowidła Klimtów.

Były to tylko długie zwoje papieru przymocowane do ściany, ale jarzyły się światłem niczym kryształowe żyrandole. Podeszłam bardzo blisko, aby dokładnie przyjrzeć się śladom pędzla. Farba płynęła po papierze jak rzeka i spływała strumieniami. Wydawało mi się, że potrafiłabym wskazać, które partie namalował Gustav. Nie miałam pojęcia, skąd to wiem. Jego malowanie było bardziej swobodne, chociaż bynajmniej nie wydawało się niedbałe, wręcz przeciwnie. Pędzel poruszał się z taką swobodą jak smyczek wirtuoza.

Wszystkie sceny nawiązywały do historii teatru, począwszy od greckiego amfiteatru aż po sztukę graną w Wiedniu w ostatnim sezonie. Tego akurat jeszcze wówczas nie wiedziałam, ponieważ utknęłam jak zahipnotyzowana przed sceną przedstawiającą elżbietańskie wystawienie Romea i Julii, której bohaterowie odziani byli w aksamitne stroje w kolorach pawich błękitów i leśnych zieleni. Wydawało mi się nawet, że rozpoznałam Merkucja.

Stałam tam tak długo, aż zauważył mnie Klimt. Musiał mnie obserwować od pewnego czasu, bo zapytał, czy dobrze

się czuję. Potem przedstawił mnie i Helene swojego brata Ernsta. Moja siostra uprzejmie powiedziała Ernstowi, że malowidła bardzo jej się podobają. Ja natomiast nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

- Nie podobają ci się? - zapytał zmartwiony Klimt.

Helene powiedziała mu ze śmiechem, że ja zawsze reaguję tępym zachwytem na wszystko, co robi na mnie wielkie wrażenie. Dodała, że tak samo było, gdy po raz pierwszy oglądałam prace Lippizanera, co świadczy, iż projekty Klimta podobają mi się co najmniej tak samo, o ile nie bardziej niż tańczące białe konie.

Czy musiała aż tak mnie zdradzić? Klimt przyniósł mi wino. Nie powiedziałam, że nie wolno mi tego pić.

- A zatem podobają ci się? - dopytywał się. Zdobyłam się zaledwie na kiwnięcie głową. Moje słownictwo uczennicy wydawało się absolutnie niewystarczające, aby opisać wrażenia, a poza tym Klimt nagle zaczął mnie onieśmielać. Ciągłe podchodzili do nas jacyś ludzie i ściskali jego dłoń. Na mnie nawet nie patrzyli i wtedy zdałam sobie sprawę, jak niewiele muszę znaczyć w jego życiu. Uważałam, że na własnym wernisażu powinien raczej zostawić mnie i zająć się rozmowami z ważnymi ludźmi, a tylko dobre maniery każą mu poświęcać mi swój czas.

- Gdzie jest Helene? - zapytałam, aby go uwolnić. - Pójdę jej poszukać.

- To już duża panna - powiedział Klimt. - Sama da sobie radę. Chodź, pokażę ci resztę.

Obeszliśmy salę wkoło, a on pokazywał mi różne malowidła i objaśniał, kim są przedstawione na nich postacie. Czasami dodawał szeptem jakieś ploteczki, ale tak, aby nikt inny nie słyszał, i tłumaczył, dlaczego pewne rzeczy zostały namalowane w taki, a nie w inny sposób. Początkowo

naprawdę zastanawiałam się, gdzie podziła się Helene, ale już po chwili przestałam się za nią rozglądać.

- Podoba ci się? - pytał ciągle. - Na pewno?

Chciał wiedzieć, dlaczego podoba mi się jego malarstwo. Kiedy powiedziałam, że wydaje mi się piękne, zmarszczył brwi. To nie była właściwa odpowiedź. Próbowałam mu też wytłumaczyć, że podoba mi się, jak pracuje pędzlem, ale skrzywił się i powiedział, iż każdy artysta wart swojej palety to potrafi. Nie wiedziałam, co mogłabym jeszcze dodać.

- Źle - powiedział. - Klapa.

Nie mogłam zrozumieć, czemu nagle stracił humor. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Miałam wrażenie, że to przyjęcie, które powinno być ukoronowaniem całego procesu twórczego, wcale nie sprawiało mu satysfakcji. Nie potrafiłam go przekonać, że prace są naprawdę dobre.

Gdy oglądaliśmy część poświęconą Grecji, zauważyłam, że w naszą stronę zmierza jakiś przysadzisty blondyn.

- To Moll - powiedział Klimt. - Nie mam ochoty z nim teraz rozmawiać.

Poprowadził mnie w drugi koniec sali. Chyba chciał się schować za kotarami, ale Moll dopadł nas, zanim Klimt zdążył się ukryć.

Klimt opowiadał mi kiedyś o Mollu. Zapamiętałam, że ma silną osobowość i potrafi organizować różne rzeczy, dzięki czemu jest cenionym w towarzystwie kompanem. Wiedziałam, że Klimt lubi go, ale powątpiewa w jego zdolności artystyczne.

Moll klepnął Klimta w plecy, tak że omal go nie przewrócił.

- Wspaniale! - zawołał donośnym basem. - Triumf!

- Oszczędź mi tych bzdur, Moll - zachnął się Klimt. - Możesz tak mówić do dziennikarzy, ale mnie powiedz, co naprawdę myślisz.

- Prześcignąłeś Makarta - powiedział Moll. - Uchwyciłeś wiedeńskiego ducha.

- Wiem - westchnął Klimt. - Na tym właśnie polega problem. To jest nudne i burżuazyjne.

Westchnął z rezygnacją, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądałby sukces, skoro to uznał za klęskę.

- Jesteś przemęczony - powiedział Moll - i oglądałeś te prace tyle razy, że już nie możesz na nie patrzeć. Chodźmy stąd napić się czegoś, to powinno ci pomóc. Poza tym chciałbym z tobą przy okazji o czymś pogadać.

Odchodząc z Mollem, Klimt posłał mi przepaszający uśmiech. Dopiero gdy wmieszali się w tłum, uświadomiłam sobie, że Gustav nie przedstawił mnie Mollowi, a ten ani razu na mnie nie spojrzał.

Odnalazłam Helene, rozmawiała o Schillerze z dwa lata od niej starszą koleżanką szkolną. W drodze do domu powiedziała mi, że Ernst zaproponował jej, aby pozowała do ich następnego projektu, rzymskiego malowidła ściennego do pałacu Esterhazych pod Budapesztem. Przyznała, że miałyby na to ochotę, gdybym ja poszła tam razem z nią. Pozowanie miałyby się odbywać w ich pracowni.

Co innego wymknąć się z domu na wernisaż w publicznym miejscu, a zupełnie co innego pójść do pracowni artysty. To było ogromne ryzyko, obie doskonale o tym wiedziałyśmy. Ale żadna z nas się nie zawahała. Całą noc zastanawiałyśmy się, jak to zrobić, aby rodzice niczego się nie dowiedzieli.

Teraz, kiedy o nim myślałam, to nie jak o Klimcie, ale jak o Gustavie. I myślałam o nim coraz częściej. Było tak, jakbym otworzyła jego piersi i zobaczyła bijące serce, i nie mogłam go już widzieć takim jak przedtem. Mówiłam sobie, że podziwiam go za talent, za to, że jest świetnym nauczycielem, i że może kiedyś zostanie moim przyjacielem. A jeśli czasem

moje myśli biegły tam, gdzie mogłoby znaleźć się coś więcej,
tłumiłam je stanowczo.

Rozdział 5

Kammer nad Attersee 11 listopada 1944

Dzisiaj przyszedł sąsiad Heitzmann z koszykiem pełnym warzyw: czerwonych i słodkich cebul, pasternaku, małych, grubych marchewek o pierzastej naci spływającej niby włosy syren. Jego żona sama wyplotła koszyk z wikliny. Całość wyglądała naprawdę pięknie, jak martwa natura, i omal się nie rozplakałam na ten widok. Heitzmann skłamał, że mają duży zapas jedzenia. Jeśli ich nie przyjmiemy, to się zmarnują. Mieli siedmioro dzieci, a lato nie było zbyt deszczowe, nie miałyśmy jednak serca odmówić.

Znałyśmy Heitzmanna od zawsze. Był kiedyś grubym, czerwonym niemowlakiem, który wyrósł na pucołowatego, rumianego chłopaka dostarczającego nam jaja i mleko z gospodarstwa ojca po drugiej stronie drogi. Teraz był wysokim, ogorzałym mężczyzną, ale nadal łatwo się czerwienił z powodu gorąca i zakłopotania, a także kołysał się w charakterystyczny sposób do przodu i do tyłu na butach nabijanych ćwiekami, co doskonale pamiętałam. Ożenił się z dziewczyną z St. Wolfgang, którą poznał na zabawie dożynkowej. Tak się tu sprawy mają.

Było mu nas żal, wiedziałam o tym. Kiedyś obie z siostrą byłyśmy dla niego wielkimi damami. A niedawno musiałam do niego napisać z prośbą o pomoc i teraz przyjechałam, sama i niedołączna. Z całej rodziny pozostała mi już tylko siostrzenica. Nowoczesne, ekscentryczne życie, jakie prowadziłam w Wiedniu, wydawało się teraz bardzo odległe, a w zaistniałych okolicznościach pieniądze nie miały raczej większej wartości.

Podziękowałyśmy mu serdecznie za warzywa. Poprzedniego wieczoru zjadłyśmy tylko trochę kartofli, które znalazłyśmy w spiżarni, gdzie ich pędy, jak małe zielone węże, rozpełzły się po podłodze. Upiekłyśmy je, ale i tak były

mączyste i gorzkawe. Nawet z herbatnikami i kawą trudno było to nazwać posiłkiem.

Helene zapytała Heitzmanna, czy jego żona nie chciałaby coś zarobić, piekąc dla nas chleb. Chyba czuła wyrzuty sumienia, płacąc komuś za to, co mogłybyśmy zrobić same, ale żadna z nas nie miała sił ani zamięłowania do pieczenia. Przysłuchiwałam się, jak uzgadniają cenę i częstotliwość dostaw. Heitzmann zaproponował, że mógłby przysyłać syna Hermanna co wtorek i co sobotę z bochenkiem chleba żytniego i pszennego.

Po jego wyjściu narzuciłam żakiet i poszłam obejrzeć miejsce, gdzie kiedyś znajdował się nasz ogród. Gdybyśmy miały zostać tu dłużej, powinnyśmy same zacząć sadzić warzywa. Nie mogłyśmy tak bardzo uzależnić się od Heitzmanna; przecież zawsze coś mogło mu się przydarzyć.

Kamienna ścieżka prowadząca z frontowej werandy w głąb podwórka tak zarosła, że ledwo ją było widać. Porosty gęsto rozpościerały się barwną zasłoną nad płytami z kamienia i aż zatrzymałam się na chwilę, aby przyjrzeć się lepiej koralowym kryzom i gwiazdzistym wzorom. Na pniach drzew rosły huby. Nie mogłam sobie przypomnieć, które były jadalne, a które nie. W bibliotece powinien być atlas grzybów, pomógłby mi odświeżyć pamięć.

W naszym ogrodzie rosły róże i zioła: rozmaryn do chleba i lawenda do saszetek. Czasami kogoś z naszej rodziny ogarniał entuzjazm i usiłował zasiać coś bardziej egzotycznego: bawełnę, indygo lub morwy. W planach była nawet kiedyś hodowla jedwabników. W szklarni rosły orchidee i drzewka bonsai. Kiedyś wyrósł nam tam ananas. Ale to wszystko było dawno temu. Teraz zobaczyłam zaledwie jakieś wgłębienie w ziemi porośnięte żółtawą trawą, jak grób w rok po pogrzebie. Wokół krzewiły się bujnie trybule, nawłóć i osty. Kamienna ławeczka stała na swoim miejscu,

zaniedbana i brudna, podobnie jak zegar słoneczny, z wygiętą brązową wskazówką. Minione lato nie należało do słonecznych.

Było cicho, tak właśnie, jak zapamiętałam to miejsce, kiedy przyjeżdżałam tu jako dziewczynka. Później już letnicy z miasta trąbili klaksonami, pędząc po drogach otwartymi samochodami, pokrzykiwali i machali rękami, udając się na piknik lub na wycieczkę łódką; teraz nikt nie miał benzyny i nikomu nie były w głowie wycieczki. Ludzie chodzili piechotą lub jeździli na rowerach. Czasami, turkocząc, przejeżdżała drogą wiejska furmanka albo zaryczała krowa, ale najgłośniejszymi dźwiękami, jakie do mnie docierały, był mój własny oddech i niecierpliwe stukanie palcami o kamienną ławkę.

Wszędzie wokół mnie czaiły się duchy. Nie takie, które zapełniają pisma sensacyjne czy budzą strach w uczniach na nocnych biwakach, ale takie, którymi zwykle dręczymy się i pocieszamy jednocześnie. Gustav siedzi obok mnie na ławce, szkicując węglem moją kibić. Woła mnie spod czarnej płachty, narzuconej na nieporęczny drewniany aparat fotograficzny, którym się wówczas posługiwał. Nie ruszaj się, mówi, chociaż dobrze wie, że się nie ruszam. Moja mama siedzi pod modrzewiem i czyta na głos listy. Pauline smaruje liście róż pieprzową miksturą, a Helene ćwiczy głos. Ojciec zastygł w bezruchu wśród drzew, gdzie obserwuje ptaki i zapisuje coś w swoim oprawionym w czerwoną skórę dzienniku.

Najgorszy ze wszystkich był mój własny duch, który omdlewał z tęsknoty, gdy służyłam za model do szkicowania, pęczniał z dumy, gdy tworzyłam własne projekty, przekomarzał się z matką w kwestii jej akcentu, zbierał ślimaki w ogrodzie, biegł do ojca, aby dać mu całusa, płosząc po drodze ptaki.

Na końcu ogrodu stała szklarnia, którą Gustav wykorzystywał jako pracownię, gdy do nas przyjeżdżał. Niektóre szyby były wybite, a wszystkie matowe od brudu. Może Heitzmann mógłby to wszystko posprzątać. Nie bardzo miałam ochotę wejść do środka. To trochę tak jak ze słoikiem, który znalazło się gdzieś w głębi lodówki. Już nie pamiętasz, co w nim było, ale wiesz, że na pewno nic dobrego. Niemniej musisz tam zajrzeć. Od czekania słoik nie zniknie.

Okrążyłam kilka razy szklarnię, rozcierając w dłoniach nasiona rosnącej wokół budynku trawy przypominającej zboże. Poczulałam przyjemne pieczenie skóry. Drzwi do szklarni były oczywiście wypaczone. Naparłam na nie i weszłam. W środku było wilgotno i ciemno jak w ziemi. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku. Nagle zdrętwiałam z przerażenia.

W końcu pomieszczenia stały trzy osoby. Chudzi, wycieńczeni ludzie: uciekinierzy? Duchy? Wyglądali na zewnątrz, na lasy. Skupieni, nieruchomi, ustawieni w szeregu jak żołnierze. Najwyraźniej mnie nie zauważyli. Zaczęłam się powoli wycofywać, z trudem łapiąc oddech.

Wtedy dotarło do mnie, że to zwykłe sztalugi, wysokie drewniane sztalugi. Serce znowu zaczęło normalnie pracować, a ja roześmiałam się z samej siebie. A przecież uważałam się za osobę odważną.

W różnych kątach szklarni znalazłam legowiska z liści i trawy, które uwiły sobie pewnie wiewiórki i pręgowce. Stał tam też stary stół, należący jeszcze do mojej babci. Najpierw zajmował miejsce w kuchni, potem przeniesiono go na werandę, aż wreszcie, gdy nawet ojciec zauważył, że jest zniszczony, porysowany i nie nadaje się do domu, wylądował w pracowni. Politura popękała i złuszczyła się z blatu, a zniszczenie przyspieszył deszcz przeciekający przez dziury w dachu.

Na podłodze stało kilka emaliowanych wiader, na półce bańki na wodę, grube rękawice, gumowe kalosze w różnych rozmiarach, narzędzia ogrodnicze. Obok stołu leżały dwie skrzyżowane łopaty przypominające kompozycję na tarczy herbowej. Wewnątrz pachniało tak jak zwykle, mieszanką gliny i benzyny, chociaż tej nigdy tu nie trzymaliśmy. Pewnie zapach pochodził od rozpuszczalników do farb.

Na półce obok narzędzi znalazłam torebki z nasionami. Etykiety całkiem już spłowiały. Wysypałam zawartość jednej z nich na dłoń: był to słonecznik lub dynia. Nasiona w drugiej torebce spleśniały i zostały częściowo pogryzione. W następnej torebce znalazłam maleńkie brązowe ziarenka. Nigdy już nic z nich nie wyrosnie, za długo leżały. Mimo to wysypałam ziarenka z powrotem do torebek i włożyłam rękawiczki. Wzięłam łopatę i wyszłam do ogrodu. Jak przyjemnie było wbić ostrze łopaty w gęsto ukorzenioną trawę, wykopać skibę ziemi i przewrócić ją do góry nogami jak naleśnik na patelni. Praca była ciężka i niemal natychmiast poczułam piekący ból w ramionach. Zasapałam się, a policzki mi płonęły.

W ciągu półgodziny wykopałam siedem niewielkich dziur w ziemi. Na szczęście nie musiały być głębokie, nie dla takich nasion jak te, cokolwiek miałyby z nich wyrosnąć. Do każdego otworu włożyłam po kilka ziarenek i zakryłam je ziemią.

Czy powinnam je podlać, czy wystarczy wsadzić? Czy ziemia nie była zbyt wyjałowiona, aby coś z nich wyrosło?

Położyłam się obok świeżo zasadzonych roślin i wdychałam zapach ziemi. Gdyby był tu Gustav, przyniósłby z domu koc i zacząłby mnie szkicować w czasie drzemki. Gdyby tu był, wykopałby za mnie wszystkie te dziury, naprawiłby zegar słoneczny, a potem poszlibyśmy na drugą stronę drogi, aby ukraść trochę jabłek z sadu Heitzmanna.

Gdyby był tu Gustav, zdjęłabym ubranie i ofiarowałabym mu siebie jak melon lub granat na tacy.

Śpiąca dziewczyna, 1889

Maria była siedemnastoletnią praczką i mieszkała w pobliżu pracowni. Mieszkała razem z ojcem w małym domku, którego okna zasłonięte były kawałkami ceraty przybitej do framug, a kryty strzechą dach nie chronił od deszczu. Ze ścian odpadał tynk, brakowało też w nich cegieł. Jej ojciec był alkoholikiem; jedli to, co wyhodowała w ogródku, a za wszystko inne płaciła praniem. Codziennie chodziła do kościoła i starała się trzymać z daleka od mieszkających w okolicy marynarzy i robotników. Do centrum miasta nie było daleko, ale tylko wtedy, gdy miało się pieniądze na dorożkę. Była tam tylko raz, jako dziecko, obejrzeć paradę srebrnego jubileuszu, uroczystość zorganizowaną w celu uczczenia dwudziestej piątej rocznicy ślubu cesarza i cesarzowej. Pamiętała powozy wypełnione kwiatami i wielkich, budzących strach ludzi, którzy popychali ją i o mało nie stratowali. Kiedy myślała o Wiedniu, podziwiała jego zapachy i wspaniałości, a zarazem czuła instynktowny lęk przed zatłoczonymi, pozbawionymi świeżego powietrza przestrzeniami. Pragnęła zostawić swój dom, zostawić ojca, znaleźć pracę w sklepie, słuchać muzyki, ale jednocześnie bała się tego. Była słabą i ufną dziewczyną, zupełnie nieprzygotowaną na spotkanie takiego mężczyzny jak Gustav.

Kiedy się pojawił, Maria klęczała przy balii. Miejsce do prania wygospodarowała sobie na ścieżce między jej domem a posesją na tyłach. Góra jej sukienki była mokra od mydlin wypełniających balię. Mężczyzna stojący przy furtce miał brodę, gołą głowę i długą, powiewającą na wietrze koszulę. Na chwilę ogarnął ją lęk, że przybył posłaniec boży, który zechce jej powierzyć jakąś specjalną misję, a ponieważ Maria była dziewczyną, która starała się nie zwracać na siebie uwagi, przestała pracować, spuściła głowę i zaczęła się gorliwie modlić, aby to nie ona była wybranką. Uczono ją jednak, że kiedy do

kogoś przybywa anioł, należy go słuchać, miała więc nadzieję, iż jeżeli to rzeczywiście jest anioł, zdoła zrobić to, o co ją poprosi.

- Proszę, nie przerywaj prania - odezwał się mężczyzna. - Nie chciałem ci przeszkadzać. Lubię ten dźwięk, brzmi jak gra na cytrze.

- To prawda - powiedziała zdziwiona, że anioł może przemawiać w taki przyjacielski, miły sposób.

- Mogę spróbować? - zapytał mężczyzna i ku jej przerażeniu podszedł i ukląkł obok niej, wziął do ręki tarę i położył ją sobie na kolanach. - Muszę przyznać, że fascynują mnie takie przedmioty. Sama to zrobiłaś?

- Mój ojciec - powiedziała Maria. - Był kiedyś stolarzem. Poczula jakiś chemiczny zapach, który wydzielalo ubranie mężczyzny, i zaczęła się zastanawiać, że może to wcale nie anioł, ale ktoś z domu dla obłąkanych.

- Oto przedmiot doskonały - powiedział mężczyzna, przeciągając palcami po drewnianych żeberkach. - Użyteczny i piękny.

Spojrzał na nią tak, że poczuła się zakłopotana. Uśmiechnął się, widząc jej reakcję.

- Szukam praczki - powiedział. - Mój krawiec powiedział, że może ty byś się zgodziła.

Maria poczuła ulgę, bo chociaż mężczyzna wyglądał jak drewniany posąg świętego Piotra stojący na fasadzie katedry Świętego Stefana, nie przyszedł tu po to, aby ją prosić o modlitwę za trędowatych lub zachęcać do walki z niewiernymi.

- Tak, proszę pana - przytaknęła.

- Nazywam się Gustav Klimt i jestem artystą. Co tydzień zbiera mi się sporo ścierek i ręczników poplamionych farbami, chemikaliami i olejem. Trudno je doprać. Podjęłabyś się takiej pracy?

- Jeden szyling za dziesięć ręczników - powiedziała po chwili namysłu, mając nadzieję, że nie wyśmiejemy jej za tak astronomiczną cenę.

Słyszała, że artyści są bogaci, chociaż ten najwyraźniej nie miał pieniędzy nawet na garnitur. Uśmiechnął się.

- Nie sądzisz, że powinnaś zażądać więcej? - zapytał. - Jestem bardzo znanym artystą. To mogłoby źle wyglądać, gdyby ktoś się dowiedział, że tak mało ci płacę.

- Pięć ręczników za szylinga? - zapytała nieśmiało.

- Zgoda - powiedział.

Widziała, że się jej przygląda, nieuczesanym włosom, piegom na piersiach.

- Powiedziano mi, że masz na imię Maria.

- Maria Ucicky - potwierdziła.

- Czy ten Ucicky, który sprzedaje mi drewno, to twój mąż?

- Mój stryj.

- Jesteś więc niezamężna?

Maria pokiwała głową. Mężczyzna zmarszczył brwi, jakby rozczarowany złym gustem okolicznych młodzieńców.

Przez dwa miesiące co sobota przynosił jej ręczniki, a zabierał je w poniedziałek. Pewnej soboty zapytał ją, czy w poniedziałek mogłaby sama przynieść pranie do jego pracowni.

- Zapłacę za to dodatkowo - powiedział. - Muszę zakończyć do wtorku jeden obraz, inaczej stracę zamówienie.

- Oczywiście - zgodziła się.

W poniedziałek uczesała włosy, wtarła trochę tłuszczu w chropawą skórę dłoni i poszła pod adres, który jej zostawił.

Maria nie była aż taka naiwna, aby sądzić, że chodziło tylko o pranie; ona i jej przyjaciółki dobrze znały życie. Dziewczyna taka jak ona nie była w stanie odmówić mężczyźnie takiemu jak on, ale mężczyzna taki jak on mógł

zrujnować jej życie. Po każdej wizycie w pracowni Maria szła do spowiedzi i prosiła o przebaczenie. Bała się piekła. Przyjaciółki uspokajały ją, ale były też zazdrosne, bo kupował jej różne rzeczy, kapelusz czy szal. Mówiły jej, że praca modelki to nic złego, że zarobi trochę więcej pieniędzy, ale ona była zbyt nieśmiała, a poza tym obawiała się, że jej nieśmiertelna dusza i tak jest już zagrożona. Jeśli z trudem znosiła zakłopotanie i poczucie winy, gdy ją dotykał, to jak mogła stać przed nim całkiem naga? Nikt z jej przyjaciół nie wiedział, że za kilka miesięcy urodzi jego dziecko. Jej ojciec też się niczego nie domyślał; zaczęła nosić bardziej obszerne fartuchy i jak tylko mogła, schodziła mu z drogi. Gustav był miły i nie odtrącił jej, ale nie powiedział też, czy będzie mógł dać jej więcej pieniędzy. Dobrze wiedziała, że się z nią nie ożeni. Nie wyobrażała sobie, jak da radę sama wychować dziecko, bała się też, czy ojciec nie wyrzuci jej na ulicę.

W pracowni zajmowała się rozpalaniem ognia, zamiatała podłogę, zmywała naczynia, jakby była służącą Gustava, a nie jego kochanką. Czasami, gdy nie było go w pracowni, czekała tam na niego, nierzadko zasypiając na kanapie z rękami pod policzkiem, jak dziecko. Nawet jak spała, wyglądała na zmartwioną. Kiedy Gustav wracał, starał się tak zachowywać, aby jej nie obudzić. Szedł na palcach do sztalugi i zdejmował blok rysunkowy. Delikatnie odsuwał jej dłoń zakrywającą twarz. Ściągał koc, zsuwał koszulkę pod brodę, chociaż opierała się i odwracała. Robił, co chciał. Jej długie włosy otulały twarz jak wodorosty, rytmicznie pulsujące na fali zgodnie z biciem serca. W końcu wyjmował z kieszeni kawałek kredy, klękał przed nią i zaczynał rysować.

Kiedy skończył, odkładał rysunek na bok i tulił głowę do jej brzucha, jeszcze płaskiego, młodego, napiętego z głodu. Jej niewinność o mało nie złamała mu serca, jej szorstkie dłonie, blade, niezadbane ciało. Prześladowały go wyrzuty sumienia.

Zasługiwała na coś lepszego niż nędza i ciężka praca, do czego się urodziła, na coś lepszego niż ostracyzm i ubóstwo, które jej zgotował. Ale już było za późno; była zbyt niewinna, aby wiedzieć, co powinna zrobić, a on zbyt niedoświadczony, aby wiedzieć, że powinien jej to powiedzieć.

Przez jedną szaloną chwilę pomyślał nawet, aby się z nią ożenić, aby się wprowadziła do pracowni, zamieszkała razem z nim. Wyobraził sobie, jak wyglądałaby w ogrodzie, piorąc jego malarski fartuch na swojej wspaniałej tarze, pomyślał o gulaszu i kluskach na stole w jadalni, dzieciach z brudnymi buźkami przewracających jego sztalugę. Ale to było czyjeś inne życie, nie jego. Obudził Marię i powiedział, że powinna się pospieszyć, aby wrócić do domu, zanim ojciec otrząśnie się z pijackiego snu i zauważy, że jej nie ma.

Rozdział 6

Pracownia Klimtów znajdowała się na czwartym piętrze fabryki wyrobów ze srebra. Aby się tam dostać, musiałyśmy wsiąść w tramwaj na Gumpendorferstrasse, dojechać do Ringu, przesiąść się w inny tramwaj, wysiąść na przystanku po drugiej stronie Donaukanal i przespacerować się pieszo jeszcze sześć przecznic. Bilety mogłyśmy kupić dzięki Pauline. Żadna z nas nie miała swoich pieniędzy, ale nasza starsza siostra wygrała kiedyś konkurs na opowiadanie, za co jej zapłacono. Trzymała swój skarb w chusteczce ukrytej w szufladzie na bieliznę, o czym my oczywiście wiedziałyśmy. Nie zastanawiałyśmy się wówczas, co będzie, kiedy zauważy, że czegoś brakuje. W środku dnia wyszłyśmy ze szkoły.

Znalazłyśmy się na ulicy, na której wyładowywano towary ze statków i pakowano na furmanki, gdzie sieci pełne ryb przenoszono do magazynów przystosowanych do patroszenia i solenia połowu. W okolicy można było naprawić końskie podkowy lub własne buty, oddać do zacerowania żagle, a także zarznąć krowę i kazać ją pokroić na kawałki. W powietrzu wisiał ciężki zapach gnijących w beczkach resztek.

W budynkach otaczających fabryki i magazyny gnieździły się liczne rodziny. Mijałyśmy domy z poplamionymi, własnoręcznie wykonanymi firankami w oknach i tandetnie malowanymi, olejowymi lampami. Mężczyźni codziennie rano wychodzili do roboty na statkach, a kobiety szły pracować w sklepach z kapeluszami i ubraniami w lepszych częściach miasta.

W kamienicy czynszowej sąsiadującej z budynkiem, w którym znajdowała się pracownia Gustava, pewien imigrant ze Śląska prowadził wraz z żoną piekarnię i gdy wspinałyśmy się po schodach, aromat drożdżowego ciasta i rozgrzanego oleju mieszał się z ostrą i słodką wonią terpentyny oraz

gorzkawym zapachem żelaza. Schody były pochyłe, a niektóre stopnie niebezpiecznie uginały się pod naszymi stopami.

W pracowni panował chłód, ponieważ artystom ciągle brakowało węgla na opał, było też dość pusto, gdyż podczas pracy nad malowidłem wszystkie krzesła spiętrzone na środku pomieszczenia. Na cementowej posadzce widać było tu i ówdzie pęknięcia, wypełnione węglowym pyłem. Niektóre szyby w wysokich oknach były rozbite i zasłonięte kawałkami tektury. Cienkie i kruche szkło nie stanowiło wystarczającej zapory dla chłodu.

Mimo to, a może właśnie dlatego, pracownia Klimtów wydała mi się najwspanialszym miejscem na ziemi. Artyści poprzyczepiali do ścian najróżniejsze rzeczy: koło barw, wycinki z gazet z informacjami o artystce Limowej z Moskwy, która odbywała podróż po europejskich stolicach, ryciny przedstawiające rzymskie budowle, z całą pewnością wycięte z książek, pocztówki, szkice sześcianów i walców z wymiarami wpisanymi obok brył ołówkiem. Na posadzce stał obłazący z farby wyciągnięty z jakiegoś śmietnika piecyk, na którym artyści grzali wodę na kawę i czekoladę. W pudle obok trzymali puszki z kawą i herbatą, filiżanki i łyżeczki, a także bochenki chleba, papierowe torebki z solonymi orzechami i dziadka do orzechów. Na podłodze obok walały się łupiny.

W pracowni stały cztery sztalugi, obok każdej z nich mały stoliczek. Przy jednej ze sztalug kręcił się Gustav, mieszając coś w miseczce. Jego stolik był prawie pusty, jeśli nie liczyć dwóch drewnianych modeli obejmujących się postaci ludzkich.

Gustav wyglądał w pracowni jakoś inaczej. Po pierwsze, zamiast garnituru miał na sobie długą koszulę. Przypominała mi strój, jaki pewnie noszą pacjenci w szpitalu. Widok ubranego w ten sposób zdrowego mężczyzny był dla mnie

szokiem. Usiłowałam nie patrzeć na Klimta, co nie było trudne, bo on ledwo rzucił na mnie okiem. Był całkowicie pochłonięty swoim zajęciem. Od czasu do czasu mówił coś do Ernsta, z czego brat się śmiał, ale rozmawiali tak cicho, że nic nie słyszałyśmy. Stałyśmy tak w paltach, ponieważ nikt ich od nas nie wziął. Byłam ciekawa, kto pracował przy pozostałych sztalugach.

- Franz i Georg zaraz przyjdą - powiedział Ernst, jakby odgadując nasze pytanie.

Odwrócił się od swojego stolika, na którym działo się dużo więcej niż u Gustava. Leżały książki z lasem małych kawałków papieru wystających po bokach, wyciśnięte tubki farb, brudne butelki i puszki.

Spojrzałyśmy po sobie.

- Sprzątacie tu czasami? - zapytała z ciekawością Helene.

- A powinniśmy? - zdziwił się Gustav. - Przecież tu jest pusto. Jak robi się tak brudno, że nie będzie można już pracować, przeniesiemy się piętro wyżej.

Dla nas ten pomysł zabrzmiał bardzo radykalnie. Olbrzymią część życia poświęcałyśmy na utrzymywanie rzeczy w idealnym porządku. Zastanawiałam się, czy nie rzucić swojego płaszcza na podłogę. Artyści nadal zajmowali się swoimi sprawami. Ernst czyścił szmatką pędzle, po jednym, dokładnie, jak sierść psa przed konkursem. Gustav skończył mieszać farby i zaczął wylewać olej na paletę.

Mniej więcej po godzinie Gustav podszedł do kufra stojącego w kącie pracowni i wyjął z niego jakieś stroje. Podał Helene suknię z cienkiego białego jedwabiu.

- Ubierz się w to. Z tyłu mamy przebieralnię - wskazał jej miejsce ruchem głowy.

- Skąd to macie? - zapytała Helene, przyglądając się metce.

- Pożyczyliśmy od Marie Geistinger. To była ulubiona aktorka Helene.

- Znacie ją? Przyjdzie tutaj? Mogę się z nią spotkać?

- Przychodzi tylko wieczorami - rzucił Ernst bez zastanowienia, po czym zaczerwienił się i zamilkł, utkwivszy wzrok w podłódze.

- Ona śpi w ciągu dnia, ponieważ wieczorami występuje - powiedział Gustav. - Czasami po występach wpada tu, aby mi pozować. Takie jest życie aktorek, wiecie przecież. Są jak nietoperze.

Mnie wręczył jakąś szorstką brązową szmatę, która przypominała worek na mąkę, puszczać przy tym oko.

- To dla dziewczynki.

- Co to jest?

- Twoja sukienka.

- Kim mam być na tym obrazie?

- Służącą. Będiesz wyglądała świetnie, jesteś w odpowiednim wieku.

Przebieralnię oddzielał od reszty pracowni wełniany koc zawieszony na framudze drzwi, które prowadziły do czegoś, co kiedyś było pewnie schowkiem. Zdenerwowane, zdjęliśmy sukienki i powiesiliśmy je na gwoździach wbitych w ścianę. Byliśmy zażenowane, chociaż mimo braku sukienek nadal miałyśmy na sobie wełniane majtki, które zasłaniały nas od pasa do kostek, a także koszulki i jeszcze na wierzchu halki. Wcisnęłam się możliwie najgłębiej w kąt przebieralni. Helene obronnym gestem splotła ręce na piersiach. Niezgrabnie, starając się nie wychylać poza przebieralnię, zaczęliśmy wkładać stroje.

Nie mogłam się zobaczyć, ale i tak wiedziałam, że nie było czego oglądać. Dekolt w mojej sukience wycięty był bardzo prosto, w tak zwaną łódkę. Brzegi rękawów i spódnicy były poszarpane, a postrzępione końcówki wisiały bezładnie

przy nadgarstkach i kostkach u nóg. Moje szerokie, pulchne stopy miały być gołe, aby każdy mógł je zobaczyć.

Natomiast Helene wyglądała jak zjawisko, mimo że spod głęboko wyciętego dekoltu sukni wystawała jej koszulka. Była szczuplejsza niż typowa wiedeńska dziewczyna przy kości, a linia jej szyi i ramion przywodziła na myśl tancerkę.

Miała na sobie piękny królewski strój, oczami wyobraźni widziałam, jak z włosami spływającymi w lokach, ze złotą przepaską na czole wyciąga rękę w królewskim geście.

- Dobrze wyglądam? - zapytała, nerwowo usiłując podciągnąć nieco dekolt i zasłonić ramiona skąpymi kawałkami materiału.

- Musisz zdjąć koszulkę, tak wygląda śmiesznie.

- Ale nie mogę!

- Jeśli pokażesz im się tak jak teraz, powiedzą ci, że możesz wracać.

- Naprawdę uważasz, że powinnam to zrobić? Będę na wpół naga.

- Zrób tak i zobaczymy.

Przytrzymałam jej suknię, aby się nie ubrudziła podczas zdejmowania, a potem pomogłam ją z powrotem włożyć.

- Nigdy nie odważę się tak przed nimi stanąć - powiedziała Helene, gdy była już ubrana.

Suknia bez rękawów okazała się teraz niebezpiecznie wydekoltowana z przodu i z tyłu. Obnażyła tym samym duże fragmenty ciała Helene, których poza mną i Pauline nikt do tej pory nie oglądał. Moja siostra była wstydliva. Nawet w sypialni zawsze przebierała się pod kołdrą. Dlatego tak łatwo przyszło mi powiedzieć to, co wtedy powiedziałam.

- To rzeczywiście okropnie cię obnaża.

Położyła głowę na moim ramieniu. Drżała, a jej dłoń, którą poczułam na gołej szyi, była lodowato zimna.

- Nigdy im się tak nie pokażę.

Staralam się, aby w moim głosie brzmiała troska i współczucie.

- Możemy się zamienić - powiedziałam. - Ja ją włożę.

- Mogłabyś? Nie wstydziłabyś się?

- Trochę. Ale któraś musi ją włożyć. Zamieniłyśmy się strojami. Zdjęłam bieliznę, a Helene z powrotem włożyła swoją. Ja włożyłam cienką suknię, a ona grubą.

- No i jak?

- Na tobie wygląda jak nocna koszula - powiedziała. Rzeczywiście, suknia trochę na mnie wisiała, szczególnie z przodu, w miejscu, gdzie powinny się znajdować piersi, a krótki pleciony pasek nie przylegał tak dobrze jak w talii Helene... ale miałam ją na sobie.

- Mam nadzieję, że nie będą się złościć - powiedziała, gdy wychodziłyśmy.

Nasz widok wywołał salwę śmiechu, co nie było reakcją moich marzeń.

- Dziewczątka Junona - ryczał Gustav. - Jesteś prawdziwym zjawiskiem.

- Mam wrażenie, że coś się wam pomyliło - powiedział Ernst i spojrzał na Helene. - Ty miałaś włożyć tę drugą suknię.

- Helene spojrzała na niego błagalnie. - Chyba że nie chcesz - dodał szybko. - W takim razie wszystko w porządku.

- No cóż, spróbujemy - zgodził się Gustav. - Jeśli się nie uda, pošlemy po Lotte, może będzie mogła przyjść jutro.

- Kto to jest Lotte? - zapytała Helene.

- Zawodowa modelka. Czasami dla nas pracuje.

To było zdumiewające, ta mnogość kobiet, które przewijały się przez pracownię.

- Dlaczego ja się nie nadaję? - dopytywałam się. - Czemu nie mogę pozować?

- No dobrze, jeśli chcesz, przestań marudzić i włącz na podest - zwrócił się do mnie Ernst dość obcesowo.

Nie wiedziałam, dlaczego był taki zły.

Podestem było drewniane pudło przykryte prześcieradłem. Kompozycję uzupełniały spiętrzone połamane krzesła, rozprute poduszki i sfatygowana kanapa. Gustav powiedział mi, gdzie mam stanąć, a potem ustawił pozycję mojej twarzy i ramion. Pokazał też Helene, jak klęczeć, aby nie czuć zmęczenia.

Ja nie dostałam tego typu instrukcji, kiedy więc stałam z rękoma wyciągniętymi w stronę okien, miałam wrażenie, że mijają długie godziny. Helene klęczała u moich stóp, trzymając w ręku dzbanek. Co jakiś czas szeptała, że boli ją szyja, i pytała, czy coś widzę. Czy już kończą? Bolały mnie ramiona, ale artyści nie zgodzili się na przerwę. Tak właśnie pracują modelki, powiedział Ernst. Jeśli wam się nie podoba, możecie iść do domu.

Szkicowali mój profil, więc nie mogłam podglądać, jak rysują. Skupiłam się na liczeniu szyb w oknach i płytek na suficie. Słońce za oknem wyraźnie się przesunęło. Minęła godzina druga, potem trzecia. Ręce opadały mi coraz niżej. O trzeciej piętnaście Gustav podparł je pulpitem, który pojawił się nagle ni stąd, ni zowąd. O trzeciej trzydziści w pracowni pojawili się jacyś ludzie. Nie widziałam ich, ale nagle w pomieszczeniu zrobiło się bardzo głośno.

- Kim są te dwie? - zapytał jakiś mężczyzna. Jak przypuszczałam, Franz lub Georg.

- Panny Flöge, pamiętasz, mówiłem ci o nich? - powiedział Ernst.

- A, tak, młode damy - potwierdził z przekąsem któryś z mężczyzn.

Słyszałam stukanie jakimiś przedmiotami, szelest przewracanych kartek. W pewnej chwili rozległ się hałas, jakby przewróciła się sztaluga.

- Gdzie byłeś? - zapytał Gustav.

- Spędziłem noc poza domem - powiedział pierwszy z mężczyzn.

- Z Therese - mruknął drugi.

- Dobra była?

Mężczyzna musiał wykonać jakiś gest, dobiegł mnie bowiem tylko stłumiony śmiech.

O czwartej mogłyśmy wreszcie zrobić przerwę. Ręce bolały mnie tak, jakbym miała na nich wielkie, ciężkie rękawice. Helene natychmiast pobiegła do przebieralni, aby włożyć ubranie albo schować się tam do końca przerwy.

Gustav przedstawił mnie swojemu bratu Georgowi i ich przyjacielowi Franzowi Matschowi. Georg był tęgim blondynem i to właśnie on przewrócił sztalugę. Najwyraźniej to z jego powodu w pracowni nie było żadnego szkła.

- Zaraz by coś stłukł, a potem modelka stanęłaby na okruchu szkła i zraniła się w stopę, a to ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie życzyli, modelka z zakażeniem krwi - wyjaśnił Franz.

On też był blondynem, ale wysokim i chudym. Miał długie wąsy i czerwone narośle na szyi. Podał mi filiżankę kawy.

- Jesteś nadzwyczajna w pozowaniu - powiedział. - Żadna zawodowa modelka nie potrafiłaby stać tak długo z wyciągniętymi rękami. Nawet by nie chciała.

- Powiedzieli, że muszę. Uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz pozować tu częściej, musisz im się sprzeciwić. Zwłaszcza Gustavowi. Wyciśnie cię jak cytrynę, jeśli mu pozwolisz.

- Robimy to dla zabawy.

- To już lepiej. Możecie sobie pójść, kiedy chcecie, nie musicie się starać zarobić tyle, żeby starczyło na jedzenie albo na czynsz.

Pomyślałam o własnych pieniądzach, o pieniądzach, które mogłabym zarobić, o tym, by kupić sobie tyle waniliowych karmelków, ile chcę, i zjeść je od razu. Pomyślałam o kolczykach z granatami i pokoju z drzwiami, które się zamykają. Pomyślałam o chodzeniu do teatru i spaniu następnego dnia aż do południa. To brzmiało podniecająco, ale także wydawało się trochę naznaczone samotnością. Jeśli kiedyś wyprowadzę się od rodziców, Helene będzie musiała zamieszkać ze mną.

Reszta popołudnia minęła bardzo szybko. W następnej pozie musiałam leżeć na podłodze, jakbym była martwa, i w końcu zasnęłam. Co jakiś czas budził mnie śmiech lub krzyk i wtedy usiłowałam posłuchać, o czym rozmawiają. Byli dla mnie pełni tajemnic, wyposażeni w wiedzę o ciemniejszym, bardziej męskim świecie niż ten, w którym żyłam, i bardzo chciałam, żeby mnie zaakceptowali. Dlatego zrobiłabym wszystko, o co poprosiłby Gustav.

O piątej poszłyśmy do domu, gdzie nikt nie zauważył naszej nieobecności, ponieważ powiedziałyśmy, że idziemy z klasą do muzeum i najprawdopodobniej wrócimy później.

Rozdział 7

Pewnego zimowego poranka obudziłam się i zobaczyłam, że z bursztynowego nieba pada śnieg. W szkolnej klasie wiatr będzie świstał w szparach wypaczonych okien, a ja wybrałam sobie ławkę tuż przy oknie. Mogłam przez nie obserwować zakonnice sunące na modlitwy lub otwierające ciężką bramę, któredy wychodziły, by rozdawać lekarstwa i jedzenie biednym. Nie były specjalnie interesujące, ale stanowiły pewne urozmaicenie na nudnych lekcjach. Tego dnia było jednak zdecydowanie za zimno, aby przyciskać czoło do szyby. Będę się trzęsła z zimna podczas sprawdzianu z francuskich słówek i recytowania Goethego. W taki dzień aż się prosiło o symulowanie choroby.

Pomyślałam, że zostanę w domu, w łóżku. Moją matkę bez trudu można było do tego przekonać, wierzyła bowiem, że leżenie w łóżku pomaga na wszystko, począwszy od bólu głowy, przez niestrawność, po wysypkę na skórze. Przyniosła mi pękatą butelkę z gorącą wodą i napój z cytryny i miodu na poty. Miałam wielką nadzieję, że może zostanie ze mną, poczyta mi książkę lub pograamy w karty, ale mama wybierała się na zakupy. Wszyscy domownicy wyszli - do szkoły lub do pracy. Nagle w mieszkaniu zapanowała niepokojąca cisza. Nawet uliczne odgłosy przytłumił śnieg.

Helene kupiła ostatnio nowy żurnal mody paryskiej za pieniądze, które dostała na urodziny. Przyniosłam go sobie do łóżka i oparłszy się wygodnie o poduszki, miałam zamiar go czytać, ale moja znajomość francuskiego nie była jeszcze wystarczająca, tak że skupiłam się na oglądaniu. Był to numer poświęcony modzie zimowej na nadchodzący sezon. Całostronicowe ilustracje przedstawiały kobiety w wyjściowych strojach, w krótkich, obcisłych żakietach i bluzkach z koronkowymi żabotami. Spódnice plisowane lub marszczone w pasie, z turniurami lub kryzami z tyłu.

Kapelusze były wysokie, z piórami. Popołudniowe suknie ze zwiewnych melanży zdobione kokardami, koronkami i wstążkami. Kolorem sezonu miał być niebieski: lodowy błękit, spokojna barwa nieba, gołębia szarość. Fantastycznie prezentowały się stroje balowe, jedwabne brokatowe kreacje z kokardami na ramionach i ściskającymi talię paskami. Większość sukien miała krynoliny. Uwielbiałam balowe kreacje, chociaż wydawały mi się niewygodne. Najbardziej podobały mi się sportowe stroje cyklistek: aksamitne pantaloney i dwurzędowe zakłady z tego samego materiału. Dziewczyna w takim stroju wyglądała radośnie i dumnie.

Rysunki z żurnali były na ogół dość nieudolne: kobiety o krowich oczach miały nadmiernie wydłużone torsy i tak zniekształcone proporcje, że w rzeczywistości nie mogłyby ustać na nogach. Ołówkiem poskracałam im kibić i ich sylwetki natychmiast się poprawiły. Uniosłam im nieco talie, a modelki z wdzięcznością uśmiechnęły się do mnie. Na marginesie rysowałam własne kobiety; ich głowy miały odpowiednie proporcje względem ciał, poluzowałam im trochę gorsety, a w sukniach zgubiłam większość falbanek. Teraz poczułam się znacznie lepiej.

Od tygodni chowałam pod łóżkiem powieść awanturniczą, która czekała na okazję, abym mogła ją spokojnie poczytać, i to było moje następne zajęcie. niesprawiedliwie oskarżona i zmuszona do ucieczki markiza cudem przeżyła morską katastrofę i właśnie ukrywała się w zamku tajemniczego i porywczego księcia, gdy doszłam do wniosku, że tego typu literatura jest zabawna tylko wówczas, gdy mam obok siebie Helene i razem się z tego śmiejemy. Niestety, Helene miała pójść po szkole do swojej przyjaciółki Amelie i wrócić nie wcześniej niż o siódmej, ósmej wieczorem. Po jakimś czasie musiałam wstać z łóżka, aby się rozejrzeć i upewnić, że świat jednak nie zniknął.

Za oknem ulica była już słabo widoczna, padał bowiem coraz gęściejszy śnieg. Jak zahipnotyzowana oglądałam ciągle zmieniające się wzory śnieżynek. Mój oddech zaparował szybę, wytarłam ją więc rękawem koszuli, ale ponieważ nadal była w tym miejscu zamazana, przesunęłam się nieco w lewo. Na ulicy było niewielu przechodniów, szczelnie zakutanych w szale, w kapeluszach odkształconych przez wiatr. Niektórzy otwierali drzwi sklepów, a kiedy wchodzili do środka, powiew wiatru gwałtownie je za nimi zatrząskiwał.

Taki widok powinien zapewne umocnić mnie w przekonaniu, aby pozostać w domu, ale ja poczułam się samotna i opuszczona. Ubrałam się, zanim uprzytomniłam sobie, dokąd pójdę, co zresztą od początku było dla mnie jasne. Otworzyłam szufladę, w której Pauline trzymała bieliznę, aby zdobyć środki na podróż, co już od pewnego czasu stało się zwyczajem. Przez ostatnie miesiące, kiedy chadzałyśmy do pracowni, nasza siostra nie sprawdzała swojego skarbu. A przynajmniej nic nie dała po sobie poznać. Miałam nadzieję, że zanim zużyjemy wszystkie jej pieniądze, zdobędzie kolejną nagrodę. Włożyłam odpowiednie na taką pogodę buty, zarzuciłam na głowę szalik i wyszłam z domu tylnymi drzwiami, na wypadek gdyby któryś z naszych sąsiadów obserwował frontowe.

W pracowni mogło być nawet chłodniej niż w klasie, ale będzie jasno, hucznie i wesoło. Dużo żartów i śmiechów. Mogłabym nawet chodzić na rękach, gdyby przyszło mi to do głowy, chociaż w wieku piętnastu lat byłam już za stara na taką gimnastykę. Kiedy Gustav szukał odpowiedzi na jakiś problem, zawsze żonglował pomarańczami. Będą tam też cukierki i ziemisty zapach pigmentów.

Minęłam niewielki park obok naszego domu. Kilkoro nieustraszonych dzieciaków namówiło guwernantki do wyjścia na spacer. Guwernantki przytupywały z zimna pod

osłaniającym je od śniegu modrzewiem. Były młode, pochodziły ze wsi i już wkrótce zamienią pewnie te nieznośne dzieciaki na jakiegoś niższej rangi służącego i bilet na doroczny bal służb transportowych. Na razie jednak zabawnie ogrzewały sobie wzajemnie nosy na szyjach i plotkowały o ostatnich zaręczynach Thilde.

Chłopiec w czerwonym płaszczyku z błyszczącymi mosiężnymi guzikami rzucił się na śnieg i machając rękami i nogami, robił orła, co wywołało natychmiastową reakcję jego opiekunki, która stanowczo postawiła go z powrotem na nogi. Dwie dziewczynki o złotych włosach wysypujących się spod kapturów lepiły na klęczkach śnieżne kule, delikatnie uklepując je dłońmi w zielonych rękawiczkach. Moja skóra pod ubraniem zaczerwieniła się już i szczypała z mrozu i sama miałam wielką ochotę rzucić się w śnieżne zasy, aby złagodzić pieczenie. Miałam jednak na sobie nowe popielate palto, które podkreślało błękit moich oczu, a sukienka ozdobiona była przy rękawach i kołnierzu najprawdziwszą walansjenką, której żadną miarą nie chciałam zmoczyć ani ubrudzić. Kiedy szłam przez park, dostałam nagle w plecy śnieżną kulą, ale była tak lekka, że natychmiast rozpadła się przy zetknięciu z celem. Odwróciłam się, ale dziewczynki nadal, jakby niby nic, lepiły coś ze śniegu, a chłopiec, odwrócony plecami, kopał jamę w zaspie.

Ulepiłam śnieżkę i rzuciłam nią na oślepa. Trafiłam w ogrodzenie z kutego żelaza, a śnieżny pył posypał się prosto w twarze zdumionych guwernantek. Pobiełam przed siebie, z trudem łapiąc w płuca lodowate powietrze i starając się nie przewrócić na śliskiej dróżce. Biegłam i śmiałam się głośno, tak że aż zakłuło mnie w boku, ale co tam - upajałam się wolnością poza domem.

W tramwaju jadącym do Leopoldstadt udało mi się zerknąć przez ramię na gazetę teatralną, którą czytała kobieta

o woskowej skórze. Był tam rysunek przedstawiający wnętrze Burgtheater, i był to rysunek Gustava. Pokazał mi go kilka miesięcy temu. Chciałam powiedzieć tej kobiecie, że narysował to mój nauczyciel, ale ona pewnie wezwałaby konduktora, myśląc, że jestem szalona. Starłam się więc tylko przeczytać tekst w gazecie i ogrzać się trochę od króliczego futra sąsiadki.

Miałam świadomość, że niektóre kobiety w tramwaju patrzą na mnie z dezaprobatą, starałam się więc robić wrażenie, że mam załatwić jakąś niezwykle ważną sprawę: przynieść laudanum dla umierającego ojca lub belladonę dla chorego na koklusz braciszka. Konduktor wziął mój bilet i oglądał go bardzo dokładnie, jakbym zamierzała go oszukać. Wstrzymałam oddech, dopóki go nie skasował i nie poszedł dalej. Na podłogę wagonu spadły białe płatki konfetti. Mężczyźni w tramwaju czytali gazety albo patrzyli przed siebie. Zdawali się nie widzieć niczego, co działo się za oknami. Zastanawiałam się, skąd będą wiedzieli, gdzie wysiąść. Może liczą przystanki.

Był grudzień 1889 roku. Miałam jeszcze dwa lata do ukończenia szkoły. Pauline właśnie ją skończyła i teraz chodziła na kurs dla sekretarek. Nie byliśmy na tyle bogaci, aby wprowadzić ją do tak zwanego towarzystwa, ale na tyle zamożni, aby mogła sobie wybrać dowolny zawód. Mnie kurs dla sekretarek kojarzył się okropnie, ale jej najwyraźniej to nie przeszkadzało. W domu pomagała prowadzić rachunki, nosiła też cały czas ze sobą książkę przychodów i rozchodów oraz arkusze papieru. Helene skończy szkołę na wiosnę, ale zupełnie nie potrafiłam jej sobie wyobrazić jako sekretarki. Może rodzice pozwolą jej studiować muzykę. Gdyby była w tym dobra, mogłaby śpiewać w operze.

Co do mnie, byłam roztrzepaną, ale dobrą uczennicą. Nie interesowały mnie nauki ścisłe ani medyczne. W tamtych

czasach, aby kobieta mogła się dostać na uniwersytet, musiała być niezwykle zdolna i mieć silną motywację, a mnie brakowało jednego i drugiego. Nie byłam muzykalna, jak Helene. Najlepiej czułam się w pracowni, ale nie miałam pojęcia, co z tego mogło dla mnie wyniknąć.

Ani rodzice, ani nauczyciele nigdy, nawet najmniejszym słowem nie zdradzali wobec mnie żadnych podejrzeń, co świadczyło raczej o zaabsorbowaniu rodziców innymi sprawami oraz o naiwności nauczycieli niż o moim sprycie. Gdyby Helene nie jeździła ze mną do pracowni i nie patrzyła nerwowo na zegarek, pewnie często wracałabym późno do domu i wtedy zaczęłyby się pytania, ale ponieważ była tam ze mną, zawsze wracałyśmy na czas. Zakonnicom nigdy nie przyszłoby do głowy, że kłamałyśmy, i wierzyły w nasze zapierające dech w piersiach opowieści o chorobach w rodzinie. A w domu ojciec zajmował się interesami, a mama spała albo komponowała. Dopóki nie traciłyśmy na wadze, nie kasłałyśmy niemilosierdzie, nie oblewałyśmy egzaminów i nie wyrzucono nas ze szkoły, wszystko ich zdaniem było w największym porządku.

Wysiadłam z tramwaju kilka domów przed fabryką, w której mieściła się pracownia Klimtów, i od razu zauważyłam, że w ich oknach pali się światło. A więc są. Idąc na górę, czułam zapach pieczonej chałki. Na schodach potknęłam się o jakiś wystający gwóźdź i z całym impetem poleciałam na balustradę. Przez chwilę czekałam, że może Gustav wychyli się przez drzwi i zrzuci na mnie coś z góry. Kiedyś cisnął jajkiem Ernstowi w głowę. Tym razem jednak na górze panowała cisza. Podeszłam do drzwi pracowni i zatrzymałam się na chwilę, nasłuchując. Artyści zwykle zachowywali się tak hałaśliwie, że mieszkający po sąsiedzku piekarz ciągle otwierał okno i uspokajał ich, wymachując pogrzebaczem. Teraz nie słyszałam nic. Może ktoś zostawił palące się lampy

w pustej pracowni, co byłoby niebezpieczne, a poza tym marnowałyby się nafta. Powinni mi podziękować, że przyszedłam i zapobiegłam kłopotom.

Otworzyłam drzwi. Podłoga w pracowni była zapiaszczona i pod moimi butami tworzyły się małe piaskowe kałuże. Śnieg topniał mi we włosach, po twarzy spływały do ust strużki wody. Zapomniałam włożyć kapelusz. Nic dziwnego, że panie w tramwaju tak dziwnie na mnie patrzyły. Tylko flądry chodziły z gołą głową. Stopiony śnieg smakował jak maślanekowe mydło, gęste i słone. W milczeniu patrzyłam na to, co się dzieje w pracowni, zastygłam w bezruchu niczym wiewiórka na drodze, którą nadjeżdża furmanka. W pracowni prócz Gustava nie było nikogo, a właściwie nie było żadnego artysty. Gustav miał potargane włosy, sprawiał wrażenie skupionego i spiętego, naprężonego jak cięciwa łuku. Jego twarz zastygła w dziwnym grymasie, tylko oczy, w których odbijało się światło lampy, świeciły jak oczy kota. Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie.

Na środku pracowni stał podest, oświetlony lampami zawieszonymi u sufitu, a na nim leżała sterta koców ułożonych tak, że przypominały bezę. Wydawały się miękkie jak policzek dziecka. Na kocach leżały dwie nieznane mi kobiety. Obie poruszały się w dziwny dla mnie sposób, zupełnie inaczej niż normalnie zachowują się modelki. Ich ciała zwijały się i skręcały w ciągłym ruchu, a białe puszyste koce falowały razem z nimi. Jedwabne koszulki kobiet, czerwona i żółta, leżały rzucone niedbale na podłogę obok podestu. Modelki splecione były ze sobą jak węże w celtyckim ornamente, plecami, szyjami, rudymi i czarnymi włosami. Ich ciała przypominały ozdobny ścieg w jedwabnej sukni. Nierozzerwalne jak wątek i osnowa. Czasem, śmiejąc się, nieruchomiały w jakiejś pozie, by Gustav mógł ją uchwycić. Szczypały się, poklepywały i lizały. Chichotały.

Cienie na ich ciałach rozmazywały się w żółtawym świetle lamp. Obserwowałam z uwagą tę grę cieni, była fascynująco piękna. Nie pamiętam, jak długo tak stałam. Tymczasem śnieg przestał padać, a zza chmur wyjrzało słońce, wyostrzyło cienie i zalało włosy rudej kobiety pomarańczową łuną.

Czarnowłosa modelka podniosła głowę i zobaczyła mnie. Uśmiechnęła się. Gustav nadal był pochłonięty rysowaniem, usiłowałam więc wycofać się z pracowni, zanim mnie zauważy, ale kobieta zawołała go i wskazała na mnie gestem. Gustav odłożył ołówek. Kazał modelkom przerwać pozowanie. Rozczłonkowany stwór zakończył swoje igraszki i rozplątane elementy na powrót stały się dwiema kobietami.

Gustav podszedł szybko i pocałował mnie w policzek.

- Zmarzłaś - powiedział. - Wydawało mi się, że umawialiśmy się na czwartek. I dlaczego właściwie nie jesteś w szkole?

- Jestem chora - wyszeptałam.

- Strasznie chrypisz. Zrobię ci herbaty.

Był bardzo troskliwy, wprowadził mnie w głąb pracowni i pomógł zdjąć palto. Posadził mnie na stosie kołder. Nie miał pretensji, że przerwałam mu pracę. Już samo to wystarczyło, że poczułam skurcz w żołądku i mdłości.

Modelki wślizgnęły się w koszulki i pobiegły w stronę przebieralni. Gustav zawołał, aby zostały. Rudowłosa zarumieniła się, jej piersi pokryte były czerwonymi plamami. Była bardzo chuda, a ja ze zdumieniem patrzyłam na jej wypukły brzuch, najwyraźniej wskazujący na ciążę. Nie zauważyłam tego wcześniej. Kobieta skrzyżowała ręce na brzuchu, jakby chciała go chronić. Pod oczami miała ciemne kręgi. Czarnowłosa spojrzała mi prosto w oczy; czułam, że śmieje się ze mnie w duchu.

- To Emilie Flöge - powiedział Gustav - a to Minna i Helga.

Modelki skinęły głowami; żadna nie ośmieliła się podać mi ręki. Coś mnie od nich odrzucało, zaledwie zdołałam wykrztusić słowa powitania. Bałam się ich, bałam się wystającego brzucha jednej i grymasu na twarzy drugiej.

- Obie mieszkają w Hietzing - dodał Gustav mimochodem.

Zdobyłam się na kiwnięcie głową. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Nagle Helga dała Minnie klapsa.

- Ruszaj się, mizeroto.

Pobiegly do przebieralni, a kiedy już się ubrały, wyszły bez słowa pożegnania; najwyraźniej były tu stałymi bywalczyniami i wiedziały, kiedy wrócić, aby otrzymać zapłatę.

Chociaż odeszły, pozostały po nich powidoki, fruujące na obrzeżach moich spojrzeń niby skrzydła nietoperza. Gdy zamykałam oczy, pod powiekami rozlewały mi się dwie barwy: krwawa i złocista. Otuliłam się jednym z koców, ale nie był aż tak miękki, jak myślałam. Gustav stał przy kuchence i czekał, aż zagotuje się woda. Mówił coś o arytmetyce, o tym, że jeżeli jestem dobra w ułamkach, muszę mu pomóc obliczyć proporcje w pewnym rysunku. Ernst został w domu, złapał jakieś przeziębienie, zawsze był delikatny i Gustav pozwolił mu trochę odpocząć. Biedna Emilie, pewnie się od niego zaraziła. Powiedział też, mrugając przy tym do mnie, że Franz wyszedł gdzieś z jedną ze swoich dziewczyn. To znaczyło, że poszedł na obiad ze swoją matką i siostrami, bardzo miłymi i porządnymi osobami. Nie podobało im się, że jest artystą, uważały, że to wulgarne. Znowu mrugnął. Zabolało mnie, że ze względu na mnie starał się cenzurować to, co mówi.

Piękna sukienka, powiedział, wręczając mi herbatę z kardamonem. Aromat Indii buchnął mi prosto w twarz. Gustav

usiadł po turecku na wprost mnie na podłodze, oparł podbródek na dłoniach i patrzył na mnie smętnie.

Ja nie chciałam na niego patrzeć. Nie potrzebowałam tanich pochlebstw. Podniosłam się gwałtownie i nagle cała krew popłynęła mi do głowy, a w oczach zrobiło się ciemno. Kiedy odzyskałam widzenie, odstawiłam filiżankę na podłogę i podeszłam do sztalugi, aby obejrzeć ostatni rysunek Gustava. Twarz mi płonęła, byłam zlana potem, chociaż w środku czułam chłód i jakąś dziwną lepkość. Tam, na papierze, były one, Minna i Helga. Nigdy nie widziałam rysunku Gustava wykonanego z większą pasją niż te skłębione ciała dwóch kobiet. Każda kreska była wymowna, każde zaokrąglenie sugestywne. Kobiety na rysunku wyglądały po prostu jak żywe.

Przypomniał mi się żartobliwy autoportret Gustava. Narysował swoją głowę ze spiczastą bródką, szerokim czołem i z różkami, a to wszystko na czubku ciała w kształcie przepołowionej kropli. Dorysował sobie jeszcze koźli ogon i kopyta. Rysunek nie był przeznaczony dla moich oczu, artyści śmiali się z niego, a Gustav schował go potem pod jedną z książek, skąd go wyciągnęłam, gdy nikt nie widział, i zaniiosłam do domu. Obie z Helene starałyśmy się go później rozszyfrować. Niewątpliwie było w nim coś nieprzyzwoitego, jakieś fluidy seksu. Obie byłyśmy jednak zbyt młode i niedoświadczone, aby się domyślić, o co w nim chodzi.

Wzięłam głęboki wdech.

- Czy to twoje? - zapytałam.

Nie wolno nam było rozmawiać w mieszanym towarzystwie o ciąży czy rodzeniu dzieci. Te sprawy okryte były tajemnicą, wyrażane eufemizmami. Ale ja musiałam wiedzieć.

- Ależ nie - powiedział.

- Więc czyje? - dopytywałam się.

- Pewnego właściciela gospody - wyjaśnił. - Jadam w niej obiady. Robi znakomite kiszone ogórki.

- Pomoże jej? - zapytałam z ulgą.

Rozmawiał ze mną o sprawach, o których nie powinnam słyszeć, brutalnych, przykrych, jakby z kimś równym sobie, przyjacielem. Poczułam przypływ współczucia dla niedożywionej Minny. Była przecież niewiele starsza ode mnie. Mogłaby być moją siostrą.

- Myślisz, że ją wykorzystuję? - zapytał. - W jej stanie nie otrzyma żadnej innej pracy. Teraz nawet artyści nie chcą jej jako modelki.

- Co się z nią stanie?

- Da sobie radę. Jest zdana na siebie, odkąd skończyła piętnaście lat.

Nagle poczułam się wytworna i światowa jak rasowa kotka. Byłam nakarmiona, miałam zapewnione wykształcenie, ale koty, które wyjadają resztki ze śmietnika, zeżarłyby mnie na obiad. Nie miałam nawet pazurków. Byłam sobą rozczarowana.

Gustav stał za moimi plecami i nie widział łez, które napłynęły mi do oczu. Wzruszyła mnie myśl o nim, o tym, że martwił się, jak taki widok wpłynie na moją delikatność i wrażliwość, co mogłabym powiedzieć rodzicom, gdybym zechciała - wszystko to sprawiło, że zapragnęłam umrzeć.

- Spójrz na mnie, Emilie - poprosił.

Ale ja spojrzałam na przeciwległy kąt pracowni, gdzie przy oknie piętrzyła się sterta krzesel. Stały do góry nogami, leżały na boku ciśnięte jedno na drugie, a te na samym szczycie niebezpiecznie się chwiały. W szarym świetle nie rzucały cieni. Przypominały stertę kości z rzeźni. Usiłowałam zapamiętać biegnące równoległe linie, kąty proste, trójkąty i różne tonacje światłocienia. Powoli kształty wyostrzały się. Zaczynałam rozróżniać poszczególne krzesła. Zbiór był

przypadkowy, sprzęty pożyczone od przyjaciół i rodziny: pomalowany na biało stół, rozwalony fotel na biegunach, wystrzępiona kanapka. Poznałam też jedną rzecz od nas z domu: odrapaną ramę starego fotela pokrytego fioletowym aksamitem. Ciekawe, skąd się tutaj wziął.

- Zawsze korzystam z pomocy modelek - powiedział. - Potrzebuję ich, aby poprawnie narysować mięśnie.

- No tak, mięśnie - przytaknęłam.

Wiedziałam, że łyż, których nie widział, słychać było w moim gardłowym, zachrypniętym głosie, ale nie mogłam nic na to poradzić.

- Mięśnie są bardzo ważne. Zwłaszcza ich ruch - dodałam.

Plecy Helgi miały dojrzałość owocu. Ramiona Minny krzywizną gałęzi wierzby.

- I to, jak łączą się z kośćmi i ścięgnami - mówił dalej. - W szkole rysowaliśmy zwłoki. Odarte ze skóry i tłuszczu jak po zdjęciu zimowego płaszcza. Trzeba mieć mocny żołądek.

Pomyślałam, że ściąganie skóry z ciała Minny byłoby jak obieranie brzoskwini. Jej skóra była taka cienka, jakby nie było pod nią ani grama tłuszczu.

Zacisnęłam pięść i spojrzałam na ścięgna rysujące się po wewnętrznej stronie przedramienia. Przypominały pęczek trzcinek przeplatający się z błękitnymi strunami. Niech to więc będzie lekcja anatomii.

- Jak wyglądają mięśnie? - zapytałam.

- Jak kłębki szpagatu - powiedział. - Lub motki przędzy nawinięte na dłonie. Sprężyste i czerwone, bardzo piękne. Lekarze mają szczęście, że mogą się zajmować ludzkim ciałem. Nie ma na świecie nic doskonalszego. Ja nie mógłbym jednak być lekarzem. Dostaję mdłości na widok krwi. Ale ludzie stają się lepsi, gdy są nadzy i mają zamknięte usta.

Nagle wstrząsnął mną cichy zrazu szloch. Wiedziałam, że Gustav myślami jest gdzieś daleko, przypominał sobie zapewne mięsień latissimus dorsi jakiegoś zmarłego biedaka. Całkowicie pochłonięty, wpatrywał się w swój obraz, porównując fizjonomię Minny do innych, które narysował. Jej łokcie o powykręcanych stawach i krótki tułów. Pragnęłam, aby tam pozostał, daleko ode mnie, ale wtedy przeniósł spojrzenie z Minny na mnie.

Ujął moje drżące ramiona i odwrócił mnie ku sobie.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

Nie mogłam odpowiedzieć. Teraz płakałam już naprawdę, niepowstrzymanie, głośno, obficie, żałośnie, kwiląc przez boleśnie zaciśnięte gardło jak pozostawiony na cały dzień w samotności szczeniak.

- Nie bądź takim dzieckiem - powiedział. - Ciebie nikt przecież nie skrzywdził. Nic ci się nie stało.

Nigdy przedtem tak szorstko się do mnie nie zwracał. To mnie zdumiało i przestałam płakać. Nie był dużo wyższy ode mnie i jego twarz znajdowała się bardzo blisko mojej. W pochmurny dzień oczy Gustava były zielone, jak woda w stawie. Opuścił ręce wzdłuż boków.

- Przepraszam - powiedział. - Jesteś jeszcze małą dziewczynką. Powinienem był o tym pamiętać i nie sprowadzać cię tutaj.

- Sama tu przyszłam - przypomniałam mu.

- Chodzi mi o to, że w ogóle nie powinienem był cię tu zapraszać. Mam zły wpływ.

Nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić, pocałowałam go. Nie miałam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Chyba z powodu atmosfery panującej w pracowni, przyzwalającej na takie zachowanie.

Nigdy dotąd nie pocałowałam nikogo spoza rodziny. Oczekiwałam, że Gustav odsunie mnie od siebie, ale nie zrobił

tęgo. Zdziwiło mnie, że jego broda była taka miękka. Łaskotała mnie w twarz. Delikatnie rozsunął moje usta i wsunął do środka język. To było dziwne, ale przyjemne. Smakował miętą i kawą. Otworzyłam oczy i spojrzałam na jego rzęsy, długie jak u dziewczyny. Jego ramiona obejmowały mnie mocno, jakby były z marmuru. Czułam się dziwnie, unieruchomiona przez to, co się działo. Czy powinnam omdleć? Czy powinnam czuć się bosko?

Przestaliśmy się całować. Gustav otworzył oczy. Na chwilę ogarnął mnie strach.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział. Przeciągnął palcem po moich ustach.

- Jak?

- Masz oczy jak bławatki - powiedział jakby z wyrzutem.

- Nic na to nie poradzę - wzruszyłam ramionami.

- Nie poradzisz.

Odsunął mnie, delikatnie, ale stanowczo.

- Dokąd idziesz?

- Przyniosę ci płaszcz. Taka chora dziewczynka powinna być w domu, w łóżku.

Podał mi płaszcz, a ja wślizgnęłam się w niego. Gustav usiłował zapiąć kościane guziki przy moim płaszczu, ale były za małe dla jego palców. Złajał mnie za to, że nie mam kapelusika, powiedział, że może mi jakiś kupić, nawet bardzo ładny, że widział któregoś dnia na wystawie sklepu kaszmirowy w kolorze wina. Opowiadał mi o tym kapeluszu, jakby to była bajka na dobranoc.

Czułam się upokorzona. Byłam dla niego tylko małą dziewczynką. To mnie rozzłościło. Zastanawiałam się, jak go ukarać.

- Nigdy nie pozwoliłeś mi rysować z modela - powiedziałam, gdy powoli schodziliśmy po schodach.

- To nie jest... - zaczął. - Nie możesz. Zastanawiał się, jaki powód podać, co powiedzieć, by nie brzmiało to po mieszczańsku.

- Nie mogę też rysować mięśni?

- No dobrze, następnym razem pozwolę ci narysować moją rękę.

- To prawdziwe szczęście - powiedziałam. Zeszliśmy na parter i Gustav otworzył drzwi na ulicę.

Może gdybym miała więcej czasu, przyszłaby mi do głowy jakaś bardziej cięta i sarkastyczna odpowiedź, ale nie miałam. Na stopniach schodów od ulicy zobaczyliśmy Ernsta i moją siostrę Helene, którzy właśnie zamierzali wejść.

Moja siostra Helene, która miała być u swojej przyjaciółki Amelie. Moja siostra Helene, która nigdy nie miała przede mną żadnych tajemnic.

Wszyscy czworo stanęliśmy jak wryci. Helene zbladła, a ja się zaczerwieniłam. Jej przerażenie odzwierciedlało moje własne. Ernst wbił wzrok w ziemię, jakbyśmy mieli zniknąć, jeśli nie będzie na nas patrzył. Spojrzałam na Gustava, który wydawał się bardzo rozbawiony.

- Byłeś na spacerze? - zapytał uprzejmie.

- Tak, przypadkiem natknąłem się na Helene, a ona powiedziała, że zostawiła u nas w pracowni swoją futrzaną mufkę, powiedziałem więc, że pójdę z nią poszukać zguby, a potem odprowadzę ją do domu.

Ernst recytował słowa jak wyuczoną kwestię.

- A co z Amelie? - zapytałam.

- A co z chorobą i siedzeniem w domu?

- To dopiero zbieg okoliczności, doprawdy - powiedział Gustav. - Emilie zostawiła w pracowni rękawiczki i postanowiła po nie przyjść. Właśnie zamierzałem odprowadzić ją do domu.

- Rodzina zapominalskich - rzucił Ernst.

- Tak, to chyba świadczy o niedostatku opieki rodzicielskiej, czyż nie? - dodał Gustav. Jego głos był nabrzmiały śmiechem. - Czy mamy poczekać na ciebie, aż przyniesiesz mufkę? - zapytał. - A potem możemy pójść razem.

- Myślę, że dobrze się złożyło - powiedziała Helene. Widać było, że jest przerażona. - Skoro jesteśmy tu obie, nie ma potrzeby, byście odprowadzali nas do domu. Mufkę zabiorę innym razem. Przy takiej pogodzie jej przeziębienie może się przerodzić w zapalenie płuc.

- Na pewno tak będzie dobrze? - dopytywał się niespokojnie Ernst.

Zauważyłam, że delikatnie pociągnął Helene za rękaw. Ona nawet nie spojrzała na niego.

- Bardzo dobrze - zapewniła go pospiesznie. - Idziemy, Emilie.

- A zatem do następnego spotkania - powiedział Ernst z nadzieją w głosie.

- Czwartek - przypomniał nam Gustav. - Oczywiście jeśli Emilie wyzdrowieje.

Skórzana rękawiczka Helene ziębiła moją gołą dłoń jak lód, siostra ścisnęła mnie do bólu. Wyszarpnęłam dłoń. Szliśmy szybko, w milczeniu, zatopione w nieprzyjaznych myślach. Helene odezwała się dopiero, gdy minęliśmy kilka przecznic.

- Co robiłaś tam z nim sama? - syknęła. Nie cierpiałam tego oskarżycielskiego tonu starszej siostry. - Nie wiesz o nim jeszcze nic?

- Co mam wiedzieć?

- On lubi uwodzić młode dziewczęta. Nie mogę uwierzyć, że rodzice zgodzili się, aby dawał ci lekcje.

- Nie uwodził mnie - powiedziałam.

Nie przyznałam się do pocałunku, chociaż jeszcze kilka minut wcześniej zastanawiałam się, jak by jej to opisać. Teraz nie byłam już pewna, czy mogę jej zaufać.

- Nie kłam - fuknęła na mnie. - To zbyt poważna sprawa.

Złapała mnie za ramię i zmusiła, abym spojrzała jej prosto w oczy. Byłyśmy tego samego wzrostu. Miała taki sam płaszcz jak ja, tylko zielony. Pomyślałam, że jej oczy także są jak bławatki.

- Nie uwodził mnie - powtórzyłam.

Nie spuszczała wzroku z moich oczu, aby sprawdzić, czy wytrzymam jej spojrzenie. Potem z ulgą opuściła ręce i zaczęła płakać. Przeraziłam się. Może to, co się stało, było gorsze, niż myślałam.

- Nic się nie stało - zapewniałam ją, głaszcząc po ramieniu. - Nic mi nie jest.

- To nie dlatego - załkała.

- No więc o co chodzi? O Ernsta?

Początkowo pomyślałam, że może ją skrzywdził. Helene nigdy nie płakała. Ale potem uświadomiłam sobie, że ja też nie płakałam, aż do dzisiejszego popołudnia. Pokiwała głową i coś wyjąkała. Zabrzmiało to jak: „Zakochałam się w nim”, ale nie mogłam w to uwierzyć. Przecież nawet się nie znali.

- Zakochałaś się w nim?

Przyjrzałam się jej uważnie. Twarz miała szczuplejszą niż zwykle, a pod oczami ciemne kręgi. Czemu nie zauważyłam tego wcześniej?

- Naprawdę?

Pokiwała głową, wpatrując się usilnie w coś za mną, w dole po lewej stronie.

Wciągnęłam ją do najbliższej kawiarni i posadziłam przy stoliku. To był podrzędny lokal, drewniane stoliki lepily się, zeschnięte ciastka wyglądały na wczorajsze, ale nie było mowy, nie mogliśmy przecież wrócić teraz do domu.

- Od kiedy to trwa?

- Od lata. Od lipca.

Cztery miesiące. Przez cztery miesiące trzymała to przede mną w tajemnicy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie chciałam, żebyś miała kłopoty, gdyby rodzice się dowiedzieli.

Nie mogłam pojąć, kiedy ona znalazła czas, aby się w nim zakochać, przecież prawie zawsze byliśmy razem, a to zdarzyło się tuż pod moim nosem. Powiedziała mi, że wszystko zaczęło się od ukradkowych spojrzeń w pracowni. Byłam ciekawa, skąd niby wiedziała, że z tych wszystkich spojrzeń, jakie padały w pracowni, akurat te były jakieś szczególne i przeznaczone tylko dla niej? Po pierwsze, zwróciła uwagę, jak ustawiał ją do pozowania. Potem zaczął jej przynosić prezenty: jabłka i gruszki, a także drewnianą lalkę, którą kupił dla niej od czeskiego lalkarza. Nigdy nie widziałam, by dawał jej te prezenty, a to dlatego, że wsuwał je ukradkiem do kieszeni jej płaszcza. Potem pojawiły się liściki. W końcu spotkali się w ogrodach na Praterze, w wesołym miasteczku na peryferiach miasta. Nie mogłam pojąć, jak to się stało, że nikt ze znajomych nie spotkał ich w tak popularnym miejscu. I jak ostrożna Helene mogła być taka odważna i zdecydowana.

Musiałśmy to trzymać w tajemnicy przed rodzicami, ponieważ Helene nie miała jeszcze osiemnastu lat, a Ernst był zbyt biedny, aby mógł ubiegać się o jej rękę. Mama i tata z całą pewnością by mu odmówili.

- Na pewno nikomu o tym nie powiem - zapewniłam ją. Miałam ochotę pocałować Helene, ale przyglądał nam się jakiś facet przy sąsiednim stoliku.

- Nie martwię się tym, że chodzisz do pracowni - powiedziała. - Nie chcę tylko, żebyś wpadła w jakieś tarapaty.

To, że coś takiego powiedziała, a ja wiedziałam, co ma na myśli, było miarą zmian, jakie się w nas dokonały na skutek przebywania w towarzystwie Klimtów.

- Naprawdę do niczego nie doszło - powiedziałam.

- No to w porządku - westchnęła z ulgą.

Zrobiło się późno. Wiedziałyśmy, że o tej porze ktoś z rodziny na pewno zauważył już naszą nieobecność.

- Jeśli przyjdziemy razem, każda z nas dostanie tylko połowę bury - powiedziałam.

Chociaż nie czułam zimna, zęby szczękały mi tak, że z trudem mówiłam.

- Nie - zaprotestowała Helene. Zdziwiła mnie stanowczość w jej głosie i nagle wydała mi się dużo starsza. - Ja wejdę od frontu. Ty poczekaś w alejce, a kiedy usłyszysz odgłosy awantury, wślizgniesz się tylnymi drzwiami. Musimy zaryzykować, może nikt nie sprawdzał, czy jesteś w pokoju.

Przyjęłam tę propozycję z wdzięcznością, chociaż bałam się o nią, bo chciała przyjąć całą złość rodziców na siebie. Poza tym czułam się winna. Byłam równie podstępna i niegrzeczna jak ona.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak przewidziała Helene. Czekałam na rogu domu, dopóki nie usłyszałam głośnej reprimendy ojca i pokrzykiwań mamy. Nikt nie widział, jak weszłam kuchennymi schodami. Nikt nie słyszał, jak biegłam na górę. Nikt nie pomyślał, aby zawołać mnie na kolację, żeby przyłożyć mi rękę do czoła, żeby sprawdzić, czy śpię. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Rozdział 8

- Ona nie jest perską księżniczką - mówił Gustav. - Nie mogą państwo więzić jej do końca życia.

Helene i ja podsłuchiwałyśmy pod drzwiami jadalni, co nawet w obliczu przeżywanego dramatu wydawało się historią z farsy rodem. Wynik tego spotkania był jednak na tyle ważny, że nie byłyśmy w stanie siedzieć w pokoju i spekulować na temat tego, co tam zostało powiedziane.

Helene od dwóch tygodni była zamknięta w naszym pokoju i mogła wychodzić tylko do łazienki. Obie z Pauline przynosiłyśmy jej spartańskie posiłki, chociaż czasami udawało nam się przemycić także szarlotkę lub Dekameron. Spędzała czas, nucąc smutne piosenki i wyglądając przez okno. Rodzice z nią nie rozmawiali. Do mnie i do Pauline też rzadko się odzywali, a podczas posiłków wymieniali między sobą ponure spojrzenia, trzaskali talerzami i kieliszkami. Pauline i ja starałyśmy się być niewidoczne. Wtedy cieszyło mnie, że muszę chodzić do szkoły. I oczywiście lekcje z Gustavem co sobotę.

Kiedy jechałam dorożką na pierwszą lekcję po naszym pocałunku, omal nie zemdlałam po drodze, ale dom był ten sam, kuchnia ta sama, pani Klimt siedziała z robótką tam gdzie zawsze, a na stole stała taca świeżo upieczonych ciasteczek czekoladowych. Gustav też wyglądał dokładnie tak samo. I nie było to udawanie, że nic się nie wydarzyło; on chyba zupełnie o wszystkim zapomniał. Przyniosło mi to pewną ulgę. Ale byłam też rozczarowana.

Ernst od kilku tygodni usiłował porozmawiać z naszymi rodzicami, ale mama nie otwierała mu drzwi. Stał na schodach w śniegu, dzwoniąc raz, drugi i trzeci. W końcu posłano na dół Pauline, aby go odprawiła.

Potem próbował pisać listy, ale mama paliła je w kominku, nie czytając. Płakała, leżąc na kanapie i czasem tylko robiąc przerwę na grę na fortepianie.

W końcu Gustav przyszedł do wytwórni fajek ojca i zaproponował, że weźmie na siebie funkcję mediatora, co ojciec, jako człowiek rozsądny, zaakceptował. Wątpiłam, czy zgodziłby się tak łatwo, gdyby wiedział, co ja zrobiłam tego dnia, kiedy przyłapano Helene na późnym powrocie do domu.

- Postąpimy tak, jak postanowiliśmy - powiedziała mama. Nie widziałam jej, ale wyobrażałam sobie jej podbródek wystający ponad wykrochmalonym kołnierzykiem i kosmyki ciemnych włosów wpadające do oczu. Za plecami szarpała nerwowo brzeg rękawa bluzki. Byłam pewna, bo mnie też przekonywała, że to lepsze niż obgryzanie paznokci. Rękaw lepiej znosi taką destrukcję, poza tym można go łatwo zreperować. Muszę przyznać, że nie rozumiałam jej postępowania z Helene. Chociaż jako dziewczynka nigdy nie doświadczyłam żadnych surowych zakazów wynikających z metod wychowawczych, zawsze wydawało mi się, że to raczej matka miała dla nas więcej zrozumienia, a ojciec był bardziej skłonny do wybuchów złości. Może teraz zaniepokoiło ją, że jedna z córek próbuje wydostać się z więzienia, w jakim ją trzymała.

- Ale co to da? - nalegał Gustav. W jego pytaniu można było wyczuć niecierpliwość i brak szacunku. - Helene skłamała, została ukarana, a teraz już czas, aby sprawy potoczyły się swoim biegiem.

- Zupełnie tego nie rozumiem - powiedział ojciec. - Zawsze była takim grzecznym dzieckiem.

Helene spojrzała na mnie z poczuciem winy, w jej wzroku mogłam wyczytać udrekę. Od dwóch tygodni prawie wcale nie spała. A mimo to wyglądała wspanialej niż kiedykolwiek, z głębokimi cieniami pod oczami, bladymi, wychudłymi

policzkami, niby posępna piękność przywodząca na myśl niektóre kobiety zażywające opium. Włosy splotła w niedbały warkocz, a złote kosmyki okalały jej twarz ze wszystkich stron.

- Ona jest zakochana - powiedział Gustav.

Jego głos był tak radosny, jakby się śmiał. Zobaczyłam, że Helene zaczerwieniła się.

- Ma zaledwie siedemnaście lat - zawołał ojciec. - Cóż może o tym wiedzieć?

- Ernst chce poślubić Helene - oświadczył Gustav. Zapadła cisza przerywana tylko pochlipywaniem mamy.

Najwyraźniej nie spodziewali się tego. Ja - nawet jeśli się spodziewałam - dopiero wtedy naprawdę zrozumiałam, co to wszystko znaczy. Helene zamierza mnie opuścić, nienawidziłam jej za to, ale najbardziej nienawidziłam Ernsta. Zaraz jednak pomyślałam, że przecież oni nigdy się nie zgodzą, i od razu poczułam się lepiej.

- Co on może jej zaoferować? - zapytała mama.

- Helene nie wyjdzie za mąż, dopóki nie będzie miała dwudziestu lat - zaznaczył ojciec. - I musi skończyć szkołę.

- W porządku - powiedział Gustav. - Ernst ożeni się z Helene, gdy będzie miała dwadzieścia lat.

Helene oparła się o mnie, drżąc cała.

Czekałam, że ojciec coś krzyknie, powie, że nie, Ernst nie jest dobrą partią dla Helene, że śmieszne jest nawet rozważanie takiej możliwości, ale nic takiego nie zrobił. Zapadła długa cisza.

- Czy on jest dobrym artystą? - zapytał wreszcie ojciec. - Czy będzie w stanie ją utrzymać?

- Jest o wiele lepszy niż ja - zapewnił go Gustav.

- Dobrze więc - powiedział ojciec.

Matka milczała. To nie była jej decyzja, tylko ojca, on wyraził zgodę.

Gdyby chodziło o moje zdanie, powiedziałbym, że wszystko przebiegło zbyt gładko.

Następnie, kiedy interes został już ubity, transakcja przeprowadzona, wszyscy zjedli wiśniowy tort, wypili kawę z bitą śmietaną i zaczęli rozmawiać o operze.

Tydzień później ojciec poinformował mnie, że nie będzie mi już towarzyszył na lekcje rysunku, bo Gustav zobowiązał się odbierać mnie z domu w drodze do pracowni. Przedyskutowali to i uznali, że tak będzie wygodniej. Ojciec najwyraźniej sądził, że jako mój przyszły szwagier Gustav był doskonałą przyzwoitką.

- Musiałem to zrobić - powiedział Gustav, gdy siedzieliśmy w Cafe Speri. Zrezygnowaliśmy z lekcji, aby pójść na ciastka i porozmawiać o rodzinnym dramacie. - Ernst zaczął się mylić w rachunkach. To zbyt wiele nas kosztowało. Poza tym rozplakał się w obecności księcia Esterhazego.

Kupił mi ciastko z marcepanem, moje ulubione. Pod liberalną opieką Gustava szybko zapomniałam o manierach. Obserwował, jak rozgrzebuję ciastko, wydłubując z niego różowe i żółte rozetki z cukru i odkładając je na bok talerzyka, jak następnie zdejmuję wierzchnią warstwę marcepanu i zjadam najpierw, jak wbijam w ciastko łyżeczkę od kawy, aby rozdzielić chrupiące warstwy posypane kakao, a na końcu wyjadam ostatnie okruszki z talerzyka.

- Jesz jak dzikuska - powiedział. - Masz całą buzię umazaną ciastkiem.

Pochylił się nad blatem stolika, aby wytrzeć mi usta poplamioną farbami chusteczką zmoczoną w lodowatej wodzie, zupełnie jakbym była dzieckiem oddanym pod opiekę pedantycznego wujka. Kiedy skończył, miałam zaczerwienione kąciki ust. Moje oczy krępująco często wędrowały w stronę ust Gustava, utkwiałam je więc w jego ciastku czekoladowym, przekładanym truskawkowym

dżemem. Kiedy je nacisnął łyżeczką, czerwona galaretka wypłynęła na talerz jak krew.

- I co zrobił książę? - zapytałam, powracając do tematu.

- Och, podał mu chusteczkę i flaszkę wódki, był spokojny jak zawsze. Natomiast później zapytał mnie, czy Ernst nie powinien wyjechać do sanatorium. Mógłby pomóc to załatwić, gdybym uważał...

- Biedny Ernst - powiedziałam

- Biedny Ernst... akurat! - zawołał. - Dzięki mnie ma piękną narzeczoną i zapewnioną karierę. To szczęściarz.

- Czy zrobiłeś to tylko dlatego, by ratować wasz interes? - nie mogłam się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Straciliśmy nasze najlepsze modelki, co też dawało się nam we znaki.

Gdy w domu panowało takie zamieszanie, bałam się odwiedzać pracownię, zwłaszcza że musiałabym chodzić tam sama.

- Masz na myśli modelki, którym nie musieliście płacić - uściśliłam.

- No tak - skrzywił się. Wydawało się, że miał za nic mój poważny nastrój. - Skoro już o tym wspomniałaś, zastąpienie was rzeczywiście stało się zbyt kosztowne. A jak dodamy do tego wszystkie te błędy w rachunkach, to okaże się, że romans kosztował naszą pracownię miesięczne zlecenia.

- Cóż za romantyczne spojrzenie na życie - powiedziałam.

- Nie wszyscy są romantyczni - wzruszył ramionami. - Na przykład ty. Nie mogę sobie wyobrazić ciebie, jak płaczesz w kotary i śpiewasz serenady.

- Nikt nigdy nie dał mi ku temu powodu - wyjaśniłam.

- I nikt nigdy ci nie da. Takie rzeczy zdarzają się tylko ludziom, którzy tego szukają - powiedział. - Ernst i Helene urodzili się, aby przeżyć przeklętą miłość.

Ta rozmowa przypomniała mi się po latach, kiedy Ernst już nie żył, a moja siostra pograżała się w smutku. Ale wówczas pomyślałam tylko z goryczą, że moja siostra, po raz kolejny, wszystko doskonale obróciła na swoją korzyść.

Przez chwilę milczeliśmy, rozmyślając o swoim rodzeństwie. Przynajmniej ja o tym myślałam. Nie miałam pojęcia, gdzie wędrują myśli Gustava, ale nagle wystąpił z czymś, czego się nie spodziewałam.

- Pruderia seksualna klasy średniej - powiedział. - Nie mam do tego cierpliwości.

- Co?

Te słowa, wypowiedziane głośno, zaszokowały mnie, ale okazać to znaczyłoby przyznać się do tego, o czym mówił.

- Twoi rodzice - powiedział. - Tacy interesujący ludzie. Oświeceni i kulturalni. Wołają: wspierajmy artystów! Ale niech się trzymają z daleka od naszych córek.

- Oni troszczą się o jej przyszłość - wyjaśniłam, zastanawiając się, czemu ich bronię.

- A dlaczego przyszłość nie może być inna? - zapytał. - Dlaczego kobieta i mężczyzna nie mogą się pokazywać razem, bez obawy, że zniszczy to ich reputację?

- No właśnie, dlaczego? - zgodziłam się z nim. - To się może zmienić.

- To się zmieni tylko wówczas, gdy ludzie tacy jak my wskażą innym drogę.

Zastanawiałam się, czy to była jakaś prośba skierowana do mnie. Nie miałam jednak ochoty w najbliższym czasie narażać na szwank swojej wolności.

Gustav malował świat pozbawiony hipokryzji, w którym ludzie byli wolni i mogli kochać, kogo chcieli, niezależnie od wieku, klasy społecznej czy stopnia zamożności, ale już wówczas zastanawiałam się, czy był naprawdę zainteresowany przemianą społeczeństwa dla dobra wszystkich, czy tylko

chciał robić to, co sprawiało mu przyjemność, i nie podlegać z tego powodu krytyce. Oboje udawaliśmy, że dyskusja jest akademicka.

Rozdział 9

Nie przepadałam za ślubami, sama nigdy żadnego nie brałam. Niemniej zaprojektowałam wiele ślubnych strojów. Śluby są do siebie bardzo podobne, niezależnie od tego, czy pan młody jest rzeźnikiem, czy arystokratą, czy panna młoda jest w ciąży, czy jeszcze dziewicą. I z jakiejś przyczyny to podobieństwo satysfakcjonuje ludzi. Kwiaty to zawsze białe lilie; o ile ojciec panny młodej nie jest chory, jej suknia to biała kula kwiatu kaliny; narzeczony, blady i zdenerwowany, pewnie upuści obrączkę przed kościołem; panna młoda płacze, grają Handla. Podczas mojej długiej kariery zawodowej cały czas miałam nadzieję, że chociaż jedna panna młoda przyjdzie do mojego salonu i poprosi o suknię w kolorze trawiastej zieleni, nigdy jednak nic takiego się nie wydarzyło.

Po dwóch latach Helene i Ernst pobrali się. W ciągu tego czasu Ernst bywał częstym gościem w naszym domu. Czasami przychodził z nim Gustav i wtedy we czwórkę śpiewaliśmy lub grali w karty. Chociaż często przebywaliśmy w czwórkę, między mną i Gustavem nie było nawet cienia romansu. Dość szybko zapomniałam o naszym pocałunku, a nawet inaczej, pamiętałam go jako coś odległego i głupiego. Zająłam się zupełnie innymi sprawami: w szkole zaprzyjaźniłam się z dziewczynką, której matka zamawiała ubrania w Paryżu i wcale jej nie przeszkadzało, że wyjmowałyśmy je z szafy i oglądałyśmy; odkryłam Baudelaire'a i innych francuskich poetów; no i zakochałam się.

Zakochałam się nagle, jak to mają w zwyczaju uczennice, w chłopaku, który mieszkał na sąsiedniej ulicy. Ojciec Fritza prowadził sklep spożywczy. Spotkaliśmy go w towarzystwie jego rodziny na ulicy i nagle zaczęłam widywać go wszędzie: na schodach, w Volksgarten, w mojej ulubionej cukierni. Po pewnym czasie zaczął zostawiać dla mnie prezenty w jednej z wielkich urn, które stały po bokach przy wejściu do naszego

domu: listy, bukietki fiołków, marcepan. Od początku wiedziałam, że za kilka miesięcy czeka go wojsko, i to sprawiło, że nasza znajomość stała się bardziej romantyczna. Kiedy poszedł do wojska, wciąż płakałam i nieustannie pisałam do niego listy. Przez kilka miesięcy korespondowaliśmy, ale potem cała sprawa umarła śmiercią naturalną. Nigdy się nie pocałowaliśmy ani nawet nie dotknęliśmy swoich dłoni, ale czułam, że ta znajomość zmieniła mnie, stałam się kobietą.

Po ceremonii zaślubin Helene i Ernsta w naszym domu odbyło się przyjęcie weselne. Moim zadaniem było chodzenie z pokoju do pokoju z tacami dojrzałych brzoskwiń i wydrylowanych wiśni. Nie cierpiałam z tego powodu; mogłam zrobić coś pożytecznego i miałam okazję przywitać się i porozmawiać z każdym z gości. Dzięki temu nie byłam skazana na towarzystwo naszych ciotek, które nosiły staroświeckie berety i uważały, że uroczystość trwała stanowczo za długo, nie mogły się też pogodzić z myślą, iż Helene przeszła na katolicyzm. Tyle że może ich synowie dostaną rządowe posady.

Obie z Pauline miałyśmy na sobie suknie z organdy w kolorze błękitu, nałożone na krępujące ruchy gorsety z fiszbinami, które kosztowały majątek i okropnie nas grzały, a także irytowały, ale w inny sposób nie dało się osiągnąć tego, aby nasze talie miały w obwodzie sześćdziesiąt centymetrów. Powinny właściwie mieć pięćdziesiąt centymetrów, ale to było niemożliwe. Nawet gorsety nie sprawią cudu. Suknie miały bufiaste rękawy spływające kaskadowo z obcisłych karczków, a ja ciągle się niepokoilałam, że pobrudzę je jedzeniem znajdującym się na tacach. Pauline, przechodząc koło mnie, za każdym razem posyłała mi cierpiętniczy uśmiech i wiedziałam, że martwiła się tym samym.

Gustav fotografował Helene i Ernsta stojących przed kominkiem i wokół zgromadzili się goście weselni, aby na to popatrzeć. Przedsięwzięcie było skomplikowane, wymagające użycia statywu, czarnej tkaniny, towarzyszyły mu też wybuchy magnezji. Gustav odgrywał rolę magika. Helene miała na sobie koronkowy welon naszej mamy, zrobiony przez zakonnice z klasztoru we włoskich Alpach, suknię z chińskiego jedwabiu z narzutką z organdy zaprojektowaną przez znajomego krawca Gustava. Wyglądała jak portret cesarzowej pędzla Winterhaltera, w najlepszym i najgorszym tego słowa znaczeniu. Ciotki nie mogły znaleźć w jej wyglądzie niczego, co dałoby się skrytykować, a to znaczyło, że jej strój był absolutnie konwencjonalny.

Kiedy spektakl fotograficzny dobiegł końca, wszyscy ochoczo napełnili talerze pieczoną wieprzowiną z sosem cebulowym, pierożkami z kiełbasą i pleśniowym serem zapiekany w cieście. Przy stole w jadalni było miejsce na dwadzieścia cztery osoby, a ci, którzy się nie zmieścili, stali oparci o ścianę.

Pauline i ja pobiegłyśmy na schody, gdzie mogłyśmy rozpiąć sobie gorsety i zjeść w spokoju.

- Pamiętasz, jak się tu wprowadziliśmy? - zapytała Pauline, przyciskając czoło do lakierowanego drewna balustrady. - Wsadziłaś głowę między szczebelki i bawiłyśmy się w Marię Antoninę.

- Uważaj, bo zostaną ci rowki na skroniach - powiedziałam. - Ludzie będą ci się przyglądać.

- Już się przyglądają - odparła.

- Pamiętam, jak wszystkie trzy schodziłyśmy po schodach do wyobrażonych witających nas na dole tłumów, owinięte w tureckie szale mamy - powiedziałam z ustami pełnymi jedzenia. - Ależ musiała się z nas śmiać!

- A teraz proszę, stare panny roznoszące tace z jedzeniem
- skwitowała Pauline.

- Masz dopiero dwadzieścia trzy lata - zaprotestowałam
zdziwiona. - Nie jesteś starą panną.

- Mam tylko nadzieję, że nie będę musiała zostać
piastunką, na którą niemowlaki będą pluć jarzynową papką.

- Oczywiście, że nie - zapewniłam ją. - Wyjdiesz za męża
za jakiegoś wybitnego adwokata. Będiesz udawała, że mnie
nie znasz, jak się spotkamy na ulicy.

Udało mi się ją rozśmieszyć.

- Nie wyglądam jak Helene - powiedziała.

- Pomyśl o wszystkich dziewczętach ze swojej klasy -
zachnęłam się. - Żadna nie jest tak piękna jak Helene, a jednak
po kolei wychodzą za męża.

Uważałam, że była wobec siebie niesprawiedliwa.

- Nie mów takim protekcyjnym tonem - powiedziała
nagle. - Ty także nie wyjdiesz za męża.

- Co takiego?

Poczułam się, jakbym dostała w twarz.

- Będziesz się opiekowała mamą i tatą i zarabiała na życie
szyciem.

- Jesteś szalona - powiedziałam i nagle poczułam, że cała
drzę.

- Ta trójka nie pozwoli ci nikogo poznać - powiedziała.
Wiedziałam, kim była ta trzecia osoba, ale udawałam, że nie
mam pojęcia.

- Gustav lubi mieć cię obok, aby z tobą flirtować.
Zniszczy wszystko, zanim cokolwiek się zacznie.

- A Fritz? - zapytałam zaczepnie. Roześmiała się
nieprzyjemnie.

- To już zupełnie inna bajka, nie ma nic wspólnego z
twoimi uczuciami. Jesteś zakochana w Gustavie.

- Nie jestem.

- Obie z Helene myślałyście, że jesteście takie sprytne, myślałyście, że nie wiem, gdzie chodzicie przez te wszystkie miesiące? Nie pamiętasz, że to za moje pieniądze kupowałyście bilety?

Wiedziała, rzecz jasna, o wszystkim. Ja i Helene przeżywałyśmy wielką przygodę, a ją zostawiłyśmy samą. Zaliczyłyśmy ją do kategorii osób, którym nie można ufać. Okłamałyśmy ją, tak jak okłamałyśmy rodziców, jakby była jakąś ciotką pogrążoną w staropanieństwie. Nie dałyśmy jej szansy uczestnictwa, dzielenia naszego sekretu, spotkania kogoś. A ona nie powiedziała ani słowa, nie wydała nas, a my sądziłyśmy przez cały czas, że jesteśmy takie inteligentne. Nic dziwnego, że mnie nienawidziła.

- Przepraszam - powiedziałam cicho.

Kiełbaski na talerzu zanurzone były w zakrzepłym tłuszczu i nie wyglądały już apetycznie.

- Gustav kocha tylko siebie. Lubi być podziwiany. Ale nie interesuje go nic takiego.

Gestem dłoni wskazała girlandy z narcyzów zdobiące balustradę schodów.

- Kto powiedział, że chcę wyjść za niego za mąż?

- A nie chcesz?

- Instytucja małżeństwa utrwała podporządkowaną pozycję kobiet.

- Obudź się, Emilie. To życie utrwała podporządkowaną pozycję kobiet. Tak to wygląda.

- Ale tak nie powinno być.

- A co będziesz robiła, jeśli nie wyjdiesz za mąż? Jak będziesz żyła?

- Na pewno nie będę się opiekować mamą i tatą ani cerować czyichś skarpet, tego jestem pewna.

- Oby ci się udało. Mam nadzieję, że masz jakiś plan.

- A ty jakie masz plany, jeśli już o tym mówimy?

- Księgowa - powiedziała. - Może w aptece. Może u krawca. Jakieś małe mieszkanko, geranium w skrzynkach na oknie, kotek. Wiem, czego mogę oczekiwać, a co jest poza moim zasięgiem. To mnie zadowoli.

Wstałam, zostawiając na schodach talerz z niedojedzonymi resztkami. W połowie drogi ze schodów przypomniałam sobie, że ktoś musi mi zapiąć gorset. Czulałam się upokorzona, wracając, ale nikt inny nie mógł tego zrobić.

Pauline stała oparta o balustradę i patrzyła w dół. Miała zgarbione ramiona, jej pozbawione połysku włosy wymykały się spod upiętego koka. Przez sekundę zobaczyłam ją jako starą kobietę z artretyzmem, syjamskim kotem i bluszczem w salonie. Poczulałam żal.

- Możemy pomalować twoje skrzynki na geranium - powiedziałam. - Zrobię szablony w kształcie kwiatów i liści, pomalujemy je na różowo i czerwono, będą wyglądały jak przywiezione prosto ze wsi.

- Zapomnij o wszystkim, co powiedziałam - poprosiła. - Ten ślub po prostu pomieszał mi w głowie. Co ja właściwie wiem?

Biedna Pauline, przewidziała przyszłość, jeśli nie moją, to na pewno swoją. Prowadziła księgowość, ale w moim salonie, a nie w jakimś paskudnym, obskurnym sklepie z męskimi kapeluszami. Przynajmniej miała swoje miejsce obok salonu zamiast zimnego mieszkania wynajmowanego wraz z umeblowaniem. Przynajmniej nigdy nie zaznała biedy. Jej koty były dziećmi pręgowanego kota Gustava. Słyszała z hodowli storczyków.

* * *

Kiedy wróciłam do obowiązków przy gościach, Gustav sadowił właśnie na fotelu swojego ledwo poruszającego się ojca. Później przełożył nuty pianistce, która grała Haydna. Prawił komplementy zrzedzającym ciotkom, czym wywoływał

ich śmiech i rumieńce. Był wszędzie, dosłownie wszędzie, tylko nie tam, gdzie byłem ja.

Nagle poczułam się brzydka. Pomyślałam, że moje włosy za bardzo się kręca. Może powinnam wyprostować je żelazkiem. Mimo różnych zabiegów na nosie pojawiły mi się piegi i wcale nie chciały zniknąć, bez względu na ogromne ilości zużytego soku z cytryny. Miałam okrągłe policzki, a figurę zdecydowanie nie taką, jakie lubił Gustav. Zapowiadałam się na kobietę przy kości, może nie o rubensowskich kształtach, ale z pewnością nie w stylu Klimta. Pomyślałam o Minnie i Heldze i ich splecionych ciałach. Bałam się ich. Bałam się być taka jak one.

Chciałam usiąść i rozplakać się, i to bynajmniej nie okolicznościowym płaczem dziewczynki, której siostra właśnie wyszła za mąż, a jej kawaler odjechał pociągiem do Grazu. Tymczasem zajęłam się jednak sprzątaniem talerzy, póki nie usłyszałam pierwszych taktów walca Straussa. Przepisnęłam się przez tłum, aby zobaczyć, jak Helene tańczy z Ernstem. Moja siostra wirująca w tańcu z mężem była blada i pełna gracji niczym porcelanowa figurka. Jak słusznie zauważyły ciotki, Ernst nie był najlepszym tancerzem. Wszystko, co potrafił, to obracać się w tańcu. Czy ktoś słyszał o panu młodym, który nie umie tańczyć? Nawet robotnicy ziemni mieli swój bal karnawałowy, na którym tańczyli jak książęta.

Spódnica Helene trzepotała w powietrzu niczym skrzydła łabędzia. Goście zaczęli klaskać.

Spojrzałam na Gustava, a on skinął mi lekko głową. Chciał ze mną zatańczyć.

- Pocałuj mnie, mała siostrzyczko, jesteśmy teraz rodziną
- powiedział, kiedy podeszliśmy do siebie, i musnął moje włosy ustami.

To była bezczelność, wszyscy musieli to zauważyć. Nie mogłam go rzecz jasna pocałować, ani we włosy, ani gdzie indziej. Czułam jednak miejsca, w których dotykały się nasze ciała: dłoń w dłoni, czoło przy czole, ramię przy ramieniu. Jego dłoń na mojej talii była gorąca i topiłam się pod jej dotknięciem jak brąz w formie. Czasami ocierałam się sukienką o jego marynarkę.

- Nie przypuszczałem, że tak bardzo lubisz tańczyć - powiedział.

- Chyba wszyscy lubią.

Teraz mogłabym go pocałować, tutaj, na oczach wszystkich.

- Tylko nie Ernst - roześmiał się. - Próbowałem go w zeszłym tygodniu nauczyć tańczyć w pracowni. Nie potrafił liczyć kroków. To takie upokorzenie dla naszej rodziny.

- Możemy spróbować odbijanego - powiedziałam, chociaż była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam. - Wydaje mi się, że Helene kręci się już w głowie.

- Co takiego? Masz mnie już dosyć?

Czułam jego oddech na policzku. Widziałam pulsującą pod skórą tętnicę szyjną. Przed tańcami palił z moim ojcem fajkę; jego marynarka pachniała goździkami i gałką muszkatołową. Jego usta były tak blisko mojego policzka, że przez moment wstrzymałam oddech.

Odsunął się o parę centymetrów.

- Masz rację. Albo ich uratujemy, albo potrzebne będą sole trzeźwiące i gotowy niewielki skandalik.

Przerwaliśmy taniec i rozdzieliliśmy Helene i Ernsta.

- Jestem zdumiona, że zgodziła się wyjść za ciebie - powiedziałam Ernstowi, kiedy miotał się ze mną po salonie. - Był szczuplejszy od Gustava i ledwo wyczuwałam jego rękę na swojej talii. Jego dłoń w mojej była gorąca. - Chyba że jej tego nie powiedziałeś.

- Och, ostrzegałem ją - wyszeptał. - Powiedziała, że to nie ma znaczenia.

- To znaczy, że bardzo cię kocha - orzekłam - bo naprawdę jesteś okropnym tancerzem.

- Wiem - przyznał. - Nie zasługuję na to. Miałem szczęście. Ale obiecuję, że będę się nią opiekował.

- Mam nadzieję. Nigdy więcej nie chcę słyszeć, jak śpiewa kantatę Bacha.

- Teraz, kiedy my jesteśmy już szczęśliwym małżeństwem, może powinniśmy znaleźć kogoś dla ciebie.

Z taką dumą wypowiedział „my”, jakby przygotowywał się do tego całymi tygodniami.

- Nie ma potrzeby. Sama sobie kogoś wybiorę.

- Nie, nie - był najwyraźniej podekscytowany tym pomysłem. - Zaraz rozejrzę się po salonie.

To nie było trudne, ponieważ co chwila okrążaliśmy salon. Miałam tylko nadzieję, że jego wybór nie zrani mojej dumy.

- Co sądzisz o Josefie Maierze? - zapytał Ernst. - Jest utalentowanym portrecistą.

- Przyszedł tu w towarzystwie - powiedziałam, wskazując na dziewczynę o kasztanowych włosach, w sukni koloru wiśni.

- Dobrze, tu mamy Georga - szukał dalej. - Ale on tłucze najlepszą porcelanę, a poza tym za dużo pije.

- A zatem stanowczo nie Georg - zgodziłam się z nim. Nagle dość gwałtownie zatrzymał się w tańcu.

- Już wiem - powiedział. - Poczekaj tu, zaraz wracam.

Odeszłam na bok i rozejrzałam się. Helene tańczyła z tatą. Nigdzie nie widziałam Gustava. Zajrzałam do kuchni, gdzie wszystko już zostało pozmywane i posprzątane. W salonie Pauline odwracała nuty mamie, która grała na fortepianie. Nikt mnie do niczego nie potrzebował.

Ernst wrócił w towarzystwie tyczkowatego młodzieńca o blond włosach, tak samo czerwonego na twarzy z wysiłku jak ja. To był Franz, ich kolega z pracowni. Powinnam go w zasadzie już dobrze znać, ale tak się złożyło, że stale podróżował. W ciągu minionego roku widziałam go zaledwie parę razy.

- Myślałam, że jesteś w Grecji - powiedziałam, witając się z nim.

Franz malował Achillea w nowym pałacu cesarskim na Korfu.

- Cesarzowa znowu zmieniła zdanie - skrzywił się Franz.
- Muszę przerabiać wszystkie szkice. Już prawie od tygodnia jestem w pracowni.

- Zatańczcie - przerwał nam dość obcesowo Ernst. - Muszę poszukać Helene.

Franz nie był może najlepszym tancerzem, ale trzymał rytm i potrafił jednocześnie rozmawiać.

- Co się stało z Gustavem? - zapytał.

- A coś się stało? - zdziwiłam się. Wskazał głową kąt salonu.

- Przyszedł tu sam. To do niego zupełnie niepodobne. Przy kolejnym obrocie spojrzałam tam, gdzie wskazywał

Franz. Rzeczywiście, Gustav siedział na krześle pochylony, z brodą wspartą na dłoniach, i patrzył przed siebie jakby spode łba.

- Nie mam pojęcia - przyznałam.

- Może żałuje, że to nie on się żeni - zauważył sarkastycznie Franz.

- Bardzo zabawne - prychnęłam. - Uważasz, że to takie nieprawdopodobne?

Odsunął mnie lekko od siebie i spojrzał mi w oczy.

- Z nim ciągle powtarza się ta sama historia. Przychodzi do pracowni jakaś piękna dama, mówi, że jej mąż zażyczył

sobie mieć jej portret. Zanim się zdążysz zorientować, upuszcza uperfumowaną chusteczkę i Gustav już spędza z damą czas w hotelu Imperial. To trwa tygodnie, czasami miesiące. I nagle dama pojawia się zapłakana, robi scenę, mówiąc, że mąż ją zostawił i czy Gustav nie zechciałby się nią zaopiekować? Jak się okazuje, nabrała przekonania, że Gustav chce się z nią ożenić, chociaż on nigdy nie powiedział na ten temat ani jednego słowa, które mogłoby posłużyć za dowód w sądzie. Jest w tej materii bardzo sprytny. Nigdy nie daje się złapać w pułapkę. Obawiam się, że kiedyś jedna z takich kobiet chwyci sztylet i skończy z nim.

- Może jakaś tancerka?

Mówiłam sobie, że nie jestem tym zaskoczona. Zawsze wiedziałam, że takie kobiety istnieją. Niemniej serce zaczęło mi bić mocniej, boleśniej.

- Ciekawe, dlaczego nigdy żadnej z nich nie spotkałam - powiedziałam raczej do siebie.

- Gustav jest zawsze bardzo ostrożny, kiedy przyjmuje gości. No, prawie zawsze.

Byłam ciekawa, czy Gustav opowiedział mu o tym, jak wtargnęłam do pracowni, kiedy były w niej modelki.

- A więc żaden z jego romansów nie trwa długo?

- Czasami, kiedy trafi na kobietę podobną do niego. Ale nie powinienem w ogóle z tobą o tym rozmawiać. Gustav zabiłby mnie, gdyby się dowiedział.

- Bo przecież jestem małą siostrzyczką. Zupełnie nie wyczuł ironii w moich słowach.

- Siostry nie powinny wiedzieć o takich sprawach. Nie mów mu, żeśmy o tym rozmawiali.

Ponieważ wypito już dużo wina, ktoś zaczął się domagać ludowych tańców. Rozdzieliliśmy się z Franzem, wykonując skomplikowane figury w kole, w tańcu, który zainicjowała rodzina mojej matki pochodząca z Moraw.

- Muszę przyznać, że jesteś niezwykle opanowana - powiedział Franz, kiedy wróciliśmy do siebie. - Myślałem, że wszystkie panny płaczą, kiedy ich siostry wychodzą za mąż.

- Dlaczego miałabym płakać? - zdziwiłam się.

- Puste łóżko, brak jednego nakrycia przy stole, pakowanie grzechotek i dziecinnej pościeli.

- Mówisz, jakbyś recytował kiczowatą poezję.

- Starąłem się.

- No to przestań, bo naprawdę się rozplaczę.

- Twojej siostrze będzie się dobrze wiodło. Ernst jest najlepszym artystą z nas wszystkich.

To mi się nie spodobało.

- Gustav dostał nagrodę cesarską - zauważyłam.

- Nie zrozum mnie źle. Gustav jest bardzo zdolny. Bez wątpienia to najlepszy rysownik w naszej pracowni. Ale artysta musi mieć nie tylko umiejętności. Musi też zadowolić zleceniodawców. Musi mówić im to, co trzeba. Gustav się do tego nie nadaje. Jest nazbyt uparty, za bardzo zdecydowany, aby iść własną drogą. Ludzie nie są z niego zadowoleni. Straciliśmy z tego powodu kilka zamówień.

- Czy właśnie to powinien robić artysta, starać się zadowolić wszystkich, nawet za cenę piękna i smaku?

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinien się starać być miłszy dla ważnych osób. Wprawiać zleceniodawców w dobry nastrój. - Zwolniliśmy, tak że ledwo poruszaliśmy się w tańcu.

- Może powinnaś mu jakoś przemówić do rozsądku.

Nic nie powiedziałam. Pochlebialo mi przypuszczenie, że mogłabym mieć jakiś wpływ na Gustava, ale burzyłam się na myśl, że ktoś miałby go skłaniać do rezygnacji z jego ideałów. Bo na pewno nie ja!

- Nie jest ci za gorąco? - zapytał Franz, który źle zrozumiał powód nagłego rumieńca na mojej twarzy. - Może przyniosę ci coś do picia?

Posadził mnie na pluszowym fotelu w kącie salonu i zniknął w tłumie. Podeszłam do Gustava.

- No i jak? - zapytał. - Zaręczyłaś się już?

- Nie bądź śmieszny - zachnęłam się. - Tylko tańczyliśmy.

- Tylko tańczyliśmy - powtórzył. - Zawsze się tak mówi. Tylko rozmawialiśmy. Tylko tańczyliśmy. Tylko flirtowaliśmy. I nagle wznoszę toast na weselu.

- Czemu cię to obchodzi? - zapytałam.

- Bo Franz jest idiotą - powiedział.

- Myślałam, że się przyjaźnicie.

- Zależy mu tylko na zleceniach. Nie ma żadnych ambicji. Nie interesuje się tym, co dzieje się w Europie. Boi się popełnić błąd, boi się narazić tym kościotrupom w Kunstlerhaus.

Jeden z metalowych pręcików mojego gorsetu przebił bawełniany kanalik i uwierał mnie w zebro.

- Jak to się ma do tego, czy jest dobrym tancerzem, czy jest dobrym przyjacielem lub czy jest dobrym... - szukałam odpowiedniego słowa, ale nie znalazłam.

- Wiesz, że to ma znaczenie - powiedział. - Wiesz, że ma większe znaczenie niż wszystko inne.

Wiedziałam, ale nie chciałam przyznać mu racji.

- Chcę tworzyć wielką sztukę, sztukę, która jest warta zapamiętania - powiedział Gustav. Rzadko mówił z takim przekonaniem. - Niektórych ludzi może szokować lub wywoływać ich niechęć, ale innym pokazuje, co siedzi w mojej głowie. Emilie, gdybyś mogła robić wszystko, wszystko, na co miałabyś ochotę, co by to było?

Mogłam wybrać tylko jedną rzecz, pomyślałam.

- Chciałabym robić piękne rzeczy - powiedziałam. - Nie chcę realizować żadnej filozofii, chciałabym tylko, żeby na świecie było więcej piękna. Tylko tyle.

Spojrzałam na Pauline, która drapała się po plecach, podając na tacy herbatę jednej z ciotek. Spojrzałam na Helene, która wirowała na parkiecie w chmurze organdy.

- Może to byłyby stroje - powiedziałam. - Jak Worth. Gustav patrzył na mnie tak, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. Jego oczy zaśniły jak wtedy, gdy rozwiązywał jakiś niezwykle skomplikowany problem perspektywy.

- Z całą pewnością potrafisz - powiedział. - I będziesz to robiła.

- Nie bardzo mogę sobie to wyobrazić - powiedziałam. - To tylko marzenie, takie samo jak aktorstwo. Nawet nie umiem szyć.

- Nauczysz się - zapewnił mnie Gustav.

Rozdział 10

Kammer nad Attersee 15 grudnia 1944

Nasz domek zbudowany był z cegły, byle jak otynkowany i pachniał morzem. Dotknięcie jego fasady groziło podrapaniem sobie dłoni. Kiedyś dom był śnieżnobiały, ale czas i zaniedbanie zamieniły jego barwę na wyblakłą szarość mętnej wody. Dach był stromy, z czerwonej dachówki, która lśniła podczas deszczu. Niektóre dachówki połamały się, a między szczelinami pojawił się mech. Zwykle wokół domu rosły niecierpki, a we wszystkich oknach stały skrzynki z geranium, teraz wszędzie był mech. Mech, porosty i grzyby.

Zadaszona weranda wychodziła na jezioro. Jadaliśmy na niej śniadania. Nasi najbliżsi sąsiedzi znajdowali się poza zasięgiem głosu, ale mogliśmy ich obserwować z werandy. Rano rybacy, którzy odwiązywali łodzie, machali do nas na powitanie.

Na parterze była tylko niewielka kuchnia i duży salon, co najzupełniej nam wystarczało, ponieważ i tak większą część czasu spędzaliśmy na dworze. Moja matka ozdobiła salon indyjskimi muślinami i perkalem oraz japońskimi meblami. Na półce nad kominkiem pozostały miśnieńskie talerze i figurki ze Steuben. W kącie nadal stało pianino, a na stojaku na nuty otwarta partytura Liebestraume Liszta.

Na górę wchodziło się po wąskich, stromych schodach, które prowadziły do kilku sypialni, pokoików z niskimi sufitami, o dziwnych kształtach. Było ich sześć, jeden za drugim wzdłuż długiego korytarza. Podejrzewam, że ten nieszczęsny rybak, którego jedyny syn sprzedał nam dom, myślał, że będzie miał dużo dzieci. Dla nas każdy pokój był cenny, ponieważ często przyjmowaliśmy gości. Teraz sypialnie były puste, pobielone wapnem jak klasztorne cele, a materace na mosiężnych łóżkach pogryzione przez myszy.

Tuż obok ogrodu rósł brzozowy zagajnik, który pewnego roku posadził mój ojciec, aby osłonić dom od wiatru. Tamto lato było bardzo upalne, nawet na wsi, i kiedy ojciec kopał dołki, miał czerwoną, spoconą twarz pod osłoną kapelusza. Niektóre małe roślinki uschły i zmarniały mimo ciągłego podlewania, kilka lat później w jedno z drzew uderzył piorun i trzeba je było wyciąć, ale pozostało jeszcze kilkanaście brzózek, cienkich i bezlistnych o tej porze roku, zrzucających korę jak chorzy na łuszczycę i grzechoczących jak cygańskie wozy.

Z trudem przypominałam sobie czasy, kiedy dom nie należał do nas. Gdy nie miałam jeszcze trzynastu lat wynajmowaliśmy go od pani Thyssen, wdowy z miasta, której mąż zaginął na jeziorze i prawdopodobnie utonął. Po jej śmierci kupiliśmy go od syna; mieszkał w Salzburgu i nienawidził tego miejsca. Jako małe dziewczynki przechadzałyśmy się często brzegiem jeziora, szukając zaginionego rybaka. Myślałyśmy, że może jego kości bieleją gdzieś na brzegu, a przynajmniej miałyśmy nadzieję, że pewnego mglistego dnia jego duch wyłoni się przed nami z wody. Rybak był kimś w rodzaju naszego świętego patrona; trochę się go bałyśmy, ale uważałyśmy go też za przyjaciela. Pisałyśmy do niego listy i wiersze na kawałkach kory. Rzucaliśmy je na wodę niczym małe łódeczki, obserwowałyśmy, jak płyną, a potem toną, i wyobrażałyśmy sobie, jak zanurzają się coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie go znajdują. Nikomu o tym nie mówiłyśmy. Tata mógłby pomyśleć, że to makabryczne i niestosowne, i zagoniłby nas do polerowania stolarki.

Wśród zwitków brzozowej kory dobrze się płakało; mech pod nimi był miękki i gruby, a wiatr w liściach brzoź zawsze szumiał trochę ponuro.

Jeziro, długie i szare jak rtęć z rozbitego termometru, jest pochodzenia lodowcowego, a woda w nim niewyobrażalnie zimna, nawet w lecie. Teraz nie pływało już po nim wiele łodzi, tylko kilku rybaków łowiło karpie w sieci. Drobne cirrusy szybko podążały w kierunku Wiednia. Ciemne cumulusy pod nimi przesuwały się niemal równie szybko w odwrotnym kierunku. Po drugiej stronie jeziora widać było wioskę Unterach, której pastelowe domki rozsiane na wzgórzu przypominały kandyzowane owoce w pierniku. Dobiegł mnie jakiś dźwięk, który brzmiał, jakby ktoś przeciągał palcem po brzegu szklanki: krowie dzwonki.

Kiedy wstałam, buty grzęzły mi w gliniastym piasku. Powinnam wybrać drogę nad jezioro prowadzącą prosto z domu, a nie łązić po ogrodzie; była tam ścieżka wyłożona połamanymi kafkami. Pobrudziłam sobie pończochy. Nawet jeżeli sama je upiorę, Helene będzie narzekała i da mi do zrozumienia, że w czasie, który zmarnowałam na niszczenie pończoch, mogłam zrobić pięć pożytecznych rzeczy. To dość dziwny moment w życiu, kiedy mała dziewczynka, której szyła sukienkę do chrztu, zaczynała mnie pouczać.

Stałam na wzniesieniu, patrzyłam na jezioro i myślałam, że z taką ilością pomostów wygląda jak orbita z wieloma drabinami wiodącymi do środka, niczym piekło na rysunku Hieronima Boscha. Wszystkie pomosty wyglądały tak samo: wąskie, drewniane i chybotliwe. Nasz nie był inny. Rozpoznawałam go tylko dlatego, że wciąż powiewał na nim kawałek czerwonego materiału przywiązany do jednego ze słupków. To była chusteczka Gustava, spłowiata i brudna, ale jakimś cudem nadal tam wisiała.

Natomiast domki kąpielowe były bardzo różne. Letnicy, ludzie teatru i opery, urządzali tam dla zabawy pokoje, a nawet kuchnie. Zakładali też maleńkie klomby nad wodą i stawiali pergole porośnięte klematisem. Okoliczni mieszkańcy

mieli maleńkie chatki zbite z wyłowionych z wody desek. My nigdy nie myśleliśmy o sobie jako o letnikach; nasz domek kąpielowy był tak samo zgrzebny jak tutejsze, pomalowany na granatowo. Trzymaliśmy w nim łódkę wiosłową, wiosła, kajak i parę gumowych kół do pływania. Już dawno nie zaglądałam do środka, nie byłam więc pewna, czy wszystko tam jest, jak było.

Wyciągnęłam łódkę za ster. Biała farba łuszczyła się i lepiała jak wodorosty. Na jednej burcie zauważyłam głębokie zgniecenie. Nie pamiętam, kiedy powstało i dlaczego nikt go nie naprawił, może ktoś z nas wyciągał łódkę sam i uszkodził burtę, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Zebrałam trochę drewna i ułożyłam je na najsuchszym piasku, jaki mogłam znaleźć w pobliżu. Drewno było wilgotne i dymiło, kiedy je podpalałam, ale w końcu zajęło się. Wiatr dmuchnął mi prosto w twarz dymem w kolorze grzybów. Musiałam usypać z piasku niewielką zasłonę od wiatru, aby płomień nie zgasł. W domku kąpielowym znalazłam metalową puszkę z zaschniętą smołą. Postawiłam ją na ogniu, w nadziei że smoła rozpuści się i będzie jej można użyć do naprawy burty. Łódka leżała na piasku dnem do góry, wyglądała niezgrabnie i dziwacznie, jak przewrócony na plecy krab.

Lubiliśmy palić ogniska i piec przy nich kiełbaski na patykach.

Za moimi plecami pojawiła się Helene, otulona w szary szal i gruby granatowy sweter, w którym niemal cała znikła. Jej blada, zmęczona cera sprawiła, że przypominała mi postać narysowaną długopisem. Obruszyła się, że tak się jej przyglądam, i opatuliła się mocniej szalem.

- Drewno jest zbyt wilgotne, nie będzie się dobrze palić - powiedziała, drżąc. - Poczekaj z naprawą łódki na lepszą pogodę.

- Już się rozpałiło - zauważyłam i wrzuciłam do dymiącego ogniska jeszcze jedną gałąź, starając się przy tym nie kasłać.

- I tak jest za zimno, żeby wypłynąć na jezioro.

- Poczekam, aż smoła się rozpuści - powiedziałam. Może wiatr też się uspokoi.

- Poprosimy Heitzmanna, żeby zajął się tą naprawą w przyszłym tygodniu - zdecydowała Helene.

Bezlitośnie akcentowała każde słowo, co robiła zawsze, gdy była poirytowana. To wywołało mój upór.

- Nie rozumiem, dlaczego sama nie mogę się tym zająć, mam całe popołudnie - powiedziałam, z góry wiedząc, co mi odpowie.

- Mamy dużo roboty w domu i w ogrodzie.

- Mamy też morze czasu - uświadomiłam jej. - Jeśli nie wypielimy ogrodu dzisiaj, możemy to zrobić jutro. Jeśli nie wyczyścimy podłóg dzisiaj, możemy to zrobić jutro. Lub pojutrze. Albo za tydzień. Jakże to ma znaczenie?

- Jesteś dziecinna - powiedziała z niesmakiem i zostawiła mnie przy moim dymiącym ognisku.

Oczywiście smoła nie rozpuściła się do stanu płynnego. Łata, którą zrobiłam, była grudowata i niedopasowana, Heitzmann będzie musiał ją usunąć i zrobić nową, ale mało mnie to obchodziło. Nawet zapach rozgrzanej smoły był przyjemniejszy niż siedzenie w domu. Usiadłam na łodzi i patrzyłam w ogień.

O wpół do trzeciej Helene wróciła z kanapkami z serem.

- Zapomniałaś o jedzeniu - powiedziała.

Byłam potwornie głodna, to pewnie przez ten wiatr.

- Przyszła paczka - powiedziała.

Nie odpowiedziałam, bo miałam pełne usta, ale cokolwiek się wydarzyło, ona i tak sobie z tym poradzi.

- Uważam, że powinnaś pójść do domu i otworzyć ją - powiedziała.

Trzęsły się jej ręce. To mnie trochę zaniepokoiło. Czyżby coś złego?

- Od kogo? - zapytałam.

Wciąż usiłowałam podtrzymać ogień, ale wygasł już na dobre.

- Chodźmy - powiedziała.

Szłyśmy dróżką do domu gęsiego, Helene pierwsza, a ja za nią. Porosty na kamieniach były śliskie i w zadziwiająco jaskrawym, pomarańczowym kolorze. Krokusy, przyszło mi do głowy. Na wiosnę będą nam potrzebne krokusy. Ciekawe, czy żona Heitzmanna ma cebulki.

Helene potknęła się i skaleczyła sobie lewą rękę.

- Pokaż - poprosiłam. Pokazała mi zadrapanie, a ja pocałowałam ją w to miejsce. - Całe szczęście, że przywiozłyśmy bandaż.

Jej krew została na moich ustach.

- Może poprosimy Heitzmanna, kiedy znowu tu przyjdzie, żeby zrobił na tej dróżce coś w rodzaju poręczy - powiedziała Helene.

- Czemu go po prostu nie wynajmiesz, żeby nosił nas na dół i na górę? - zapytałam rozzłoszczona, ponieważ ja również chciałam go poprosić o zrobienie różnych rzeczy. - Czy ten biedak nie ma dość roboty przy dzieciach?

Okazało się, że to nie jest jedna paczka, ale kilka, które czekały ułożone na podłodze w salonie. Helene posadziła mnie na krześle i przynosiła jedną po drugiej, jak prezenty urodzinowe. Następnie usiadła wyczekująco na stołku na wprost mnie. Przecięłam sznurek i rozerwałam szary papier pakowy z pierwszej paczki. W środku była chińska spódnica z mojej kolekcji strojów. Jej opalizujące hafty zaśniły w ciemnym wnętrzu niby egzotyczny ptak.

- Myślałam, że Herta je sprzeda - powiedziałam. -
Potrzebujemy pieniędzy.

- Komu potrzebna jest teraz taka zabytkowa spódnica? - zapytała Helene. - Równie dobrze możemy ją wyrzucić.

- Zniszczy ją wilgotne powietrze - zmartwiłam się, wygładzając materiał.

Nagle wyobraziłam sobie Helene w naszym salonie, w tym okropnym momencie, kiedy zdejmowałyśmy wszystko ze ścian, jak zbierano rzeczy i chowała, chyba że czegoś naprawdę potrzebowałam. Pod wpływem tych wspomnień popłynęły mi z oczu łzy, moja maska pękła jak zbyt mocno wypalona porcelana. Usiłowałam się uspokoić, a Helene pomagała mi w tym, patrząc przez okno na jezioro.

- Mało mi serce nie pękło - powiedziała - kiedy widziałam cię w pociągu tylko z tą teczką. Kazałam więc Hercie to wszystko przysłać.

Herta była naszą ostatnią szwaczką. Potem, ponieważ nie potrafiłyśmy się z nią rozstać, została naszą gospodynią. Po naszym wyjeździe opiekowała się moim mieszkaniem.

- Dziękuję - powiedziałam, usiłując zdobyć się na uśmiech. - Jesteś kochana.

Paczek było jeszcze kilka i otwierałyśmy wszystkie po kolei. Znalazłyśmy w nich dwie szkatułki z kutego srebra wypełnione pierścionkami i naszyjnikami; ręczne lustro inkrustowane szlachetnymi kamieniami; cztery pokraccie wyglądające drewniane lalki z siatkowymi parasolkami; srebrny puchar autorstwa Josefa Hoffmanna; drewnianą szkatułkę pełną metek z napisem „Schwestern Flöge” do naszych jedwabnych sukni. Na widok tych metek Helene się załamała.

- Wiem, że to oznaka słabości i zamiłowania do komfortu, ale tak bardzo kochałam nasz salon - pochlipywała. - Był taki piękny.

Usiłowałam zdusić w pamięci obrazy szarych filcowych dywanów i szaf pochodzących z Warsztatów Wiedeńskich.

- Może powinniśmy je przyszyć do klap, jak markę producenta - zaproponowałam.

Na dnie drugiej paczki znalazłyśmy list od Herty. Napisała, że przyjechali ciężarówką żołnierze i zabrali z naszego mieszkania wszystkie obrazy. Był z nimi Carl Moll.

Oświadczył, że zabiera je do tajnego magazynu, gdzie będą bezpieczne. Nasz budynek może zostać zbombardowany, a obrazy są zbyt cenne, aby je narażać na zniszczenie. Są naszym narodowym skarbem, naszym dziedzictwem.

- Zapewne wiszą teraz w jego mieszkaniu - powiedziała Helene.

- Jeśli przegramy, zostaną więc wysadzone w powietrze - zauważyłam. - Mieszka naprzeciwko Hofburga.

Tego wieczoru ubrałyśmy się do spania w czepki, zupełnie jak dzieci, gdy bawią się w przebieranki: czerwone, białe i złociste płótno wyszywane w tulipany i róże. Ozdobiłyśmy lustro przezroczystymi szalami. Na półce nad kominkiem postawiłyśmy dwie pary maleńkich brokatowych bucików, które należały kiedyś do chińskiej cesarzowej. Zupełnie nie mieściło mi się w głowie, jak mogła w nich chodzić dorosła kobieta. Może właśnie dlatego wszędzie ją noszono. Próbowałam ją sobie wyobrazić: maleńka, pełna wdzięku, o czarnych włosach, w stroju z jedwabnej satyny haftowanej w kwiaty lotosu i motyle, pod którym ostentacyjnie wyeksponowane były jej okaleczone stopy, najpiękniejszy szczegół całości.

- Może przyjdzie Święty Mikołaj i coś w nie włoży - zażartowała Helene.

Znowu śnił mi się Gustav. Pływał łódką na środku jeziora, wiosłował rytmicznie, a jego potężne ramiona za każdym zanurzeniem wiosł wyrzucały masy wody. A ja gdzie byłam? Płynęłam obok. Gustav pogwizdywał, jak zwykle podczas

wiosłowania, a ja z jakiegoś powodu byłam zmartwiona. Po chwili pozwolił łodzi dryfować.

- Tu jestem - powiedział.

Stał w łódce i zanurkował do jeziora. Czekałam, aż wypłynie. Pośrodku jezioro jest głębokie na sto metrów. Myślałam o biednym Thyssenie. Zanurkowałam za Gustavem, ale nigdzie go nie było. Przerazona, nurkowałam i nurkowałam, aż się obudziłam, z trudem łapiąc powietrze, mokra od potu.

Akt ciężarnej, 1890

Minna ma włosy o barwie szkarłatu alizarynowego opadające w puklach aż do pasa. Ich kolor pojawiał się w snach Gustava: nigdy nie widział nic równie pięknego. Malując je, używał roztworu soku z korzenia marzanny barwierskiej bez dodatku sjeny lub ochry. Nawet na ulicy jej włosy związane z tyłu głowy w węzeł i ukryte pod skromnym kapelusikiem jaśniały jak latarnia morska. Nie mogła ich ukryć, choćby nie wiem jak chciała. Jaka szkoda, że gdy ktoś umiera, nie można ocalić jego włosów, odcięte bowiem od siły życiowej, natychmiast tracą połysk. Dowodem na to są setki pukli w mysim kolorze zamknięte w medalionach.

Gustava tak samo fascynuje jej szkielet kostny, to, że ma takie wystające kości. Widoczne są nawet ścięgna okalające jej biodra. Kości policzkowe przypominają ostrza dzid naszych alpejskich przodków. Wygląda na więcej niż dwadzieścia lat. Ponieważ jest teraz w ciąży, jest bledsza niż zwykle, a pod oczami ma niebieskie cienie. Brzuch, już wielki, wystający, wygląda jak fragment innego ciała. Wydaje się, że jest za słaba, aby go dźwigać. Gustav uważa, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek, uwielbia wszystko, co w niej ekstremalne: bladość, jej powiększającą się macicę, wątlność. Fizycznie jest bliska katastrofy. Czasami krwawi. Powinno się ją położyć do ciepłego łóżka, przysłać pielęgniarkę, która podałyby jej supę i lekarstwa, ale to nie wchodzi w grę. Rodzice wyrzucili ją z domu i nie ma żadnych dochodów poza pieniędzmi od Gustava. Dla niego jest to nie lada dylemat: zatrudnia ją, by móc jej płacić, choć wie, że praca jej szkodzi. Ale ona mówi, że nie przyjmie żadnej jałmużny.

On nie jest ojcem. Tak mu powiedziała, a ona nie kłamie. Inna kobieta byłaby do tego zdolna, mogłaby mnożyć cyfry w swojej głowie i uśmiechać się. Ci dwoje rozumieją się nawzajem, podobnie jak twardą rzeczywistość, której są

dziećmi. Oboje rozumieją, że on zostawi to za sobą, a ona nigdy nie zapomni. Ona nigdy jednak nie miała o to do niego żalu. Tak ma być i nie ma co robić zamieszania. Daje jej pracę. Są kumplami.

Minna wspina się na podest stojący na środku pracowni, a błękitna tkanina spowijająca jej ciało opada na podłogę. Gustav postawił na podeście krzesło, siada więc na nim. Rozstawia szeroko nogi, potem łączy je. Klęka na krześle i zwija się w kłębek. Siada na jednej podwiniętej nodze. Pozuje, zmienia układ ciała. Wie, jaki ruch Gustav lubi, jaką przestrzeń. Inni artyści gustują w rzeczach ładnych i symetrycznych, a on woli niezgrabne, nawet brzydkie. Nietrudno o niezgrabność i brzydotę, gdy jest się w siódmym miesiącu ciąży.

- Dobrze się czujesz? - pyta po kilku minutach.

W pracowni bynajmniej nie jest ciepło. Od czasu do czasu wstrząsają nią dreszcze. Włoski na jej ramionach zjeżyły się, widać je pod światło. Nie chce, aby zemdląca na podeście lub wydała na świat dziecko w rytmicznych skurczach na sosnowych deskach. Nie myśli o tym, że mogłaby umrzeć.

- Wszystko w porządku - mówi. Pozuje, zmienia pozycje.

- Jadłaś coś dzisiaj?

- Inaczej bym nie wytrzymała.

- Gdzie sypiasz? Skrzywiła się.

- A jak myślisz?

- Jak się ma nasz przyjaciel pan Bachman?

- Jest bardzo niezadowolony. Obawia się, że mój stan zostanie zauważony i będzie miał kłopoty ze znalezieniem odpowiedniej żony.

Gustav prosi, aby zrobiła przerwę, wypić herbatę, zjadła bułkę. Gdyby jej nie powiedział, że chce odpocząć, mogłaby pozować godzinami. Gdy ona krząta się w kuchni, on

koncentruje się na poprawianiu szkiców, przyciemnia, cieniuje, wyciera coś gumką.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszła, to mi powiedz - mówi, wróciwszy z kuchni z bułką w ręce i w ustach. - Zrozumiem.

To normalne, że zwalnia się ciężarne modelki w przyptywie złości lub wyrzutów sumienia albo dlatego, że już nie są potrzebne. Ich ciał nie można pokazywać na obrazach.

- Nie bądź głupia - obruszył się. - Potrzebuję cię. Widzisz tu kogoś innego?

Opuściła głowę i spojrzała na niego szybko, a potem znowu spuściła oczy, co nadało jej wygląd zawstydzonego dziecka.

- Wyglądam jak tłusta baba na imprezie towarzyszącej.

- Może zainteresuje cię, że postanowiłem zrobić twój portret. Coś w rodzaju alegorii nadziei.

Minna patrzy na niego z niedowierzaniem. Niektórych jego pomysłów nie rozumie.

- Nie możesz zrobić mojego portretu. Zwariowałaś?

Nadzieja. Jak może symbolizować nadzieję, skoro tak mało nadziei w jej życiu? Urodzi to dziecko. Przeżyje poród, jeśli będzie miała szczęście. Pan Bachman nie ożeni się z nią. Rodzice nie zgodzą się, aby wróciła. Szybko straci urodę na skutek ciężkiego życia. I co wtedy? Praca w fabryce? Prostytucja? A co się stanie z dzieckiem? W duchu modliła się o syna.

- Będę potrzebował więcej sesji z tobą. Będziesz jeszcze grubsza, jak myślisz?

- Grubsza? Tak, będę grubsza. - W jej głosie brzmi gorzkość i ironia. - Wkrótce będę większa niż ta pracownia.

Gustav pogłaskał ją po ramieniu.

- I jeszcze coś. Możesz tu zostać na jakiś czas, jeśli potrzebujesz.

- Powiedziałaś ci, gdzie mieszkam.

Nie chodziło jej o seks, lecz o przysługę, którą chciał jej wyświadczyć.

- Gdyby coś się wydarzyło - powiedział.

Zsuwa koszulę z jej ramion. Ma nabrzmiąte piersi.

- Zgoda, możesz mnie malować, jeśli naprawdę chcesz - mówi. - Ale nie ma potrzeby, żebym tu zamieszkała.

Gustav idzie wysłać telegram do matki, że będzie pracował całą noc. Ona bardzo się niepokoi, gdy nie nocuje w domu.

Kiedy wraca, zastaje Minnę leżącą na podium. Jedną kołdrę z gęsiego pierza rozpostarła na deskach, a drugą się przykryła. Nie jest pewien, czy jest to zaproszenie. Kładzie się jednak obok niej, a wtedy ona coś mruczy i odwraca się. Siada na niej okrakiem, przyciska się do jej brzucha, który nie jest już miękki i elastyczny. Gruba kapsuła ochronna pod jej skórą zabezpiecza płód przed ciężarem ciała Gustava. To go podnieca i powoduje, że pchnięcia stają się bardziej gwałtowne. Minna krzywi się z bólu.

- Zabijesz je - mówi i przez chwilę gwałtownie chwyta oddech, a potem dodaje: - Może to nie byłoby zresztą takie złe.

Po wszystkim Gustav przykłada ucho do jej pępka, aby posłuchać bulgotania z głębi brzucha.

- Nic mu nie jest - mówi. - Podobała mu się ta zabawa.

- Szkoda - wzdycha Minna, przekręcając się na bok.

Po chwili Gustav słyszy zmianę rytmu jej oddechu; zasnęła głęboko. Dokłada drewno do pieca i idzie do domu.

Rozdział 11

Rok później Gustav, Ernst i Franz otrzymali propozycję opracowania projektu malowideł sufitowych do auli nowego uniwersytetu. Tematem miały być przedstawienia alegoryczne czterech fakultetów: Teologii, Filozofii, Medycyny i Prawa, usytuowane wokół środkowego obrazu, który miał ukazywać znaczenie i działalność uniwersytetu. Artyści przenieśli się do nowej pracowni w Josefstadt, gdzie mieli ogród i znacznie więcej miejsca do pracy. Zaczęli przygotowywać kolorowe szkice do prezentacji przed komisją artystyczną Ministerstwa Oświaty. To było wyjątkowo prestiżowe zamówienie i wszystkim trzem bardzo zależało, aby je uzyskać. Zwłaszcza Ernst ciężko pracował. Moja siostra właśnie urodziła córeczkę, której dali na imię Helene, i młody ojciec czuł ciężar odpowiedzialności za rodzinę.

I nagle się rozchorował. Pracował tak długo, jak mógł, ale po kilku tygodniach przestał przychodzić do pracowni. Zauważyłam, że jest jeszcze chudszy niż zwykle. Kiedy wieczorami grywałam z Helene w karty, jego donośny kaszel dochodzący z góry doprowadzał nas do rozpacz. Obie kuliliśmy się przy każdym jego ataku. Ponieważ Ernst nie pozwalał Helene wzywać doktora, ich córeczka, która miała już sześć miesięcy, zamieszkała u nas w domu, gdzie była bezpieczna.

Mówił, że nie trzeba się nim przejmować. Gdyby to dziecko się rozchorowało, wtedy byłby powód do zmartwienia. Pocieszał nas, że chorował już wiele razy; jako mały chłopiec trzy razy miał zapalenie płuc i dwa razy koklusz. I zawsze ze wszystkiego wychodził.

Kiedy wreszcie zbadał go lekarz, okazało się, że ma szkarlatynę. Ernst martwił się przede wszystkim tym, że Helene mogła się od niego zarazić, ale ona nie chciała go zostawić. Jak się wkrótce okazało, to on zostawił ją.

Był grudzień i o trzeciej po południu panował już zmrok. Grabarze musieli użyć oskardów, aby wykopać grób. Gustav stał między swoją matką a Helene, ale nie byłam pewna, kto kogo podtrzymywał. Zajął miejsce z drugiej strony Helene, która stała wyprostowana i sama, bez mojej pomocy, trzymała na rękach dziecko. Nie patrzyła na mnie i nikt z nas nie odezwał się ani słowem.

Wiedziałam, że oba wychudzone, wymizerowane ludzkie wraki obok mnie zmagają się z poczuciem winy, że nie zrobiły wszystkiego, co mogły zrobić. Gustav nie odwiedził Ernsta ostatniego dnia; wydawało się bowiem, że poczuł się już lepiej. Helene zadręczała się myślą, że gdyby wcześniej wezwała doktora, może udałoby się go uratować. Nie było sposobu, aby ich przekonać, że jednak zrobili wszystko, co było w ich mocy. Chcieli winić siebie, bo przychodziło im to łatwiej niż obwinianie Boga.

Ksiądz był młody i po raz pierwszy odprawiał uroczystości pogrzebowe. Sutanna wzdymała się na wietrze wokół jego chudych nóg, a on utkwiał wzrok w modlitewniku, do którego włożył kartkę papieru zapisaną drobnym pismem. Usiłował przekazać nam słowa pociechy, mówiąc, że był jakiś powód przedwczesnej śmierci Ernsta, że Bóg musiał go tam u siebie potrzebować, ale wydawało się, że sam nie wierzył w to bardziej niż my. Na końcu błagał nas, abyśmy nie tracili nadziei, umieli przebaczać i wierzyli w łaskę Boga. Słyszając to, Gustav splunął na ziemię i biedny ksiądz aż cofnął się gwałtownie, jakby spodziewając się ataku.

Gustav wystąpił krok do przodu, aby wygłosić mowę pożegnalną. Trzymał w ręku pogniecioną kartkę papieru, ale nie patrzył ani na nią, ani na nikogo z żałobników. Wzrok miał utkwiony gdzieś w dalekiej przestrzeni, jakby w klejnocie, na którym poszukiwał skazy.

- Mój brat - powiedział - był głupcem. Idealistycznym, optymistycznym, radośnie uśmiechniętym głupcem.

Słyszając te słowa, Helene spojrzała na mnie przerażona, a inni żalobnicy zaczęli przestępować z nogi na nogę, jakby nagle poczuli, że mają za ciasne buty, ale nikt nie wykonał żadnego ruchu, aby powstrzymać Gustava.

- Dorastał w biedzie - kontynuował - ale to nie uczyniło go zgorzkniałym. Jako dziecko często chorował, ale rzadko grymasił. W szkole artystycznej nawiązał wiele przyjaźni i nigdy z nikim nie rywalizował, nie obgadywał nikogo ani nie plotkował. Wręcz przeciwnie, pomagał innym w pracy kosztem własnego czasu, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że poprawiając im stopnie, działał w pewien sposób przeciwko sobie. Dzielił się swoimi materiałami nawet wtedy, gdy nie było go stać na kupno wszystkiego, czego sam potrzebował. Tak samo postępował w Kunstlerhaus i w pracowni, którą ze mną dzielił. Był znakomitym rysownikiem, lepszym ode mnie. Klienci lubili go, a on wiedział, jak z nimi rozmawiać. Wiedział, jak powiedzieć to, co chcieli usłyszeć. Wiedział, jak ich słuchać i powtórzyć to, co powiedzieli, dodając trochę artystycznego żargonu, aby mieli poczucie, że są inteligentni. I ze wzruszającym posłuszeństwem dawał im dokładnie to, czego chcieli, nawet jeśli chcieli czegoś prostego, dziwnego lub głupiego. Jego twórczość wcale przez to nie była mniej wartościowa, wręcz przeciwnie. Była konserwatywna, ale dobra. Nie był w stanie narysować złej kreski, nie potrafił położyć złego koloru. Miał szczególny dar rysowania postaci i przykładał graniczącą z obsesją wagę do detalu.

Jako człowiek był uczciwy, skromny i miły. Podczas gdy inni artyści zadawali się z aktorkami i tancerkami, on ożenił się z cudowną dziewczyną i został ojcem.

W tym momencie uniosłam utkwione w ziemi oczy i spojrzałam na grupkę artystów stojących po lewej stronie. Franz pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się do mnie blado.

- Robił wszystko tak jak trzeba - powiedział Gustav - i spójrzcie, co go za to spotkało.

Zapadła nieznośna cisza i wszyscy czekaliśmy, co jeszcze powie, mając żarliwą nadzieję, że to już wszystko, nawet jeżeli zakończenie miałoby brzmieć tak nihilistycznie. Biedny młody ksiądz wysunął się przed Gustava, gdy tylko okazało się, że skończył, i odczytał zachrypłym głosem fragment z Pierwszego Listu do Koryntian.

Kiedy było już po wszystkim, Helene rzuciła na trumnę pudełko z kredkami. Gustav nie widział, jak zasypują trumnę ziemią. Odszedł. Patrzyłam, jak jego sylwetka niknie w oddali, i zastanawiałam się, dokąd poszedł i czy wszystko z nim w porządku, ale nie pobiegłam za nim. Dom Klimtów znajdował się niedaleko cmentarza. Może, pomyślałam, chce tam wrócić na piechotę pomimo ostrych jak igły lodowatych okruczeń padającego śniegu.

Stypa była smutnym zwierciadlanym odbiciem wesela, na którym byliśmy niecałe dwa lata temu. Moja matka kołysała dziecko i śpiewała mu piosenki. Pauline usiłowała zmusić Helene do zjedzenia bułeczki z jabłkiem. Mój ojciec słuchał w skupieniu lamentów pani Klimt. Tylko Gustava nie było.

Artyści tłoczyli się wokół schodów. Wyglądali dość dziwnie w swoich najlepszych ubraniach i bardzo się pilnowali, aby nie rozmawiać o ostatnich zleceniach i problemach perspektywy i przestrzeni.

Ruszyłam w ich stronę, aby zapytać, czy ktoś nie widział Gustava, ale kiedy Franz mnie zobaczył, odłączył od grupy i podszedł do mnie. W ostatnim czasie przebywał poza Wiedniem. Nabrał ciała i wyglądał na wypoczętego, chociaż

może tylko sprawiał takie wrażenie, ponieważ wszyscy inni wokół mieli podkrążone od smutku i niewyspania oczy. Posłał mi kolejny słaby uśmiech, najszerszy, na jaki pozwalały okoliczności. Jego zdrowy wygląd sprawił, że nagle zaczęłam go nienawidzić.

- Byłem w Budapeszcie, kiedy się dowiedziałem - poinformował mnie.

Nie śmiała zapytać Gustava o to, czego chciał się dowiedzieć: jak długo Ernst chorował? Czy krwawił? Jakie lekarstwa zażywał? Czy cierpiał i co powiedział? Usiłowałam go słuchać i odpowiadać na pytania, ale jednocześnie lustrowałam wzrokiem pokój. Kiedy ponownie spojrzałam na Franza, czekał na odpowiedź na jakieś pytanie, które mi zadał.

- Gustav uciekł - powiedziałam.

- Zapewne chce pobyć sam - zawyrokował Franz. Dotknął mojej dłoni. - To najlepsze, co może w tej chwili zrobić, naprawdę. Ale ty chyba powinnaś napić się czegoś gorącego. Nawet kości masz zimne.

- Nic mi nie jest - zapewniłam go, cofając dłoń. - Martwię się o Gustava.

- Jego mowa pożegnalna była trochę... niezwykła. Ale nic mu nie będzie.

Pozwoliłam Franzowi przynieść mi kubek grzanego wina, ale pijąc je, myślałam tylko o Gustavie. Wiedziałam rzecz jasna, dokąd poszedł. Czy powinien być w takiej chwili sam? Przeczucie podpowiadało mi, że nie, ale nie byłam pewna, czy to właśnie ja powinnam do niego pójść. Ale kto inny mógłby to zrobić? Wzięłam płaszcz i wyslizgnęłam się z domu. Na ulicy przywołałam dorożkę. To była długa podróż. Drżałam z zimna w obitym tanim jedwabiem wnętrzu i żałowałam, że nie wzięłam rękawiczek.

Drzwi do domu, w którym mieściła się pracownia, zastałam otwarte, na schodach baraszkowały koty. Podniosłam

je i szłam na górę, trzymając pod pachami jak bochenki chleba.

W holu było ciemno i ponuro. Brakowało cieni, bo nie paliła się żadna lampa. Wypuściłam koty, które natychmiast rozbiegły się po kątach. W pracowni nie palił się ogień i było niemal tak zimno jak na dworze. Gustav siedział zgarbiony na stołku i patrzył na sztalugę. Zdjął garnitur i miał już na sobie roboczy fartuch. Skarpetki, getry i kołnierzyk wały się na podłodze, jakby zrzucone w przypiływie gwałtownego pożądania, ale Gustav był tu sam. Gdybym nie widywała go od lat w tym długim malarskim fartuchu, pomyślałabym, że uciekł ze szpitala.

Fartuch uszyty był z surowej bawełny i z pewnością nie był ciepły. Zdjął nawet buty. Na sztaludze stał portret Helene w białej sukni, na kanapie w kolorze śródziemnomorskiego błękitu.

- Taki dobry obraz i niedokończony - powiedział Gustav, nie patrząc na mnie.

Nie ruszałam się z miejsca.

- Możesz go dokończyć - powiedziałam.

- To byłoby jak pieprzenie się z cudzą kochanką - skwitował moją propozycję. Zauważyłam, że trzyma w ręku nóż. - Jak pieprzenie się z cudzą kochanką w dniu pogrzebu.

- Może się ubierzesz i pójdziemy do domu? - powiedziałam powoli i wyraźnie, jakbym mówiła do dziecka.

- Zamknij się - rzucił. - Słucham obrazu.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - zapytałam.

- Mam to gdzieś - powiedział, nie spuszczać oczu z obrazu.

Potraktowałam to jako pozytywny znak. Podeszłam bliżej i stanęłam za jego plecami, aby przyjrzeć się obrazowi Ernsta. Helene wyglądała na nim bardzo ciepło i pogodnie. Patrzyła wprost na nas. Leżała wyciągnięta na sofie w pozie madame

Recamier, a wszystko było leciutko rozmazane, jak w świetle świec. Za jej plecami stał czarno - szary chiński parawan.

- Nie wiedziałam, że lubił Whistlera - zauważyłam.

- Nienawidził Whistlera - powiedział Gustav. - To dla twojej cholery matki. - Spójrz, jak obrzydliwie pełen nadziei jest mimo to ten cholerny obraz.

- Nie wiedział, że umrze - powiedziałam.

- Wszyscy umrzemy - skonstatował. - Jakim prawem ktokolwiek z nas może mieć nadzieję? Jakie miał prawo to namalować?

- Coś musiał namalować - powiedziałam.

- Nie, nie musiał - zaprzeczył. - Mógł pójść pracować do banku i prowadzić długie, zdrowe życie.

- Pracując w banku, też mógł młodo umrzeć - zauważyłam. - To nie sztuka go zabiła.

- To przeze mnie - powiedział. - Poszedł do akademii tylko dlatego, że ja tam poszedłem.

- Poszedł, bo chciał. I co ma akademia do szkarlatyny?

- Długie godziny stania w tym nieogrzewanym pomieszczeniu. Jego organizm nie mógł tego wytrzymać.

- Matka pytała o ciebie - powiedziałam. - Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

Staralam się usilnie sprowadzić tę rozmowę na bardziej racjonalne tory, ale zastanawiałam się dlaczego. Czemu na moje życzenie miałby cenzurować swoje myśli? I co było takiego przerażającego w jego smutku, że chciałam, aby go stłumił?

- Niech zdechnie ta kurwa - powiedział. - To po niej miał taki słaby organizm. Po niej i po tym, że jako dziecko mieszkał w zaszczurzonych norach.

Ukrył twarz w dłoniach.

Spokojnie i delikatnie wyciągnęłam ramiona, aby dotknąć jego pleców. Lekko położyłam na nich dłonie, jakby były

drogocenną rzeźbą. Pragnęłam przekazać w tym dotyku całe moje współczucie i całą miłość, ale najwyraźniej mi się to nie udało, bo stracił moje ręce, cofnął ramię i nagłym, pewnym, wściekłym ruchem przeciął płótno od jednej krawędzi blejtramu do drugiej, na skos, od lewej strony do prawej.

Nagle poczułam się tak, jakby z pracowni uszło całe powietrze. Z trudem łapałam oddech. Jeżeli Gustav mógł zniszczyć dzieło sztuki, jakiegokolwiek dzieło sztuki, a tym bardziej pracę Ernsta, to znaczy, że jest zdolny do wszystkiego. Może zabić siebie, mnie, każdego. Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze. Niedobrze i słabo, byłam zbyt słaba, aby z nim walczyć, ale musiałam.

Złapałam go za rękę i wyrwałam nóż. Gdyby się opierał, nigdy by mi się to nie udało i pewnie oboje bylibyśmy pocięci jak melony, ale nie walczył ze mną. Odrzuciłam nóż tak daleko, jak potrafiłam. Upadł w pobliżu kominka.

Twarz Helene była rozcięta na pół. Niemal oczekiwałam, że popłynie z niej krew. Niezamalowana część płótna zwisała luźno i smętnie, a drugi fragment zawinął się sztywno i wyzywająco w górę. Staliśmy i patrzyliśmy na pokiereszowany obraz.

- Może uda się go zreperować - powiedziałam po chwili.

- Zabierz go stąd - powiedział. - Nie mogę na niego dłużej patrzeć.

Zdejmując obraz ze sztalugi, zerknęłam na Gustava. Twarz miał boleśnie skrzywioną, ale nie było na niej łez. Oparłam zniszczone płótno o ścianę, odwróciwszy je tyłem do przodu, jak ukarane dziecko.

Podeszłam do Gustava.

- Spal je - polecił. - Któregoś dnia, kiedy mnie tu nie będzie.

Teraz nie miał już na co patrzeć, zostałam tylko ja, a ja też mogłam patrzeć tylko na niego. Bałam się podejść za blisko, i

to z wielu powodów. Byłam pewna, że pod fartuchem był nagi.

- Włóż przynajmniej buty - poprosiłam.

Pochylił się w moją stronę i złapał mnie w pól. Instynktownie odsunęłam się. Gustav upadł na kolana i rozszochał się z głową wtuloną w moją suknię. Już się nie bałam. Czułam się tak, jakbym pocieszała dziecko lub siostrę; to wymagało takiej samej czułości, takich samych delikatnie wypowiedzianych słów.

- Dobrze już - powiedziałam. - Dobrze.

Miał kilka piegów na czubku głowy, tam, gdzie włosy już trochę się przerzedziły. Pogłaskałam go po karku.

- Dlaczego to ja nie zachorowałam na szkarlatynę? - zapytał. Głos miał ochryply i gruby. - Dlaczego nie ja umarłam?

Co mogłam powiedzieć? Miałam przybrać ton księdza i powiedzieć, że łaska Boga jest wielka, ale nieodgadniona? Lub ton intelektualistki i powiedzieć, że Bóg umarł?

- Nie wiem - powiedziałam - ale dzięki Bogu żyjesz. Bo inaczej musiałabym pójść w twoje ślady.

Nie potrafiłam tego powiedzieć z takim przekonaniem, jak czułam, więc powiedziałam lekko, jakbym sobie żartowała.

Jego oczy przypominały ikony, szeroko otwarte i nieprzeniknione. Nie było w nich ani śladu rozbawienia, ożywienia czy zdziwienia.

- Poszłabyś w moje ślady?

- Jak Orfeusz poszedł do Hadesu ratować Eurydykę - powiedziałam.

- Hades - powtórzył smutno. - Domyślam się, że tam właśnie pójdę, jeżeli istnieje Bóg. A jeśli go nie ma, pójdę do tej samej wiecznej nicości, dokąd wszyscy zmierzamy, co nie jest wcale dużo lepsze.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziałam. - Potrzebuję cię.

Wstał. Nie wiedziałam, czy chce mnie uderzyć, spoliczkować, tego dnia mogło się zdarzyć właściwie wszystko, ale Gustav tylko mnie pocałował, niezręcznie, przyciskając zamknięte usta do moich, jakby były kawałkiem nadmiernie dojrzałego owocu, nie wiadomo, czy nie zgniłego. Oddałam mu pocałunek, ale delikatnie, tak jak pocałowałabym siostrzenicę lub kotka znalezionego na ulicy. Jego twarz była słona.

- Nie - powiedział. - Nie tak.

Wydawał się rozgniewany z powodu mojego błędu i chwycił mnie mocno za ramiona. Poczułam ból pod naciskiem jego dłoni. Pomyślałam o siniakach, ciemnych jak śliwka śladach jego palców. Kiedy zaczął mnie całować, wdychał we mnie całą swoją desperacją i rozpacz.

- Gustav - powiedziałam, starając się go odepchnąć. - Nie chcesz tego zrobić.

- Zawsze chciałem. A co mnie powstrzymywało? Dobre wychowanie? Szacunek, konwenanse, honor? To jeszcze dziewczynka, mówiłem sobie, znam jej rodziców, nie mogę zawieść ich zaufania. Potem, kiedy nie byłaś już dziewczynką, powtarzałem sobie, że nie pochodzisz z mojej klasy, że powinnaś poślubić kogoś innego i nie mogę niszczyć twojej przyszłości. Ale jakie to teraz może mieć dla mnie znaczenie? Jakie ma znaczenie dla ciebie?

Nie byłam pewna, co się dla mnie liczyło. Czasami nadal wyobrażałam sobie, że mogłabym dobrze wyjść za mąż, mieć dzieci i wszystko inne, co z tego wynika. Dom, rodzina, małżeństwo natychmiast uleciały mi jednak z głowy, gdy tylko Gustav mnie dotknął.

Właściwie nie było już o czym mówić. Poprowadził mnie w stronę podestu dla modelek, zdejmując ze mnie po drodze palto i kapelusz, które rzucił na podłogę. Przez chwilę pomyślałam o kurzu i strużynach z ołówków, ale natychmiast

zapomniałam o wszystkim, kiedy zaczął odpinać guziki przy moim żakiecie i ściągać mi bluzkę.

Rozmyślałam o tej chwili setki razy. Mogła się zdarzyć w starej pracowni, w domu jego matki, w moim domu, w gondoli w Wenecji, w lektyce na grzbiecie słonia w Kongu Belgijskim. W mojej wyobraźni naszemu kochaniu się zawsze towarzyszyła cudowna choreografia i spokojne, niespiesznie wypowiedane słowa. Było jak rzeźba Berniniego. Widziałam ją w Kunsthistorisches Museum: gładka i zimna jak marmur, miękka i delikatna, ręce i nogi perfekcyjnie ułożone. Nie przypuszczałam, aby to mogło być takie brzydkie, tak bezładne, aby jego łokieć mógł zgnieść moje palce, a moje włosy mogły się wplątać w suwak przy ubraniu; aby mogło bardziej przypominać chorobę, ciemną i nienasyconą, niż rzeźbę lub sztukę teatralną.

Pomyślałam, że pewnie był rozczarowany, gdy mnie zobaczył. Widział ciała tylu kobiet, które w sposób profesjonalny potrafiły uczynić się pięknymi. Byłam grubsza i bardziej pulchna niż Minna, bardziej piegowata niż Helga. Miałam wielki żółty siniak na biodrze od uderzenia w stół i pieprzyk na lewym sutku. Ktoś inny może nie zwróciłby na to uwagi, ale on dostrzegał oczywiście najdrobniejszą niedoskonałość, nawet w przyćmionym świetle. Nic nie mogło umknąć jego uwadze, więc zamknęłam oczy, kiedy na mnie patrzył, aby nie widzieć wyrazu jego twarzy.

Poruszał się szybko, gładził mnie tak, jakby ścielił łóżko. Jego dłonie dotykały moich policzków, a zaraz potem czułam je na szyi, chwilę później pieściły moje piersi. Pomyślałam, że chyba przestanę oddychać, ale zatrzymał się tam tylko na moment i zaraz ześlizgnął się do mojej talii i brzucha. Po chwili jego dłoń znalazła się we mnie i zaczęłam krzyczeć, gdy się cofnęła, a wtedy przewrócił mnie na brzuch i zaczął gładzić po plecach, przesuwając dłonie coraz niżej. Nagle

przestałam czuć na sobie jego ręce i usłyszałam, że zdejmuje przez głowę malarski fartuch.

Potem się zaczęło, a ja nic nie widziałam, tylko czułam jego rozpaloną skórę, jego ciężar, ostry ból i jakby coś się we mnie rozdzierało, a zaraz potem rytmiczne uderzenia czołem o podłogę. Podłożyłam sobie rękę, ale wyciągnął mi ją i położył na moim ciele.

- Dotykaj się - powiedział. - Kiedy ja cię dotykam. To będzie przyjemne.

Dotykanie siebie to oczywiście straszny grzech, ale nie większy od tego, co właśnie robiłam, więc nie było powodu odmawiać. Miał rację. Poczułam się tak, jakby dolna część mojego ciała była sparaliżowana. Zdrętwiałam, ale zarazem miałam wrażenie, że przenikają mnie wyładowania elektryczne, jakby raził mnie grom. I potem, wraz z ostatnim pchnięciem, od którego, jak mnie się wydawało, coś we mnie pękło, całe jego ciało stężało, zadrżało, a zaraz potem zwiotczało na mnie.

Zastanawiałam się, czy powinnam płakać, bo tak to wyglądało we wszystkich powieściach, ale moje oczy były suche jak pieprz. Czułam się wydrażona, wypatroszona jak ryba. Moje ciało płonęło w miejscach, o które pocierał brodą. Spojrzałam na pocięte płótno. Jeden z rozdartych fragmentów leżał odwrócony na podłodze i kobaltowe oko mojej siostry patrzyło na mnie z odległego kąta pracowni. Gustav ześlizgnął się ze mnie i przewrócił się na plecy.

Musiałam chyba zasnąć, ponieważ kiedy znów otworzyłam oczy, byłam przykryta kocem, a Gustav siedział obok po turecku i potrząsał mnie za ramię.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Nie jestem chora - powiedziałam, chociaż właśnie tak się poczułam.

Powoli docierała do mnie potworność tego, co zrobiłam.

- Wiesz, co masz robić? - zapytał.

Wiedziałam, o co pytał, i zawstydzona, odwróciłam głowę.

- Aby nie zejść w ciążę - dodał.

Miał zamiar nauczyć mnie sztuczek, które znały dziewczyny.

- To bardzo ważne. Kiedy wrócisz do domu, musisz napełnić butelkę octem i wlać go sobie do środka. Jutro zrobisz to samo. Rozumiesz?

Poruszałam głowę w górę i w dół, a on poklepywał mnie przez koc po plecach, tak jakbyśmy rozmawiali o telegramie, który powinnam wysłać do Franza, lub o ciście, które mam zamówić w cukierni.

- Zapalę ogień i możemy jeszcze chwilę posiedzieć, zanim się ubierzemy.

Wstał i nagi podszedł do kominka. Nie mogłam się powstrzymać, aby na niego nie patrzeć; przecież on tak dokładnie studiował moje ciało, a ja zaledwie na niego spojrzałam. Zaczynał już trochę przybierać w talii, nie był gruby czy bezkształtny, ale solidnej postury, jak wódz plemienia, który dostaje najlepsze kaski upolowanej zwierzyny. Czarne włosy na jego piersi przemieszane były z siwymi. Penis dyndał między udami, teraz mały i rozczulający, różowy i niewinny jak noworodek.

Wrócił do podestu i usiadł tyłem do mnie. Bałam się go dotknąć.

- Przepraszam - powiedział. - To, co zrobiłem, było szaleństwem. Wybacz mi, proszę.

- To był smutek - powiedziałam. - Nie powinieneś czuć się winny.

- To niczego nie zmienia - odpowiedział.

Nie wiedziałam, czy chce mnie pocieszyć, czy ostrzec.

- Niczego - powtórzyłam.

Rozdział 12

Jak mogliśmy po tym kontynuować nasze lekcje rysunku, zachowując się jakby nigdy nic? Nie mogliśmy. Ja kończyłam szkołę, a Gustav był niezwykle zajęty. Byłam już na tyle biegła w rysowaniu, że mogłam szkicować samodzielnie. Było jednak nie do pomyślenia, abyśmy się w ogóle nie widywali, więc wspólnie znaleźliśmy pewne rozwiązanie: postanowiliśmy razem brać lekcje francuskiego. Gustav obawiał się, że jego słaba znajomość francuskiego utrudni mu podróżowanie, korespondencję z francuskimi artystami i pracę w Belgii. Mój francuski był dość znośny, ale ubolewałam nad niedoskonałą wymową. Zaczęliśmy więc chodzić co tydzień na lekcje do madame Czerny na Karntnerstrasse. Po zajęciach zawsze przesiadywaliśmy przez kilka godzin w kawiarni i Gustav opowiadał mi o swojej pracy.

Udawał, że nic się nie stało, i wrócił do starych relacji między nami: szwagra mojej siostry, wujka mojej siostrzenicy, nauczyciela i uczennicy, a ja starałam się udawać, że też tego chcę. Jakby smutek był czymś w rodzaju opium, więc teraz, kiedy smutek przygasł, uwierzył, że wszystkiemu winien był narkotyk, nie on.

Chciałabym powiedzieć, że to było proste, przychodziło łatwo, ale rzecz jasna byłoby to kłamstwo. Pamiętam, jak zjawiał się w moich snach, noc po nocy, prawdziwy jak w życiu: długa czerwona szata, grube palce, niewyjaśnionego pochodzenia plama z bieli tytanowej na szyi. Przychodził co noc. Malował w pracowni odwrócony do mnie plecami. Mówiłam coś do niego, a on nie odpowiadał. Cały czas malował. Albo ja stałam w oknie naszego mieszkania i czekałam na niego. Z niecierpliwością obserwowałam ulicę. Zastanawiałam się, czy nie wysłać telegramu. To niepodobne do niego, aby nie dał znać, że zmienił plany. I nagle zobaczyłam go paradującego w otoczeniu całej cyrkowej

menażerii modelek, prostytutek i praczek. Miały na sobie suknie we wszystkich możliwych kolorach i stylach, falbany, żaboty, treny, szerokie rękawy zebrane w mankiet, rękawy jak skrzydła nietoperza, halki, najróżniejsze ozdoby, ogromne ilości tkanin. Trzymały go za ręce, ciągnęły za poły, wisały na jego ramieniu. Śmiały się umalowanymi ustami. Zawołałam do niego. Spojrzał w górę i zobaczył mnie. Pomachał ręką, a potem odszedł. Wciąż na nowo śniłam o nim, śniłam, jak mnie odrzuca na sto różnych sposobów. Za każdym razem budziłam się przerażona, łzy, od których powstrzymywałam się na jawie, spływały na poduszkę we śnie.

Po tym, co się stało, powinnam była dbać o przyzwoitość bardziej niż kiedykolwiek, ale cała ta hipokryzja wyczerpywała mnie. Kiedy ludzie szepczą, wtedy mówią prawdę, dlaczego więc udawać?

Po śmierci Ernsta Gustavowi jeszcze mniej zależało, aby stać się uznanym malarzem akademickim, i był wyraźnie znudzony tym, czego od niego oczekiwano. Jak się zdawało, bez skrupowania objawiał brak szacunku dla swoich bardziej konwencjonalnych klientów, w tym dla Ministerstwa Oświaty. Z drugiej strony nie do końca pozbył się potrzeby uznania, pragnienia pochwał i nagród. Martwił się, że komisji ministerialnej nie spodobają się jego szkice. Moja rola polegała zwykle na słuchaniu i próbie podtrzymania go na duchu.

- Przecież cię wybrali, prawda? - powiedziałam któregoś dnia, gdy zasiedliśmy w Cafe Sperl.

Położyłam sobie na języku kawałek marcepanu i czekałam, aż się powoli rozpuści.

- Jodl napomknął o szkole ateńskiej jako wzorcu filozofii - mruknął Gustav. - On będzie najgorszy.

Napisaliśmy na miękkiej papierowej serwetce nazwiska członków komisji. Właśnie układaliśmy ich listę, w kolejności od najbardziej sprzyjających do najbardziej nieprzychylnych, kiedy drzwi kawiarni otworzyły się i podmuch zimnego powietrza wepchnął do środka chudego mężczyznę ze sztywnymi, spiczastymi wąsikami. Rozejrzał się po kawiarni, a kiedy zauważył Gustava, uklonił się i ruszył w stronę naszego stolika.

- Proszę, pan Klimt - powiedział.

Pomachał nam egzemplarzem „Neue Freie Presse”, jakby to mówiło wszystko.

- Pan Hoffmann, Emilie Flöge, przyjaciółka rodziny. Emilie, chciałbym ci przedstawić Josefa Hoffmanna, architekta - dokonał prezentacji Gustav. - Pan Hoffmann pracuje z Otto Wagnerem.

- Wielkim Otto Wagnerem - poprawił go Hoffmann. - I ja tylko pracuję dla niego, aczkolwiek żywię nadzieję, że pewnego dnia będę mógł powiedzieć, że pracuję z nim. Przykro mi dodać, że ów dzień raczej nie nadejdzie prędko. Mogę się przysiąc?

Nie czekając na odpowiedź, osunął się na krzesło z kutego żelaza i gestem dłoni wezwał kelnera.

- Mokka - rzucił. - Z potrójnym cukrem i podwójną śmietanką. I kawałek tego tortu, który zamówiła ta młoda dama. Mam organizm jak koliber - wyjaśnił nam. - Muszę bez przerwy jeść, aby utrzymać ciało na kościach. Tak więc. O czym to ja chciałem porozmawiać? O naszym ostatnim spotkaniu, na którym urzędnicy odrzucili pomysł sprowadzenia tutaj prac nabistów. - Przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. - Co o tym sądzisz?

- Uważam, że to jeszcze gorsze niż odmowa finansowania wystawy młodszych artystów - powiedział Gustav. - Wiedeń

już się uwstecznił, teraz zdobywa reputację miejsca nieprzyjaznego artystom.

- Właśnie - powiedział Hoffmann. - To ostatnia rzecz, której byśmy sobie życzyli; opuszczą nas wszystkie talenty, wyjadą do Paryża, do Berlina. Kunstlerhaus chyli się ku upadkowi, ale właściwie dlaczego miałyby nas to dziwić? Od pięćdziesięciu lat kierują nim ci sami siwowłosi faceci! Ostatni francuski obraz, jaki widzieli, namalował Bouguereau. I ciągle myślą o sobie jak o młodych artystach!

Przyniesiono jego kawę i ciastko, a Hoffmann zaczął odgryzać wielkie kawałki i połykać je z głośnym mlaskaniem.

Od pewnego czasu Gustav traktował mnie jako partnerkę dorównującą mu intelektualnie, nie obawiałam się więc wypowiadać własnego zdania.

- Dlaczego więc ich nie wyrzucicie, tych starców? - zapytałam.

- To nie jest takie proste - powiedział Hoffmann, rzucając zaskoczone spojrzenie na Gustava. - Zostali wybrani na te stanowiska. Następne wybory będą dopiero za dwa lata.

- Mając dostateczną liczbę zwolenników, moglibyście zorganizować przewrót - powiedziałam. Patrzyli na mnie z niedowierzaniem, czyżbym widziała też w ich wzroku podziw? - Dlaczego nie? - dodałam.

- Nie powiedziałaś mi, że twoja młodziutka przyjaciółka jest rewolucjonistką - zaśmiał się Hoffmann. - Ma ducha walki.

- Jest pewna grupa, która spotyka się oddzielnie - powiedział Gustav. - Ja, Moll i jeszcze paru innych. Możesz do nas dołączyć.

- Jesteście krok przede mną - powiedział Hoffmann. - Miałem właśnie zamiar wywieźć się, czy nie chciałbyś zebrać wokół siebie kilku osób. Z radością do was dołączę i

namówię też na to Olbricha. Chyba mamy różne dobre pomysły.

Jego talerz był już pusty tak jak mój, dopił więc kawę i wstał.

- Mam spotkanie z zespołem konstruktorów, z którymi budujemy dom mieszkalny w pobliżu Naschmarkt. Co za nuda. Zawsze mówią, że to, co chcę zrobić, jest niemożliwe.

Pomachał nam na pożegnanie i zniknął. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, aby dojść do siebie.

- Dobra robota, Emilie - powiedział Gustav. - Nigdy jeszcze nie widziałem Hoffmanna tak zadziwionego. Zachowałaś się jak prawdziwa prowokatorka.

Zapytałam, czy mogłabym wziąć udział w tym spotkaniu, ale Gustav powiedział, że obawiałby się tego, bo pod koniec wieczoru pewnie byłabym już przywódcą grupy. To był miły żart i uśmiechnęłam się. W gruncie rzeczy chciał jednak powiedzieć, że jestem kobietą i w dodatku nie jestem artystką, prawdziwą artystką. Jestem dyletantką, która robi ładniutkie rysunki. I dlatego nie mogę być zaproszona.

Potrzebowałam tygodnia i dwóch porcji karmelowego ciasta, aby przebaczyć Gustavowi. Potem wstydziłam się, że tak łatwo dałam się kupić. Gustav wiedział, że nieśmiało opuszczony wzrok, wypowiedziane ze smutkiem mea culpa oraz artystyczna kombinacja kakao i cukru bez wątpienia stopią moje serce. Później wyjechał w podróż do Włoch. Trwała kilka miesięcy, ale nieustannie przysyłał mi pocztówki, czasami dostawałam nawet pięć lub sześć w ciągu jednego dnia. Pogoda we Włoszech była okropna: piekielny upał i suche powietrze. To źle wpływało na jego płuca. Chleb mu smakował, ale słodczyce pozostawiały wiele do życzenia. Nie lubił sera ricotta. Sztuka była bardzo interesująca, ale pisał, że nie może się już doczekać powrotu do Wiednia.

Dzień po jego powrocie postanowiliśmy wybrać się do opery. Mieliśmy bardzo dobre miejsca, wystawiano Trawiatę, jedną z moich ulubionych oper, ale po południu przyszła kartka z pracowni, że Gustavowi dobrze idzie praca i musi ją kontynuować. Było to typowe dla niego i chociaż czułam się rozczarowana, nie byłam zaskoczona. Poszłam do opery z Pauline i dwiema jej przyjaciółkami.

Chociaż nie umiałam dobrze grać ani śpiewać, byłam typową mieszkanką Wiednia: uwielbiałam operę. Gmach opery był nowy i aż kapał od złocień. Rzeźbiarski wystrój wnętrza był tak bogaty, że zawsze, gdy tu przychodziłam, wybierałam sobie jakąś kolumnę lub panneau na suficie, aby je dokładnie przestudiować w czasie przerwy. Wyjście do opery było dla mnie wielkim wydarzeniem i wszystko mnie wtedy cieszyło: przeciąganie dłonią po zimnym żółtym marmurze paradnej klatki schodowej; otwieranie wielkich, obitych aksamitem drzwi do naszej łoży oraz wieszanie płaszcza w szatni; przyglądanie się tłumowi gości i wypatrywanie twarzy znanych z gazet; przyglądanie się ludziom z balkonu i obserwowanie ich przez wykładaną masą perłową lornetkę, prezent od rodziców na ostatnie urodziny.

Kiedy zajęliśmy miejsca, zaczęłam z ciekawością przeglądać program, aby zobaczyć, kto gra. Nagle usłyszałam szept siedzącej po mojej lewej stronie Kathariny.

- Czy to nie Klimt tam siedzi? - syknęła mi do ucha.

Skierowałam lornetkę we wskazanym kierunku. W łoży siedział Gustav z młodą kobietą w bardzo dużym i brzydkim tiulowym kapeluszu w kolorze zielonym. Uniosła podbródek i śmiała się z czegoś, co mówił Gustav. Światło odbijające się w jej jasnych włosach sprawiało, że jarzyła się jak dekoracja bożonarodzeniowa. Jej koronkowa suknia była bardzo skąpa. Podniosła oczy i na chwilę znieruchomiła, jakby mnie

rozpoznała. Ja natomiast byłam chwilowo oślepiąca ogarniającą mnie wściekłością.

- Z kim on jest? - usłyszałam zapytanie. - Ona jest olśniewająca.

- Nie wiem - powiedziałam, nie słysząc własnego głosu.

- To Alma Schindler - powiedziała Katharina.

- Znasz ją?

- Nie osobiście, ale ostatnio całe miasto o niej mówi.

- Czym się zajmuje? - zapytała Pauline, wiedząc, że ja się nie odważę.

- Głównie tym czym Klimt. Nie wiedziałyście? Myślałam, że wiecie, bo przecież przyjaźnicie się z nim.

- Może krępował się nam powiedzieć - ratowała sytuację Pauline. - To wygląda na jakiś skandal.

- Owszem - potwierdziła Katharina, która najwyraźniej czerpała przyjemność ze swojej roli. - Pojechał za nią do Włoch wbrew woli jej rodziny, przysiągł miłość na schodach jakiegoś kościoła i pewnie uciekłyby z nią, gdyby jej ojczym ich nie powstrzymał. Nie wolno im się spotykać. Czyż to nie romantyczne?

Na scenie pojawił się Mahler i wszyscy zaczęli klaskać. Moja siostra wzięła mnie za rękę.

- Słyszałam, że są zaręczeni - powiedziała dziewczyna z mojej prawej strony. - Może będą musieli uciekać. Kto wie, czy skandal nie zmusi ich do opuszczenia Wiednia i zamieszkania za granicą.

W czasie pierwszego aktu prawie nie słyszałam muzyki. Odprułam cały obręb lewego rękawa sukni, aż na moich kolanach pojawił się kłębek niebieskiej jedwabnej nitki. Powtarzałam sobie, że Gustav ma prawo się zakochać, w kim chce. To, co się wydarzyło między nami, było pomyłką, czymś nierzeczywistym, snem. Opera przypominała kalejdoskop, zasnutą zamglonymi strzępami kolorów. Moje

spojrzenie ciągle wracało do łoży po drugiej stronie teatru. Alma Schindler. Zaczęłam pruć drugi rękaw.

W przerwie wyszliśmy z Pauline na balkon, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zwykle lubiłam się przyglądać jednemu z fresków w sali recepcyjnej, ale teraz nie byłam w stanie. Nie mogłam nawet normalnie oddychać. Po drugiej stronie Ringu widziałam światła naszej dzielnicy. Spojrzałam w stronę, gdzie stał nasz dom, i usiłowałam go wypatrzeć. Niczego bardziej nie pragnęłam jak skoczyć z balkonu i polecieć tam. Pauline musiała wyczuć mój stan, ponieważ trzymała mnie za nadgarstek tak mocno, że aż bolała mnie skóra.

Na schodach wpadliśmy na Gustava. Niósł coś do picia dla swojej towarzyszki, która czekała w łoży.

- Panna Schindler pisze libretto do opery inspirowane pismami Nietzschego - powiedział, uśmiechając się nerwowo.
- zaproponowała mi, abym wykonał projekt dekoracji i kostiumów.

- A zatem to artystyczna współpraca - powiedziała Pauline.

- Tak jest - przytaknął.

- Nie będziemy cię więc zatrzymywać.

Pauline ukloniła się i wyprowadziła mnie na taras.

- Co chcesz zrobić? - zapytała. - Chcesz wyjść? Zdobyłam się jedynie na kiwnięcie głową. Zostawiła mnie tam i wróciła do łoży po nasze rzeczy. Powiedziała przyjaciółkom, że źle się poczułam, i nie zareagowała na porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymieniły między sobą. Poczekałyśmy na tarasie, aż pogasły światła, wtedy prześlizgnęłyśmy się przez puste hole i wyszliśmy na zewnątrz. W dorożce utkwiałam niewidzący wzrok w oknie i zatopiłam się w myślach.

A zatem Pauline nie myliła się wtedy. Byłam w nim zakochana. Nie chciałam tego; chciałam się zakochać w kimś

w moim wieku, w kimś nieśmiałym i poważnym, kto przysyłałby mi kwiaty i zaprzyjaźniłby się z moim ojcem, nie zaś w kimś starym i rozwiązłym, kimś, kto nigdy by się ze mną nie ożenił, kimś, kto zafundowałby mi bezdzielne życie starej panny. Czyż Gustav nie powiedział, że jestem na to zbyt wrażliwa?

Muszę przyznać, że Pauline nie triumfowała, zaprowadziła mnie po schodach do pokoju i położyła do łóżka. Głaskała mnie po plecach, dopóki nie zasnęłam, a rano wstała wcześniej, aby przygotować dla mnie cynamonowy chlebek. Przyniosła mi kolorowe pisma i wiśnie w czekoladzie, a także bukiet irysów, jakbym była kaleką.

Rozdział 13

Przez pewien czas unikałam Gustava. Musiałam; zbyt mocno mnie zranił, abym mogła przebywać w jego bliskości. On jednak nie mógł się z tym pogodzić. Przysyłał mi listy pełne pochlebstw, przepraszał, że skłamał. Po prostu płaszczył się przede mną. Kiedy się spotykaliśmy, zawsze miał dla mnie prezent, morawską lalkę w ludowym stroju, pudełko trufli, srebrną bransoletkę. Im wyraźniej okazywałam mu swoje niezadowolenie, tym bardziej się starał.

Nigdy jednak nie przeprosił mnie za Almę.

A ja powoli, mimo wszystko, topniałam. Nie byłam w stanie sprzeciwić się samej sobie. Odbierałam jego błazeństwa jako czarujące, jego błagalny uśmiech jako ujmujący. Poza tym bez niego moje dni były nudne i puste, wypełnione zakupami i sprzątaniami. Wieczorami uczyłam się francuskiego i szkicowałam rodziców, którzy oddawali się lekturze. Przebaczenie Gustavowi oznaczało powrót do kawiarni, na przyjęcia, do dyskusji z artystami i długich spacerów po Volksgarten. Czy to dziwne, że w końcu uległam?

Na wiosnę Gustav poinformował Stowarzyszenie Artystów Sztuk Pięknych Wiednia, mające siedzibę w Kunstlerhaus, że utworzył nową grupę artystów dążących do odnowy sztuki w Austrii. Starsi członkowie stowarzyszenia z Kunstlerhaus nie odnieśli się do tego życzliwie. Podczas burzliwego zebrania Gustav wyszedł, a wraz z nim ci, którzy go popierali. Kilka dni później zrezygnował z członkostwa w stowarzyszeniu. Nowa grupa nazwała się Secesją Wiedeńską; na jej przewodniczącego wybrano Gustava. Secesjoniści wzorowali się na innych buntowniczych formacjach, takich jak prerafaelici. Postanowili wydawać pismo „Ver Sacrum”, zamierzali też otworzyć galerię, własne miejsce do

prezentowania swojej sztuki i wystaw sprowadzanych z zagranicy. Gustav zaczął projektować siedzibę Secesji.

Berta Zuckerkandl wydawała przyjęcie z okazji powstania Secesji i Gustav poprosił mnie, abym z nim poszła. Chociaż marzyłam o tym, byłam bardziej zdenerwowana, niż gdybym miała zostać przedstawiona u dworu.

Niedzielne wieczory u Berty Zuckerkandl cieszyły się sławą wśród muzyków, pisarzy, a zwłaszcza malarzy wiedeńskich. Dla młodego i walczącego o uznanie takie zaproszenie często oznaczało pierwsze poważne zamówienie, pod warunkiem że umiał mówić w interesujący sposób i nie wyglądał zbyt biednie. Apartament Berty urządzony był z wystarczającym przepychem, aby onieśmielić córkę właściciela fabryczki. Przebywając tam, człowiek szybko zapominał o istnieniu takich przyziemnych rzeczy jak rachunki czy sklepy spożywcze. Ściany w salonie obwieszane były obrazami najwyższej klasy: portret namalowany przez Whistlera, dwa holenderskie obrazy florystyczne, ciemny i jasny, szkic Rubensa, rysunki In - gres'a i Delacroix. Później dowiedziałam się, że była to zaledwie mała część kolekcji, którą posiadała właścicielka. Ściany w jej salonie służyły za przestrzeń dla zmiennych wystaw, których charakter zależny był od jej nastroju. W kątach rozstawione były obite brokatem fotele i kanapy. Lśniący pod olbrzymim żyrandolem parkiet, ułożony we wspaniałe spiralne wzory, przyprawiał o zawrót głowy. Kiedy podwiązano ciężkie kotary, w oknach można było zobaczyć gmach ratusza po drugiej stronie Ringu, jarzący się fosforyzującym blaskiem. Światła domów porozrzucane były jak drobiny brokatu.

Berta Zuckerkandl była dużą kobietą w bliżej nieokreślonym, średnim wieku, o grubych kościach, surowych ustach i królewskiej postawie. Tego wieczoru, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, miała na sobie suknię z

aksamitu w śliwkowym kolorze i olbrzymią ilość diamentów. Ucałowała Gustava, a następnie utkwiała oczy we mnie.

- Kim jest ta dziewczynka?

Nie spodobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzyła, jakbym była za mało ważna, by tracić na mnie swoje cenne spojrzenie. Dla niej kobieta z natury była kimś nieinteresującym, chyba że udowodniła, iż jest inaczej.

- Emilie Flöge, moja przyjaciółka.

Berta Zuckerkandl wydawała się zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że masz czas na przyjaciółki, Gustavie. Myślałam, że jesteś zbyt zajęty rewolucjonizowaniem sztuki.

- Nie potrafię pracować bez przerwy, wiesz przecież. Gustav uśmiechnął się do niej.

- Oczywiście, że wiem.

Jej oczy znowu powędrowały w moją stronę.

- Tajemniczy z ciebie mężczyzna, prawda? - Uścisnęła jego dłoń. - Porozmawiamy później.

I tyle ją widzieliśmy, odpłynęła w tłumie gości.

Nie zdążyliśmy odejść daleko, kiedy pojawił się Carl Moll. Chciał porozmawiać o spotkaniu artystów, które było zapowiedziane na przyszły tydzień. Ledwo go słuchałam; byłam zbyt zajęta podziwianiem tego, co widziałam dookoła. Wszędzie stały kwiaty, głównie białe: eleganckie kielichy kalii w każdym oknie, grube łańcuchy peonii i lewkonii na kominkowych półkach. Światło odbijało się w każdym kryształku na żyrandolu i każdym klejnocie we włosach dam. Nie znałam tu prawie nikogo, ale rozpoznałam Josefa Hoffmanna z kawiarni. Był też Mahler, który owinął sobie rękę aksamitną kotarą okienną i patrzył na miasto. Kilka osób chciało z nim porozmawiać, ale powstrzymał ich gestem ręki.

W pewnej chwili mój wzrok padł na kobietę po drugiej stronie salonu. Stała sama i patrzyła beznamiętnie na tłum gości, jak nieruchomy punkt między szeleszczącymi

spódnicami i krążącymi kelnerami. Wysoka, chuda i kanciasta, z ciałem skrzyconym, jakby jego właścicielka chciała być niewidzialna. W przeciwieństwie do bogato wystrojonych kobiet wokół miała na sobie gładką, białą jedwabną suknię bez żadnych ozdób. Ręce splotła przed sobą w niewielki węzeł, co, jak się później dowiedziałam, było dla niej charakterystyczne. Jej głowa unosiła się na niewyobrażalnie długiej szyi, którą wydłużał jeszcze fantazyjny naszyjnik z pereł i diamentów. Oczy o ciężkich powiekach od dołu okalały cienie, a od góry grube brwi. Nie była piękna, ale zwracała uwagę. Przyglądałam jej się dłuższy czas. Nikt nie podszedł, aby z nią porozmawiać, i zaczęłam się zastanawiać, czy przyszła sama.

Gustav także ją zauważył. Przerwał rozmowę z Mollem i po chwili oboje patrzyliśmy, jak toruje sobie drogę, zmierzając do kobiety w białej sukni. Na jego widok uśmiechnęła się, rozplotła dłonie i podała mu jedną do pocałowania.

- Musisz poznać moją pasierbicę - powiedział Moll, kiedy odwróciłam się do niego, aby nie patrzeć na Gustava i tę dziwną kobietę. - Jest tu dzisiaj. Mam wrażenie, że ją polubisz, jest w twoim wieku.

- Zapewne tak - powiedziałam uprzejmie. Podszedł do nas Hoffmann z okruszkami w brodzie i dwoma kieliszkami alkoholu.

- Nie mam pojęcia, jak się to stało - powiedział. - Proszę, weź jeden.

Z wdzięcznością umoczyłam usta; byłam też zadowolona, że mogłam coś zrobić z rękami.

- Jeśli pozwolisz, za chwilę ją przyprowadzę - powiedział Moll.

Mój wzrok znowu powędrował do Gustava i kobiety w bieli. Od tamtego wieczoru w operze nie widziałam go z żadną

kobietą i nigdy nie widziałam go z kimś takim jak ona. Opierała się o jego ramię. Wziął ją za rękę i uniósł do światła. Roześmieli się.

- Kto to jest? - zapytałam Hoffmanna, gdy Moll odszedł.

- Adele Bloch - Bauer. Żona magnata cukrowego. Okropnie bogata, okropnie nieszczęśliwa. - Spojrzał na mnie znacząco. - Klasyczny typ wiedeński. Schnitzler mógłby napisać o niej powieść. O ile wiem, chyba zresztą pisze.

- Skąd oni się znają z Gustavem? - zapytałam mimo woli.

- Myślę, że jej mąż zamówił u niego jej portret.

- A gdzie on jest?

- Och, on nigdy nie przychodzi na przyjęcia. Uważa to za stratę czasu. Adele natomiast je uwielbia i nie może jej zabronić przychodzić.

- To wygląda na jakieś strasznie nieszczęśliwe małżeństwo.

- I takie jest. Ale ona to akceptuje. Wrócił Moll.

- Moja pasierbica - powiedział - Alma Schindler.

Alma miała wspaniałe kasztanowe włosy upięte na czubku głowy według najnowszej mody i olbrzymie zielone oczy. Niewysoka, o ponętnych kształtach. Jej suknia była równie wydekoltowana jak ta, którą miała na sobie w operze, a szmaragdy pretensjonalne. Nie była ładna, ale swoją siłą woli mogła niejednego przekonać, że jest niezwykłą piękną. Spojrzałam na Gustava, błagając go oczami, aby przyszedł mi z odsieczą, ale on nie patrzył na mnie. Dlaczego mi nie powiedział, że Alma jest pasierbicą Molla? Dlaczego mnie nie uprzedził, że będzie tutaj? Kiedy Moll wymieniał jej dokonania, niczym cyrkowe sztuczki, Alma przyglądała mi się bez uśmiechu. Po chwili Moll i Hoffmann zostawili nas same, abyśmy mogły się zaprzyjaźnić.

- Widziałam cię już - powiedziała Alma. - W operze.

- Tak - przytaknęłam.

- Ile masz lat? - zapytała.
- Dwadzieścia dwa.
- Nie jesteśmy więc rówieśnikami, ja mam osiemnaście.
Gustav powiedział, że rysujesz. Jaki jest twój ulubiony artysta?

Nigdy nie znosiłam tego pytania, ponieważ cenię różne rzeczy u różnych ludzi, a tylko niewielu podziwiam w pełni. Niemniej wymieniłam Maneta i Ingres'a, wielkiego rysownika francuskiego.

- Jesteś bardzo akademicka - powiedziała. Roześmiała się.
- W Paryżu wszyscy teraz mówią o Cezannie. Niektórzy cenią także Braque'a. Co o nim sądzisz?

Musiałam przyznać, że nie widziałam nigdy ich prac.

- No tak, będąc tutaj, nigdy niczego nie zobaczysz. Musisz podróżować. Ja właśnie wróciłam z Włoch. Byłaś tam kiedyś?

Nie byłam. Czy znam włoski, grecki, łacinę lub angielski? Nie, nie znam.

- To nudne - powiedziała. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Może pan Moll myślał, że obie interesujemy się sztuką - powiedziałam, ale nie zrozumiała aluzji.

- Jesteś tylko dyletantką, podczas gdy ja zamierzam być sławna na cały świat.

Byłam tak zaszokowana, że nie mogłam wykrztusić słowa. Poczekala chwilę, a potem zmieniła temat.

- Znasz Gustava już dość długo, prawda?

- Od dzieciństwa - powiedziałam. - Nasze rodziny...

- Tak, wiem - przerwała mi niecierpliwie. - Wszystko mi o tobie opowiedział.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ona wiedziała wszystko o mnie, a ja nie wiedziałam nic o niej.

- A zatem to naturalne, że traktuje cię z sympatią i trzyma przy sobie do różnych dziwnych zadań, a nawet czasem zabiera na przyjęcia, ale byłoby niestosowne, gdybyś myślała, że jest w tym coś więcej.

Obrzuciła mnie łaskawym spojrzeniem, krój mojej sukni i haftowany szal.

- Chociaż muszę powiedzieć, że nie jesteś beznadziejnie brzydka. I masz ładną sukienkę. No cóż, żegnaj.

Gdy odeszła, zostałam sama w tłumie ludzi i dopiero wtedy usłyszałam dźwięki muzyki Schuberta, którą grał kameralny zespół. Obok mnie przesuwały się ciężkie spódnice, pióra z kapeluszy muskały moje policzki, docierały do mnie czyjeś śmiechy i fragmenty rozmów. „Przesunięcia tonalne przedstawiają fazy życia”, „Czy ona rzeczywiście miała romans z arcyksięciem?”. Nagle zrozumiałam, co czuła kobieta w bieli, kiedy ją obserwowałam. Zobaczyłam Gustava, który siedł w moją stronę z dwoma kieliszkami. A kobieta o imieniu Adele krążyła obok jak biała ćma wokół światła lampy.

Podczas kolacji zostałam posadzona między Josefem Hoffmannem i innym architektem, Josefem Olbrichem. Gustav siedział naprzeciwko mnie, obok Almy, mogłam więc ich cały czas obserwować. Alma bawiła się szmaragdowym naszyjnikiem, przyciągając wzrok Gustava do swoich piersi. Śmiała się ochryple i nachylała się do niego bardzo blisko, szepcząc mu coś do ucha.

Żałowałam, że nie mam kłapek na oczach, jak koń wyprowadzany z płonącej stajni. Skoncentrowałam się więc na moich sąsiadach. Lubiłam Hoffmanna, chudego, ptasiego, pełnego niewyczerpanej energii, którego oczy płonęły nowymi pomysłami. Olbrich był znacznie bardziej spokojny i zajęty głównie piciem, ale kiedy zauważył, że nieśmiało mu się

przyglądam, wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją na swoim talerzu.

- To mój ostateczny projekt budynku Secesji - powiedział.

Przesunął talerz w moją stronę, abym mogła się lepiej przyjrzeć.

- Wygląda jak grecka świątynia - zauważyłam.

- Ależ tak - przyznał. - Potrzebujemy antidotum na te wszystkie przestylizowane budynki na Ringu, nie uważasz?

Hoffmann wziął rysunek i podsunął go sobie pod same oczy.

- Podoba mi się - powiedział. - Dużo bardziej niż ten Gustava, z frontonem. Ale czy jesteś pewien co do tej kopuły ze złoconymi laurami? Jest taka... okrągła.

- Wszyscy znają twoje zamiłowanie do kwadratu, Hoffmann - powiedział Gustav. - To może cię zaszokować, ale niektórzy uważają, że idealnym kształtem jest koło. Alfa i omega.

Hoffmann oddał rysunek Olbrichowi.

- Zakrzywione formy przyprawiają mnie o mdłości. A poza tym dobrze wiesz, że jestem ateistą.

- Wybudujesz to mimo tej bluźnierczej kopuły? - zapytał Olbrich.

- Oczywiście - powiedział Hoffmann. - To nadal będzie najpiękniejszy budynek w Wiedniu, nawet jeśli będzie miał na szczycie wielki złoty kosz kapusty.

Jedliśmy camembert i figi, kiedy Alma zagadnęła mnie.

- Planuje pani zaangażować się w projekt Secesji, panno Flöge? Na przykład jako sekretarka? Mogłaby pani stemplować koperty.

Dźwięk unoszonych i stawianych przez gości na stole kieliszków stał się nagle najgłośniejszy w salonie. Nikt nigdy nie zwrócił się do mnie w ten sposób, i to w dodatku w obecności tylu ludzi. Spojrzałam na Gustava i aż zakręciło mi

się w głowie ze złości; czy on nie zamierzał stanąć w mojej obronie?

- Jestem pewien, że bylibyśmy zaszczyceni, gdyby panna Flöge zechciała nam pomóc w jakikolwiek sposób - uprzejmie powiedział Hoffmann.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam - ale pracuję nad własnymi projektami.

- Pracuję? - skrzywiła się Alma. - A nad czym to pani pracuje?

Przy stole zapanowała cisza, wszyscy oczekiwali na moją odpowiedź.

- Zamierzam otworzyć salon mody - powiedziałam.

Ten pomysł przyszedł mi do głowy nagle, pośród paralizującego mnie niemal strachu, ale gdy tylko to powiedziałam, nie miałam wątpliwości, że to jest prawda.

- To bardzo kobiece - powiedziała Alma. - A zatem jest pani modnią.

- Projektowanie ubrań jest równie ważne jak projektowanie architektury - powiedział Hoffmann. - W gruncie rzeczy to jest architektura dla ciała. Co ja bym zrobił bez moich szytych na miarę garniturów?

- A co by zrobiła Alma bez jej gorsetów? - zapytała Berta, puszczając do mnie oko.

Byłam jej wdzięczna i dumna z siebie; wygrałam z nią. Alma obrzuciła Bertę wściekłym spojrzeniem. Podziwiałam jej odwagę.

- Gustavie, czy to twój pomysł? - zapytała. Widziałam, jak ściska go za rękę, wysoko, tam, gdzie znajdował się biceps.

- Pierwszy raz o tym słyszę - powiedział.

Pewnie myślał, że to ją utwierdzi w przekonaniu, iż jestem niezależna w swoich pomysłach, ale ja odebrałam to jako

potwierdzenie swojego dyletanctwa, tak jak powiedziała to Alma.

Rozmowa zeszła na temat daty pierwszej wystawy. Obie z Alną siedziałyśmy nadąsane.

- Nie powiedziałam tego zupełnie poważnie - wyjaśniałam Gustavowi następnego dnia w kawiarni. - Musiałam coś powiedzieć, aby mnie zupełnie nie upokorzyła.

Nadal byłam na niego zła, że uśmiechał się spokojnie, kiedy ona mnie atakowała. Poza tym czułam ogarniające mnie przerażenie. Salon mody: co też ja wymyśliłam? Najwyraźniej gorąca atmosfera na przyjęciu u Berty zatrzała mi umysł.

- Nie przejmuj się Alną - prosił Gustav. - Ona jest nieszkodliwa.

Powiedziałam, że raczej w to wątpię, a on się roześmiał.

- Dasz sobie z nią radę - zapewnił mnie. - A poza tym uważam, że pomysł z salonem mody jest znakomity.

Pochylił się nad stołem i ujął obie moje dłonie.

- Musisz to zrobić.

Tak więc, będąc głęboko przekonana, że to niemożliwe, zaczęłam się dowiadywać, co zrobić, aby otworzyć salon mody. Razem z Gustavem umówiliśmy się na spotkania w kilku najlepszych wiedeńskich salonach i mieliśmy dużo zabawy, udając bogate małżeństwo. Zamówił dla mnie kilka bardzo drogich sukien, abym mogła zobaczyć, jak wygląda branie miary i robienie poprawek. Kiedy w końcu suknie były gotowe, rozpruliśmy je na części, aby przyjrzeć się z bliska wykrojom.

Potem powiedziałam ojcu, co planuję, a on wykonał wiele telefonów do swoich kolegów - biznesmenów, którzy umówili mnie z najlepszymi dostawcami. Czasami całymi dniami nie chodził do swojej fabryczki, lecz towarzyszył mi, gdy w jakichś odległych zakątkach miasta chciałam obejrzeć różne gatunki brokatu. Może dlatego, że nie miał syna, cieszyło go

to, co mógł robić dla mnie. Podejrzywałam nawet, że w głębi duszy był dumny, że podobnie jak on zajęłam się biznesem.

Nigdy w życiu nie widziałam niczego równie fascynującego jak bele tkanin ułożone w stosach po pięć, sześć, a nawet siedem sztuk jedna na drugiej według kolorów, tak że przechodziłam od bieli do odcieni kremowych, od marengo do brązów, następnie barwy żółte, złote i pomarańczowe, różowe i czerwone, kolory wina, fiolety i błękity, a na końcu czernie. Potem zaczynały się najrozmaitsze faktury: przezroczyste muśliny, sztywne organdy, solidne bawełny, supełkowe i gładkie wełny, śliskie jedwabie i grube, ciężkie tkaniny żakardowe. Uderzała ogromna różnorodność wzorów: duże i drobne desenie kwiatowe, paski, szkocka krata, spirale, tureckie wzory i wzory geometryczne. Było też całe pomieszczenie wypełnione tiulami i tkaninami z siateczek. Zwoje pasmanterii. Pracowali tam ludzie zajmujący się wyłącznie guzikami, koronkami, wstążkami, były warsztaty, w których dziewczyny niszczyły sobie oczy, wykonując niezwykle delikatne hafty, całe fabryczki wytwarzające nici i inne, w których je farbowano.

Zapewne mój ojciec cieszył się, że miał ze mną o czym porozmawiać. Mieszkając z samymi kobietami, nigdy nie miał możliwości opowiadać o tym, co go naprawdę interesowało. A właściwie mówił nam o tym, a my udawałyśmy, że słuchamy, a w tym czasie myślałyśmy o czymś zupełnie innym, o repertuarze teatralnym, liście zakupów ze sklepu spożywczego lub ołtarzu van Dycka. Kiedy razem wędrowaliśmy po magazynach i hurtowniach, rozmawialiśmy o cenach za sztukę towaru, rabatach i zniżkach oraz opłatach za transport.

W zasadzie nie wiedziałam, co ojciec tak naprawdę myśli o moich planach. Nigdy w żaden sposób nie wypowiedział się na ten temat, nigdy nie powiedział, że to jest rozsądne i praktyczne czy też zwariowane i mało kobiece, że może

zniszczyć moje plany zamążpójścia, ale zanim jeszcze otworzyliśmy salon, załatwił nam pierwsze zamówienie - szycie fartuchów dla uczennic ze szkoły gastronomicznej. Ktoś, kogo znał w rządzie, znał kogoś, kto był właścicielem tej szkoły. Ojciec pomyślał pewnie, że jeśli nasze propozycje spodobają się, mogłybyśmy zdobyć stałe zamówienia rządu na uniformy dla pielęgniarek lub dla tragarzy dworcowych.

Smutkiem napęła mnie myśl, że nie było mu dane zobaczyć, jak po paradnych schodach opery schodzą damy w sukniach, które ja zaprojektowałam i wykonałam. Nie dowiedział się, jak wielkim sukcesem był mój salon.

Rozdział 14

Cały rok trwały przygotowania do pierwszej wystawy zorganizowanej przez Secesję. Największym problemem było znalezienie odpowiedniego miejsca. Artyści z oczywistych względów nie brali pod uwagę Kunstlerhaus, a inne przestrzenie były albo za drogie, albo za ciemne, albo niedogodne, albo zbyt brzydkie. W końcu zdecydowali się na współpracę z Towarzystwem Ogrodniczym. Towarzystwo było w posiadaniu przeszklonego atrium dla roślin, nawet w marcu pełnego światła. Rada nadzorcza, której przewodniczył wuj Berty Zuckerkandl, była bardzo przychylna. Ale najważniejsze okazało się to, że właściciele zgodzili się przyjąć należność za wynajem w postaci dzieł sztuki.

Obrazy przyływały statkami w skrzyniach, przynosili je też osobiście artyści, a nawet zdarzyło się, że dotarły na grzbiecie muła, opakowane w papier. Mnóstwa pracy wymagało wypełnianie formularzy i częste wędrowki do urzędu celnego w porcie. Przyjeżdżali kurierzy, często młodzi artyści, którym trzeba było zapłacić, nakarmić ich i zapewnić noclegi do końca wystawy, kiedy mogli już zabrać obrazy tam, skąd je przywieźli. Wszystko - obrazy, wydrukowany program imprezy, zaproszenia, rachunki, przedstawiciele rządu i artyści - gromadziło się w pracowni Gustava, aż wreszcie trudno było znaleźć w niej wolne miejsce, żeby się poruszać, nie mówiąc już o możliwości malowania. Gustav przysięgał, że po zakończeniu wystawy zastrzeli każdego, kto nadal będzie się pętał w jego pracowni.

Zresztą i tak nie miał czasu na nic, co nie wiązałoby się z wystawą. Musiał się upewnić, że wszystkie prace dojechały, a potem zaaranżować ekspozycję. To był jego pomysł, aby powiesić obrazy na wysokości wzroku, a nie jak zwykle wypełniać nimi ściany od podłogi do sufitu. Dzisiaj taki układ wydaje się oczywisty, ale wówczas rozwiązanie to uważano za

radykałne. Niektórzy obawiali się, że będzie za dużo pustej przestrzeni i publiczność będzie niezadowolona, spodziewając się za zapłacone pieniądze zobaczyć więcej dzieł sztuki. Gustav odpowiadał na to, że wystawa przyciągnie tłumy właśnie dlatego, że będzie niezwykła i skandalizująca.

Inni mieli bardziej praktyczne powody do zmartwienia. Opłaty za wstęp były najważniejszą częścią budżetu Secesji na najbliższy rok. Gdyby ludzie nie przyszli na wystawę, Secesja miałaby za mało funduszy na działalność.

W końcu wszystko było gotowe. Rzeźby stanęły na swoich miejscach, kwiaty zostały ułożone, każde wrażliwe ego usatysfakcjonowane. Nie pozostało nic innego, jak tylko wystroić się i przybyć na wernisaż, aby posłuchać opinii zwiedzających.

W dniu otwarcia wystawy Gustav przyjechał do pawilonu Towarzystwa Ogrodniczego wczesnym rankiem i kilka godzin przed wernisażem spędził na przewieszaniu obrazów i liczeniu butelek szampana. Ja postanowiłam nie przyjeżdżać tak wcześnie, bo wiedziałam, że i tak w niczym mu nie pomogę, a byłoby mi niezręcznie po prostu płatać się po salach.

Niemniej martwiłam się o Gustava. Spodziewano się na wernisażu wielu krytyków piszących o sztuce, między innymi Adolfa Loosa, który bywał złośliwy wobec każdego, ale chyba szczególnie nie lubił właśnie Gustava. Gdyby napisał coś wyjątkowo zgryźliwego, Gustav czułby się ośmieszony, bo czy się to komuś podobało, czy nie, właśnie on stał się rzecznikiem i symbolem nowej grupy artystycznej. Nikt inny nie rozumiał tego tak dobrze jak on. Może się też zdarzyć, że policja zechce zamknąć wystawę lub zagrozi jej zamknięciem, jeśli znajdzie na niej coś szczególnie wulgarnego. No i najgorsze ze wszystkiego - co będzie, jeśli nikt nie przyjdzie?

Włożyłam wąską suknię bez rękawów z błękitnego dżerseju z dekoltem udrapowanym jak grecki chiton, do tego

długi, srebrny łańcuch wysadzany oliwinami. Lepiej wyglądałam ze złotą biżuterią, ale srebro, jak twierdził Hoffmann, było idealnym kruszcem dla rękodzielnika, wybrałam więc srebro. Kiedy narzuciłam na siebie jasnobłękitny satynowy płaszcz, w którym chadzałam do opery, poczułam, że zdołam obronić Gustava przed każdą napaścią, chociażby urodą swojego wytwornego stroju.

Obie z Helene przyjechałyśmy wcześniej, ramię w ramię, tak jak przed laty na wystawę Gustava. Tym razem ciężkie brązowe drzwi nie onieśmieliły nas i śmiało je otworzyłyśmy. Razem z podmuchem zimnego powietrza znalazłyśmy się w środku.

W Wiedniu zimy są mroźne, a typowe wiedeńskie mieszkanie bywa niedogrzone i pełne przeciągów. Dlatego wszyscy chodzą do kawiarni, gdzie można się ogrzać na tyle, by móc myśleć, rozmawiać, pracować. Nawet kawiarnie były jednak dobrze ogrzane tylko w porównaniu z mieszkaniami. W lecie natomiast w mieście bywało bardzo gorąco, ale wtedy wszyscy wyjeżdżali.

Dlatego nie byłam przygotowana na tropikalną temperaturę w pawilonie wystawienniczym. Na wystawę dotarło dopiero kilku pierwszych gości, którzy kupili bilety i spoceni krążyli po sali z chusteczkami w rękach. W przeciwieństwie do ludzi palmy i orchidee miały się wspaniale. Wyobraziłam sobie, jaki zaduch się tu zrobi, kiedy pojawią się tłumy. Czemu nikt wcześniej o tym nie pomyślał?

Helene i ja natychmiast zdjęłyśmy płaszcze i zostawiłyśmy je pod opieką jakiegoś młodzieńca, który wydawał się bardzo przygnębiony perspektywą siedzenia w holu z norkami i sobolami. Helene, która zawsze była osobą pełną empatii, dała mu sowity napiwek i poleciła, aby kupił sobie za to czerwień kadmową. Wróciła do mnie ze smutną miną.

- Tylko Gustav mógł zapomnieć o czymś tak trywialnym jak komfort fizyczny. Może powinniśmy powiedzieć bileterowi, aby na chwilę uchylił drzwi?

- Coś trzeba z tym zrobić - zgodziłam się - ale najpierw zapytam Gustava.

Nie chciałam udawać, że mam tu coś do powiedzenia, bo tak nie było. Rozejrzałam się za nim po sali.

Dziennikarze także przyszli wcześniej, żeby się napić. Skupili się wokół baru, mając nadzieję na jakąś burdę lub awanturę, coś, czego nie spodziewali się na zwykłej wystawie sztuki. Artyści buszowali wśród owoców i serów, pochłaniając je jak stado wiewiórek. Kelnerzy roznoszący kanapki ze śledziami i wędzorem starali się omijać ich z daleka, ale od czasu do czasu któryś dawał się złapać i wtedy znikła od razu zawartość całej tacy.

Środek sali był pusty, jeśli nie liczyć mężczyzny o solidnej budowie i wysokiej wątej kobiety, którzy przyglądali się jakiejś geometrycznej w kształcie rzeźbie.

Adele miała na sobie suknię w kolorze zaczerwienionych twarzy reporterów prasowych. Stali w pewnej odległości od siebie, nawet na siebie nie patrzyli. Gustav opowiadał jej o rzeźbie, wyjaśniał, dlaczego jest tak ważna, mówił coś o nowym ruchu artystycznym, o prostocie formy, o tym, jak rzeźba wyłoniła się z kamienia. Nikt tego do tej pory tak nie robił poza Michałem Aniołem. Gustav mógłby wygłaszać odczyty w muzeum. Na chwilę zabrakło mi odwagi, by do nich podejść. Czułam raczej, niż widziałam, co działo się między nimi.

Adele pierwsza mnie spostrzegła, ale nie zareagowała. Kiedy dotknęłam ramienia Gustava, drgnął, jakbym go przestraszyła.

Nigdy nie zostałyśmy sobie przedstawione. Od tamtego wieczoru u Berty Zuckerkandl wiele razy słyszałam, co o niej

mówiono, raz określano ją jako „piękną i czarującą”, to znowu jako „okrutną i psychicznie nieźrównoważoną”. Na kilku przyjęciach mignęła mi gdzieś w tłumie, ale Gustav nigdy o niej nie mówił. Moim zdaniem nie wróżyło to nic dobrego.

Stworzyłam sobie jej wyobrażenie na podstawie tych przelotnych kontaktów i różnych plotek. Wydawało mi się, że jest snobką, traktującą mnie, córkę fabrykanta, z góry. Nie podejrzewałam jednak, by mogła mi powiedzieć coś szczególnie obraźliwego. Nie, raczej przeciwnie, przypuszczałam, że może być uprzedzająco grzeczna, spokojna, a nawet sprawiać wrażenie nieśmiałej. W każdej chwili jednak gotowa ugodzić mnie sztyletem. W przeciwieństwie do Almy, która waliła pałką po głowie. Przypisywałam jej sporą inteligencję, zabarwioną sprytem i złośliwością. Powinnam na nią uważać. Z uwagi na te wszystkie trudności oczywiście poczytywałam sobie jednak za sukces, gdyby w końcu została moją klientką. To z pewnością by jej nie uwłaczało.

Gustav przedstawił mi ją jako swoją stałą klientkę, a mnie po prostu jako pannę Flöge. Nie uścisnęłam jej dłoni, bo trzymała je bezpiecznie za plecami, co było raczej sztubackim gestem, niestosownym na oficjalnym przyjęciu. Czyżby chciała mi w ten sposób okazać lekceważenie? Jej twarz nic nie wyrażała, opuściła ciężkie powieki, zasłaniając nimi swoje wielkie zielone oczy, a także myśli. Była w moim wieku, ale wyglądała na dużo starszą, zmęczoną życiem. Garbiła się jakby pod ciężarem niewidocznego brzemienia.

- Przyszłam, aby cię zapytać, czy można otworzyć frontowe drzwi. Za chwilę ludzie się tu usmażą.

Gustav wyglądał na zaskoczzonego, chociaż był czerwony na twarzy i spocony jak mysz.

- Gorąco ci? - zapytał Adele.

- Mnie nigdy nie jest gorąco - powiedziała i jej wygląd to potwierdzał; była blada jak marmur, przed którym stała. Uniosłam brew, a ona wyjaśniła: - Mój mąż ciągle narzeka, że ogrzewanie dla mnie domu kosztuje majątek. Staram się, aby przynajmniej w jadalni zawsze było wystarczająco ciepło. Okropnie cierpi z tego powodu.

Myślałam, że się przesłyszałam.

- Czy pani mąż jest tu dzisiaj? - zapytałam. - Chciałabym go poznać.

- Niestety - powiedziała bezbarwnym głosem. - On nienawidzi sztuki. Interesują go tylko pieniądze. Gdyby tu było jakieś dzieło sztuki wykonane z pieniędzy, niewątpliwie spodobałoby mu się. Gustav, kochany, musisz namalować pieniądze. Martwą naturę. Lub zrobić z nich rzeźbę, coś w rodzaju papier mache. Czy to nie byłoby interesujące? Mogłabym to kupić i postawić na naszej półce nad kominkiem.

Byłam zbyt skrepowana, aby coś powiedzieć. Spojrzałam na Gustava.

- Co o tym myślisz?

- O czym?

- O otwarciu drzwi.

Wzruszył ramionami, jakby odpowiedź Adele zakończyła całą sprawę. Adele nie jest gorąco, więc problem nie istnieje. Zacisnęłam zęby.

Spojrzała na moją suknię.

- Kto ją uszył? - zapytała.

Opowiedziałam jej o Jaegerze i jego ruchu na rzecz zreformowania kobiecych sukien. Moja uszyta była według jednego z jego wzorów.

- Nigdy dotąd nie widziałam takiego materiału - powiedziała. - Mogę go dotknąć?

Przytaknęłam, a ona dotknęła mojego ramienia dłonią w rękawiczce. Wtedy zrozumiałam, dlaczego chowa ręce za plecami. Palce miała powykręcane i zeszywniałe, jakby dotknął ją atak artretyzmu podczas gry na skrzypcach.

- Co to jest? - zapytała.

- Bawełna - wyjaśniłam. - To dzianina, a nie tkanina.

- Interesujące. Czy to jest wygodne?

- Bardzo - zapewniłam ją. - Wyciąga się wraz z ruchami ciała.

- Tak, to spora ulga. Ale czy nie czuje się pani tak, jakby występowała w nocnej koszuli w miejscu publicznym?

- Wszystkie nowoczesne kobiety w Berlinie ubierają się w podobnym stylu - powiedziałam. - Nie wspomnę już o Paryżu.

- Tym mnie pani naprawdę zainteresowała, panno Floge - powiedziała z ożywieniem. - Zarówno mój mąż, jak i moja matka nienawidzą nowoczesności. To jedna z dwóch kwestii, w których są całkowicie zgodni. Druga dotyczy mnie, ponieważ oboje uważają, że jestem kompletną wariatką. Czyż jednak można mieć im to za złe? Nie do twarzy mi w błękitach. Czy są też inne warianty kolorystyczne?

- Widziałam w katalogu krwistą czerwień, w której byłoby pani doskonale.

- Och, nienawidzę czerwieni - powiedziała. - Jest taka oczywista. Przez wiele lat matka zmuszała mnie do noszenia w zimie czerwonego kapelusza. Co roku w październiku dostawałam nowy. Kiedy byłam mała, nosiłam filcowy beret szkocki z pomponem. Zwykle „gubiłam” go w parku, ale wtedy dostawałam kolejny. Rok temu podarowała mi na urodziny szkarłatny kapelusz w kształcie hełmu. Chciałam oddać go mojej garderobianej, ale gdybym spotkała ją na ulicy w czymś takim na głowie, mogłabym zwymiotować. Spaliłam go więc.

Wbrew sobie zaczynałam ją lubić, jej spontaniczność i poczucie humoru. Była miła, gdy żartowała.

- A więc czerwień wykluczona - powiedziałam.
- Wykluczona - potwierdziła. - Lubię pastelowe kolory.
- Panna Flöge ma zamiar otworzyć salon mody - powiedział Gustav. - Będzie mogła projektować wszystkie twoje stroje.

Zarumieniłam się.

- Może kiedyś - powiedziałam.
- Świetnie, proszę mnie wpisać na listę - entuzjastycznie poprosiła Adele.

Dodała, że nie może niczego zarzucić swojej krawcowej, ma wiele strojów, ale z drugiej strony suknia z bawełnianej dzianiny jest czymś zupełnie nowym, a chciałaby sprawić przyjemność Gustavowi i zirytować męża. A poza tym nie musi się liczyć z pieniędzmi.

Kiedy już to ustaliłyśmy, wróciłam do sprawy temperatury. Postanowiłam porozmawiać o tym z Mollem. Tak, zgodził się ze mną, jest gorąco. Tak, możemy otworzyć drzwi, tak właśnie robili, kiedy przygotowywali ekspozycję, ale ktoś się zaniepokoił, że na wernisażu mogłyby być przeciągi. Właściwie mógłby sam otworzyć drzwi, ale właśnie poluje na jakiś bardzo ważnych mecenasów, z którymi musi bezzwłocznie porozmawiać. Czy mogłabym sama się tym zająć?

Tak, mogłabym. Drzwi były ciężkie; mosiężne stojaki na parasole nie utrzymałyby ich w miejscu, ale kilka worków ziemi doniczkowej, które znalazłam w pokoju na tyłach, spełniłoby to zadanie. W końcu było to Towarzystwo Ogrodnicze. Ściągnęłam na siebie kilka zdziwionych spojrzeń, kiedy kursowałam parę razy przez salę ekspozycyjną, dźwigając ciężkie worki, ale udało się.

Skończywszy, poszłam do damskiej toalety, aby umyć powalane ziemią ręce. Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam siedzącą na kanapce Almę, ubraną w suto marszczoną czerwoną suknię.

- Przewróciłaś się na donicę z paprotką? - zapytała. - A może to moda, którą dziś lansujesz?

Nie odpowiedziałam. Podeszłam do umywalki i dokładnie zmyłam z rąk całą ziemię. Kiedy potem usiadłam obok niej na kanapce, porównanie nie wypadło na moją korzyść. Chociaż nie byłam już brudna, twarz mi płonęła z wysiłku i świeciłam się od potu. Temperatura w oranżerii sprawiła, że moje włosy skręciły się w kędzierzawą aureolę. Na górze sukni miałam plamę, której nie mogłam doczyścić. Usiłowałam przeczesać włosy palcami, ale po tym zabiegu wyglądały jeszcze gorzej. Siedząca obok Alma była nieskazitelnie ubrana i uczesana. Włosy miała upięte z tyłu głowy w kunsztowny węzeł, a jej szyja była idealnie gładka.

- Brylantyny? - zaproponowała, podając mi puzderko w taki sposób, że diamentowe pierścienie na jej palcach zamigotały w świetle. - Możesz jej użyć, naprawdę.

Przyjęłam pudełeczko z wdzięcznością i roztarłam trochę słodko pachnącej substancji na dłoniach.

- Właściwie cieszę się, że przyszłaś - powiedziała Alma, obserwując, jak staram się doprowadzić do porządku. - Jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć.

Czekałam.

- Poprosił, abym wyszła za niego za mąż - powiedziała. - Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Nie mogłam w to uwierzyć. Usiłowałam zachować spokój, a serce biło mi normalnym rytmem. Mechanicznie wcierałam brylantynę we włosy.

- Przyjęłaś oświadczenia?

- Teoretycznie - powiedziała. - To trochę skomplikowane, ponieważ moja matka w zasadzie tego nie akceptuje. On jest dużo starszy i nie ma dobrej reputacji. Jak wiesz. Tak więc na razie są to sekretne zaręczyny.

Mój umysł pracował zadziwiająco sprawnie. Powiedziałam sobie, że gdyby naprawdę zaręczył się z Alną, nie rozmawiałby w galerii z Adele. Być może zaręczyny były sposobem na uspokojenie jej, na uśmierzenie jej zazdrości.

- No cóż, gratuluję - powiedziałam.

Wydawała się rozczarowana moją powściągliwą reakcją.

- Oczywiście zaproszę cię na ślub. Może nawet uszyjesz mi suknię. Gustav mówił, że zamierzasz zostać projektantką mody.

Musiałam natychmiast stamtąd wyjść. Zamknęłam pudełko z brylantyną.

- Ty też powinnaś wyjść za mąż - powiedziała. - Mogłabym ci kogoś znaleźć. Znam mnóstwo ludzi.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - odparłam sucho, po czym wstałam, aby przejrzeć się w lustrze.

Starałam się nie zwracać uwagi na protekcyjny uśmiech na czerwonych ustach Almy.

Wróciłam na wystawę. Temperatura spadła o kilka stopni. Sala wypełniona już była do granic możliwości. Wypatrzyłam w tłumie moją siostrę i zaczęłam torować sobie do niej drogę.

Następnego dnia kupiłam wszystkie gazety, aby przejrzeć recenzje. „Times” napisał, że wystawa jest bezładną intelektualnie zbieraniną brzydoty, degeneracji i po prostu głupoty. W „Neue Freie Press” natomiast określono wystawę jako długo oczekiwaną ekspozycję artystycznych talentów i życzo Secesji wielu sukcesów.

Przez dwa miesiące trwania wystawy galerię odwiedzały tłumy. Nawet sam cesarz wybrał się tam ze specjalną wizytą.

Prace dobrze się sprzedawały. Adele kupiła obraz Puvisa de
Chavannes. Matka Almy dwie prace Meuniera.

Rozdział 15

Mój ojciec zmarł nagle na zawał serca. Był jak zwykle w fabryce, sprawdzał jakieś urządzenie i nagle upadł. Nic nie można było dla niego zrobić; zmarł, nim przyjechał lekarz. Chociaż włosy i broda posiwiały mu już wiele lat temu, nie myślałam o nim jak o starym człowieku; miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Przygotowując się do otworzenia salonu, polegałam na jego doświadczeniu i zmyśle do interesów. Wyobrażałam sobie huczne przyjęcie, podczas którego odgrywałby rolę mistrza ceremonii. Jego rumiana twarz promieniowałaby dumą, gdy wznosiłby toast za swoją utalentowaną córkę. Ale, niestety, stało się inaczej.

Tamtego lata, jak zwykle, planowaliśmy wyjazd nad Attersee, ale to już było zupełnie co innego. Kto miałby mi pokazywać jastrzębie ukryte w drzewach koło domu? Zabierać nas do wiejskiego kościółka, pracować w warzywniku i zasypiać na kanapce na tarasie tuż po lunchu?

Zaprosiliśmy na lato Gustava. Zapraszaliśmy go od lat, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie: podróże, nawał pracy, taka czy inna kobieta. Zawsze narzekał, że w Wiedniu jest gorąco, źle i nudno. Bo latem wszyscy wyjeżdżali. Zawsze pisał do mnie listy i błagał, żebym wróciła do domu. Tamtego lata powiedziałam jednak wyraźnie, że bez niego nie dam sobie rady. Ponieważ wiedział, jaka jestem słaba i zrozpaczona, wymówił się od swoich zobowiązań i spędziliśmy razem całe dwa miesiące.

Razem, ale nie sami. Była też moja matka, siostry i siostrzenica. Gustav zajął sypialnię na parterze, ale rzadko jej używał; wolał składane łóżko, które rozstawił sobie w zaadaptowanej na pracownię szklarni. Oznajmił, że wstaje bardzo wcześnie i nie chciałby nam przeszkadzać, kiedy będzie się miotał po domu, zwłaszcza że ma skłonność do

gubienia butów i szukając ich, przewraca zwykle wszystko do góry nogami.

Rano, kiedy wszyscy jeszcze spali, brał orzeźwiająca kąpiel w jeziorze i dołączał do towarzystwa podczas śniadania na tarasie, kiedy słońce oświetlało już szczyty gór. Wiele czasu spędzaliśmy oboje, pływając łódką po jeziorze; Gustav wiosłował, a właściwie wściekle machał wiosłami, aby ćwiczyć mięśnie, a ja siedziałam z tyłu i cieszyłam się bryzą. Na środku jeziora zarzucaliśmy kotwicę i Gustav nurkował, trzepotał się w lodowatej wodzie, a potem płynął do przystani na przeciwległym brzegu. W drodze powrotnej przekręcał się na plecy i wypluwał w powietrze wodę jak wieloryb. Kiedy wdrapywał się z powrotem do łodzi, gdzie ja opalałam się, leżąc na dnie, zwykle wypychał mnie do wody i potem w teatralny sposób udawał, że mnie ratuje, chociaż z nas dwojga to ja lepiej pływałam. Nosiałam kapelusz, by chronić skórę i uniknąć bólu głowy po czytaniu w pełnym słońcu, a Gustav był zwykle opalony i ogorzały od słońca, wiatru i wody.

Często zabierał do łódki sztalugę i malował góry, domy w Unterach, stojące jeden nad drugim, jak dziecinne klocki, oraz kępy brzoź na brzegu jeziora. Moim zadaniem było wtedy utrzymywanie łódki w równowadze i takie wiosłowanie, abyśmy nie dryfowali z prądem. Robiliśmy sobie też wycieczki na wzgórza, gdzie malował w plenerze pola i dziką roślinność alpejską.

Kiedy byliśmy już zupełnie wyczerpani, wracaliśmy do domu, aby zjeść kanapki i wypocząć na słońcu. Gustav zabierał swoje obrazy do szklarni i tam dalej nad nimi pracował. Obiecał, że podczas wakacji nie będzie malował zamówionych portretów ani pracował nad szkicami do malowideł do auli uniwersyteckiej.

Szklarnia wyglądała wtedy zupełnie inaczej. W słoneczny dzień jej szklane ściany były zawsze odsłonięte, posadzka

dokładnie wysprzątana i wszystko ustawione w jak największym porządku. Stała tam stara kanapa, którą zarezerwowałam dla siebie, i kiedy Gustav popołudniami pracował, lubiłam, siedząc na niej, przeglądać francuskie magazyny mody i „Journal of Arts and Crafts” i szkicować.

Pewnego dnia, kiedy z zapalem rysowałam japońskie parasolki, które miałam nadzieję wyprodukować, Gustav poprosił mnie, abym spojrzała na jego nowe szkice do Medycyny, pierwszego z malowideł do auli uniwersyteckiej. W swoim zobowiązaniu, że na wakacjach zapomni o tej pracy, wytrwał tydzień.

Na tym etapie pracy rzadko pytał mnie, co myślę o rysunkach, ale jakiś czas temu komisja skrytykowała jego szkice i poprosiła o zmiany. Rozważał nawet wycofanie się z tego przedsięwzięcia, ale w końcu Franz odwiódł go od tego i tuż przed jego przyjazdem nad Attersee podpisali kontrakt. Teraz zastanawiał się, jak dokonać zmian, aby mógł je zaakceptować.

Wiedziałam, że generalne zarzuty dotyczyły rzekomej nieprzyzwoitości jego rysunków. Zdaniem komisji dziewczyna symbolizująca cierpiącą ludzkość była obsceniczna, zamiast niej komisja oczekiwała personifikacji młodości, ale ponieważ nigdy nie oglądałam tych szkiców, nie byłam pewna, co to miałoby znaczyć. Przypuszczałam, że członkowie komisji to banda zacofanych idiotów, którzy nie znali się na sztuce. Nie byłam przygotowana na to, co Gustav mi pokazał.

Przyczepione do ściany dziesięć lub dwanaście dużych kartonów tworzyło razem ogromny murai. Malowidło musiało być duże, ponieważ przeznaczone było na sufit w auli i gdyby było mniejsze, nikt by na nim niczego nie zobaczył. Jego rozmiar zapierał dech w piersiach, ale nie o to chodziło.

Nie miałam pojęcia, jak powinna wyglądać alegoria Medycyny: Hipokrates pod oliwkowym drzewem nauczający grupę żądnych wiedzy młodzieńców w chitonach czy raczej mężczyźni we współczesnych strojach pochyleni nad łózkami chorych w nieskazitelnie czystym szpitalu.

W alegorii Medycyny, którą przedstawił Gustav, na pierwszym planie widoczna była Higieja, bogini zdrowia, która wyglądała jak anioł zemsty, ciemny i tajemniczy. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ma w sobie coś z Adele Bloch - Bauer. Czy myślał właśnie o niej? Postać trzymająca w dłoniach węża i jakieś naczynie raczej nie przypominała litościwej natury. Trudno byłoby orzec, czy przybywa, aby leczyć, czy aby zabijać.

Po lewej stronie kompozycji znajdowała się samotna postać nagiej kobiety, która rozpostarwszy ramiona, płynęła w przestrzeni, utrzymywana w górze przez masy wód, niby płyn owodniowy. To była właśnie ta obsceniczna dziewczyna. Jej miednica była wychylona do przodu w bardzo znaczący sposób. Wszystkie postaci, jakby zawieszane w tej samej kleistej cieczy, zgrupowane zostały po lewej stronie malowidła jak stos ciał. Niektóre były w gruncie rzeczy szkieletami okrytymi długimi włosami innych. Ciężarne kobiety, starcy; cała ludzkość, cierpiąca, udręczona, umierająca.

To był koszmar senny.

- Wydaje się... bardzo osobiste - powiedziałam. Nienawidziłam siebie za to, bo moje słowa zabrzmiały jak uwaga taktownego, ale niezadowolonego mecenasa.

- Wcale nie - zaperzył się, już przyjmując postawę obronną. - To dzieło filozoficzne. Dlaczego uważasz, że jest osobiste?

Gustav bardzo rzadko wspominał Ernsta. Co miesiąc wypłacał Helene pokaźną sumę pieniędzy i był wzorowym

ojcem chrzestnym swojej bratanicy. Ale nigdy o nim nie mówił. Następnego dnia po pogrzebie wysprzątał pracownię i wyrzucił rzeczy Ernsta na śmietnik. Jedyne, co zostawił, to wytarty wełniany sweter, który Ernst wkładał, gdy w pracowni było zimno. Gustav nie nosił go, lecz powiesił na krześle. Kiedy zmienił pracownię, zabrał sweter ze sobą. To wyglądało tak, jakby Ernst wyszedł tylko na spacer i niedługo miał wrócić.

- Kiedy patrzę na ten obraz, nie mogę się oprzeć myślom o papie. Lekarz nie mógł dla niego zrobić nic, tylko zamknąć mu oczy. A Ernst, cały ten obłęd, śmierć dwudziestoosmioletniego zaledwie mężczyzny na oczach najlepszych lekarzy Wiednia, którzy osłuchiwali go i kazali nam nacierać go kamforą, a żaden nie mógł mu pomóc, patrzyli tylko, jak powoli się dusi.

- Może ty o tym myślisz, nie mogę sterować twoimi myślami. Przykro mi z powodu twojego ojca, ale byłem daleki od myśli o nim.

- A o Ernście? - zapytałam.

- O nim też nie myślałem - powiedział Gustav. - Co by to dało?

- Nie wierzę ci - powiedziałam.

- Nie mogę tego słuchać - oburzył się. - Co chcesz mi wmówić?

Wyglądał, jakby cierpiał fizycznie.

- Czy przez te osiem lat rozmawiałeś kiedyś o nim? - zapytałam.

- Przecież o nim mówię - powiedział, wskazując na obraz.

- Czy nie to właśnie powiedziałaś? Czy powinienem płakać, wrywać sobie włosy z głowy, nałożyć worek i posypać się popiołem? Czy to by cię zadowoliło? Czy powinienem zachować się jak żona beduińskiego pastucha?

Usiłowałam mu przerwać, ale on mówił dalej z furją.

- To nie jest o Ernście, to jest o tym, co się stało po jego pogrzebie. Chcesz przecież, żebym o tym mówił, prawda? Pewnie chcesz, żebym ci powiedział, że cię kocham, że byłem odurzony rozpaczą, ale teraz jestem gotów cię poślubić. To chcesz usłyszeć?

To było okrutne i niesprawiedliwe, ale co mogłam zrobić? Stałam tam przed nim, a łzy spływały mi po policzkach. Nigdy o tym nie wspomniałam, nigdy go nie oskarżałam. W milczeniu przez wiele miesięcy znosiłam tortury z powodu Almy, czekając, aż mi powie, że się zaręczyli. A teraz coś takiego.

Wyszłam z pracowni bez słowa i poszłam na pole maków, oddalone o jakiś kilometr od naszego domu. Położyłam się wśród czerwonych i pomarańczowych kwiatów, które szeleściły na wietrze jak papier. W słońcu panował niemiłosierny żar.

Rzadko się kłóciliśmy, więc żadne z nas nie wiedziało, jak się pogodzić. Kiedy wróciłam do pracowni, stał przed malowidłem. Spojrzał na mnie ze skruchą.

- Jest jakiś błąd w koronie Higie - powiedziałam. - Poza tym ma za bardzo splątane włosy. Zbyt przypomina tamte cienie zmarłych.

Pokiwał głową.

Wskazałam postać po prawej stronie w głębi kompozycji.

- Ona zakłóca równowagę całości. Moim zdaniem lepiej byłoby, gdybyś przesunął ją parę centymetrów w stronę centrum.

- Masz rację - powiedział. I zaczął rysować.

Tamtego wieczoru wszyscy rozwiązywali szarady, ale my nie byliśmy w odpowiednim nastroju. Woleliśmy posiedzieć w ogrodzie i posłuchać grania świerszczy.

Zeszliśmy w dół brukowaną ścieżką, kierując się w odległy zakątek ogrodu z dala od szklarni. Chcieliśmy usiąść

na kamiennej ławce, która stała na granicy naszej posiadłości. Tam nie było już słycać śmiechów dochodzących z werandy i nie było widać światła z salonu. A gdyby zrobiło się jeszcze trochę ciemniej, wcale nie widzielibyśmy domu. \Nasz ogród utrzymany był w stylu angielskim, porośnięty chwastami i dziki. Na treliach pięły się róże i glicynie poprzestane krzakami bzów. Kamienna ławka była zimna, gdy położyłam na niej dłoń. Róże szykowały się do rozkwitu; na każdym krzaku naliczyłam około tuzina twardych zielonych pąków.

Gustav wziął mnie za rękę, podwinął rękaw sukni aż do ramienia i zaczął rysować na mojej skórze wyciągniętym z kieszeni węglem.

Cofnęłam się zaskoczona.

- Mam pewien pomysł - wyjaśnił - ale nie wziąłem ze sobą papieru.

- Jestem więc twoim płótnem? - zapytałam.

- Czemu nie? - uśmiechnął się. - Jesteś zmywalna. To była nowa ozdoba na głowie Higie. Zamiast korony z liści przepaska skomponowana z kólek i przecinających się kresek. To właśnie narysował na mojej ręce.

Wzdrygnęłam się pod wpływem przenikliwego chłodu, który nagle poczułam, gdy zmienił nacisk węgla z delikatnego łaskotania na bolesne rycie w skórze, chcąc osiągnąć ciemniejszy, bardziej wyrazisty rysunek. Światło było już bardzo słabe, panowała szarość jak na fotografii, i zastanawiałam się, czy on jeszcze widzi, co rysuje.

- Nie dość dzisiaj rysowałeś? - zapytałam.

Węgiel pokruszył mu się w palcach, przyłożył dłonie do mojej twarzy i roztarł węglowy pył.

- Wyglądasz teraz jak tamta dziewczynka, której dawałem lekcje rysunku - powiedział.

- Albo jak wdowa - rzuciłam i aż się wzdrygnęłam na te słowa.

- Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? - zapytał. - Nienawidziłem cię tamtego dnia. Miałaś na sobie białą bluzkę, takie miękkie, drobne rączki i uśmiechałaś się z wyższością. Nienawidziłem twojego ojca i jego drogiego tytoniu, a także twojej matki i jej tandetnych francuskich grzebieni. Miałem ochotę pogryźć was wszystkich na kawałeczki i wypluć szczątki do rynsztoka.

- Co cię przed tym powstrzymało? - zapytałam.

- Nie tylko cię nienawidziłem - powiedział. - Także cię pragnąłem. Chciałem cię mieć i chciałem być tobą, mieć twoje zdrowie, twój pełny żołądek i taką wygodną niewinność. Chciałem cię zdeprawować i chronić jednocześnie.

- Nie zrobiłeś ani jednego, ani drugiego - powiedziałam.

A w duchu pomyślałam: a więc zawsze mnie pragnął.

- No widzisz - powiedział. - Nigdy nic mi nie wychodzi.

Przywarłam ustami do jego ramienia.

- Tam w pracowni... - zaczął. Czekałam.

- To nie tylko z powodu Ernsta, wiesz o tym.

- W porządku - powiedziałam.

- Wiesz... - powiedział i zamilkł.

Byliśmy bardzo blisko czegoś, a ja czułam się taka lekka jak tamta kobieta na malowidle Medycyny. W każdej chwili mogłabym unieść się w powietrze lub rozpląnąć na ławce jak coś martwego w ziemi.

- Co takiego? - zapytałam.

- Chcę namalować twój portret - powiedział.

- Nie masz dość malowania portretów? - zdziwiłam się.

- Twojego nigdy nie namalowałem - powiedział. - Co za wstyd! Powinnaś zaprojektować sobie suknię, a ja cię w niej namaluję.

Wzięłam ołówek.

- Wyciągnij rękę.

Położyłam ją sobie na kolanach i zaczęłam pisać na jego dłoni, jak nauczyciel na ręce niewidomego. Napisałam na jego skórze swoje imię. Następnie starłam je, tak że było prawie nieczytelne.

- Co to było? - zapytał.

- Nic - powiedziałam. - Odwróć rękę.

Skóra po drugiej stronie dłoni była bardziej sucha i znacznie łatwiej poddawała się ołówkowi. Zaczęłam rysować ławicę ryb płynących w kierunku jego łokcia. Chichotał cichutko, ponieważ ołówek go łaskotał, a potem zabrał mi go i przeciągnął nim wzdłuż kości na mojej ręce.

- Masz rękę podobną do skrzydła ptaka - powiedział. - Twoje kości muszą być puste w środku.

Czas się nagle zatrzymał, jakby otulony w gazę, poczułam jego miękką brodę na swojej twarzy, muskała moje policzki. Kocham cię, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego.

- Droga Emilie - powiedział i pocałował mnie.

Czułam się tak, jakbym nurkowała do morza z granitowego nabrzeża: zamknęłam oczy, pozbyłam się obaw i skoczyłam. Przez chwilę nic nie widziałam, tak jakbym miała tylko zmysł smaku, dotyku i zapachu.

Zatrzymał się.

- Co się stało? - zapytałam.

Wstał.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Dzisiejszy dzień dał mi się we znaki.

Ruszył w stronę szklarni. Poszłam za nim.

- Chcesz, żebyśmy z tobą poszła?

- Jeśli chcesz - powiedział. - Muszę wcześniej wstać.

Spaliśmy na podłodze w szklarni, niewinnie przytuleni, jak psy myśliwskie po całym dniu polowania. Gdy już zasypiałam, uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam głośno: „Kocham cię”.

Rano jakiś zabłąkany promień słońca przeniknął przez chmurę i obudził mnie. Śpiący obok Gustav wydał dźwięk podobny do zasuwania eklera. Przykryłam go moją częścią koca i pobiegłam do sypialni.

W domu wszyscy jeszcze spali. Wślizgnęłam się pod kołdrę, aby łóżko nie wyglądało na nieużywane, a poza tym chciałam ogrzać zziębnięte stawy. Chociaż łóżko było miękkie, a ja zmęczona po nocy niespokojnego przewracania się po twardej podłodze szklarni, nie byłam w stanie na tyle wyciszyć umysłu, aby zasnąć.

Przypomniało mi się, jak będąc dziewczynką, siedziałam w kawiarni, a Gustav wycierał mi buzię chusteczką zmoczoną w lodowatej wodzie. Woda szczypała moje spierzchnięte policzki, które robiły się jeszcze czerwiejsze, a on powiedział, że są jak z obrazu Watteau. Spytałam, kto to jest Watteau, a on zapłacił rachunek i zabrał mnie do muzeum, gdzie wisiał obraz Watteau, chłopiec i dziewczynka przypominający lalki urządzali piknik. Nie spodobali mi się, byli narysowani bez wyrazu i pretensjonalnie, co powiedziałam. Gustav przyznał mi rację, ale potem zwrócił uwagę na delikatne, prawie niewidoczne pociągnięcia pędzla i subtelne odcienie kolorów w tych miejscach, gdzie myślałam, że były tylko róże i błękity. Powiedział mi, że więcej mogę się nauczyć z tego, co mi się nie podoba, niż z tego, co mi się podoba. Chciał też wiedzieć, co sądzę o innych malarzach, o Breughlu i Boschu, a także o dziwnym człowieku, który namalował wizerunki pór roku w postaci portretów ułożonych z warzyw i owoców. Gustav śmiał się, ubawiony niektórymi moimi uwagami, i sprzeczał się ze mną, ale zawsze traktował poważnie to, co mówiłam. Powiedział, że mam ciekawy umysł. Ale teraz nie byłam już tamtą dziewczynką.

Jesienią Gustav przeniósł swoją pracownię do Hietzing. Poprzednią przez kilka lat dzielił z Franzem Matschem. Teraz

ich partnerstwo zakończyło się, chociaż nadal pracowali razem nad projektem do auli uniwersyteckiej.

Nowa pracownia znajdowała się tuż za południową ścianą pałacu Schonbrunn. Ze stacji kolejowej szło się spacerkiem, mijając po drodze warsztat kamieniarski. Okoliczne domy, wraz z tym, który wynajmował Gustav, pomalowane były na wesoły mlecznożółty kolor przypominający białą czekoladę, co ostro kontrastowało z czerwonymi dachówkami oraz czarnymi lub ciemnozielonymi okiennicami. Parterowy dom wynajęty przez Gustava nie stał przy głównej ulicy, był ukryty za kamienną ścianą i gęstym zagajnikiem lip, olch i grusz. Za bramą z kutego żelaza biegła brukowana ścieżka prowadząca do domu. Za nim znajdował się zaniedbany ogródek, w którym rosły niecierpki i bluszcze oraz mieszkało kilka kotów polujących na ptaki lub wygrzewających się na murku i na ścieżce. Za ogrodem rozciągały się pola bujnie rosnącej lucerny. Przez frontowe drzwi wchodziło się do pomieszczenia, gdzie Gustav sypiał, kiedy zostawał w pracowni na noc. Długi wąski korytarz prowadził przez małą kuchnię do dużego pokoju, którego okna wychodziły na ogród.

To tam właśnie Gustav pracował, kiedy wybuchł spór wokół jego malowidła *Filozofia*, jednego z cyklu przeznaczonych do auli uniwersyteckiej. *Filozofia* była jeszcze bardziej zatrważająca, o ile to w ogóle możliwe, niż *Medycyna*. Niemal w samym centrum kompozycji wynurzała się z eteru amorficzna twarz: czy to był Bóg? A może Mądrość? Z boku stała grupa nagich postaci, które obejmowały się za głowy w rozpacz lub udręce. A poniżej, niemal u samej podstawy płótna, widać było kobietę, która przenikliwym i złowrogim wzrokiem patrzyła prosto na widza. Kim była? Co symbolizowała?

Profesorowie uniwersytetu byli przerażeni. Zwołali zebranie. Osiemdziesięciu siedmiu uczonych podpisało petycję, w której protestowali przeciw umieszczeniu Filozofii w auli. Uznali to malowidło za obrazę dla rozumu i edukacji. Wszystkie gazety donosiły o skandalu i różnie go interpretowały, w zależności od orientacji politycznej. Krytycy sztuki także wyżywali się na obrazie, niektórzy bardzo okrutnie.

Kiedy przyjechałam do pracowni, Gustav był zniechęcony i wściekły.

- Wiedziałem, że tak będzie - powiedział. - Ci akademicy. Oni myślą, że sztuka jest nauką, albo powinna nią być. Oczekują ładnego równania, x plus y równa się z . Ale to niemożliwe. A nawet gdyby było możliwe, to nie byłaby sztuka.

- Wiem - powiedziałam.

W takich sytuacjach można było tylko słuchać ze współczuciem i czekać, aż przestanie ciskać gromy. Potem zwykle zaczynał pastwić się nad krytykami.

- Jodl powiedział o moich obrazach, że są brzydkie. Brzydkie! Możesz w to uwierzyć? Można je określić różnie, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógł uznać je za brzydkie.

- Nigdy nie widziałam niczego równie pięknego - powiedziałam. - Niepokojącego i przerażającego, niesamowitego, ale pięknego.

- Właśnie, mają niepokoić i przerażać. Każdy, kto reaguje inaczej, zaprzecza istocie życia.

- Wiem - powiedziałam.

- Kraus powiedział, że moje malarstwo dowodzi ignorancji w sprawach filozofii, a głupcom nie powinno się dawać do ręki pędzli i farb.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda - powiedziałam. - Nawet głupcy powinni mieć możliwość używania pędzli i farb.

Uśmiechnął się, ale tylko przelotnie.

- Wiesz oczywiście, że nie jesteś głupcem - dodałam. - Kraus powiedział tak, ponieważ ma zdolność zadawania ciosów we właściwe miejsce.

- Prawdę powiedziawszy, jest bardzo bystry - przyznał Gustav.

- Ale nie w kwestiach sztuki - upierałam się.

- A Jodl, gdy już nazwał moją sztukę brzydką, powiedział, że mój symbolizm jest mroczny i niezrozumiały.

- Co z tego? - zapytałam. - Czy pomniejsza to jego wartość, że nie do wszystkich przemawia? Czy musisz malować obrazy zrozumiałe dla mas? Mają wisieć na uniwersytecie, a nie na dworcu kolejowym.

- To prawda - przyznał Gustav.

- Ktoś musiał jednak powiedzieć coś pozytywnego - dopytywałam się.

- Wickhoff. Powiedział, że obrazy są odważne i oryginalne. Co zresztą wcale nie znaczy, że mu się podobają.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam.

- Za długo już nad tym pracuję, aby się wycofać. Skończę alegorie Medycyny i Prawa, a potem, mam nadzieję, komisja rozważy tę sprawę raz jeszcze lub ktoś inny dokończy pracę. Rzecz w tym, że malowidła są za duże dla indywidualnego nabywcy. Mogę je zatrzymać. To będzie mnie jednak kosztowało. Mogę też stracić inne zamówienia z powodu złej prasy.

- Nie martw się - powiedziałam. - Może nie wiesz, ale zamierzam otworzyć bardzo dochodowy salon mody. Zaopiekuję się tobą.

- Mogłabyś pomagać biednemu, załamanej artyście w podeszłym wieku? - zapytał.

Wziął mnie za rękę i uścisnął.

W nocy długo nie mogłam zasnąć, moje ciało tęskniło do niego. Chciałam się ubrać i pojechać do pracowni, bo Gustav z pewnością nie spał, pracował albo przyglądał się obrazom. Obawiałam się jednak, że mogłabym tam spotkać Almę lub Adele, albo, co gorsza, jeszcze jakąś inną kobietę. Tymczasem myślałam więc o nim i to była cała przyjemność, na jaką mogłam sobie pozwolić.

Kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, zaczęłam pozować Gustavowi, który robił szkice do mojego portretu. Trochę czasu zajęło nam projektowanie sukni, a potem mnie jej szycie. Postanowiłam, że suknia będzie podobna do tej, którą miałam na sobie w dniu wernisażu na pierwszej wystawie Secesji. Pomysł zapożyczyłam od Jaegera - brak gorsetu, tkanina dżersejowa, prosta forma - i dodałam kilka swoich rozwiązań ornamentalnych.

Najważniejszą rzeczą w projektowaniu ubrań są proporcje, stosunek pomiędzy szyją a talią i kostką u nogi, długość rękawa, wysokość kołnierza lub głębokość dekoltu. Od dziecka nienawidziłam matematyki, a uwielbiałam jak sroka wszystko, co się mieni i błyszczy, ale bardzo się starałam. Kupiłam przepiękne tkaniny, z których, jak mi się wydawało, nie można uszyć brzydkiej kreacji. Myliłam się jednak. Teoretycznie projekty, jak stwierdziłam, zostały wykonane poprawnie, ale na ludzkim ciele ubrania uległy całkowitej transformacji. Na tych prototypowych formach nauczyłam się więcej, niż mogłabym się nauczyć w jakiegokolwiek szkole krawieckiej. Wszystkie były jednakowo nieudane i gorączkowo zastanawiałam się, dlaczego. Nawet Gustav nie był mi w stanie pomóc. Wiedział, kiedy coś źle wyglądało, i gdyby błąd tkwił w rysunku, umiałby to poprawić, ale nie miał pojęcia, jak się pracuje igłą i nitką, jak zrobić szwy i podkrój pod rękawy.

Krok po kroku uczyłam się, jak osiągnąć równowagę między górą a dołem sukni, przodem i tyłem. Przyswoiłam sobie równania matematyczne, aby mieć pewność, że wyliczenia są poprawne. Każdy fragment stroju wyobrażałam sobie najpierw w myślach, tak jak wyglądałby na moim ciele, oświetlonym od tyłu, aby można było zobaczyć sylwetkę. Potem brałam kawałek tkaniny i upinałam, odpinałam i przypinałam na manekinie wciąż na nowo. Podłoga w moim pokoju usłana była szpilkami, a Pauline, gdy zapominała o tym, kłuła się w stopy. Makabryczny manekin bez głowy, pozszywany z przodu i z tyłu jak ranny żołnierz, przerażał nas zawsze, kiedy wchodziłyśmy nocą do pokoju.

Po wielu próbach i błędach suknia była w końcu gotowa. Z dżerseju w kolorze oberżyny, prosta i zwężająca się do dołu. Uszyłam też do niej bolerko z koszulowymi rękawami, które można było dopinać. Kiedy suknia już czekała, Gustav musiał znaleźć czas w swoim kalendarzu, aby zaplanować malowanie portretu niezamówionego przez bogatego klienta. Gdy wreszcie ustaliliśmy termin, pojechałam pociągiem do Hietzing, a po drodze do pracowni kupiłam jeszcze mleko dla kotów i czekoladę dla siebie.

Gustav przystąpił do pracy; rozmawialiśmy przy tym o warsztacie, który organizował razem z przyjaciółmi. Wszystko zaczęło się podczas pewnego wieczornego przyjęcia u Berty Zuckerkandl. Poskarżyła się Gustavowi, że jej stół nie tylko nie pasuje do sztuki, jaka zdobi ściany jej salonu, ale też nie odzwierciedla jej gustu. Nie podobała jej się także francuska srebrna zastawa, dość pretensjonalna, ozdobiona motywem róż i winnej latorośli. Przysięgała, że gdyby któryś z przyjaciół artystów podjął się wykonania dla niej bardzo prostego w formie srebrnego serwisu, hojnie by mu zapłaciła, a wszystkie francuskie srebra wyrzuciłaby w diabły. Hoffmann zareagował na to, mówiąc, że skoro tak, mogłaby

też przy okazji zamówić sobie nową porcelanę i pozbyć się tych jarmarcznych talerzy z Sevres. Goście, wspomagani karafkami wytrawnego rieslinga, skrytykowali następnie jej szklane naczynia, stół i krzesła, jej kredensy, tapety i tkaniny na ścianach, jej biżuterię i stroje. Padła propozycja, aby stworzyć Warsztaty Wiedeńskie, zespół pracowni wzorowanych na Glasgow School założonej przez szkockiego architekta Charlesa Renniego Mackintosha. Wyobrażali sobie, że w skład zespołu wejdą warsztaty: ceramiczny, szklarski, metalowy, stolarski, i pracownia tkanin. Gustav powiedział, że skoro jestem już bardziej od nich zaawansowana w sprawach mody, artyści mogliby pracować pod moim kierunkiem. A mój salon realizowałyby ich projekty.

Gustav wierzył mocniej niż ja, że będę miała ten salon. Co innego jednak oglądać tkaniny z ojcem czy nawet uszyć jedną lub dwie suknie, a zupełnie co innego wynająć lokal, zatrudnić pracowników i znaleźć pieniądze na rozkręcenie interesu. Twierdził, że to wszystko powinno być dość łatwe, a nawet zdobył, w celu porównania, umowy o wynajem lokali od kilku firm krawieckich. Odwiedził też razem ze mną trzy zakłady produkujące płótno, które przedstawiły nam swoje oferty. Prawdę powiedziawszy, bez niego to wszystko byłoby dużo trudniejsze. Ludzie stawali się dużo miłsi dla mnie, gdy byłam z nim, nawet jeśli nie wiedzieli, kim jest. Sądził, że za tym przedsięwzięciem stoją jego pieniądze, i poniekąd zresztą tak było. Na dobry początek zaoferował mi nieoprocentowaną pożyczkę. Zamierzaliśmy korzystać głównie z lokalnych materiałów i siły roboczej. A to oznaczało wyrzeczenie się francuskiego jedwabiu, chociaż jakość naszych materiałów musiała być równie wysoka, gdyż klienci mogliby pomyśleć, że nasze stroje są pośledniejszego gatunku, i kręcić na nie nosem. Nastawialiśmy się na awangardową klientelę, było więc zrozumiałe, a nawet pożądane, zniechęcanie

zwyczajnych klientów. Nie wszystkich jednakże, gdyż musieliśmy przecież zarabiać.

Jedliśmy drugie śniadanie w ogrodzie. Koty wyjadały nam z talerzy i na zmianę je odganialiśmy. Koty rzecz jasna, nie talerze.

- Dzisiaj używamy pierwszych prototypów Hoffmanna - powiedział Gustav. - Co o nich myślisz?

Dzbanek do kawy wykonany był z kutego srebra, ale prawdę powiedziawszy, wyglądał raczej na wygnięciony niż wykuty. Cynowe naczynia, takie jak maselniczka, dzbanek do śmietanki i cukierniczka, wykonane z odlewów, wypadły dużo lepiej. Na tacy z laki w szachownicowy wzór ułożyłam kwadraty z pieczywa i ciasta.

- Tak jest lepiej - uznałam. - Kiedy zaczniemy produkować kwadratowe jedzenie? Czy można wyhodować owoce i warzywa o kwadratowych kształtach?

- Jesteś dziecinna - powiedział. Podał mi filiżankę i spodeczek z czarnej porcelany, ozdobione przy krawędziach czerwonymi kwadratami. - Hoffmann nie spał prawie dwa tygodnie, malując ręcznie tę porcelanę.

- To trochę w stylu greckim - zauważyłam. - Po grecku. Z grecka.

- Odmieniasz, jakbyś się uczyła francuskiego. Podoba ci się?

- Myślę, że jest doskonała.

- Powiedz mu to, nie uwierzy ci, ale może zgodzi się zaprojektować wystrój twojego salonu - powiedział.

O drugiej zabraliśmy się znów do pracy. Po blisko półgodzinie pozowania zaczęłam sobie wyobrażać kolejną suknię, jaką mogłabym sobie uszyć ze wspaniałego jedwabiu od Bianchiniego w kolorze zielonego groszku. Widziałam taką tkaninę w jakimś magazynie i natychmiast zapragnęłam ją

mieć. Jedwab był bardzo drogi, ale pomyślałam, że może Gustav kupiłby mi go na urodziny.

- Czy myślisz, że Berta naprawdę zamówi u mnie suknię?
- zapytałam.

Wiedziałam, że nie przywiązuje wagi do strojów.

- Nie bez pewnej perswazji. Powiedziała, że jeśli ja ją zaprojektuję, a ty sprawisz, że będzie wyglądała o dziesięć kilogramów mniej, włoży ją do opery.

Nie byłam jeszcze tak biegła w szyciu, aby wyszczuplić kogoś o dziesięć kilogramów, ale wierzyłam, że można tego dokonać. Dzięki milionom sztuczek w drapowaniu i krojeniu.

Moja suknia powinna być wąska, co byłoby łatwe do uszycia. Powinna mieć hafty w formie winnej latorośli wykonane nitką w tym samym kolorze, a na liściach kryształki o barwie morskiej piany i akwamarynu. I może ktoś w pracowni szewskiej Warsztatów Wiedeńskich zrobiłby dla mnie parę odpowiednich pantofelków.

Wtedy właśnie usłyszeliśmy głośnie pukanie do drzwi. Gustav skrzywił się z niezadowoleniem.

- Zignorujmy to - powiedział. - Naumann pewnie znowu zgubił gdzieś swojego psa, w tym tygodniu to już trzeci raz. We wtorek zmarnowałam na szukanie go dwie godziny i skręciłem nogę w kostce.

Pukanie trwało kilka minut, a potem ustało.

- To ten rudy pointer? - zapytałam. - To jeszcze szczeniak.

- Może potrafiła go dorożka.

- Jak możesz tak mówić, Gustavie? Wiedziałam, że żartował.

- Następnym razem wyślę za nim Tristana. Ten kocur zrobi mielone mięso z każdego psa.

Po chwili usłyszeliśmy, jak ktoś z hałasem otwiera drzwi do pracowni.

- Co, do diabła? - zawołał Gustav.

Przestałam pozować i odwróciłam się w stronę korytarza, aby zobaczyć, kto się tam pojawi: policja, sąsiad z zaginionym psem, modelka, włamywacz. Ale to był ktoś zupełnie inny. To była Alma.

- Pewnie myślałeś, że po prostu sobie pójdę, gdy się tu skryjesz - powiedziała.

Nigdy nie widziałam jej z rozpuszczonymi włosami, wyglądała o wiele młodziej, jak dziecko. Niczym matador wymachiwała płaszczem z czerwoną podszewką.

- Pewnie myślałeś, że jak przestaniesz odpowiadać na moje listy, to po prostu zniknę.

Odwróciła się w stronę podium, na którym wciąż stałam i pewnie wyglądałam śmiesznie, bo za wszelką cenę starałam się stać niewidoczna.

- I mam wrażenie, że to twoja robota - powiedziała do mnie - chociaż nie mogę sobie wyobrazić, co mogłabyś takiego zrobić lub powiedzieć, aby on do ciebie wrócił.

- Alma - odezwał się Gustav tonem, który miał ją pewnie uspokoić. - Zostaw Emilie w spokoju.

Potem dodał, że powinni wyjść i porozmawiać w ogrodzie, a ona mogłaby przy okazji wziąć parę głębszych oddechów.

- Czy ty myślisz, że w tej sukni mogę oddychać? Włożyłam ją specjalnie dla ciebie.

- Alma - powtórzył Gustav, a potem zamilkł.

Alma najwyraźniej przygotowywała się do zaprezentowania jakiegoś dramatycznego aktu wściekłości, chociaż nie miałam pojęcia, czy zamierza rzucić się na Gustava, czy podrzeć na jego oczach swoją ulubioną suknię. W końcu zdjęła rękawiczkę i zmiotła nią na podłogę to, co stało na roboczym stole Gustava. Wszyscy troje wsłuchiwaliśmy się w brzęk tłuczonego szkła i odgłosy

toczących się po podłodze metalowych pojemników i wirujących przykrywek, aż wszystko znieruchomiało i znowu zapadła cisza.

- Emilie, zrób Almie herbaty - poprosił Gustav. Widać uznał, że Almie należy się na uspokojenie coś mocniejszego niż słowa, bo schwycił ją za ramiona i pchnął na podest. Przewróciła się na deski.

Byłam szczęśliwa, że mogę ich zostawić samych. Bałam się bowiem, że Alma mogłaby rzucić czymś we mnie. Na kuchence gotowała się woda. Umyłam jedną z filiżanek Hoffmanna i nalałam herbaty. Trochę polewy rozpuściło się w gorącym napoju, zabarwiając go na kolor rdzawoczerwony. Kiedy wróciłam do pracowni, Gustav klęczał obok Almy i gładził ją po ręku. Podałam mu filiżankę, a on wziął ją, nie patrząc na mnie.

- Igrasz z uczuciami innych, wiesz o tym - mówiła Alma do Gustava. - Wydaje ci się, że żyjesz na obrazie lub w operze, gdzie nie ponosi się żadnych konsekwencji. Czy ty kiedykolwiek pomyślałeś o kimś innym niż o sobie?

Zaświtało mi w głowie, że ona chyba nieźle się bawiła. Osunę się zemdlna na kanapę mojego ukochanego, myślała sobie. Nasza miłość jest gwałtowna i namiętna. On zobaczy łyzy lśniące jak diamenty w kącikach moich oczu i nie zdoła się oprzeć. Wiedziałam, że jak tylko wróci do domu, wszystko to opíše. Oddychała szybko. Jego ulubiona suknia miała kolor mchu i była rzecz jasna bardzo wydekoltowana.

Nie byłam pewna, co zrobi Gustav. Przedstawienie wypadło bardzo przekonująco. Czy mnie teraz odeśle? Chyba nie zniosłabym takiego wygnania w obecności Almy. Wzięłam szczotkę i śmietniczkę, zaczęłam zamiatać okruchy szkła. Staralam się udawać, że nie słucham.

- Mahler chce się ze mną ożenić, wiesz o tym - powiedziała.

- Z pewnością - odparł. - Kto by nie chciał?

- Ty byś nie chciał.

- Ja jestem głupcem. Jestem drugorzędnym załamany pacykarzem. Jestem stary i brzydki. Nie zasługuję na ciebie.

- Nie dbam o to.

- Ale ja dbam. Myślę o tobie, Almo. Jak długo byłabyś szczęśliwa z kimś takim jak ja? Gdybyś wyszła za mnie, nie mogłabyś być królową towarzystwa. Przeważnie siedzę w domu i maluję. Nie wychodzę, właściwie w ogóle nie pasuję do towarzystwa. To byłby dla ciebie duży problem. Byłabyś nieszczęśliwa i wdawałabyś się w romanse. Jak Adele Bloch - Bauer.

- Ty wcale nie myślisz o mnie, myślisz tylko o tym, że Carl zabiłby cię za to.

- Naprawdę sądzisz, że Moll mógłby mnie zabić? Nie boję się go.

- Kocham cię - powiedziała.

- Masz dwadzieścia trzy lata - powiedział. - Przed tobą jeszcze wiele miłości. Kiedyś przypomnisz sobie o tym i będziesz się śmiała, że w ogóle o mnie myślałaś.

- Bo ty kochasz ją - powiedziała oskarżycielskim tonem.

Spojrzał na mnie, gdy tak zamiatałam bez celu podłogę, i zniżył głos. Nie słyszałam, co powiedział, obserwowałam więc jej twarz. Nie zbladła, nie była zaszokowana, usatysfakcjonowana czy złośliwa. Trochę się uspokoiła, ale także uśmiechnęła się.

Po chwili Gustav podał jej pelerynę i razem poszli do jej powozu. Patrzyłam, jak wsiadają i odjeżdżają. Ponieważ nic już nie miałam do roboty, zamknęłam pracownię i pojechałam do domu. Nie płakałam, bo to byłby objaw słabości. Nie chciałam przyznać się przed sobą, jak wielką ulgę czułam, nie widząc Almy i nie słysząc o niej, jak przeraziłam się, gdy znów ją zobaczyłam, i jak się załamalam, widząc, że Gustav z

nią wychodzi, nie oglądając się na mnie. Najbardziej bolą łzy brutalnie tłumione: gorące i dławiące, jakby ktoś przycisnął nam głowę poduszką. A potem okropny ból głowy i wykrzywiona, purpurowa twarz. Lepiej pozwolić im płynąć, tego nauczyłam się po latach. Uspokajają, przynoszą ukojenie. A potem można myśleć.

Następnego dnia pojechałam do pracowni, aby pozować Gustavowi i posłuchać, co ma do powiedzenia, ale nie byłam w stanie zapytać go o Almę. Nie mogłam go też zapytać, co mówił jej o mnie. Wydawał się niezwykle radosny, podśpiewywał nawet chropawym, fałszującym tenorem, przygotowując się do pracy. Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

- Coś cię śmieszy? - nie mogłam się oprzeć, aby nie zadać tego pytania.

- Wszystko - powiedział. - Wszystko jest śmieszne. Nie wiedziałam, czy to wróży mi dobrze, czy źle.

Po kilku tygodniach był gotowy rozpocząć malowanie portretu. Nasza rutynowa praca zmieniła się, stała się poważniejsza. Gustav nie lubił tracić czasu i nie miał cierpliwości do błędów.

Często opisywał mi swój codzienny rytuał: przyjeżdżał rano i podnosił wszystkie żaluzje, zapalał ogień, nastawiał wodę na herbatę. Następnie krążył po pracowni, przekładając i ustawiając przedmioty. Wtedy jeszcze nie patrzył na obraz, nad którym właśnie pracował. Czasami sprawdzał ustawienie tła na podeście lub przeglądał stroje modelki, które wisiały na wieszaku w korytarzu.

Potrzebował czasu, aby przygotować materiały. Był przy tym niezwykle skupiony. Ludzie, którzy go nie znali, wyobrażali sobie, że pracuje w zaniedbanej, zapuszczonej pracowni, ale bardzo się mylili. Od kiedy był w pracowni sam, utrzymywał ją w czystości i porządku. Olej lniany był tak

czysty, że mógł służyć do smażenia. Lubił wcierać go w swoje chropawe dłonie. Pędzle czyścił flanelowymi szmatkami i miękkim mydłem. Szmatki miał porządnie posegregowane. Zabrudzone oddawał do prania. Lubił wdychać zapach terpentyny i żartował, że to przyprawia go o szaleństwo.

Kiedy przyjechałam, w pracowni było już ciepło. Olej, który zgęstniał jak syrop w zimnym pomieszczeniu, miał już konsystencję octu. Przyszła pora na mieszanie farb. Nałożył na paletę pigmenty, umbrę, sjenę i ochrę, a także amarant. Mieszał szpachelką sypkie pigmenty z olejem. Woskowany papier nasycił się szarością.

Gustav przewracał szpachelkę w gęstej mazi oleju i pigmentu. Wśród przedmiotów znajdujących się na roboczym stole poruszał się z rytualnym namaszczeniem. Każdy pędzel wycierał o brzeg malarskiego fartucha. Mieszał brązową jak błoto terpentynę, w której widać było osad, jak w wodach Dunaju na wiosnę. Wyjął szpachelki i gąbki z toreb, w których je trzymał. W końcu co najmniej przez dziesięć minut stał przed obrazem i przyglądał mu się z uwagą, zakreślając plan pracy na kolejny dzień.

Czekając, aż sobie o mnie przypomni, wymachiwałam rękami, robiłam skłony i biegałam w miejscu. Tylko w ten sposób mogłam się na tyle zmęczyć, aby potem siedzieć długo bez ruchu. Gustavowi podobał się odcień, jakim namalował moją skórę. Kiedy zauważyłam, że jest gotów do pracy, usiadłam w ustalonej pozycji, chociaż i tak wiedziałam, że przyjdzie, aby poprawić to i owo. Lubił mnie prosić, abym robiła rzeczy niemożliwe, na przykład założyła nogę za ucho. Zwykle prosiłam go wtedy, aby mi pokazał, jak to zrobić, a on trwał kilka minut w bolesnym skręcie, po czym mówił sobie: „Dość”.

Starłam się nadać twarzy przyjemny wyraz i ustawić się dokładnie tak jak ostatnio. Gdybym się przesunęła choćby

odrobinę, natychmiast by to zauważył i skorygował. Podczas pozowania nie widziałam portretu, a w czasie przerw Gustav zasłaniał obraz tkaniną.

Dostawałam szalu, że nie mogę zobaczyć swojego portretu. Nie mogłam zapytać go o Alnę, ale sądziłam, że ten obraz mógłby mi powiedzieć to, czego on nie mówił. Zadawałam mu jakieś ogólne pytania, jak postępuje praca, ale był głuchy na moje słowa; odmówił wszelkich informacji. Potrząsnął tylko głową i powiedział: „Żadnych pytań, dopóki nie skończę”. Nigdy nie zostawiał mnie w pracowni samej, wiedząc, że pokusa jest nie do odparcia i mogłabym podejrzeć portret, kiedy on robi w kuchni herbatę lub pisze telegram.

Musiałam coś wykombinować. Myślałam o tym, aby przyjechać do pracowni nocą albo wtedy, gdy Gustava nie było, ale pracował w tak różnych godzinach, że bałam się na niego natknąć. Poszłam więc po pomoc do siostry.

Po śmierci Ernsta Helene przeprowadziła się z córką do naszego domu. Mieszkały w pokoju, który przeznaczony był dla służącej, ale to jej nie przeszkadzało. Siostra zajmowała się domem i nigdy nie narzekała na swój smutny los. Była nadal najpiękniejszą wdową w Wiedniu. Tego dnia, kiedy przyszedłam porozmawiać z nią, miała upiętą na włosach różową jedwabną szarfę, a w uszach maleńkie kolczyki z turmalinami. Wyglądała jak dziewczyna z obrazu holenderskiego malarza. Helene, która miała już dziewięć lat, leżała na kocu i czytała ilustrowane baśnie Hansa Christiana Andersena, podczas gdy ja opowiadałam jej matce, z czym przyszedłam.

- Zdejmij tę tkaninę i popatrz sobie - poradziła mi. - Po co te podchody?

- On nie chce, żebym widziała portret, nim go skończy.

- Mnie też nie pozwoli. Zachowujesz się, jakbyś miała osiem lat. A właściwie nie, wycofuję się. Mając osiem lat, po prostu ściągnęłabyś tę szmatę, i to w jego obecności.

- Pójdiesz tam dziś wieczorem? - Dałam jej klucze od pracowni Gustava. - Idziemy z Gustavem do opery, ale on najpewniej wróci później do pracowni.

- I co ja mam tam zobaczyć? Mam ocenić portret pod względem psychologicznym? Wywnioskować coś o uczuciach jego autora?

Powiedziane na głos, zabrzmiało to jakoś głupio i infantylnie.

- Coś takiego.

Nawet nie pamiętam, co oglądaliśmy tamtego wieczoru, taka byłam podniecona. Myślałam, że mógłby mnie przejrzeć na wylot i domyślić się, co knuję, ale zapewne uznał, że jestem zdenerwowana z powodu incydentu z Alną i może obawiam się spotkania z nią w publicznym miejscu. Jego sposób na rozweselenie polegał na tym, że kręcił się wokół mnie jak szczeniak, patrzył błagalnym wzrokiem i czarował swoim chłopięcym wdziękiem.

Po operze zatrzymałam go, jak długo mogłam, udając bardzo głodną. Potem pojechałam do domu.

Helene spotkałam dopiero następnego dnia po południu, ale nie rozmawiałyśmy od razu o obrazie. Miała za zadanie znaleźć lokal na salon i odwiedziła kilka miejsc w Mariahilf, w okolicy, w której mieszkaliśmy. Musiała mi opowiedzieć o powierzchni każdego z nich i warunkach wynajmu, a także o wszystkich za i przeciw oglądanych lokali, chociaż to były rzeczy, które najmniej mnie wówczas interesowały.

- No i co? - zapytałam wreszcie. Wiedziała, o co chodzi.

- Jest prawie skończony - powiedziała. - Moim zdaniem potrwa to jeszcze tydzień lub dwa.

- Jak wygląda?

- Jest dobry - powiedziała oględnie.

Unikała mojego wzroku i aby to ukryć, udawała, że pomaga Helene wyszywać. Może uważała, że obraz jest tak piękny, że oszaleję z zachwytu.

- Masz na myśli uderzające podobieństwo? Jej enigmatyczność zaczynała mnie irytować.

- Niektórzy mogą tak uważać.

- Ale nie ty?

- Na obrazie jesteś... - szukała właściwego słowa - zmysłowa. Albo raczej wężowa. Wyglądasz jak wodna boginka. I dobrze, tylko że to jednak jesteś ty, jest zadziwiająco do ciebie podobny, ale zarazem wcale niepodobny.

- Co jest w nim podobnego do mnie?

- To trudno opisać. Musisz sama zobaczyć. Miałam ochotę krzyczeć z wściekłości.

- Helene, musisz mi powiedzieć coś więcej

- Jest niebieski, purpurowy, złoty i srebrny.

- Dziękuję, bardzo mi pomogłaś.

- Próbuję, Emilie, naprawdę.

- Myślisz, że on mnie kocha?

- Mam to wywnioskować z portretu czy z czegoś innego?

- Jak chcesz - powiedziałam.

- Wiesz, że nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Ale co myślisz?

- Może. Sama nie wiem.

- Czy patrząc na ten portret, pomyślałaś: „On kocha tę kobietę”?

- Pomyślałam: „On chce, aby była kimś innym”.

Kiedy obraz był gotowy, Gustav poprosił mnie, abym go obejrzała razem z nim. Byłam zadowolona, że dyskretne oględziny portretu przez Helene przygotowały mnie na ten widok. Staliśmy w milczeniu przed płótnem przez kilka minut,

a Gustav retuszował coś w rogu obrazu gąbką i nakładał białą tytanową kilka plamek. Zawsze trudno mu było uwierzyć, że już nic więcej nie można zrobić.

Nie rozpoznałam na portrecie sukni, którą uszyłam. Była zabarwiona fioletem i spływała na podłogę jak rzeka; w dół płynęły po niej akwamarynowobłękitne rybki ze złotymi oczami, a po bołerku fruwały srebrne pszczoły. Smukła postać w sukni miała ciasno zawiniętą na długiej szyi szarfę. Dekolt był głęboki, a długie, wąskie palce kobiety obejmowały wysunięte do przodu biodro. Suknia zwężała się na dole, krępując nogi i zakrywając stopy. Twarz była moja, ale rozmazana i niewyraźna, a włosy przypominały chmurę w deszczowy dzień.

Helene była piękna. Wszyscy to wiedzieli. Ze mną sprawa była bardziej skomplikowana. W niektóre dni, patrząc na siebie pod określonymi kątami, miałam wrażenie, że też jestem piękna, ale niewielka zmiana oświetlenia lub przesunięcie perspektywy sprawiały, że stawałam się przeciętna. Po szesnastu latach od chwili, gdy Gustav zrobił mój portret pastelami, nadal nie mogłam się pogodzić z moją mocną szczęką, ale włosy czesałam teraz tak, aby zmniejszyć wrażenie, iż są takie niepodatne i sztywne. Dobrze wyglądałam w kapeluszach. Najładniejszy miałam profil. En face moja twarz wydawała się zbyt szeroka. Czoło miałam trochę zbyt niskie, a szyję trochę zbyt grubą. Czasami musiałam przyznać, że mam dobrą cerę lub że moje oczy mają interesujący błękitny odcień, ale częściej, patrząc na siebie w lustrze, widziałam tylko zasadnicze niedoskonałości.

Kobieta na portrecie była zachwycająca i - czerwieniłam się na tę myśl - seksowna. Miała wyzywające spojrzenie. Wyraz twarzy władczy i trochę złowieszczy, świadczący o zupełnie innym życiu wewnętrznym niż to, które

przypisywałam sobie. Czy cokolwiek z niej było we mnie? Czyżbym nie znała siebie?

Helene mówiła, a znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny, że moja ocena samej siebie jest trafna i że to Gustav mnie nie zna. Ja jednak zastanawiałam się, czy Helene nie patrzy na mnie zbyt długo, by widzieć mnie wyraźnie. Może bardziej przypominałam kobietę z portretu, niż chciałam się do tego przyznać.

- Co o tym myślisz? - zapytał.

Całą noc pracował nad obrazem; tańczył przed nim z dziką energią człowieka wyczerpanego. Wahałam się. To było nieuczciwe pytanie, jakbym musiała ocenić własną inteligencję. Obraz był wspaniałym, wirującym dziełem malarskim, ale ponieważ przedstawiał mnie, nie mogłam być obiektywna.

- Czy naprawdę tak mnie widzisz? - zapytała pochłonięta sobą dziewczyna, a artysta milczał.

Gustav westchnął, ale wydawał się bardziej ubawiony niż dotknięty.

- Kiedyś powiedziałaś, że portret rysunkowy, który zrobiłem, przedstawia cię jak dziecko. Teraz zaś myślisz, że jak cię przedstawiłem? Zbyt kobieco? Musisz przyznać, że jesteś niekonsekwentna i trudno cię zadowolić.

- Dlaczego mnie tak wyciągnęłaś?

- Pomyślałem, że nie byłabyś zadowolona, gdybyś wyglądała jak Berta - powiedział.

- Zastanawiam się, czy ty mnie w ogóle widzisz - powiedziałam, powtarzając za Helene - czy może stworzyłeś kogoś, kim chciałbyś, abym była.

- Jestem portrecistą, a nie anatomem. Moja wizja jest oczywiście subiektywna.

- Myślę, że wyglądam... - Nie mogąc wymyślić nic innego, powtórzyłam określenie Helene. - Wężowo.

- Czy to cię przeraża?

Był teraz poważny. Nie patrzyliśmy na siebie, tylko na obraz. Czułam się obnażona, naga.

- Tak - powiedziałam.

Milczał przez kilka minut, a ja słuchałam jego myśli przelatujących przez powietrze jak chmury.

- Mnie też to przeraża - powiedział w końcu. - Dlatego musiałem cię namalować właśnie tak. Przedstawienie cię w jakikolwiek inny sposób byłoby łatwym wyjściem. A nie ma nic bardziej podłego niż tchórzliwy malarz.

Myśl, że Gustav mógłby się mnie bać, pewnych moich cech, była nedorzeczna. Ja mogłam bać się siebie, ale to zupełnie co innego.

- To tak jak z Filozofią - powiedział. - Bez trudu można by ją przedstawić jako racjonalną i uporządkowaną, jak szkoła ateńska, ale to nie byłoby uczciwe. To przerażające uwidocznienie chaos ludzkiej egzystencji, ujawnienie ciemną stronę ludzkiego umysłu, ale kiedy już się to zrobi, można zobaczyć w tym światło.

- Światło jest widoczne w ciemności, ciemność go nie skryje - powiedziałam.

- Słusznie. Jeśli chcesz to w ten sposób ująć.

- Chciałbyś, żebym była bardziej podobna do niej? - wskazałam gestem na portret.

- Ależ ty jesteś - powiedział. - Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Kobieta z portretu mogła mieć na sobie tamtego dnia coś erotycznego, coś jak szmaragd, który zawsze kołysał się na piersi Almy. Mogła pokryć rzęsy tuszem, a policzki różem, mogła musnąć przelotnie Gustava, gdy mówił, mogła rzucić mu przyzwalające spojrzenie. Ale ja czułabym się śmiesznie.

Kocham cię, nie powiedziałam. Zaproponowałam, abyśmy coś zjedli. Przyniosłam kilka wędzonych makreli i chleb ryżowy.

Gustav podarował portret mojej matce, ale nie podobał się jej. Trzymała obraz w szafie i odmówiła eksponowania go w domu, nawet gdy goście prosili ją o to. Po kilku latach Gustav poprosił o jego zwrot i w 1908 roku sprzedał płótno Museen der Stadt Wien. Turyści patrzyli na mnie, czytali przewodniki i znowu patrzyli. Myśleli, że jestem tak realna, że mogą mnie czuć.

Rozdział 16

Kammer nad Attersee 8 stycznia 1945

Szybie zasłon do zaciemnienia okien zajęło nam cały dzień. Wśród paczek przysłanych przez Hertę, zabytkowych tkanin i skrzących się klejnotów było miękkie zawiniątko opakowane w szary papier: trzydzieści metrów matowej czarnej bawełny, sztywnej i wykrochmalonej. Jej jedyną zaletą było to, że miała niesłychanie ścisły splot i dzięki temu była całkowicie nieprzejrzysta. Gdyby ktoś w środku nocy spadł z nieba w pobliżu naszego domu, z pewnością nie byłby w stanie stwierdzić, czy coś się obok niego znajduje. Gdyby ktoś przelatywał nad okolicą, mógłby pomyśleć, że leci nad wodą, nie było żadnych śladów farm, miasteczek czy zamków. Straciłby orientację, nie wierzyłby, że instrumenty pracują prawidłowo. Może rozbiłby się o zbocze góry i zginął w ogniu i lodzie. Powiedziano nam, że o to właśnie chodzi.

Gdy tylko przyjechałyśmy, z miejscowego magistratu nadeszło do nas pismo: wszyscy mieszkańcy muszą się dostosować do zarządzeń w ciągu trzydziestu dni. Dalej, w typowo austriackim stylu, następował dokładny opis, jakie tkaniny są dopuszczalne, a jakie nie, szczegółowe wymiary i instrukcje, jak uszyć zasłony, rozkład godzin, kiedy okna muszą być zasłonięte, oraz wysokość grzywnien, jakich powinni się spodziewać ci, którzy się nie zastosują. Należało też oczekiwać niezapowiedzianych kontroli.

Ludzie z okolicy od tygodni wiedzieli, że trzeba się do tego przygotować. Jedyne sklepy, które miały jeszcze w sprzedaży wymagane tkaniny, liczyły sobie za nie pięć razy drożej niż normalnie. Mogłabym zapłacić tę kosmiczną marżę, ale to by mnie zabiło. Wobec tego poszłam do Heitzmanna, ale nie mieli niczego na zbyciu. Postanowiłam więc wykonać jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek, zanim przyznam się do porażki i dam zarobić spekulantom, i napisałam do Hertę do

Wiednia, nie mając zresztą wielkiej nadziei, że uda jej się znaleźć coś odpowiedniego i przysłać nam na czas. Jednakże Herta i poczta okazały się, jak zwykle, niezawodne.

Moje palce były już sztywne i ledwo widziałam, co robię; co kilka minut kłułam się boleśnie igłą w palec. Materiał był paskudny i nigdy nie uszyłabym z niego żadnego ubrania. Usiłowałam jednak wyobrazić sobie, jak wyglądałby jakiś strój, na przykład dla Adele Bloch - Bauer, i już na samą myśl wzdrygnęłam się ze wstrętem. Nadawałby się może na płaszcz z małym okrągłym kołnierzykiem i błyszczącymi plastikowymi guzikami, coś do noszenia w czasie deszczu, na wsi. Coś do noszenia, gdy jesteś stara i nikogo nie obchodzi, jak wyglądasz, a już najmniej samą siebie.

Niemniej szycie daje dziwną satysfakcję. Od dawna już nie szyłam. Upinałam, drapowałam, mierzyłam i rysowałam formy, ale szyli inni, kobiety o siwiejących wysoko upiętych włosach i zgiętych karkach, zaciskające zęby i krzywiące się z bólu. Mówiłam im, co mają robić, a one wykonywały to na maszynach do szycia. Chyba że było to wszywanie koralików lub prace wykończeniowe, jeszcze bardziej mozolne. Dziewczyny zajmujące się wszywaniem koralików i perełek nigdy długo nie pracowały.

Kiedy uniosłam tkaninę i popatrzyłam na nią pod światło, nie bez satysfakcji zauważyłam, że ściegi są drobniutkie, precyzyjne i równe. Brzeg prosty jak krawędź stołu, nitka lśni w przyciemnionym świetle niby zaśnieżone srebro. Ściegi godne sukni balowej.

Kiedy otrzymałyśmy nasze pierwsze zlecenie, Helene, Pauline i ja uszyłyśmy ręcznie w salonie dwieście pięćdziesiąt fartuchów, ponieważ nie miałyśmy jeszcze wtedy ani szwaczki, ani maszyny do szycia. Szyłyśmy je z surowej, niebielonej bawełny w kolorze owsianki. Żadnych ozdób, żadnej podszewki, wszystkie w jednym rozmiarze.

Dostałyśmy do skopiowania formę. Zadanie było proste: wyciąć formę, pozszywać, przyszyć troczki w pasie i przy szyi. Taka praca nie dawała szansy na wyrażenie swojej osobowości. Dla osoby takiej jak ja, tęskniącej za żółtym jedwabiem i ozdobami z paciorków i perełek, szycie fartuchów było śmiertelnie nudne, ale w końcu okazało się dość pożyteczne. Nauczyłam się, że kosztowna tkanina i fantazyjne wykończenia są tylko cukierniczą dekoracją, a nie ciastem.

Podczas pracy nad tym zamówieniem przyszło mi do głowy, aby z przodu fartucha naszyć kieszenie. Pomyślałam, że kucharz mógłby tam włożyć termometr, trzepaczkę lub szczypce. Właściciel szkoły gastronomicznej odniósł się do tego pomysłu entuzjastycznie. Uświadomiło mi to, jak mało, a zarazem jak wiele trzeba, aby zadowolić ludzi. Wystarczy dać im dokładnie to, o co prosili, z drobnym dodatkiem tego, czego potrzeby sobie nie uświadamiali, dopóki im się nie pokazało.

Wydawało się, że ani Helene, ani Pauline nie miały nic przeciwko temu, że wciągnęłam je do tej pracy. Obie potrzebowały czegoś takiego, aby nie myśleć o swojej samotności. Podobnie zresztą jak ja.

To był początek. Zaczęłyśmy zarabiać.

Siedziałyśmy z Helene na krzesłach pokrytych różowym perkalem w salonie naszego domku nad jeziorem i szyłyśmy wdowie szaty, a ja opowiadałam jej o tamtych czasach. Słyszała te historie już ze sto razy, ale pozwalała mi mówić. Bura tkanina w naszych rękach w kolorowym pokoju wyglądała dziwnie, jak zwiędły kwiat w pięknym otoczeniu. Z rynien wylewał się deszcz jak wodospad, kominek kopał, przez co pachniałyśmy jak pieczone kielbaski. Marzyłam, aby wyjść na spacer, ale była już godzina policyjna. Zimny deszcz też nie zachęcał. Gdybym miała płaszcz z czarnej ceraty, co

czyniłoby mnie w nocy niewidzialną, z pewnością poszłabym się przejść.

- Kiedy zaczynałam, zawsze bałam się, że popełnię jakiś błąd - powiedziała Helene - coś źle utnę, zmarnuję dobrą tkaninę lub krzywo naszyję kieszeń. Martwiłam się, że możesz się do mnie rozczarować. Teraz mogłabym zgubić ścieg i nikt by tego nie zauważył.

- Może zauważyliby inspektorzy - zażartowałam. - Może mają bzika na punkcie porządnego szycia.

Helene powiedziała, że bardzo wątpi, sądząc po tym, jak ubierają się kobiety we wsi, i musiałam się z nią zgodzić.

Potem niewdzięczna robota wydała się nam jedyną życiową szansą, zarobione kilka szylingów okazało się prawdziwą fortuną. Wszystko było przed nami: bogactwo, sława, sukces.

Helene przypomniała mi, jaki to był trudny czas dla jej matki. My miałyśmy przed sobą całe życie. A ona, dwudziestotrzyletnia wdowa z dwuletnim dzieckiem, tylko smutek i harówkę, zależność i samotność.

- Sądysz, że to było straszne? - Chciałam wiedzieć. - Była godna litości?

- Nie - powiedziała Helene. - Nie sędzę. Ale nigdy nie chciałabym być na jej miejscu.

Wspomnienia stały się dla nas obu zbyt bolesne i z ulgą zaczęłyśmy rozmawiać o lotnictwie - bardzo wygodny temat, gdyż żadna z nas nie miała o nim zielonego pojęcia. Usiłowałyśmy sobie wyobrazić, jak działa nawigacja, z jakich urządzeń mogą korzystać piloci, jakie mają silniki. Czy używają takiego samego paliwa jak mój mały żółty samochodzik, już dawno zarekwirowany.

- Nie sędzę, abyśmy byli w stanie ich zatrzymać - powiedziała Helene. - Możemy im tylko utrudnić działania.

Wiesz przecież, że chodzi tylko o ochronę Wiednia. Nikogo nie obchodzi, co się stanie z nami tutaj.

- I słusznie - powiedziałam. - Jesteśmy nikim. Należy chronić Secesję i Kunsthistorisches Museum.

Staralam się wyobrazić sobie Poireta, smukłego i eleganckiego, może w specjalnie zaprojektowanej czapce lotniczej i okularach, jak celuje we mnie z góry. Obraz był niedorzeczny, ale na swój sposób uspokajający, jak wydlubywanie oczu na fotografii niewiernego kochanka.

Już świtało, gdy o czwartej nad ranem zaczęłyśmy wieszać zasłony, dziewięć zestawów, w kuchni, w salonie, sześciu sypialniach i w łazience. Dom zmniejszył się jakby o połowę. Zapomniałam, ile przestrzeni zawdzięczamy oknom, nawet w bezksiężycowe noce lub pochmurne i bezgwiazdne. To było klaustrofobiczne uczucie, jakby nagle cały świat skurczył się do tego małego, bezbronnego pudełka. Gdyby się tu coś zbliżało, nie zdołałybyśmy nawet dojrzeć tego w porę.

Powycinałam z kartofli kiełkujące pędy i włożyłam je do papierowej torby. Później trzeba je będzie zasadzić. Ugotowane w osolonej wodzie, podane z duszonymi warzywami z ogrodu Heitzmanna, z dodatkiem świeżego bekonu, kartofle były posiłkiem nie do pogardzenia. Potem nie pozostało nam już nic innego, jak tylko położyć się spać.

Studium do Portretu Adele Bloch - Bauer, 1903

W pewnym środowisku jest tajemnicą poliszynela, że Adele Bloch - Bauer miewa kochanków. Publicznie wiele osób potępia zamężne kobiety postępujące w ten sposób. A przynajmniej uważa, że powinny zachowywać się bardziej dyskretnie. Mówią, że kiedy mąż się dowiedział, że nie może mieć dzieci, pobił ją do utraty przytomności. Że gdzieś na prowincji utrzymuje drugą rodzinę. Biedna Adele, użalają się ludzie. Jest taka nieszczęśliwa, taka samotna. Niechaj znajdzie pocieszenie tam, gdzie może. Kobiety traktują Adele ze współczuciem, jej fizyczna kruchość i autodestrukcyjna lekkomyślność chwyta je za serce. Przecież i tak długo nie pożyje, myślą sobie, z tym grubiańskim mężem, melancholijnym usposobieniem i słabym zdrowiem. Byle przeziębienie może wysłać ją na tamten świat, ale także fiołka pigułek. Tylko jej rodzina uważa, że trzeba się martwić raczej o Klimta, a nie o Adele.

Plotka głosi, że aktualnie jej kochankiem jest Gustav Klimt, malarz. On temu, oczywiście, zaprzecza. Podkreśla zawsze, że pani Adele Bloch - Bauer jest uroczą kobietą. Wspaniale się ją maluje. Podtekst jest dla wszystkich jasny: nie ośmieliłby się wikłać w romans z klientką, zamożną kobietą z towarzystwa. Jest uroczy w tych swoich zaprzeczeniach, widać, że ma sporą praktykę i łatwo mu to przychodzi. Rzecz jasna nikt ani na chwilę nie daje się na to nabrać, on zresztą wcale tego nie oczekuje.

Adele ma wielu znajomych, ale bardzo mało, o ile w ogóle, przyjaciół, nikt więc naprawdę nie wie, jak jest w rzeczywistości. Na przyjęcia przychodzi sama, podobnie jak wszędzie indziej, ale nikt nie pamięta, aby z nią rozmawiał. Kiedy mąż jest obecny, Adele sama wydaje przyjęcia, podczas których do oranżerii wypuszczane są motyle, a w salonie wśród gości wznoszą się rzeźby z lodu. Uwielbia ten teatr,

bawi ją organizowanie sceny i dekoracji. Zaprasza ludzi, o których wiadomo, że są śmiertelnymi wrogami, i sadza ich przy stole koło siebie. Mimo to goście przychodzą, głównie z uwagi na jej męża. I dlatego, że w jednym tygodniu mogą tam zobaczyć egzotyczne makaki, które przyplłynęły statkiem z Madagaskaru, a w drugim czerwone aksamitne draperie i tancerki z Teatru Bolszoi.

Nigdy nie było zgody w kwestii urody Adele. Prezentuje taki typ kobiecego piękna, który mężczyźni podziwiają najbardziej, a kobiety z jej środowiska niewątpliwie doceniają, ale nie czują się zagrożone. Uważają bowiem zgodnie, że mężczyźni dali sobie zamącić w głowach. Oczywiście coś ich w niej pociąga, ale nie czynią dla niej wyjątku - otwarcie i nie przebierając w słowach, omawiają jej wygląd, gdy tylko oddali się na bezpieczną odległość. Adele ma długą i kościstą twarz, jest chuda, jej włosy są zbyt ciemne, brwi zbyt grube, jak u Cyganki, a rysy twarzy raczej drobne. To prawda, ma wspaniałe oczy, przy pewnym oświetleniu zielone, w innym zaś szare, ale przykryte ciężkimi jak u gada powiekami. Zęby ma zbyt wystające. Na swój sposób Adele jest niezwykła, ale to nie to samo co piękna. Podczas kolacji kobiety sprzeczą się na jej temat ze swoimi mężami. Nie mogą jednak dostrzec tego, co widzą mężczyźni: namiętność skrywaną głęboko pod maską spokoju, witalność seksualną, zdolność do przemocy. Po akcie miłosnym z Adele Bloch - Bauer kochanek raczej nie powinien zasypiać. W końcu mężczyźni kapitulują. Może żony mają rację. Może wcale nie jest piękna. Każdy zastanawia się jednak, kiedy Adele skończy z Klimtem i czy uda mu się zwrócić jej uwagę na siebie.

Adele i jej mąż postanawiają wydać przyjęcie zaręczynowe dla Gustava Mahlera i Almy Schindler. To wyjątkowe wydarzenie; Mahler nienawidzi przyjęć, zwłaszcza wydawanych na jego cześć, i zgodził się na to tylko dlatego,

że Alma krzyczała i rzucała przedmiotami. Stoją na parkiecie w głównym holu, Mahler i Alma, jedno szare i skrępowane, z jedną nogą skierowaną w stronę drzwi, jakby chciało uciec, drugie błyszczące jak Ring - strasse w nocy.

Gustav Klimt wchodzi do holu, wita się z narzeczoną i całuje narzeczoną, która odwzajemnia pocałunek odrobinę dłużej, niż pozwala etykieta; czy mu przebaczyła? - zastanawia się. Od tamtego dnia w pracowni dwa lata temu prawie ze sobą nie rozmawiali. Otrzymał od niej później kilka gniewnych listów, na które nie odpowiedział. Odpowiadając, przyznałby bowiem, że coś między nimi było, a on wolał wierzyć, że wszystkie te nieporozumienia były urojeniami Almy.

Gustav prawie tak samo nienawidzi przyjęć jak Mahler - głupawe pogawędki, siedzenie do późna w nocy, oderwanie od pracy, duże prawdopodobieństwo spotkania byłej kochanki lub ideologicznego wroga, narażenie się na uchybienie etykiety lub ujawnienie swojej ignorancji na jakiś temat, której nie dało się ukryć mimo dwudziestu lat szlifowania - ale przychodzi na każde przyjęcie, gdzie może spotkać Adele. Nie dlatego, że desperacko pragnie ją zobaczyć, chociaż chce tego, ale ponieważ lubi przyglądać się jej z pewnej odległości i wyobrazać sobie plastycznie, co jest pod jej sukienką. Dreszcz podniecenia. Posunie się za daleko? Czy ona go odprawi? Niepokój, że zostanie zdemaskowany, niebezpieczeństwo utraty samokontroli wzrastały w chwili, gdy ją widział.

- Wyglądasz wspaniale - mówi do niej, uwalniając się z objęć Almy i muskając ustami dłoń Adele.

Myśli o powykręcanych palcach ukrytych w rękawiczkach i o tym, do czego są zdolne. O jej umalowanych ustach i gdzie chciałby je poczuć.

- To bardzo miło z twojej strony - mówi Adele, patrząc obojętnym wzrokiem gdzieś ponad jego plecami.

To jej sztuczka, której Gustav nie cierpi. Czyżby ją nudził? Czy ona w ogóle o nim myśli? Nie można czegoś takiego tolerować i aby poczuć się panem sytuacji, zostawia ją i idzie witać się z innymi przyjaciółmi. Czuje, że odprowadza go wzrokiem. Przysięga sobie, że nie wróci już do niej do końca wieczoru. Chce zobaczyć, jak na to zareaguje. Jaki będzie jej następny krok. Jednakże już po pewnym czasie to oczekiwanie staje się nieznośne i postanawia zmusić Adele do odsłonięcia kart. Wyczekuje momentu, kiedy na niego spojrzy, a potem wślizguje się do biblioteki i udaje, że ogląda bardzo brzydki olejny obraz. W bibliotece jest jakiś mężczyzna, który przegląda tytuły książek wypisane na grzbietach, ale na widok Gustava wydaje się zawstydzony ujawnieniem swojej towarzyskiej niedyspozycji i znika. Gustav zostaje w bibliotece sam. Po chwili czuje na szyi jej oddech.

- Zawsze mnie ignorujesz - mówi Adele.

- Wręcz przeciwnie - odpowiada Gustav. - Nigdy nie jestem bardziej świadomy ciebie niż wtedy, gdy nie jesteśmy razem.

Adele ma wysoki, szczekający śmiech, zabarwiony, jak mu się wydaje, histerią. Wydaje z siebie ten dźwięk kilka sekund dłużej, niż byłoby wskazane. Ktoś inny może się nabrać na twoje gładkie frazy, mówił jej śmiech, ale jeśli o mnie chodzi, to trafiła kosa na kamień. Nie mam już żadnych złudzeń do stracenia. Jak na ironię, to, co przed chwilą powiedział, jest prawdą. Kiedy stoi tuż obok niego, jest kobietą. On dobrze zna tajemnice ciała, seksualną maszynę. Jest mistrzem w mówieniu rzeczy, które zainspirują kobietę, by spędziła z nim noc. Wie, co zrobić, aby patrzyła na niego z namiętnością, uczuciem, a kiedy nadejdzie właściwy czas, także z bólem, złością czy gniewem. Dopiero kiedy ona znajduje się w drugim końcu pokoju, kiedy rozmawia z kimś

innym, udając, że na niego nie patrzy, ale cały czas śledzi jego ruchy kątem oka, dopiero z tej odległości wie o niej wszystko. Nie ma sensu przekonywać. Zamiast tego kładzie dłoń na jej talii. Przyciska palce do jej żeber. Czasami wydaje mu się, że coś w środku niej może się złamać.

- Widziałam na dole twoją małą przyjaciółkę - mówi Adele. - Obawiam się, że coś mogło mi się wymknąć. Wiesz przecież, że nie umiem kłamać.

Nagła wściekłość Gustava zaskakuje ją. On czuje, że sytuacja robi się absurdalnie melodramatyczna, jak z kiepskiej powieści; myśli, że mógłby uderzyć Adele, która, jakby przewidując to, odsuwa się od niego i stoi odwrócona plecami do obrazu, zakrywając oczy ciężkimi powiekami.

- Nigdy nie może się dowiedzieć - mówi Gustav. - Jeśli jej powiesz, zabiję cię.

- Mój mąż cały czas grozi, że mnie zabije, i jeśli on tego nie zrobił, ty też nie zrobisz - mówi.

- Me żartuję, Adele. Ona nie może się dowiedzieć.

- To czarujące, że tak ją chronisz. Niemal jak ojciec. Ale czy to nie jest też trochę obraźliwe? Ona jest bardzo inteligentna. Nie sądzisz, że już wie?

Gustav nie odpowiada. Nie jestem tematem do rozmowy - ani z Hoffmannem, ani z matką, po prostu z nikim. Jestem w jego życiu, a on nie chce wiedzieć, dlaczego ani w jakim charakterze. Oburza go, że stojąca przed nim kobieta rozmawia o mnie, jakbym była jakimś gościem na przyjęciu, o którym rozpowszechniane są szczególnie fascynujące plotki. Oto ona, biedactwo. Nic nie wie. Może ktoś powinien jej powiedzieć. A ja słyszałam, że jednak wie. Po tym, jak przywitała się z Adele, widziałam, że wzięła kieliszek szampana i wypila go duszkiem. Widziałam, że ty robiłaś to samo, to nic nie znaczy. Ja jednak myślę, że wie. Popatrz na układ jej ust. Która kobieta w jej wieku ma takie usta?

- Nie może się dowiedzieć, nie wolno jej zranić - tylko tyle Gustav może powiedzieć.

Wie, że we wtorek wróci do domu Adele, a ona będzie mu pozowała w czymś, co ja dla niej uszyłam; chociaż salon działał już od kilku miesięcy, postanowiłam szyć ubrania tylko dla niewielkiej grupki wyselekcjonowanych klientów, dla reklamy. Uszyłam kilka oryginalnych chust i szali, a Adele koniecznie chciała mieć jeden z nich. Będzie ją szkicował w tym właśnie stroju, aż napięcie stanie się nie do zniesienia. Nie będą się do siebie odzywać, czekając, które z nich pierwsze przełamie milczenie. W końcu będzie musiał odłożyć ołówek, wstać i rozprostować ramiona. Kiedy Adele zobaczy, że zrobił przerwę, bez słowa wyjdzie z pokoju. Nie pójdzie jednak do znajdującej się obok sypialni, lecz do gościnnego pokoju na końcu korytarza. Kiedy on tam przyjdzie, zastanie ją już uplasowaną malowniczo na łóżku, rozluźnioną i pobladłą. Nie okaże radości ani podniecenia, gdy Gustav zacznie ją rozbierać; chce, aby myślał, że wcale go nie pragnie. Gdy dotrze do ostatniej warstwy, rozepnie gorset, zdejmie halkę i koszulkę, Adele oznajmi mu, że chce zostać w szalu, gdy będą się kochać, będzie więc dotykał ciała Adele, czując pod sobą ten kawałek splątanej tkaniny.

Rozdział 17

Poszłam z Gustavem na przyjęcie, które Adele wydała z okazji zaręczyn Maniera i Almy. Stałam obok niego, gdy całował Almę. Ja też ją ucałowałam; jej policzek był ciepły i pachniał pudrem. Współczułam Mahlerowi, wyglądał, jakby miał na sobie garnitur o dwa numery za mały. Ucałowałam Adele; pachniała jaśminem. Najbardziej lubiła białe kwiaty.

- Bardzo się cieszę, że mogłaś przyjść - powiedziała. - Nigdy nie widziałas mojego domu. Jak tylko będę wolna, oprowadzę cię po nim. Dzięki Bogu zajmie nam to sporo czasu. Marzę, aby uwolnić się od tych wszystkich ludzi.

- Kiedy Klimt skończy ten cholerny obraz? - zapytał jej mąż, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. - Zapłaciłem mu tyle, że starczyłoby na pięć lub sześć obrazów. Widzi pani to miejsce na szczycie klatki schodowej? Tam zawiśnie portret, gdy go wreszcie skończy.

Schody były marmurowe, gładkie i spływały niczym kaskada, przypominając schody Laurenziany Michała Anioła. Żyrandol wiszący trzy metry nad naszymi głowami lśnił setkami kryształów.

- Osiemset dwadzieścia sztuk - powiedział Bloch - Bauer, kiedy wyraziłam swój podziw.

Waży sto sześćdziesiąt kilogramów, dodał, i został przywieziony w częściach z Pragi. Wyobraziłam sobie, jak spada mu na głowę.

Ich apartament był jeszcze bardziej niezwykły niż Berty Zuckerkandl. Każdy pokój urządony w czerwieni, bieli i złocie, niczym w pałacu imperatora. Zrozumiałam wtedy, dlaczego Adele nienawidzi czerwieni, i przypomniałam sobie, jak Gustav mówił, że często ma chęć zburzyć to wszystko i urządzić od nowa.

Gustav wkrótce zniknął mi z oczu. Tym razem radziłam sobie bez niego bardzo dobrze. Usiadłyśmy z Bertą na kanapie

obszytej żółtym jedwabiem i gawędząc, popijałyśmy szampana. Została moją przyjaciółką i już się jej nie bałam. Pomogła mi znaleźć inwestorów dla salonu i mimo wrodzonego sceptycyzmu wobec mody obiecała, że do mnie przyjdzie, pozwoli wziąć sobie miarę i w następnych sezonach będzie niezwykle modna i ekstrawagancka.

Na takich przyjęciach jak dzisiejsze Berta nie zabawiała gości; siadywała zwykle w kącie i czekała, by znajomi przyszli złożyć jej wyrazy uszanowania, a potem plotkowała o nich, gdy się oddalili. To był bardzo zabawny sposób spędzania wieczoru. Podchodzili do nas kelnerzy z tacami, a ja odstawiałam puste kieliszki po szampanie i brałam pełne. Adele musiała mieć tysiące takich kieliszków. Zastanawiałam się, kto je mył.

W przerwach Berta dopytywała się, jak idą przygotowania do oficjalnego otwarcia salonu. Podeszli do nas na chwilę rozmowy Moll, Moser, Hoffmann i Mahler. Kiedy zostałyśmy znowu same, Berta chciała wiedzieć, czy Adele zapisała się na listę osób, które chciały przyjść do salonu w pierwszej kolejności, gdy zaczniemy zdejmować miary i wykonywać osobiste manekiny dla najważniejszych klientów. Powiedziałam, że Adele nie prosiła o to, chociaż kupiła już kilka drobiazgów, a ja raczej nie odważę się sama ją o to zapytać.

- Poprosi cię - powiedziała Berta. - Domyślam się, że będzie chciała bliżej ci się przyjrzeć. Na osobności.

Nie udawałam, że nie wiem, co ma na myśli, ponieważ w rozmowie z Bertą nie można było udawać. Ona wiedziała o wszystkim, co działo się w towarzystwie. I mimo że przyjaźniła się z Gustavem, wiedziałam, że czuje do mnie sympatię, i mogłam jej ufać.

- No to może się rozczarować - powiedziałam. - Nie jestem groźna.

Berta spojrzała na mnie, jakby chciała mną potrząsnąć; zdjęła okulary i uszczypnęła mnie w łokieć.

- Wątpię, czy ona też jest tego zdania - powiedziała. - Gdyby tak...

Wiedziałam, co chce powiedzieć. Gdyby uznała, że jestem nieszkodliwa, nie zniknęłaby z Gustavem. To nie byłoby konieczne. Wystarczyłoby jej kolejne pozowanie.

- To nie jest tak jak z Alną - powiedziałam. - Mimo wszystko lubię Adele. Potrafię znieść, że są razem. Gdyby ożenił się z Alną, skoczyłabym z mostu.

- Jesteś głupia, Emilie - powiedziała Berta.

Jej głos zabrzmiał ochryple i gniewnie, jak u mojego ojca, gdy zdarzyło mi się o czymś zapomnieć.

- Wiem - przyznałam ponuro. - Wszyscy mi to mówią: moje siostry, Alna...

- Nie rozumiesz mnie - powiedziała. - Jesteś głupia, jeśli myślisz, że Alna czy Adele są dla niego ważniejsze niż ty.

- A nie są?

- Mogłabyś mieć Gustava wyłącznie dla siebie, gdybyś naprawdę go pragnęła. Ale musisz zdecydować, czy naprawdę tego chcesz.

Pomyślałam, że oszalała, i powiedziałam jej to. A ona tylko się uśmiechnęła i skinęła na kelnera.

Obok mnie pojawił się Bloch - Bauer.

- Gdzie jest Adele? - syknął.

Berta powiedziała, że siedzimy na tej kanapce już godzinę i nie widziałyśmy jej.

- Znikła - powiedział. - Niech to diabli, na własnym przyjęciu.

Gdy zaoferowałam się, że mogę jej poszukać, Berta westchnęła teatralnie i wstała. Zostawiam cię z twoim męczeństwem, mówił wyraz jej twarzy.

- Niech pani raczej poszuka Klimta - powiedział Bloch - Bauer. - Tylko proszę robić dużo hałasu, żeby zdążyli się ubrać.

Zrobiłam rundę po domu, co obiecała mi na początku przyjęcia Adele, przechodząc z pokoju do pokoju i rozglądając się za nimi. Nie było ich w sali balowej ani w żadnym z saloników, gdzie odpoczywali goście zmęczeni tańcami. Nie było ich też w pokoju do gry w karty, ani w bilardowym, ani w bibliotece. Nie wyszli również do ogrodu.

Gustava znalazłam w końcu w pokoju muzycznym, niewielkim pomieszczeniu o dziwnym kształcie, o ścianach obitych żółtym jedwabiem, w którym stało mnóstwo mahoniowych krzeseł z nogami zakończonymi zwierzęcymi łapami. Był sam. Siedział na stołku przy pianinie, łokcie opierał na klawiszach. Gdy weszłam, brzdąknął kilka taktów i zaczął przewracać nuty na stojaku.

- Gdzie jest Adele? - zapytałam. Udał zaskoczenie.
- Nie widziałem jej, odkąd tu przyszliśmy - powiedział.
- Co robiłeś przez cały ten czas? - zapytałam, starając się, aby w moim głosie brzmiało zdziwienie, a nie wymówka.
- Siedziałem tutaj. Niezbyt lubię przyjęcia.
- Mogliśmy wyjść.
- To mogłoby wydać się niegrzeczne.
- Pan Bloch - Bauer posłał mnie, bym znalazła Adele. Chce, żeby wróciła na przyjęcie.

W końcu przyznał, że posprzeczali się „o obraz”. Nie chciałam się z nim kłócić, zapytałam więc tylko, czy domyśla się, gdzie może być teraz. Dowiedziałam się, że zostawił ją w bibliotece.

Powiedziałam, że tam Adele już nie ma. Zasugerował, że może poszła na górę, do sypialni. Poprosiłam go, aby pokazał mi drogę, bo pewnie zna dom lepiej niż ja. Posłał mi dziwne spojrzenie, ale zaprowadził do tylnych schodów, które

znajdowały się za pokojami służby, wszedł ze mną na górę, minęliśmy razem damski salonik, garderobę i zatrzymaliśmy się przed sypialnią. Nie chciał wejść ze mną do środka.

Adele siedziała na okiennym parapecie owinięta aksamitnymi kotarami w kolorze wina i patrzyła, jak jej szarfa od białej sukni tańczy na wietrze za otwartym oknem. Nad jej głową unosił się obłoczek dymu, a w powietrzu zapach łożu. Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że trzyma w dłoni świecę i przybliżyła płomień do wewnętrznej strony swojego przedramienia. Kiedy wyczuła moją obecność, odstawiła świecę na parapet, ale nadal siedziała odwrócona do mnie plecami. Przez cienką suknię widziałam jej skórę. Drżała. Zamknęłam okno i zgasłam palcami świecę.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- A ty? - zapytała ona. Zignorowałam to.

- Mąż cię szuka - powiedziałam. - Goście zastanawiają się, gdzie jesteś.

- Nic ich to nie obchodzi, podobnie jak jego, poza tym, że to źle wygląda. Dopóki mają jedzenie, muzykę i ładne rzeczy, na które mogą patrzeć, to nie ma żadnego znaczenia. - Spojrzała na mnie. - Nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś mnie poszukać. Pomyślałabym, że raczej będziesz zadowolona, gdy zniknę.

- To oczywista nieprawda - zaprzeczyłam. Dotknęłam jej dłoni i odwróciłam rękę.

- Bardzo się poparzyłaś?

Zaśmiała się, a ja ujrzałam czerwień i sznur perłowych pęcherzyków biegnących od nadgarstka do łokcia.

- Przypuszczam, że przez pewien czas będę musiała nosić długie rękawy - powiedziała - ale ty możesz to załatwić, prawda? A na razie zakryję to szalem, jeśli nałożę go w ten sposób.

- Wydaje mi się, że powinnaś to czymś posmarować - powiedziałam. - Może zadzwonić po służącą, żeby przyniosła ci jakąś maść?

- Nie przejmuj się - zachnęła się. - Lubię ten pulsujący ból, dzięki temu czuję, że żyję. Ale potrzebowałabym chwili samotności z Gustavem. Mogłabyś zadzwonić po niego, zamiast po maść?

Milczałyśmy. Patrzyła na mnie oczami jak żarzące się węgle; czarne na powierzchni, a w środku płonące dziwnym ogniem.

- Oczywiście - powiedziałam. - Przyprowadzę go tutaj. Gdy wychodziłam z pokoju, słyszałam, jak wstała, aby otworzyć okno.

- Ona siedzi tam i przypala się płomieniem świecy - powiedziałam.

- Co mam zrobić? - zapytał, wzruszając ramionami. - Czy nie powinniśmy pójść po Bloch - Bauera?

- Tylko ty możesz ją uspokoić, musisz to zrobić. - Pchnęłam go w stronę drzwi. - Poczekam tu na ciebie - dodałam.

- To może mi zająć trochę czasu - powiedział. - Adele jest zdenerwowana i podekscytowana.

Ujął to dość oględnie, ale powstrzymałam się od sarkastycznego komentarza.

- Poczekam tu na ciebie - powtórzyłam.

Drzwi były ciężkie, dębowe, i nic nie widziałam ani nie słyszałam. Mogłam sobie jednak wszystko doskonale wyobrazić, jego błagania i żarty, jego pieszczoty i jej powolne rozmiękanie. Stałam przed drzwiami i przeciągałam palcem po konturach płaskorzeźbionego ornamentu. Na sufitowych kasetonach namalowane były połyskujące pejzaże, które oglądałam z zainteresowaniem przez kilka minut. Potem zaczęłam liczyć klepki parkietu.

- Adele potrzebuje więcej powietrza - powiedział Gustav, gdy wreszcie wyszedł. - Fatalnie się czuje. Przejedziemy się jej powozem wokół Ringu.

- Czy nie miała dość powietrza, gdy siedziała tak długo przy otwartym oknie? Nie byłoby lepiej, gdyby położyła się do łóżka?

- Wiesz przecież, że nikt nie może jej nic kazać. Ona chce wyjść. Zajmę się nią. Powiedz mu, że wszystko jest w porządku.

- Jeśli ktoś was zobaczy...

- Wrócę, nim się spostrzeżesz.

Zeszłam na dół, aby znaleźć Bloch - Bauera i opowiedzieć mu jakąś uspokajającą bajeczkę, nim sam ruszy na poszukiwanie Adele. Zostałam go w salonie przy kominku wraz z dwoma innymi biznesmenami; opowiadali sobie sprośne dowcipy. Śmiał się głośno i wcale nie myślał o Adele, ale gdy mnie zobaczył, wściekłość wróciła. Powiedziałam mu, że Adele wyszła z pokojówką na dwór dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, ale on od razu zrozumiał, co się stało, i nadał się jak balon. Przysunął twarz tuż do mojej twarzy, tak że poczułam zapach brandy. Ten zapach przypominał mi zawsze moich dziadków, którzy pili ją litrami, jak tonik.

- Proszę mi powiedzieć, co oni robią. Wiem, że pani to wie.

Uśmiechnęłam się bezradnie.

- Czy jest pani jakąś stręczycielką, organizuje mu pani schadzki? - To było tak obraźliwe, że nie byłam w stanie odpowiedzieć, ale on kontynuował, nie czekając na moją reakcję. - Z pewnością nie. Z pewnością jest pani w nim zakochana. Tak samo jak ja nie chce go pani więcej widywać z Adele. Proszę mi więc powiedzieć, co pani wie, a ja ich nakryję i skończę z tym raz na zawsze.

Powiedziałam, że wiem tylko tyle, iż Adele poczuła się źle i wyszła na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza.

Chciał więc wiedzieć, gdzie jest Gustav. Powiedziałam, że poszedł już do domu. Czasami przychodzi mu do głowy jakiś pomysł i wtedy gdziekolwiek by był, musi natychmiast wracać do pracowni.

- Tak pani powiedział? - zapytał. - Nie znam zbyt dobrze artystów, ale znam mężczyzn. Radziłbym pani odejść od niego, zanim wyrządzi pani prawdziwą krzywdę.

- Nie potrzebuję rad - odrzekłam.

- Gdybym mógł to skończyć, niechby szeszła. Ożeniłem się z nią tylko dlatego, że jej ojciec zaproponował mi doskonałe warunki za wyrwanie jej z jego rąk. Ale nie warto było. Spłaciłem mu te pieniądze po wielekroć. Adele udaje, że jest słabego zdrowia, ale w rzeczywistości jest silna jak koń. Może robić wszystko, co chce... byle tylko nie robiła ze mnie głupca. Na to nie pozwolę.

Pomyślałam, by zapytać, jak zamierza ją powstrzymać, ale właściwie nie chciałam tego wiedzieć.

- Adele jest samotna - powiedziałam. - Łaknie przyjaźni. Czy to dziwne, że skoro nie znalazła tego uczucia u pana, szuka go u współczującego artysty?

Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy, ale nagle roześmiał się.

- Pani jest wspaniała - powiedział. - Lojalna aż do przesady. Powinienem poślubić kogoś takiego jak pani.

- Może nie jestem aż taka miła, jak się panu wydaje - powiedziałam.

Opuściłam przyjęcie i pojechałam do domu. Zamiast położyć się spać, poszłam do pokoju krawieckiego. Trzymałyśmy tam wszystkie nasze materiały, ponieważ nie wynajęłyśmy jeszcze odpowiedniego lokalu. Była tam też przepiękna zielona suknia, którą właśnie szyłam. Zapaliłam

lampę i zobaczyłam ją. Aż do tej chwili nie wiedziałam, że to miała być moja suknia ślubna. Gdy tak na nią patrzyłam, wiotką i rzuconą w nieładzie, miałam wrażenie, że jestem na zapleczu sceny podczas trwania przedstawienia. Miałam ją jeszcze podszyć i podwiązać luźne nitki. W przodzie brakowało kilku obciągniętych satyną guzików. Zaczęłam już wyszywać haft na spódnicy, ale zostały rękawy, a w pudełkach czekały jeszcze kryształki. Już ich nie wykorzystam, bo ręczne wszywanie zajęłoby mi miesiące. Zrzuciłam ubranie i zaczęłam wciągać suknię przez głowę. To nie było łatwe bez niczyjej pomocy, ale w końcu udało się.

Mimo że musiałam przytrzymać ręką niezapiętą górę, suknia leżała na mnie jak warstwa werniksu na stole; między stan i talię nie dałoby się wcisnąć nawet kartki papieru. Obróciłam się przed lustrem, z przyjemnością obserwując, jak ciepły kolor tkaniny podkreśla rudy odcień włosów i jak ponętna wydaje się moja wydłużona sylwetka. Trwało to jednak nie dłużej niż chwilę, bo miałam jeszcze mnóstwo pracy. Jakie to szczęście, pomyślałam, że Adele jest ode mnie szczuplejsza, ponieważ dużo łatwiej coś zwięzić, niż poszerzyć. Zdjęłam suknię i ostrożnie powiesiłam ją w szafie, a potem dokładnie wytarłam stół. Następnie narzuciłam na siebie jakiś kolorowy szlafrok (akurat trafiłam na szlafrok, który szyłam dla Berty, ale ona się przecież nie dowie, że ktoś przed nią miał go na sobie), rozłożyłam suknię na stole i zaczęłam rozpruwać szwy.

Podobnie jak sprawiało mi przyjemność łączenie dwóch kawałków materiału, tak w pewien sposób nawet bardziej satysfakcjonujące było ich rozdzielanie. Rozrywane nici wydawały wspaniałe dźwięki. Musiałam zgadywać wymiary Adele, ale byłam pewna, że raczej się nie pomylę. Była dużo węższa w ramionach, a jej ręce przypominały gałązki, musiałam więc odpruć rękawy od stanu, a potem stan odpruć

od spódnicy. Wiedziałam, że kolor sukni nada jej skórze ziemisty, a nawet nieco upiorny wygląd, ale to dobrze. Z pasją oddałam się destrukcji. Rozrywana tkanina wydawała przepiękny dźwięk, trochę metaliczny, chociaż była ciężka i stawiała opór; aby rozpocząć prucie, musiałam przeciąć nic nożyczkami, ale i tak ręce bolały mnie z wysiłku. Zdążyłam już spruć spódnicę od dołu do talii, gdy uświadomiłam sobie, że nie miałam zamiaru zniszczyć sukni, chciałam ją tylko przerobić. Spódnicę trzeba było zeszyć na nowo. Musiałam wydłużyć i zwęzić stan. Pracowałam całą noc i w końcu zasnęłam przy stole. Kiedy Helene mnie tam znalazła, nic nie powiedziała, tylko zaprosiła na śniadanie. Po południu skończyłam ręcznie wyszywać haft na spódnicy. Owiniętą bibułą suknię włożyłam do pudła i wysłałam Adele.

Rozdział 18

Miałam już prawie trzydzieści lat i poza jednym flirtem, który przeżyłam, będąc jeszcze dziewczynką, nigdy nie myślałam o nikim innym poza Gustavem. Powoli zaczęło jednak do mnie docierać, że zawsze będzie jakaś Alma, jakaś Adele. I nic by się nie zmieniło, gdyby wyszły za mąż, wyjechały do Paryża lub umarły. Musiałam się na coś zdecydować. Mogłam ciągnąć tę sytuację z Gustavem, wiedząc, że nigdy się ze mną nie ożeni, albo rozejrzeć się za kimś innym.

Mówiłam sobie, że zdołam przejść do porządku nad złamanym sercem i bez trudu znajdę inną miłość; czyż ludzie nie postępują tak ciągle? Chodziłam na przyjęcia do Secesji i usiłowałam nawiązać jakieś bliższe znajomości. Jednakże sprawdziło się to, co przed laty powiedziała Pauline: wszyscy wiedzieli o moim związku z Gustavem i nikt nie chciał go urazić, zbliżając się do mnie, zwłaszcza że było jasne, iż moje serce nie jest wolne. Wydawało się, że otacza mnie niezniszczalna ściana. Postanowiłam więc skierować swoją energię gdzie indziej: na salon. Uznałam, że po latach przygotowań nastąpiła wreszcie pora, aby Schwestren Flöge zaistniały.

Wynajęłyśmy dwa piętra w Casa Piccola, narożnym domu przy Mariahilferstrasse, w pobliżu Kunsthistorisches Museum. Byłoby rzecz jasna o wiele lepiej, gdyby się nam udało znaleźć lokal wewnątrz Ringu, a nie poza nim, ale na to nie było nas stać. Nasza matka nie chciała zostać sama w mieszkaniu, w którym się wychowałyśmy, postanowiła je sprzedać i zamieszkać razem z nami. Powiedziała, że chce tylko mieć pokoje z osobnym wejściem i kuchnią, aby mogła czuć się niezależna. Poprosiłyśmy Josefa Hoffmanna i Kolomana Mosera, aby zaprojektowali dla nas odpowiedni apartament i salon mody. Podjęli się tego, a ponieważ

pracowali bardzo szybko i sprawnie, już wkrótce byliśmy gotowe do przeprowadzki z jednej strony Mariahilf na drugą. Podczas zawijania w bibułki lamp i pakowania do pudeł bluzek i prześcieradeł towarzyszyły mi obawy o powodzenie salonu i lęki związane z ryzykiem, jakie podjęłam. Planowałam to przedsięwzięcie od lat, przygotowanie miejsca zajęło mi wiele miesięcy, całymi godzinami przeprowadzałam różne kalkulacje, stałam w kolejkach do urzędów państwowych i wypełniałam formularze. Pamiętałam dni, kiedy ogarniał nas niepokój, że zabraknie pieniędzy, aby wszystko należycie wykończyć, lub gdy bela materiału, którą zamówiliśmy, dotarła do nas mokra i zniszczona. Wreszcie wszystko było na swoim miejscu. Szwaczki siedziały przy maszynach do szycia i pracowały nad zamówieniami złożonymi przez Bertę i inne klientki jeszcze przed oficjalnym otwarciem salonu. Na stołach do krojenia leżały już ścinki materiałów i piętrzyły się szpilki krawieckie. Pauline bolała głowa od uciążliwego ślęczenia nad długimi kolumnami cyfr, a Helene marudziła, że ma już dość oczekiwania na klientki, dla których mogłaby być czarująca i we wszystkim pomocna.

Każdy szczegół pomieszczeń wykończony był tak perfekcyjnie, jak tylko można się było spodziewać po Josefie Hoffmannie, a to mówiło samo za siebie. Salon był przestronny, panowała w nim przyjemna atmosfera. Ściany były białe, meble czarne, a podłogi pokryte szarym filcem. Siedząc na kanapie w poczekalni, mogłam patrzeć przez wielkie okna wychodzące na zachód, przez które widać było budynki Kunsthistorisches. Szklane tafle były chyba największe, jakie do tej pory wyprodukowano, a Hoffmann nalegał, aby żadne kotary nie zasłaniały okien i panoramy miasta. Początkowo Helene sprzeciwiała się, twierdząc, że to trochę tak, jakby w operze stał na scenie goły sopran, ale wkrótce przyzwyczała się i zaakceptowała ten pomysł.

Natomiast Pauline pomieszczenie to przypominało celę dla chorych psychicznie przestępców, puste i sterylne, i żadne moje argumenty nie były w stanie jej przekonać.

Tak, wszystko było perfekcyjnie przygotowane, ale ja umierałam ze zmartwienia. Co będzie, jeśli wykonane przeze mnie stroje rozpadną się po jednym użyciu? Co będzie, jeśli zostaną ocenione jako niegustowne, pospolite lub brzydkie? Jeśli nikt ich nie będzie chciał kupować? A jeśli popyt będzie za duży i nie będę w stanie mu sprostać? Co się stanie, gdy nie będziemy mogły zapłacić szwaczkom? Co zrobię, jeśli wszyscy będą się ze mnie śmiać, z moich amatorskich prób rozkręcenia interesu? Wydawało się, że istnieją setki przyczyn niepowodzenia.

Z drugiej strony sukces był jednak bardzo prawdopodobny. Jak to ze sobą pogodzić?

Kiedy tamtego wrześniowego dnia otwierałam drzwi salonu, miałam wrażenie, że każda mijająca budynek kobieta patrzy na mnie krytycznie, ocenia mój strój i szyld nad drzwiami, który uważa za nieudany. Bo czyż inaczej przeszłyby, nie zatrzymując się? Nie miało znaczenia to, że żadna z nich nie była umówiona, a ta, która była, Margaret Stonborough - Wittgenstein, zaglądała najpierw przez okno, a potem niecierpliwie dreptała w kółko przed drzwiami. Kiedy wzięłam od niej płaszcz, trzymałam go przed sobą jak tarczę, gdy wchodziłyśmy po schodach, aby nie widziała, że cała trzęsę się z wrażenia.

Margaret chciała zamówić białą aksamitną suknię z haftowaną spódnicą. To Gustav powiedział jej, co powinna zamówić, przyznała. Chciał namalować jej portret w takiej właśnie sukni. To wspaniale, ucieszyłam się. Nasze stroje na portrecie słynnego malarza mogą być znakomitą reklamą salonu. Przyznała także, że początkowo miała ochotę zamówić coś u Poireta, ale Gustav odwiódł ją od tego zamiaru. Miała

czarne włosy i długą szyję, mówiła cichym głosem i robiła wrażenie nieśmiałej. Była bardzo młoda. Rozmawiałyśmy o malarstwie i o Gustavie, a pod koniec godzinnej wizyty zdecydowała się zamówić u mnie także płaszcz i bluzkę. Powiedziała, że podobają jej się moje wzory. Jej zdaniem byłam w bardzo szczęśliwym położeniu, że Klimt wykonywał dla mnie artystyczne projekty. I płacił rachunki. Chciałam jej wyjaśnić, że wszystkie wzory wymyśliłam sama, że Gustav ma weksel z moim podpisem na całą sumę, którą zainwestował, ale wiedziałam, że to na nic się nie zda. Plotki należało po prostu ignorować.

Chociaż, muszę przyznać, zwlekałam nieco z wykonaniem zamówienia Margaret i leciutko zawyżyłam jej rachunek.

Cały dzień napływały do salonu telegramy i drzwi po prostu się nie zamykały. Za każdym razem, gdy rozlegał się dzwonek, serce zaczynało mi bić szybciej. Czy przyjdzie ktoś nieumówiony? Czy ktoś przyjdzie za wcześnie? A przede wszystkim, czy może to Gustav? Chce zobaczyć, jak mi idzie. Po zakończeniu każdego spotkania sprzątałam przebieralnię i od razu pojawiała się następna klientka. Przychodziły w godzinnych odstępach, przez cały dzień. Tylko raz zrobił się mały zator w poczekalni i panie patrzyły na siebie ze złością, bo Berta znacząco przekroczyła swój czas, opowiadając mi ze szczegółami o przyjęciu, jakie wydała poprzedniego wieczoru. Osiem godzin, siedem spotkań. Trudno było ocenić, czy to już sukces, czy raczej nie. W uznanym domu mody bywało ich o wiele więcej. Po wyjściu każdej klientki Pauline szybko robiła zestawienie kosztów zamówienia, wyszczególniając przewidywane wydatki na pracę oraz materiały, i wpisywała kwotę zysku w odpowiednią kolumnę. Początkowo nic nie chciałam wiedzieć. Niepokoiły mnie koszty ogólne. W wolnym czasie, gdy nie było klientek, doglądałam pracę szwaczek. Pod koniec dnia Pauline pokazała mi ostateczne

kalkulacje. Czysty zysk był taki, że wystarczyło na pensję dla wszystkich za cały miesiąc. Okazało się, że dobrze określiłyśmy ceny. Były wystarczająco wysokie jak na niepowtarzalne egzemplarze strojów, ale żadna klientka nie zbladła na widok rachunku. Przynajmniej tego jednego dnia odniosłyśmy sukces. Gustav mnie jednak nie odwiedził.

Następnego dnia także pracowałyśmy na pełnych obrotach, ale już w środę miałyśmy kilka godzin wolnych, bez umówionych spotkań. Zdziwiłam się więc, gdy przed południem zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Nasz salon nie był miejscem, do którego wchodziło się z ulicy, bez wcześniejszego umówienia. Wysłałam z pracowni krawieckiej, aby otworzyć ciężkie mosiężne drzwi wejściowe.

Po schodach, za dwoma mężczyznami, którzy pracowali w biurze księgowym na czwartym piętrze, wspinała się Adele. W mocnym świetle dziennym wyglądała jeszcze bardziej wątko niż zwykle. Kiedy dotarła na podest, gdzie na nią czekałam, z trudem łapała oddech. Chcąc być miłą, zaczęła chwalić kręcone marmurowe schody, jakbym to ja je zaprojektowała. Powiedziała też, że szyld Schwestren Flöge, umieszczony na drzwiach, według projektu typograficznego Mosera, bardzo pasuje do klimatu wnętrza, że to bardzo trafny pomysł, a dowcipne akwarele, które Moser zrobił do holu, są urocze. Zastanawiałam się, czy to ta sama budząca strach, zgorzkniała kobieta, którą znałam. Pomogłam jej zdjąć palto, przerywając lawinę pochwał, zanim zacznie podziwiać kolor ścian lub, nie daj Boże, mnie. Nieszczerze mnie interesowały jej osobiste oceny, szczerze czy też nie. Wyślizgnęła się z obszernego futra z norek i podała mi je. Aż się ugięłam pod jego ciężarem i zastanawiałam się przez moment, ile też mogło kosztować.

- Mąż nakazał mi, abym zachowywała się przykładowie - przyznała, gdy szłyśmy do poczekalni. - Powiedział, że nie

życzy sobie żadnych scen, takich jak na przyjęciu. Wyglądał przy tym dość groźnie.

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Możesz być sobą.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą. - Już się zmęczyłam chwaleniem tej dziwacznej klatki schodowej, która zupełnie nie pasuje do miejsca, gdzie robi się interesy, i zastanawiałam się, co miłego powiedzieć o tobie, bo nic nie przychodziło mi do głowy.

Funkcję poczekalni pełnił obszerny elegancki salon, jak całość utrzymany w czerni i bieli. Wbudowane w ściany szafy o przesuwanych drzwiach pomalowane były w roślinne motywy i zupełnie nie rzucały się w oczy, przez co większość gości była pewna, że ściany są wykładane boazerią. Dzięki temu i olbrzymim lustrom od podłogi do sufitu pomieszczenie wydawało się dwa razy większe, niż było. Meble zaprojektowane przez Hoffmanna, prosta kanapa, komplet hebanowych krzeseł o wysokich oparciach, kilka niskich stolików i przeszklona szafka były delikatne, ale solidne. Ten pokój napawał mnie dumą, podobnie zresztą jak wszystko inne w salonie. Nie było w nim ani jednego zbędnego elementu. Zdawałam sobie jednak sprawę, że takie wnętrze mogło wydawać się dziwne komuś, kto przywykł do bogatego wystroju i ostentacji. Miałam nawet nadzieję, że Adele będzie zaszokowana lub zgorszona. Tymczasem ku mojemu zdziwieniu wyglądała na zachwyconą. Niemal się uśmiechnęła.

- Chciałabym, abyś mi pozwoliła skopiować wystrój tego pokoju w moim domu - powiedziała, kładąc się na jednej z białych sof, jakby miała zamiar się zdrzemnąć. - Marzy mi się jakiś pretekst, aby wyrzucić z niego wszystkie meble. Są takie ciężkie, a już te rzeźbione fotele na koszmarnych lwich łapach doprowadzają mnie niemal do hysterii. Zresztą widziałas je, wiesz, o czym mówię. Mój mąż rzecz jasna uwielbia je,

podobnie jak kocha te wszystkie wypchane łąby w bibliotece. On uwielbia strzelać do rzeczy. Dlatego nigdy nie wchodzę do biblioteki, one wszystkie wpatrują się we mnie z wyrzutem, że pozwoliłam mu je zabić. Tylko że ja nie jestem w stanie go powstrzymać. Wyobrażam sobie, że gdybym stanęła między nim a górskim kozłem, którego miałyby ochotę zastrzelić, zastrzeliłby mnie, aby oczyścić sobie drogę.

- Tutaj są wzorniki - powiedziałam.

Ponieważ nie wykonała najmniejszego gestu, aby je otworzyć, usiadłam obok i zaczęłam przewracać kartki. Nie bardzo wiedziałam, czy była przyzwyczajona, aby na nią czekać, czy chciała mnie upokorzyć, czy może wstydziła się pokazać swoje dłonie.

- On maluje mój portret, wiesz o tym - powiedziała.

- Tak - potwierdziłam.

- Nie podobają mi się szkice, które zrobił. Wyglądam na nich zbyt ładnie. Chyba potrzebuję jakiegoś nowego stroju.

Czekałam, aż powie coś o sukni, którą jej wysłałam, ale wszystko wskazywało na to, że postanowiła udawać, iż nic takiego się nie zdarzyło.

- Coś, co sprawi, że będziesz wyglądać brzydko? - niemal się roześmiałam. - Bardzo się cieszę, że pomyślałaś o mnie.

- Coś, w czym będę wyglądać interesująco - powiedziała.

- Coś nowego, innego.

Przewracając kartki, zaznaczałam karteczkami te wzory, które się jej podobały. Po chwili położyła na kolanach dłonie, z palcami podwiniętymi do środka. Na obu rękach miała koralowe bransolety w kształcie węży.

- Łatwiej byłoby mi coś ci zaproponować, gdybyś powiedziała, czego szukasz, czego potrzebujesz.

- Nie potrzebuję niczego - powiedziała z absolutną szczerością. - Mam tylko niespełnione pragnienia.

Patrzyła przez okno, podczas gdy ja zastanawiałam się, jak z nią rozmawiać. Była inna niż wszyscy, których znałam, a ja nie miałam jeszcze wprawy w sprzedawaniu ludziom swoich produktów. Nie wiedziałam, że to jest aż tak skomplikowane.

Nerwowe postukiwanie mojego buta przerwało w końcu jej rozmyślania i odezwała się, tym razem dość opryskliwie.

- Co mogę ci powiedzieć, o czym nie czytałabyś już w plotkarskich gazetach lub nie dowiedziałybyś się na przyjęciach? Mój mąż jest prezesem wielkiej firmy cukrowniczej. Często wyjeżdża, podobno w interesach. Mam słabe zdrowie i nie mogę mieć dzieci. Rzadko wychodzę z domu. Czytam zbyt dużo Heinego i Goethego, bawię się, staram się, aby wszystko wokół mnie było tak żalosne, jak to tylko możliwe. Czy to są właściwe informacje?

- Dobrze, na razie nie wezmę więc miary na strój do jazdy na rowerze - zażartowałam.

- Wspaniale - powiedziała łagodniej. - Jak widać, informacje się przydają.

Już po południu dowiedziałam się, że Hoffmann zgodził się zrobić projekt wystroju jej domu, co prawda nie podpisali jeszcze umowy, ale wszystko zostało ustalone. Gustava znała od ośmiu lat. Tego wieczoru, kiedy się poznali, powiedział jej, że wygląda jak postać biblijna. Prosił, aby pozowała mu do obrazu Judyty trzymającej głowę Holofernesa. To porównanie zaintrygowało ją i pochlebiło jej, zgodziła się więc na jego propozycję. Gdy mi to opowiadała, brałam jej miarę. Stała przede mną w samym gorsecie i zapewne czuła się źle i bezradnie, jak ślimak wyciągnięty ze skorupy, a ja czerpałam niemal perwersyjną przyjemność z jej dyskomfortu. Wzdrygnęła się, gdy dotknęłam jej skóry miarką krawiecką. Wydawało się, że nie potrafi stanąć prosto. Z trudem oparłam się pokusie, by ukłuć ją szpilką.

Pod koniec pierwszego tygodnia wydałyśmy w salonie niewielkie przyjęcie, aby uczcić jego otwarcie. Zaproszenia zaprojektował oczywiście Moser: była to grafika przedstawiająca młodą kobietę stojącą przed lustrem, drukowana na ręcznie czerpanym papierze z Warsztatów Wiedeńskich. Rozesłaliśmy je do członków Secesji, Warsztatów Wiedeńskich i jeszcze kilku osób. Moser przyszedł wcześniej i przyniósł prezent, brązową wazę własnej roboty. Krążył z nią po salonie, szukając najlepszego miejsca, aby ją wyeksponować. Często popadał w konflikt z Hoffmannem, który zachowywał się jak scenograf. Zakrył kinkiety błękitnym woskowanym papierem, dzięki czemu salon wyglądał jak podwodny świat, Atlantyda. Nigdzie nie było ani śladu kwiatów, nie pozwolił mi ustawić nawet jednego przy drzwiach. Na stolikach stały natomiast puzderka z laki i puste wazony. Obaj byli tak dumni z tego miejsca, jakby było ich dzieckiem.

Hoffmann wręczył mi jakiś ciężki przedmiot owinięty w bibułkę; był to srebrny puchar, który sam wykonał, ozdobiony ornamentem w kształcie pędów i liści winorośli. Był przepiękny i moje szczere okrzyki zachwytu zakłopotwały autora. W przeciwieństwie do Mosera nie powiedział mi, gdzie chciałby go postawić. Goście postanowili pomóc mi w podjęciu decyzji. Na półce nad kominkiem, powiedział Moser, tam każdy będzie mógł cieszyć nim wzrok. W sypialni, zaproponowała Helene, jest zbyt piękny, aby się nim dzielić. Gdy jednak Hoffmann powiedział, że każdy przedmiot przez niego wykonany powinien spełniać jakąś funkcję użytkową, nie tylko dekoracyjną, od razu wiedziałam, gdzie go postawię. Na stole do krojenia tkanin, jako pojemnik na szpilki. Klientki go nie zobaczą, ale szwaczki tak; będzie pożyteczny. Okazał się nawet bardzo pożyteczny, stał tam przez trzydzieści cztery lata.

Na przyjęciu była też nasza matka, która zajmowała się małą Helene i krytykowała wygląd moich przyjaciół z bohemy, którzy tłoczyli się w dziwnych wnętrzach. Przyszła Berta i przyprowadziła swojego kucharza, który miał przygotować żeberka, kluseczki, sałatkę z buraków i ciasto z kremem pomarańczowym. Kiedy salon był już udekorowany, wszystkie wazony rozstawione, a kucharz zabrał się do pracy, w szóstkę, Hoffmann, Moser, Berta, Helene, Pauline i ja, zaczęliśmy się delektować nowym gatunkiem lekkiego, musującego wina.

Adele przyniosła mi białe lilie, które Hoffmann kazał wystawić na klatkę schodową. Obiecałam jej, że jak tylko wróg kwiatów pożegna się z nami, natychmiast wstawię je do salonu. Żona Molla przyniosła róże i powiedziała mi, że Alma, już po ślubie z Mahlerem, jest tak zajęta, że nie mogła przyjść. Czułam się zawstydzona, że jej kwiaty także musiałam wystawić na korytarz, razem z liliami Adele. Przychodziło coraz więcej ludzi, każdy z jakimś drobiazgiem i życzliwym słowem. Rozmawiając z nimi, dziękując za przybycie i wskazując, gdzie stoją napoje i przekąski, nie przestawałam myśleć o Gustavie. Nie było go jeszcze.

Od kilku tygodni przed otwarciem salonu Gustav był dziwnie nieobecny. Helene i Pauline pracowały równie ciężko jak ja, miałyśmy nieocenioną pomoc i wsparcie od Hoffmanna i Mosera, ale gdy pojawiał się jakiś kryzys lub musiałam nagle podjąć trudną decyzję, nie miałam się do kogo zwrócić po radę. Cały ciężar przedsięwzięcia spoczywał na moich barkach, a gdzie podziewał się Gustav? Podejrzywałam, że może nie chciał odwracać ode mnie uwagi, nie chciał, aby inni myśleli, że ja tylko firmuję coś, za czym kryje się on. Nic mnie to nie obchodziło. Gustav powinien był stać tu ze mną pośrodku salonu, przy moim boku, i razem ze mną przyjmować gratulacje. Był jedyną osobą, która mogła mnie

rozśmieszyć i pomóc się zrelaksować, pozbyć się napięcia, które wciąż czułam. Zawsze dokładnie wiedział, co chciałabym usłyszeć. Nawet Helene, która знаła mnie dłużej niż ktokolwiek inny i wiedziała, jak bardzo jestem zdenerwowana, wprowadziła mnie w przerażenie, w gruncie rzeczy mówiąc córce malarza Rudolfa von Alt, że właściwie mamy niewielkie pojęcie o szyciu.

Moll wznosił właśnie toast i mówił coś o twórczej współpracy oraz pomaganiu sobie nawzajem, gdy do salonu wślizgnął się Gustav. Rozległy się rzęsiste brawa; Moll był doskonałym mówcą, a poza tym popłynęło już sporo wina. Ja jednak od chwili, gdy pojawił się Gustav, przestałam go słuchać.

Znienawidziłam się za to, ale od razu zauważyłam, że przyszedł z pustymi rękami. Jeżeli nawet matka Almy mogła coś przynieść, dlaczego on nie mógł? Potem zauważyłam, że uderzył mnie jego wygląd - był bardzo zmęczony. Wielu gości podeszło do niego z gratulacjami, a on stał przy wejściu, zamiast przesuwać się do środka salonu, gdzie byłam ja. W pewnym momencie nasze spojrzenia spotkały się i wtedy dostrzegłam w jego oczach jakąś melancholię, a nawet smutek.

Kiedy Moll skończył przemawiać, zapadła cisza i goście najwyraźniej czekali, że Gustav wzniesie toast. On zaś udawał, że tego nie zauważa, i po krótkiej przerwie ktoś inny zaczął przemawiać. Kiedy skończył, wszyscy znowu spojrzeli na Gustava, ale on tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową. Nawet zachęcające pogwizdywania jego przyjaciół z Secesji nie skłoniły go do zmiany zdania. Dopiero kiedy mowy się skończyły i goście zaczęli przesuwać się w stronę drzwi, miałam okazję, aby porozmawiać z Gustavem.

- To jest cudowne, Emilie - powiedział.

Nie miałam pojęcia, czy myślał o przyjęciu, wystroju salonu, przedsięwzięciu jako takim, czy też o różnych elementach tego wszystkiego. Wypowiadał się oględnie i z dystansu, jakby otaczała go szklana ściana. Tak mógłby rozmawiać z jakimś dyplomatą z Hiszpanii.

- Dziękuję - odpowiedziałam oficjalnie. - To także twoje dzieło, wiesz o tym. Powinieneś czuć się autorem tego sukcesu - dodałam.

Pokręcił głową.

- To tylko twoje. - Miałam wrażenie, że starał się wydobyć z nie najlepszego nastroju. - Wczoraj Hermine Gallia pytała mnie, czy mógłbym jej pomóc zaaranżować spotkanie z tobą. Zwykle ludzie proszą innych, aby pomogli im umówić się na spotkanie ze mną.

Kiedy goście wyszli, Helene i Pauline zbierały kieliszki i ustawiały je na tacach. Światła na Ringstrasse przypominały rozgwieżdżone niebo, wyglądały zupełnie tak samo jak z okien apartamentu Berty Zuckerkandl.

Salon odniósł natychmiastowy sukces. W miesiącach poprzedzających otwarcie moim przyjaciołom i mnie samej udało się stworzyć wokół niego atmosferę ciekawości i zainteresowania w dość wąskich kręgach bardzo bogatych i należących do awangardy kulturalnej wiedeńczyków. Salon Schwestren Flöge szybko stał się ich salonem. Nasze stroje były bardzo drogie; spódnica mogła kosztować nawet tyle, ile wynosiły roczne zarobki szwaczki, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wkrótce jednak zorientowałam się, że całkowite odwrócenie się od Paryża szybko może doprowadzić nas do bankructwa. Nie przeżyjemy, szyjąc jedynie „zreformowane” stroje. Postanowiłam więc pójść na kompromis. Szyłyśmy awangardowe stroje dla tych, którzy tego od nas oczekiwali, a bardziej konwencjonalne i modne dla całej reszty.

Typowym przykładem takiego kompromisu była Gisele Koehler i jej matka, które złożyły mi wizytę miesiąc po otwarciu salonu. Gisele była tęgą blondynką: jej matka, kobieta z twarzą jak księżyc, chodziła za mną krok w krok i krytykowała wszystko, co robiłam. Czy nie powinnam raczej umieścić tej jedwabnej kamelii na piersi? Na lewym ramieniu wygląda bardzo dziwnie, brakuje równowagi. Gisele ma trochę krzywe ramiona, rozumie pani. Prawe ramię ma odrobinę wyższe niż lewe. To nie rzuca się w oczy, ale jeśli przypnie się kamelię na jednym ramieniu, będzie zauważalne. Dla takiej piersiastej dziewczyny jak Gisele, nie było chyba nic gorszego niż nadmiar ozdób na dekolcie, ale zmilczałam. Biedna Gisele i tak już była czerwona jak burak, słuchając, jak matka informuje mnie o jej wadach. Za kilka lat jej blond włosy staną się popielate, a ona zacznie przypominać słońce. Miałam nadzieję, że do tego czasu zdąży znaleźć sobie męża. Postanowiłam całkiem zrezygnować z kamelii. I tak już sukienka przypominała różowy koszmar senny. To była cena za właściwy poziom dochodów. Czasami trzeba było całkowicie złożyć w ofierze dobry gust.

- Mam piękny czarny jedwab haftowany w kamelie - powiedziałam. - Może z niego uszyjemy tę suknię?

- Czarny? Dla takiej młodej dziewczyny? Oszalała pani? - wykrzyknęła matka Gisele. - Przecież nikt nie umarł. A poza tym Gisele pięknie wygląda w różu.

Westchnęłam.

- Gustav przyszedł - poinformowała mnie cicho Helene, stając w drzwiach.

- Klimt jest tutaj? - dopytywała się pani Koehler. - Muszę z nim porozmawiać. Chcę, żeby namalował portret Gisele.

Spojrzenie, które rzuciła mi Helene, mówiło: „To się Gustav ucieszy”.

- Jest w salonie na dole - poinformowała panią Koehler. -
Proszę zejść, przyniosę państwu kawę.

Pani Koehler przeniosła wzrok z Gisele na mnie, a potem znowu na Gisele, wahając się, czy może zostawić swoją ukochaną córkę sam na sam ze mną. Znała różne plotki. Zmrużyła oczy i spojrzała na mnie.

- Dobrze, ale za minutę wracam.

Kiedy pani Koehler wyszła, zaczęłam upinać z ponurą miną materiał szpilkami. Mogłam to robić tylko z taką miną, inaczej szpilki wypadłyby mi z ust. Włożyłam rękę do srebrnego pucharu, jakbym wyciągała karpia ze stawu. Poczulałam lekkie ukłucie w rękę i szpilki upadły na podłogę.

- Ta suknia jest koszmarna, prawda? - odezwała się Gisele, stojąc na podwyższeniu.

Jej głos był zaskakująco ciepły i melodyjny. Zastanawiałam się, czy śpiewała.

- Będzie dobrze - pocieszałam ją.

- Pani wie, że jest tragicznie. Mama uparła się na tę różową satynę, ale to nie dla mnie. Chce wąskie rękawy i podwyższoną talię, a to też nie dla mnie.

Przestałam upinać i spojrzałam na nią.

- A tobie co się podoba? - zapytałam.

- Widziałam w katalogu jedną suknię, która mi się spodobała - powiedziała nieśmiało.

Podeszłam do stołu i wzięłam katalog z modelami.

- Pokaż mi - poprosiłam.

Suknia, która się jej podobała, była bardziej nowoczesna, luźniejsza i znacznie bardziej odpowiednia dla jej sylwetki.

- To suknia dla ciebie - przyznałam. - Zapomnij o tamtej. Powiem twojej matce, że zgubiłam ją, czy coś takiego.

Gisele roześmiała się.

- Zabije nas obie - powiedziała po chwili. - Ale pozwolę mi zatrzymać tę suknię, aby się mogła pochwalić, że została uszyta tutaj.

- Chcesz obejrzeć próbki materiałów w katalogu? - zapytałam. - Mogę też odciąć kawałek z beli i pokazać ci, jeśli chcesz.

Gisele nie chciała oglądać katalogu. Chciała pójść ze mną i zobaczyć materiały w pracowni krawieckiej. Nigdy nie zapraszałam tam klientek, ale w niej coś mnie wzruszało - chyba linia opadania kącików jej powiek. Była niewinna i bezradna jak małe dziecko.

- Chodźmy - powiedziałam. Podałam jej szlafrok i jakieś kapcie. Pomieszczenie, w którym przechowywałyśmy tkaniny, znajdowało się w dawnej wytwórni drewnianych zabawek. Nie miało okien, co było bardzo korzystne dla tkanin.

Panował w nim półmrok i przyjemny chłód. Dla projektanta ubiorów takie miejsce to prawdziwy raj. Bele tkanin ułożone były jedna na drugiej: satyny i aksamity, brokaty i koronki, organdyna, szyfon i wełna. Posegregowane według kolorów: biele według odcieni przechodzących w barwę kremową i żółtą, dalej kolory brzoskwiniowe i pomarańczowe, purpura i fiolet, a za nimi indygo i zielenie. Godzinami mogłam przechadzać się między półkami.

- Co myślisz o granacie? - zapytałam.

Po drodze do sekcji niebieskiej miałyśmy belę zielonego jedwabiu w odcieniu groszkowym i zupełnie bezwiednie wyciągnęłam rękę, aby czule pogłodzić materiał.

- Ten jest przepiękny - powiedziała Gisele.

- Tak, mnie też się podoba - przyznałam. - Kiedyś uszyłam z niego suknię dla siebie. Ale później oddałam ją.

Nie miałam pojęcia, czemu jej to powiedziałam, może dlatego, że miała bardzo współczujący wzrok.

- Taki piękny kolor - powiedziała uprzejmie, nic nie rozumiejąc. - Taki wyrazisty.

- Może kiedyś uszyjemy z niego suknię dla ciebie - powiedziałam. - Może na przyjęcie zaręczynowe.

Lekko popchnęłam ją dalej.

- Jeżeli mama kiedykolwiek na tyle spuści mnie z oczu, żebym mogła znaleźć sobie kawalera - westchnęła. - I jeśli nie będzie mu przeszkadzało, że jestem taka zwyczajna.

- A co myślisz o tym? - zapytałam, wyciągając jedwab bardziej miękki i delikatniejszy niż tamten zielony, w kolorze głębokiego morza.

- Przyjemny - powiedziała.

- Możemy uszyć do tego narzutkę z szyfonu, jeśli chcesz, w odcieniu jaśniejszego błękitu lub z siateczki. O ile dobrze pamiętam, mamy haftowaną siateczkę, która wyglądałaby wspaniale.

Wyciągnęłam belę z niebieskim materiałem i zaniósłam ją do sektora z siatkami. Znalazłyśmy jedną w kolorze popielatobłękitnym, haftowaną w srebrne chryzantemy. Zanotowałam symbole tkanin na zamówieniu Gisele i wróciłyśmy do przymierzalni, aby zrobić dla niej prototyp z perkalu. Krój nowej sukni był bardzo łatwy do upięcia i zajęło nam to zaledwie kilka minut. Byłam bardzo zadowolona, gdyż mimo całej sympatii dla Gisele czułam się już nią zmęczona. A więc ona była zwyczajna, a jej matka prawdziwym tyranem. Miała dziewiętnaście lat, mogła wyjść za mąż, mieć gromadkę tłustych dzieci i czuć się absolutnie szczęśliwa, jak wszyscy. Nie zanosilo się na żadną tragedię.

Kiedy skończyłyśmy, poczekałam, aż Gisele się ubierze, i sprowadziłam ją na dół. Gustav stał przy ogromnym oknie i obserwował gości restauracji Casa Piccola, a pani Koehler przemawiała do niego z białej sofy.

- Tak mi przykro - powiedziała na nasz widok. - Straciłam poczucie czasu. To moja córka, panie Klimt. Czyż nie będzie pięknie wyglądała na portrecie?

Z ciekawością oczekiwałam jego odpowiedzi. Jednakże Klimt od tak wielu lat przypocholebiał się ludziom pokroju pani Koehler, że bez najmniejszego wahania czy fałszu w głosie zapewnił ją, jak wspaniałe rubensowskie kształty ma Gisele, jaka jest czarująca i piękna. Złapała się na to, niczym mucha na lep.

- Mam nadzieję, że w sprawie sukni wszystko zostało ustalone - zwróciła się do mnie głosem o kilka stopni chłodniejszym.

Teraz przyszła kolej na mnie i miałam pewne trudności z utrzymaniem odpowiedniego wyrazu twarzy, ponieważ Gustav patrzył na mnie z udawaną powagą.

- Sądzę, że będzie pani zadowolona - zapewniłam ją.

- Co postanowiłyście w sprawie kamelii? - zapytała. - Ja w dalszym ciągu uważam...

- Gisele chce zrobić pani niespodziankę - powiedziałam, nadając głosowi nieco tajemniczy ton. - Proszę mi wierzyć, spodoba się pani.

- Dobrze, co prawda nie lubię płacić za rzeczy, których nie widziałam, ale przyszłam tutaj za radą pani Moll, wicie państwo, jej pierwszy mąż był bliskim kuzynem mojego męża; mam pełne zaufanie do jej gustu.

- Będę chciała zobaczyć Gisele za dwa tygodnie - powiedziałam. - Helene zarezerwuje dla pań wizytę u siebie w biurze.

Gustav obiecał pojawić się u nich w domu w najbliższy czwartek i jakoś obojgu udało nam się wypchnąć je i zamknąć za nimi drzwi.

Usiadłam na miejscu pani Koehler i wzięłam z tacy kawałek ciasta, które przyniosła dla niej Helene. Położyłam go

na maleńkim talerzyku, ale po jednym kęsie poczułam, że wcale nie jestem głodna, i zamiast jeść ciasto, zaczęłam je dziabać na drobne kawałeczki.

- Popatrz tylko - powiedział Gustav. - Córka Hermanna Koehlera.

Odchylił się na krześle, tak że oparło się plecami o ścianę, i bujał się jak uczeń.

- Gdyby Hoffmann to widział, zabiłby cię - powiedziałam.

- Koehler jest bardzo blisko z cesarzem - powiedział, balansując ciałem tak, że krzesło zawisło na dwóch nogach między ścianą i podłogą, a potem opadło z trzaskiem.

Aż się skrzywiłam na ten odgłos. Wzruszyłam ramionami.

- Ona uważa mnie za ladacznicę. Przyszła tu, bo szuka jakichś skandalizujących plotek.

- I co z tego, że ludzie gadają? O mnie gadają co najmniej od piętnastu lat i nie zanosi się, aby przestali.

- Mnie nie wolno robić tego co tobie. Ukamienowaliby mnie.

- Jesteś niesamowicie popularna - powiedział, nie zwracając uwagi na gorycz w moim tonie. - Czytałem artykuł na twój temat w „Timesie”. A Helene mówiła, że pisano o tobie także w „Mode”.

- To nie będzie trwało wiecznie - powiedziałam. Nie czułam się jak gwiazda. - A jak tam w pracowni? - zapytałam. - Jak panna Wittgenstein?

- Jest zachwycająca - powiedział. - Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi, ale sama przyjemność na nią patrzeć.

- Zaczęłaś już malować czy jeszcze robisz szkice?

- Myślę, że dzisiaj uchwyciłem wreszcie właściwą pozę. Jest bardzo interesująca, więc to nie było trudne. Jak wiesz, najtrudniejsze jest nadać charakter twarzy, która go nie ma. Z

nią nie było problemu. A suknia to po prostu marzenie dla malarza.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziałam. - Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

- Maluję zbyt wiele portretów - przyznał. - Mam już zarezerwowany czas do kwietnia. Nie mogę się doczekać, kiedy przyjdzie lato i nikt nie będzie mi zawracał głowy. Chciałbym w tym roku namalować pole maków, a może sad. Może pojedziemy też na rowerach do zamku.

- To jeszcze tak odległe - powiedziałam. - Do tej pory wiele może się zmienić.

- Co takiego? Nie chcesz mnie zaprosić?

Skrzywił się, bo taka ewentualność nigdy nie przyszła mu do głowy.

- Zobaczymy.

Ale on już mnie nie słuchał. Wpadł mu do głowy jakiś pomysł. Zaczął szukać ołówka w kieszeni płaszcza i wyciągnął jakieś pudełko. Spojrzał na nie zaskoczony, jakby zapomniał, że tam było.

- Mam coś dla ciebie - powiedział. - Prezent.

- Moje urodziny były kilka miesięcy temu - zdziwiłam się. - I podarowałeś mi wtedy książkę Charlesa Renniego Mackintosha.

- To spóźniony prezent z okazji otwarcia twojego salonu - wyjaśnił.

Wręczył mi pudełeczko opakowane w marmurkowy papier i przewiązane czarną rypsową wstążką. Od razu wiedziałam, że zrobił to Hoffmann; opakowanie samo w sobie było dziełem sztuki. Potrząsnęłam nim, bo wiedziałam, że Gustav lubi stopniowanie napięcia. W środku coś zagrzecotało i przesunęło się z jednej strony pudełka na drugą. Było za duże na pierścionek i za małe na książkę. Oczywiście o ile rozmiar pudełka nie był podstępem. Gustav

byłby do tego zdolny. Tak długo przyglądałam się opakowaniu, że w końcu stracił cierpliwość i zaczął pogwizdywać. Rozwiązałam wstążkę.

Na dnie pudełka, owinięty w bibułkę, leżał duży srebrny naszyjnik w kształcie kociej mordki na krótkim łańcuszku. W poprzek naszyjnika biegł jodełkowy szlaczek z lazurytu i krwawnika.

- Hoffmann to zrobił - powiedział. - Podoba ci się? Zajął się otwieraniem zameczka, mając nadzieję, że nie zauważy, jak trzęsą mi się ręce.

- Jest wspaniały - powiedziałam. - Ty zaprojektowałeś?

- Oczywiście. Myślisz, że zaufałbym Hoffmannowi z czymś tej wagi? Odwróć się, pomogę ci włożyć.

Podałam mu naszyjnik i podniosłam włosy.

- Wybacz mi - powiedział i zamilkł. Nie widziałam jego twarzy, ale głos miał bardzo poważny. Czekałam. - Miał być gotowy w dniu wielkiego otwarcia, ale kamienie utknęły w Antwerpii czy coś takiego. Dlatego prezent jest spóźniony.

- Ponieważ nie wiedziałam, że miałam go dostać, dla mnie nie jest spóźniony - powiedziałam, patrząc przez okno.

Widziałam tłumy ludzi zmierzających do Volksgarten.

- Jak chcesz, możesz zmienić łańcuszek na dłuższy - powiedział. - Na pewno ci się podoba?

Chciałam się odwrócić i pocałować go, ale nie zrobiłam tego.

- Oczywiście, że mi się podoba - zapewniłam go. - Mam ochotę na kawę. Napijesz się też?

Poszłam do kuchni, aby zaparzyć kawę, więc nie widział, że płakałam.

Gdy była gotowa, ustawiłam wszystko na tacy i wróciłam do saloniku. Usiadłam i nalałam kawy, a wtedy zauważyłam na podłodze jakieś rysunki.

- Nudziłem się, czekając na ciebie - wyjaśnił, gdy zauważył, że im się przyglądam. - Pani Koehler gadała i gadała, to było naprawdę okropne. Nie miałem ochoty na nią patrzeć, ma taki paskudny owłosiony pieprzyk z lewej strony policzka i w dodatku uparła się chyba, aby podczas rozmowy zwracać się do mnie właśnie tą stroną.

- To okropnie irytujące - powiedziałam. - Ale to ja będę musiała oglądać ją rozebraną.

Nalałam mu kawy do filiżanki i dopełniłam dużą porcją bitej śmietany. Tak lubił.

- Módl się więc, żeby zrezygnowała z ciebie - powiedział.
- Lub żeby jej mąż, pułkownik, zbankrutował.

Otworzył okno i spojrzał na gości siedzących na tarasie restauracji Casa Piccola.

- Biedacy - westchnął. - Podają tam okropną kawę.

- I jeszcze gorsze kanapki - dodałam. - Zupełnie bez mięsa.

Podeszłam do okna i wyjrzałam. Mimo fatalnej kawy i kanapek przy stolikach w ogródku było tłoczno. Mężczyzna w kapeluszu z jasnozielonym piórkiem mieszał kawę i wpatrywał się w swoją filiżankę, podczas gdy jego towarzysz obserwował ulicę, rwąc na kawałki bułkę. Szczupły młodzieniec przy innym stoliku wstał raptownie i potknął się o krzesło z kutego żelaza. Gustav stał obok mnie, trzymając w ręku jeden z rysunków, złożony w kształt przypominający ptaka. Wyjęłam mu go z ręki i puściłam przez okno w powietrze. Przez chwilę unosił go prąd powietrza, potem zaczął powoli spadać i wylądował na stoliku, przy którym siedział mężczyzna w kapeluszu z zielonym piórem. Mężczyzna podniósł papier, rozłożył go i zdziwiony spojrzał w górę. Wycofałam się szybko do środka pokoju.

- Mój cenny rysunek! - zawołał Gustav, udając rozpacz. - Jak mogłaś?

- Masz ich tyle - powiedziałam, wskazując na dywan. - Jak nam się skończą, możesz zrobić nowe.

- Zupełnie nie masz szacunku dla mojej pracy. Wszyscy inni bardzo sobie cenią moje rysunki, trzymają je za różki, utrwalają fiksatywą, wieszają za szkłem nawet najbardziej błahe szkice. Jesteś jedyną osobą, która uważa, że to wszystko nie ma żadnej wartości.

- Ależ nie uważam, że są bez wartości - zaprotestowałam, czując się już winna.

- Przecież drocę się z tobą, głuptasku - powiedział. - Naprawdę nie dbam o to. Wyrzucić je przez okno, spał, wytrzyj nimi tyłek, nic mnie to nie obchodzi. To tylko takie głośnie myślenie. Nic nie znaczy. Gdyby to były obrazy, którymi rzucałabyś w tych biednych ludzi, to zupełnie co innego... Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

- Dalej - zachęcał mnie. - Wyrzucimy następny. Kolejny rysunek wylądował na jednym z parasoli, ale student, który widział, co przytrafiło się mężczyźnie w kapeluszu z piórem, wszedł na krzesło i zdjął go. Inni goście w ogródku unieśli głowy i machali do nas. Niektórzy kelnerzy zaczęli się już denerwować. Rysunki spadały na gości jak płatki kwitnących wiśni na wiosnę, ale zapas dość szybko nam się wyczerpał.

- Ostatni - powiedział Gustav, wręczając mi rysunek złożony w kształcie liścia, na którym, gdy go rozłożyłam, była moja twarz.

Podarłam go na kawałki i wyrzuciłam je przez okno. Wylądowały na tiulu ozdabiającym kapelusz samotnie siedzącej kobiety. Potrząsnęła głową i strzepnęła je dłonią w rękawiczce. Miała olbrzymie ciemne oczy i spojrzała na mnie smutno, zastanawiając się pewnie, dlaczego inni są dużo szczęśliwsi od niej. Zamknęłam okno.

Rozdział 19

Kammer nad Attersee 27 marca 1945

Miałam sześć rysunków przedstawiających Adele, wszystkie bardzo podobne. Ubrana była na nich w obszerną suknię w pasy. Fałdy spódnicy spływały kaskadami po papierze, wylewając się poza jego brzegi. Kolory na rysunku ołówkiem niuansowane były jedynie szarościami, ale ja wiedziałam, że suknia była różowa, o barwie przydymionego różu lub rozpalonej gorączką skóry. Na większości rysunków Adele nie miała oczu, widać było jedynie zarys nosa i ust, ale powykręcane artretyzmem ręce i wydatne łukowate wargi wiele o niej mówiły. Na jednym rysunku Gustav narysował jej oczy, które patrzyły na mnie z zadziwiającym podobieństwem. Kiedy na nie spoglądałam, czułam zapach jaśminu i ciastek wiśniowych, jej ulubionych. Ten rysunek włożyłam na sam spód. Za bardzo działał mi na nerwy.

W nocy, gdy Helene położyła się już spać, wyjęłam rysunki z teczki. Następnie zamknęłam na klucz drzwi swojej sypialni, chociaż wiedziałam, że to było głupie, jakby dorosła kobieta chowała pod poduszką cukierki. Przed kim chciałam się ukryć? Przed Gustavem? Przed Adele?

W moim pokoju było duszno i śmierdziało benzyną na tak zwaną czarną godzinę, za którą zapłaciłam we wsi małą fortunę i wracając do domu, rozlałam trochę na ubranie. Czarne kotary sprawiały, że czułam się jak w jaskini. Zgasłam lampę, rozsunęłam zasłony i otworzyłam okno. Niech Rosjanie nas znajdą. I tak to zrobią, czy chcemy tego, czy nie. Chłód powietrza ciemnej nocy osuszył mi łzy na twarzy.

To ja uszyłam tę sukienkę, którą miała na rysunkach, nienawidziłam jej, nienawidziłam tej chorobliwej różowej barwy, wodnistego, cienkiego jedwabiu, równych pasków. Ze sposobu, w jaki się do mnie uśmiechnęła, wybierając tę

tkaninę, wiedziałam, że także jej nienawidzi. Od dnia, w którym widziałam ją ostatni raz, zdarzyło się jednak coś, co całkowicie zmieniło jej decyzję. Próbowałam jej wyperswadować styl sukni, jaki wybrała z katalogu innej stylistki, coś z dawno minionego sezonu, o podwyższonej talii, ze spódnicą ciętą z klosza i ze stanikiem na fiszbinach. Przypomniałam jej, że planowała coś bardziej radykalnego. Żadne moje argumenty nie przekonały jej. Potrzebowała tej sukienki, aby odplącić Gustavowi, aby dać mu odczuć swoją wyższość, dręczyć go, a sama się ukryć. Rysował ją wciąż na nowo, ale twarz nigdy nie pasowała do ciała, a więc kiedy nadszedł czas, aby zacząć malować portret, zrobił tylko zarys sukni i wypełnił go czymś, co bardziej do niej pasowało.

Rozłożyłam rysunki na stole pod oknem, przyciskając je lampą, aby nie sfrunęły, i potykając się, podeszłam do kominka, aby zdjąć z półki pudełko zapalek. Od dłuższego już czasu zastanawiałam się nad tym, co teraz zamierzałam zrobić. Stałam przy oknie, myśląc o tych rysunkach, a następnie zapaliłam zapalniczkę. Jej płomień dawał jedyne światło w promieniu wielu kilometrów. Chwilę przyglądałam się niebieskiemu płomykowi i wdychałam zapach siarki. Pozwoliłam, aby pierwsza zapalniczka dopaliła mi się w palcach. Potem pogrzebałam w stercie rysunków i wyciągnęłam ten z samego spodu, ten z oczami. Przybliżyłam do niego następną płonąca zapalniczkę, od której zajął się tak szybko, że wyfrunął przez okno w aureoli popiołu, zanim zdążyłam sobie uświadomić, co robiłam. Zapaliłam następną zapalniczkę, przeznaczoną dla większego rysunku. Grubszy papier dłużej się palił, odpadające kawałki były większe i jarzyły się czerwono, gdy upadały. Maleńkie drobiny popiołu unosiły się w powietrzu, płynęły i w końcu zatrzymywały się na parapecie.

I tak jeden po drugim, aż wszystkie odleciały, znikły.

Gustav namalował dwa portrety Adele. Do pierwszego pozowała w różowej sukni, ale kiedy skończył obraz, tej sukni tam nie było. Zamiast tego Adele miała na sobie suknię złocistą, po bizantyńsku misterną, ozdobioną we wzór z trójkątów, oczu i pawich piór. Ponad nią unosiła się stylizowana mozaika jej twarzy, surowa i prawdziwa jak na fotografii. Niektórzy krytycy mówili, że dla Gustava w ogóle nie liczyły się modelki, że interesował go jedynie gąszcz ornamentów, którymi je otaczał, ale to nie była prawda. Ten portret mówił najważniejsze, co można było powiedzieć o Adele.

Mówił także bardzo wiele o nim; kochał ją, gdy malował ten portret, co do tego nie miałam wątpliwości.

Drugi portret, namalowany kilka lat później, wykonany był kredą i pastelami. Gustav był już w innej fazie rozwoju swojej twórczości, stosował inny styl. No i romans się skończył. W tle umieścił chińskie motywy, wojowników na koniach. Adele stała pod ciemną chmurą kapelusza, w tym samym naszyjniku z pereł, który miała na pierwszym portrecie. W średnim wieku, nie była już tą tajemniczą, erotyczną istotą co kiedyś.

Czasami miałam ochotę zniszczyć te portrety. Gdybym podłożyła pod nie ogień, płótna długo by się tliły, zanim w końcu zapłonęłyby. Pigmenty zabarwiłyby ogień na wiele kolorów. Z obrazów leciałyby iskry, a ja musiałabym je gonić i przydeptywać. Paliłyby się powoli, strzelając maleńkimi eksplozjami. Mogłabym poparzyć sobie ręce. Twarz Adele stopiłaby się jak воск i znikła. Jej ręce znikłyby ostatecznie, osnute chmurą gryzącego dymu.

Obrazy miał Moll; może on je spalił. Ta myśl wytrąciła mnie z drętowego zamyślenia i ogarnęło mnie poczucie winy. Jaki miłośnik sztuki niszczy dzieła, którymi powinien się opiekować? Jak mogłam to zrobić?

Nie mogłam zostać w pokoju z dowodami winy, ubrałam się więc i wyszłam nad jezioro. Może potknę się, uderzę w głowę i nie będę już musiała męczyć się z tymi okropnymi myślami.

Ale oczywiście nic takiego się nie stało. Całe życie uwielbiałam piesze wędrówki i nadal byłam w dobrej formie. Księżyc tak często wyłaniał się zza chmur, że bez trudu zdołałam znaleźć drogę. Zanim nastał ranek, znalazłam się w Unterach, po drugiej stronie jeziora. Szarym świtem zasiadałam w kościele, czekając, aż nadejdzie stosowna godzina, aby odwiedzić mieszkających w okolicy przyjaciół. Ugościli mnie śniadaniem, wysuszyli buty, a następnie zawieźli łódką do domu.

Akt kobiety, 1907

Jest dopiero czerwiec, ale w mieszkaniu w Josefstadt panuje już niemiłosierny upał. Pozostanie tajemnicą, jak trzy osoby mogą mieszkać w tak małym mieszkaniu, nawet jeśli dwie z nich to dzieci. Pokój znajduje się na piątym piętrze, bez drabiny na zewnątrz. Gdyby wybuchł pożar, wszyscy mogliby się spalić. W Wiedniu ciągle zdarzają się takie wypadki. Od wewnątrz okna są czyste, ale na zewnątrz pokrywa je gruba warstwa brudu, tak że do pokoju wpada bardzo mało światła. Pomieszczenie śmierdzi jak nocnik. Kiedy Gustav przychodzi, narzeka, że to miejsce nie nadaje się na mieszkanie dla ludzi, i ma rację. Zastanawia się głośno, co za obrzydlistwo gotują sąsiedzi z dołu, że tak potwornie cuchnie. Pochodzą z Bukaresztu, wyjaśnia krótko Mizzi. Gustav podchodzi do okna, otwartego już na całą szerokość, i wychyla się. Dlaczego tu przyszedłem, jęczy za oknem. Mizzi wali go w plecy, mocno, a potem oboje rzucają ukradkowe spojrzenia na chłopca.

Chłopiec ma bystre orzechowe oczy i nos szeroki jak siodło. Siedzi po turecku na podłodze, nie zwracając na nich uwagi, i bawi się przykrywką, którą przyniósł mu Gustav. Puszcza ją jak bąka na deskach. Ten dźwięk zaczyna już działać Mizzi na nerwy. Wyjdź z tym na zewnątrz, rzuca. Chłopiec posłusznie wychodzi z pokoju, nie oglądając się za siebie. „Na zewnątrz” oznacza dla niego obskurny korytarzyk. Budynek, w którym mieszkają, znajduje się przy ruchliwej ulicy, ciasno zabudowanej podobnymi domami. Nie ma się gdzie bawić.

Musisz się stąd wyprowadzić, mówi Gustav. Skąd wezmę pieniądze, chce powiedzieć Mizzi, ale nie mówi tego. Powinieneś zobaczyć, jak tu jest w sierpniu, mówi zamiast tego. Oczywiście Gustava nie będzie tu w sierpniu. Pojedzie nad jezioro ze swoją bogatą, sławną przyjaciółką. Przez to, że

bym tu został, wcale nie byłoby chłodniej, odpowiada Gustav, egoistycznie nie dostrzegając, że to za jego sprawą wszyscy troje tu są. Dlaczego nie uczynił jej życia łatwiejszym, przecież stać go na to? Tyle że odwiedza ją co najmniej raz w miesiącu, czasami częściej, przynosi coś dla chłopca, pomarańcze i kredki, a także malowane pocztówki. Mizzi chce mu powiedzieć, aby nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami, byłoby lepiej, gdyby dał jej pieniądze na porządne buty i pożywne mięsne posiłki w zimie. Mógłby może zapłacić za lepszą szkołę? Píše do niego długie, błagalne listy, a on odpisuje, że to działa mu na nerwy i że powinna być bardziej radosna. Kiedy Mizzi to czyta, krzyczy z wściekłości, a jej sąsiedzi walą w ścianę, aby się zamknęła.

Chciałbym cię narysować, mówi. Popycha ją delikatnie w stronę materaca po drugiej stronie pokoju.

Za trzy korony, mówi Mizzi, udając, że żartuje. To więcej niż dzienna stawka szwaczki.

Dwie, mówi Gustav.

Niech będzie, zgadza się, zrezygnowana. Ściąga brudną spódnice, koszulę. Jej pierś jest jeszcze bardziej wychudła niż zwykle. Karmienie drugiego dziecka, niemowlęcia leżącego w kołysce w kącie pokoju, fatalnie wpłynęło na jej biust, który wysechł i zwiotczał. Dziecko miało co jeść, ale jej figura została nieodwracalnie zniekształcona.

Buty zostaw, prosi Gustav. Układa ją na łóżku twarzą w dół. Najlepszą częścią jej ciała jest tyłek. Gustav często powtarza, że tyłek u niej ładniejszy i inteligentniejszy niż u wielu innych twarz. Komponuje pościel wokół niej, rozrzucając w nieładzie kołdrę i poduszki, jakby przed chwilą zdarzyło się tam coś nieprzyzwoitego. Chociaż nic takiego się nie stanie. Jest już nią znużony. Straciła pociągający wygląd; jest dla niego jedynie skomlącą sekutnicą, która grozi, że

skompromituje go przed jego rodziną. Tylko taka władza jej pozostała.

Mizzi zasypia, kiedy on pracuje. Pozowanie zawsze ją nudzi, chociaż pieniądze są zbyt ważne, aby odmówić. Kiedy była młodsza, wyobrażała sobie, jakie suknie mogłaby mieć, gdyby wyszła za mąż za Gustava, w jakim domu mogłaby mieszkać, jakich ludzi poznać. Była wtedy idiotką. Miała pewność siebie, jaką daje młodość i uroda. Teraz myśli sprawiają jej ból i, jeśli może, zagłusza je brandy.

Chłopcu nudzi się już zabawa pokrywką na korytarzu. Chce wrócić do mieszkania i zjeść kawałek ciasta, które przyniósł tata. Drzwi jednak są zamknięte. Przywykł do takich sytuacji. Kopie więc nową pokrywkę po korytarzu, jakby to była piłka. Trochę boli go od tego stopa, ale za to pokrywka wywołuje potworny hałas, kiedy odbija się od kolejnych drzwi. Za chwilę może wyjść pani Koppelman i przetrzepać mu skórę kijem od szczotki, jak zrobiła to już kiedyś, gdy rzucał w jej drzwi ciężkimi, dużymi pomarańczami, a gdy owoce pękały, wszędzie pełno było soku. Ciągle pamięta, jak ślizgały się na nim buty, gdy zmykał gdzie pieprz rośnie. Łapie pokrywkę i chowa się pod schodami.

Rozdział 20

W 1905 roku Gustav przyznał się do porażki i odstąpił od dalszej pracy nad malowidłami sufitowymi do auli uniwersyteckiej. Nieustające spory, napastliwa krytyka w prasie, ciągłe spotkania z członkami komitetu nadszarpnęły jego zdrowie i niekorzystnie wpłynęły na inne prace. Zwrócił zaliczkę i powiadomił komisję, że ponieważ oddał pieniądze, malowidła należą do niego. Zleceniodawcy nie podzielili jednak jego zdania i przysłali do pracowni kilku mężczyzn, którzy mieli zabrać obrazy. Gustav zatrzymał ich przed domem, grożąc pistoletem, a to wydarzenie pogłębiło jeszcze jego reputację wyrzutka. Po pewnym czasie strony doszły do porozumienia. Gustav zatrzymał obrazy i w końcu je sprzedał.

W tym samym roku rozstał się także z Secesją. Pewna grupa artystów z Secesji uważała, że związki Carla Molla z Galerią Miethke pogwałciły zasady funkcjonowania ich stowarzyszenia, że Moll stał się zbyt komercyjny. Gustav bronił go, ale kiedy sprawę poddano pod głosowanie, Moll i jego przyjaciele przegrali. Moll musiał dokonać wyboru: zerwać współpracę z Galerią Miethke lub opuścić Secesję. Tak więc on i jego przyjaciele odeszli.

Mój salon okazał się wielkim sukcesem. Ubierałam je wszystkie: Fritzę Riedler, Madę Primavesi, Elizabeth Bachofen - Echt, Bertę Zuckerkandl i jej córkę Amalie, Johannę Staude. Ja je ubierałam, a Gustav je malował. W operze ludzie na mój widok tręcali się łokciami, i to wcale nie dlatego, że byłam słynną konkubiną. Pracowałam bardzo ciężko. Byłam bogata, co prawda nie tak bogata jak Adele Bloch - Bauer, ale wystarczająco, aby spłacić Gustava i pomagać matce, moim siostrze i siostrzenicy. Mogłam wynająć kucharza, a potem pokojówkę i szofera.

W tamtych latach, kiedy byłam tak bardzo zajęta i spoczywała na mnie wielka odpowiedzialność, Attersee stało

się dla mnie czymś więcej niż tylko letnim schronieniem. Miesiąc, który tam spędzałam, był błogim czasem, wolnym od rachunków, przymiarek i wymagających klientów. Gustav spotykał się tam ze mną co roku, niezależnie od tego, nad czym pracował i jakie podróże miał zaplanowane. To była jedyna pora w roku, kiedy nie byliśmy rozdzieleni, mieszkając w różnych miejscach, pracując do późna w nocy, podróżując w różne strony. Kiedy budziłam się rano i schodziłam na dół, wiedziałam, że będzie czekał na mnie na werandzie. Wiedziałam, że popołudnia będziemy spędzać, jeżdżąc na rowerach lub pływając, a wieczorami będziemy grywać w karty. Wiedziałam, że w jego pracowni nie będzie nikogo innego, żadnych modelek, dam z towarzystwa, przyjaciół. Miałam go całego tylko dla siebie.

Był sierpień 1905 roku, siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu. Przyniesiono pocztę i Gustav otrzymał dwa listy. Wręczając mu je, zauważyłam, że nadane zostały z Tigergasse w Josefstadt. Helene uniosła brew ze zdziwienia, ale udawałam, że tego nie widzę.

- Któż tak wytrwale do ciebie pisze, Gustavie? - zapytała dość obcesowo.

- Nie jesteś za bardzo wścibska? - zażartował, puszczając do niej oko i chowając listy pod talerz.

- Oczywiście. Nie spodziewałeś się tego po mnie? Jednak nie dowiedziała się niczego więcej poza tym, że listy były od „kogoś z przyjaciół”.

Chmury nad Mondsee wyglądały paskudnie, zdecydowaliśmy więc z Gustavem przełożyć nasze popołudniowe pływanie na rano. Mama postanowiła zabrać Helene, Pauline i małą Helene do wioski na zakupy. Planowały zjeść tam lunch i zanosило się, że spędzą we wsi cały dzień.

Gustav odbił łódkę od brzegu wiosłem i popłynęliśmy przez pola wodnych lilii w cudownej, mglistej mżawce. Ja wiosłowałam do miejsca oddalonego o kilkaset metrów od nabrzeża, a Gustav rozstawił sztalugi i zaczął malować na niewielkich płótnach, starając się uchwycić smugi mgły unoszące się nad brzegiem, zanim pogoda wygoni nas do domu. Wiosłowałam z impetem, myśląc intensywnie, jak by się dowiedzieć, od kogo są te listy, a zarazem nie wyjść na sekutnicę. Josefstadt to były slumsy, ale mógł do niego napisać jakiś młody artysta lub początkujący dziennikarz. Pomyślałam też o Minnie i Hercie i natychmiast znienawidziłam się za parszywe myśli, jakie przychodziły mi do głowy.

- Masz jakąś tajemniczą wielbicielek? - zapytałam w końcu, starając się nadać głosowi żartobliwy ton.

Mówiłam do jego pleców, ponieważ oboje byliśmy zwrócenii w stronę brzegu. Gustav nie odpowiedział od razu.

- Nie mam żadnych sekretów - powiedział wreszcie. Jego ręka nadal pracowała, pokrywając płótno szarością w odcieniu samicy drozda. - Zawsze mówię prawdę, możesz zapytać mnie wprost, zamiast wyciągać coś ze mnie ogródkami.

- A zatem od kogo są te listy?

- Od Adele - usłyszałam.

- Z Josefstadt?

To wydawało mi się niewiarygodne.

- Wynajmuje tam mieszkanie.

Wtedy zrozumiałam, dokąd pojechali w nocy, kiedy odbywało się przyjęcie zaręczynowe Mahlera. Ogarnęła mnie wściekłość, że go wówczas broniłam. Nagle zapragnęłam dowiedzieć się wszystkiego, zanim stracę zimną krew i pogrążę się w pełnym niepokoju i nadziei stanie zaprzeczenia i wyparcia.

- Czy jest coś jeszcze, co powinnam wiedzieć? - zapytałam. - O ile możemy być ze sobą szczerzy.

Nie odpowiedział. Powinnam zadawać pytania, na które odpowiada się tak lub nie, jak w sądzie.

- Ożeniłeś się z kimś potajemnie? - zapytałam.

- Nie - odpowiedział.

- Masz dzieci?

Pokiwał głową, a mnie zaparło dech w piersiach. Zawsze gdy wydawało mi się, że wiem o nim wszystko, zaskakiwał mnie.

- Ile? - pytałam dalej.

- Nie jestem pewien - odparł. - Wiem o trójce. Miałam ochotę wyskoczyć z łódki i popłynąć do brzegu. A on spokojnie malował dalej.

- Kim jest matka? - chciałam wiedzieć.

- Matki, liczba mnoga - poprawił mnie. - Mizzi Zimmerman i Maria Ucicky.

- To są modelki?

- Nie - powiedział. - To znaczy Mizzi czasem pozuje.

- Prostytutki?

- Mizzi jest teraz szwaczką - wyjaśnił po chwili. - A Maria praczką.

Zanurzyłam dłonie w wodzie, a wówczas łódka straciła stabilność, zaczęła dryfować i skręcać. W końcu Gustav zmuszony był przestać malować. Schwycił zostawione przeze mnie wiosła, odwrócił się twarzą do mnie i zaczął jak szalony wiosłować ku środkowi jeziora. Może domyślił się, że mam ochotę opuścić łódkę.

- Zatrzymaj się - powiedziałam. - Chcę wrócić. Oczekiwałam błagalnego wyrazu twarzy, przypochebiania się, uśmiechu małego chłopca, którego z takim wdziękiem i tak skutecznie używał, kiedy popadał w kłopoty, ale tym

razem jego miękkie orzechowe oczy pozostawały twarde i ciemne.

- Nie - powiedział. - Emilie, musisz zrozumieć, to nie jest... - szukał właściwego słowa. - To nie są... te rzeczy, to się zdarza, rozumiesz... one nie są... ja nie.

Słowa nie były jego specjalnością. Miałam dość tego jąkania się i postanowiłam je przerwać.

- A dzieci?

- Trzej chłopcy - powiedział. - Dziesięć, siedem i trzy lata.

- Masz z nimi kontakt?

- Marii nie widziałem od wielu lat. - Zamilkł na chwilę. - Mizzi... czasami spotykam.

Minęliśmy już pas jeziora o głębokości około dziewięciu metrów i zbliżaliśmy się do punktu, gdzie głębia sięgała nawet do stu metrów. Łagodna mżawka zmieniła się nagle w gwałtowną ulewę. Gustav szybko przykrył kocem płótna i materiały malarskie, aby chociaż częściowo zabezpieczyć je przed deszczem. Burza była już prawie nad nami, a grzmoty przypominały odgłosy wydawane przez załadowaną ciężarówkę na rozklekotanym moście. Nie widzieliśmy jednak błyskawic, tylko chmury rozbłyskiwały i gasły jak żarówki.

- Nie powinniśmy wiosłować? - zapytałam.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Możemy obserwować burzę z łódki.

Wyciągnęłam ręce po wiosła, ale odsunął je ode mnie.

- Podaj mi wiosła - poprosiłam. - Nie mam zamiaru zginąć tu razem z tobą.

Uśmiechnął się i wypuścił wiosła z dłoni do wody, gdzie beztrósco zaczęły odpływać od łódki. Przez chwilę patrzyłam na to zaszokowana. Bez wiosła pływalibyśmy po jeziorze jałowo, dopóki ktoś nie przypląnąłby nam na ratunek. Bylibyśmy całkowicie bezradni.

- Chryste! - tylko tyle zdążyłam powiedzieć i zanurkowałam za wiosłami.

Woda była lodowato zimna. Początkowo nie mogłam złapać oddechu. Miałam wrażenie, że moje płuca skurczyły się, wycofały się niczym mięczaki do swoich skorup. Bawełniana suknia, którą miałam na sobie, ciężka teraz jak ołów, ciągnęła mnie w dół. Udało mi się ją rozwiązać i zostałam w samej koszuli, dzięki czemu moje ruchy były dużo swobodniejsze. Wypłynęłam na powierzchnię. Krople deszczu ogrzewały górną warstwę wody w jeziorze, przynajmniej w stosunku do temperatury w głębi. Nie mogłam dosięgnąć dna, więc płynąc w pozycji pionowej, rozglądałam się za wiosłami. Po chwili udało mi się je wypatrzeć parę metrów od łodzi, wiśniowo - czerwone paski na uchwytych wesoło podskakiwały na grzywach fal. Podpłynęłam tam i chwyciłam je mocno. Były dość ciężkie, trudno mi było z nimi płynąć. Złapałam się burty łodzi i wrzuciłam jedno po drugim do środka. Już miałam sama wdrapać się do łódki, gdy nagle ogarnęła mnie wściekłość. Gustav siedział tam, w łodzi, i spokojnie mi się przyglądał.

Zanurkowałam pod łodzią i wywróciłam ją do góry dnem.

Płótna, skrzynka z farbami Gustava, sam Gustav, wiosła, wszystko wpadło do wody. Łódka kołysała się na wodzie do góry dnem jak skorupa żółwia. Wyciągnęłam rękę i odwróciłam ją. Nigdzie nie widziałam Gustava. Przez chwilę nic mnie to nie obchodziło; znalazłam suknię i wrzuciłam ją do łódki, to samo zrobiłam z wiosłami.

Gustava nadal nigdzie nie było. Zobaczyłam kilka tubek farb pływających na powierzchni wody i też je wyłowiałam. Nagle zaczęłam się niepokoić. Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło od wywrócenia łodzi. Dwie minuty? Trzy? To dość długo, aby wytrzymać pod wodą bez oddychania. Nie weszłam do dryfującej łodzi, lecz zaczęłam pływać wokół

niej, rozglądając się za Gustavem. Wołałam go po imieniu, ale w odpowiedzi słyszałam tylko wiatr. Zanurkowałam i rozglądałam się pod wodą; deszcz zmącił ją tak, że nie widziałam wyraźnie. Wpadłam w panikę. A jeśli go zabiłam?

Nagle ktoś z tyłu złapał mnie wpół, uniósł do góry i wrzucił z powrotem do wody. Kiedy wypłynęłam, Gustav ryczał ze śmiechu. Błyskawica przecięła niebo jak bicz i uderzyła w drzewo na brzegu jeziora. Widziałam, jak się zapaliło.

- Myślałaś, że się utopiłem - zachichotał Gustav. - Przestraszyłaś się.

Chlusnął mi wodą w twarz.

Poczułam taką ulgę, że nogi zrobiły mi się miękkie jak z waty, ale nie chciałam, żeby Gustav się zorientował, położyłam się więc na plecach i obserwowałam chmury.

- Martwiłam się o płótna - powiedziałam. - Woda je zniszczy.

- Co tam - skrzywił się. - Właściwie jeszcze nie zacząłem malować.

Zaczęliśmy nurkować, aby wyłowić jego kasetkę do farb i ulubione pędzle, które pływały na powierzchni jak ryby igły. Znaleźliśmy nawet płótno, ale zniszczył je muł na dnie jeziora. Wrzuciliśmy wszystko do łodzi i sami się do niej wdrapaliśmy. W drodze powrotnej wiosłowaliśmy oboje; płynęliśmy z wiatrem, prosto w mgłę, która całkowicie zasnuła brzeg. Nie widzieliśmy, dokąd płyniemy, ale słyszeliśmy wietrzne dzwonki na werandzie naszego domu i płynęliśmy w tamtym kierunku. Gustav pogwizdywał i co chwila szczyrzył do mnie zębami w uśmiechu.

Gdy zbliżyliśmy się do brzegu na jakieś dwadzieścia metrów, położyłam wiosło swobodnie na wodzie i zaczęłam głęboko oddychać. Łódź wślizgnęła się na przystań jak dłoń w rękawiczkę. Gustav przycumował i zrobił węzeł, aby

zabezpieczyć łódkę, a ja podałam mu po kolei wszystkie nasze rzeczy.

Miał jakieś gałązki we włosach i twarz pomazaną błotem. Jego koszula była porwana i poplamiona krwią, ponieważ skaleczył się o burtę, gdy wpadał do wody podczas wywrotki. Gdy stanął na pomoście, natychmiast utworzyły się wokół niego kałuże błotnistej wody.

Pobiegłam na brzeg i rzuciłam się na ziemię. Na oczy i do ust spadały mi krople deszczu. Niebo miało barwę starej, brudnej koszuli. Oddychałam gwałtownie i miałam ochotę płakać, ale tymczasem zaczęłam się cicho śmiać, kołysząc się na boki w nadbrzeżnym błocie. To musiało wyglądać bardzo zabawnie. Gustav pomyślał pewnie, że zupełnie oszalałam. Podeszedł i usiadł obok, chociaż nadbrzeże było kamieniste i zimne. Przez chwilę patrzyliśmy na liście spadające z drzew.

Potem wturlał się na mnie, nie całował, tylko patrzył, wyciągał liście z moich włosów, wykręcał je i obserwował, jak deszczowa woda spływa na moją mokrą koszulę. Jego ciało było ciepłe, ale ja nie mogłam powstrzymać drżenia.

Nagle, jak na dźwięk gwizdka, oboje zerwaliśmy się i pobiegliśmy w stronę domu. Gdy odrywaliśmy się od siebie, mokre ubrania wydały głośny odgłos cmoknięcia.

Zostawiliśmy wszystko, co z takim trudem wyłowiliśmy z jeziora, pozwalając aby wiatr zmiótł to z powrotem do wody. Zostawiłam suknię, którą własnoręcznie haftowałam według czeskiego wzoru znalezionej w osiemnastowiecznej książce.

Przed kominkiem zrzuciliśmy z siebie ubranie, chichocząc przy tym cały czas jak dzieci. Kiedy byliśmy już nadzy i mniej więcej wysuszeni, niewiele myśląc, pobiegliśmy na górę i wskoczyliśmy do mojego łóżka pod grubą kołdrę. Gustav nie palił się, aby wracać do swojej wilgotnej i pełnej przeciągów pracowni w szklarni.

Było podobnie jak wtedy, po śmierci Ernsta, w tym sensie, że jedna emocja cudownie przeobrażała się w drugą. Tym razem była to wściekłość, która zmieniła się w lubieżność. Moja skóra, ciepła i wilgotna, miała barwę różową. Ręce i nogi omdlewały z ciepła i słabości. Czułam się jak pijana, gdy sięgnęłam do miejsca między jego nogami. Tym razem nie byłam jednak dziewicza i nieśmiała. To ja go uwodziłam. To ja sprawiłam, że krzyczał.

Usnął, ale ja nie byłam w stanie. Oparłam głowę na ramieniu i patrzyłam na niego.

Nagle wstrząsnął mną dreszcz, bo zdałam sobie sprawę, że gdybyśmy byli razem, każdy dzień byłby podobny do tego. Nosiłabym w sercu podejrzenia niby nowotwór, który rósłby i rósł i pożerał mnie od środka. Zamartwiałabym się, z kim jeszcze był i ile razy, i czy ją kochał. Zaczęłabym czytać jego listy i otwierać jego pamiętnik, gdy nie byłoby go w domu. Płakałabym każdego dnia. Wkrótce miałabym napady złości jak Alma i cięłabym się po ramieniu kuchennym nożem. Byłabym tak szalona jak Alma i Adele razem wzięte i Gustav by mnie znienawidził. Może pewnego dnia przewrócę łódkę do góry dnem i nie obejrzę się, aby sprawdzić, czy Gustavowi nic się nie stało. Może pewnego dnia wsiądę do łódki sama i popłynę. Może popłynę na środek jeziora i utonę, a nasze ciała nigdy nie zostaną odnalezione.

Pomyślałam o tym, co kiedyś powiedziała mi Berta, że mogłabym mieć go tylko dla siebie, gdybym tylko naprawdę tego pragnęła. Ale na jakich warunkach? Za jaką cenę, moją i jego?

Gustav i ja mogliśmy być współnikami i partnerami intelektualnymi, ale nie kochankami. Sama sobie to wszystko uświadomiłam, co nie przyniosło mi jednak najmniejszej ulgi.

Rozdział 21

Kilka tygodni później oboje z Gustavem wróciliśmy do Wiednia, ale ja niemal natychmiast zaczęłam myśleć o następnym wyjeździe - na jesienny pokaz mody do Paryża. Myślałam o tym wyjeździe już od kilku lat, ale przedtem nie wyobrażałam sobie, abym na tak długo mogła opuścić salon. Teraz praca szła gładko, Pauline zajmowała się księgowością, zamawiała materiały i płaciła rachunki. Helene ustalała kalendarz spotkań, przyjmowała klientów i czuwała nad tym, aby byli zadowoleni. Ja odpowiadałam za projektowanie wzorów. Moim królestwem były pracownie kroju i szycia. Niemniej każda z nas potrafiła zastąpić drugą, przynajmniej na krótki czas. Mogłam wyjechać i mieć pewność, że gdy wrócę, salon nadal będzie działał. Nikt nie uszyje tandetnej sukni, która rozpadnie się na kawałki, nikt nie pomyli zamówień, nie zrobi błędu w rachunkach. Nie zdarzy się żadna katastrofa, która zrujnowałaby moją reputację. A mnie wyjazd był bardzo potrzebny.

To była moja pierwsza podróż do Paryża, pierwsza podróż zagraniczna, i w dodatku miałam ją odbyć sama. Myślałam, że będzie mi z tego powodu smutno, ale nie. Zatrzymałam się w małym hotelu w dzielnicy mody. Ściany niewielkiego pokoju pokrywał jedwabny adamaszek w kolorze wina, z którym harmonizowała narzuta na łóżku. W restauracji na dole podawano wyśmienitą solę meuniere. W hotelu było mnóstwo projektantów odzieży, takich jak ja, którzy przyjechali z Berlina, Londynu czy Pragi, więc szybko się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Dni wypełniały nam wyprawy do producentów tkanin, Rodiera, Lesure'a i Bianchiniego. Jeździliśmy pociągiem poza Paryż, gdzie mieściły się fabryki, i oglądaliśmy, jak powstają różne gatunki materiałów. Dowiedzieliśmy się też, nad jakimi innowacjami tam się pracuje: mocniejszy jedwab, tkaniny syntetyczne, dzianiny.

Zamówiłam do salonu wszystkie nowe gatunki. Byłam też na pokazach mody tak prestiżowych projektantów jak Worth i Poiret. Później umówiłam się na spotkanie z ich przedstawicielami i kupiłam katalogi kolekcji wiosennych.

Tak właśnie osiągałyśmy główne dochody - szyjąc stroje z paryskich modeli i przerabiając je, aby odpowiadały naszym klientom. Mówiło się, że paryżanki i wiedeńki mają inne kształty. Wiele z naszych klientek było po prostu pulchnymi kobietami. Nawet smukła wiedeńska dama odznaczała się solidniejszym szkieletem, mocniejszymi kośćmi i bardziej obfitym biustem niż przeciętna paryżanka. Dlatego wszystkie modele musiałam przerabiać już w salonie. To dużo trudniejsze zadanie, niżby się wydawało. Nie można po prostu wszystko trochę powiększyć. To jak budowanie zamków z piasku: jeśli zmieni się jedną rzecz, nawet odrobinę, cała reszta rozpada się i należy ją na nowo wymodelować. Niektórzy ludzie mają do tego talent, czują to, i ja byłam taką osobą. Świadczyła o tym popularność mojego salonu, nie tylko wtedy, gdy był czymś nowym, ale także rok po otwarciu.

Bolało mnie trochę, że nie mogłyśmy czerpać zysków z nowoczesnych, „zreformowanych” strojów, ale rynek na nie był bardzo ograniczony. Wciąż szyłyśmy suknie w tym stylu i niektóre klientki je kupowały, ale nie tak często jak najmodniejsze kreacje z Paryża.

Gustav przysyłał mi codziennie pocztówki, czasami nawet po kilka, ale nie odpowiadałam na nie. Starłam się o nim zapomnieć.

Kiedy nie pracowałam, odwiedzałam Luwr i spacerowałam po ulicach w okolicy hotelu. Wieczorami razem z innymi projektantami chodziłam na kolacje, do teatru i do opery. Myszkowałam po bazarach, gdzie znalazłam bardzo ciekawą, starą biżuterię i marokańskie tkaniny. Jednego dnia

wynajęliśmy nawet omnibus i pojechaliśmy na wycieczkę do Wersalu.

W pocztówkach od Gustava było coraz więcej pochlebstw i desperacji. Gdzie się podziewam? Co robię? Czy aż tak dobrze się bawię, że nie mogę do niego pisać? Czy jestem aż tak zmęczona, że nie mogę pisać? Czy pogoda jest przykra? Jestem chora? Czasami wysyłałam mu kartkę, nieznośnie krótką, w stylu: „Jest zimno i pada deszcz” lub „Byłam dziś w pracowni Rodina”. W odpowiedzi otrzymywałam długie gorączkowe listy, w których dopytywał się, czy ubieram się ciepło i czy noszę parasolkę, albo zadawał mnóstwo pytań na temat Rodina, na które nigdy nie odpowiadałam. Muszę przyznać, że bawiło mnie zadawanie mu cierpienia.

W Paryżu spędziłam sześć tygodni. Wróciłam w piątek, a Gustav wymógł na mnie obietnicę, że w sobotę odwiedzę go w pracowni. Ranek upłynął mi na odrabianiu zaległości w salonie. Razem z Pauline przejrzałyśmy nowe zamówienia, a krawcowe pokazały mi, nad czym aktualnie pracują. Moja siostrzenica Helene szyła właśnie swoją pierwszą bluzkę, dałam jej więc kilka fachowych rad o technice fastrygowania. Upięłam też spódnicę dla Amalie, córki Berty Zuckerkandl. Czułam się bardzo szczęśliwa, że wróciłam do pracowni, że mogę zanurzyć dłonie w srebrnym pucharze i wyciągnąć garść szpilek. Z lubością stapałam po wyściełającym podłogę filcu, cieszyłam się, słysząc terkotanie maszyn do szycia i turkot wozów na ulicy wiozących pranie. Pokazałam Helene katalogi, które przywiozłam z Paryża, obejrzałyśmy je razem, usiłując zgadnąć, które stroje sprzedawałyby się najlepiej. W Cafe Piccola na dole piekli ciasta i Helene zamówiła specjalnie dla mnie kruche ciasteczka z orzechami i gorącą czekoladę. Przy okazji opowiedziała mi wszystkie ciekawe historyjki i ploteczki z ostatnich sześciu tygodni.

Nie miałam ochoty opuszczać salonu, ale obiecałam, więc o pierwszej wsiadłam w pociąg do Hietzing.

Kiedy dotarłam do pracowni, na trawniku przed domem leżał jakiś chłopak. Poranny szron jeszcze się nie stopił z uwagi na zimny wiatr i zachmurzone niebo. Przerażona, pomyślałam, że chłopak nie żyje, zamarzył na gołej ziemi. Leżał twarzą w dół, zupełnie nieruchomo. Nie słyszał mnie, dopóki prawie na niego nadepnęłam. Zobaczyłam leżącą obok niego na ziemi teczkę z rysunkami

i domyśliłam się, że to pewnie jeden z tych licznych studentów, którzy często nagabywali Gustava, błagając go o pomoc. Lepiej wychowani pisali listy i prosili o spotkanie. Przyjeżdżali porządnie ubrani, punktualnie, a Gustav zawsze był dla nich uprzejmy, chociaż większość okazywała się beznadziejnie słabymi artystami. Ten chłopak miał spodnie o trzy numery za duże, podtrzymywały je zrobione na szydełku szelki. Mankiety koszuli rozpięte, brudne rękawy wisiały smętnie wokół nadgarstków. Był najgorzej ubranym artystą, jakiego widziałam od dnia, w którym poznałam Gustava.

Usłyszał kroki i odwrócił się. Zobaczyłam pocziwą twarz z garbatym nosem, zmierzwiłone włosy i absurdalnie odstające uszy. Był bardzo młody.

- Nie ma go w domu - powiedział. - Dzwoniłem do drzwi pół godziny temu.

To było niepodobne do Gustava, który nie zmieniał swoich przyzwyczajzeń i nigdy w południe nie jadał obiadu. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest chory. A może nie otwiera drzwi, aby uniknąć wizyty chłopca, który patrzył na mnie tak, jakby oczekiwał, że usiądę obok niego na ziemi.

- Mam klucz - powiedziałam.

- Jest pani jego żoną? - zapytał. Mrugnęłam do niego.

- Nie - powiedziałam.

Położył się na boku i oparł głowę na dłoni.

- Jest pani jego kochanką?

- Co za pytanie!

Wzruszył ramionami.

- Domyślam się, że tak.

- Jak się nazywasz? - zapytałam.

Pomyślałam, że powinnam się go pozbyć. Gustav nigdy świadomie nie zraniłby niczyich uczuć, zwłaszcza początkującego artysty, ale ja nie miałam takich skrupułów.

- Egon Schiele

- Masz tam swoje rysunki? - dopytywałam się dalej. - Mogę je zobaczyć?

- Proszę - powiedział. - Ale nawet jeśli się pani nie spodobają, nie zamierzam stąd odejść, dopóki nie wróci Klimt.

Wzięłam teczkę i zaniósłam ją na schody. Egon Schiele poszedł za mną i usiadł obok. Otworzyłam teczkę.

Natychmiast się zorientowałam, że jest znakomitym rysownikiem. Nie postawił ani jednej zbędnej kreski. Jego pracom brakowało tylko błysku ciekawości lub doświadczenia, by stały się sztuką.

- Studiujesz na Akademii Sztuk Pięknych? - zapytałam.

Pokiwał głową.

- Każą nam tam robić śmieszne ćwiczenia. Wie pani, profil widziany z lewej strony, profil z prawej, popiersie Woltera. Ale pod spodem są moje własne rysunki.

Jego własne rysunki przedstawiały dziewczynkę i były inne od wszystkich, jakie do tej pory widziałam. Dziewczynka była naga, ale jej nagość wyglądała inaczej niż nagość na rysunkach Gustava. Ten młody człowiek nie stosował żadnego z formalnych sposobów, jakich używali inni do zmiękczenia kanciastych fragmentów ciała, wystających kości i nieapetycznych fałdów skóry. Na pierwszym rysunku dziewczynka stała ze splecionymi na piersiach rękami,

opierając cały ciężar ciała na jednym biodrze. Na drugim trzymała ręce na biodrach. Jej spojrzenie było naturalne.

- Moja siostra Gertie - wyjaśnił.

Niektóre rysunki były pokolorowane kredą. Gdy je oglądałam, przeszedł mnie dreszcz. Były brzydkie, odpychające. Jego siostra wyglądała na chorą i zdeformowaną. Czyżby jej nienawidził, że postanowił narysować w ten sposób? Pragnęłam, żeby sobie poszedł, ale spędziłam tyle czasu z artystami, że potrafię rozpoznać geniusza, a ten skrzywiony chłopak był nim. Westchnęłam.

- Jesteś głodny?

Weszliśmy do pracowni i zrobiłam mu kanapkę z szynką. Rzucił się na nią jak wygłodniały wilk. Powiedział, że urodził się w Tulln, jego ojciec zmarł dwa lata temu, nie lubił wujka, który teraz się nim opiekował; nigdy się nie ożeni, ponieważ postanowił aż do śmierci mieszkać ze swoją siostrą. Jak już zjadł, zaczął się rozglądać po pracowni, zupełnie jakby był w jakiejś świątyni. Pochłaniał wzrokiem afrykańskie rzeźby, maski Noh, japońską broń - Gustav kolekcjonował przeróżne artystyczne przedmioty, które były rozstawione w całej pracowni. Chłopak dotykał niedokończonego płótna stojącego na sztaludze pośrodku pracowni, jakby to były stopy Dziewicy.

Kiedy Gustav wrócił, wyjaśnił mi, że poczuł nagłą ochotę na kielbaski z musztardą i musiał ją natychmiast zaspokoić. Tak więc zamiast sentymentalnego powitania po kilku miesiącach rozłąki mieliśmy rozmowę o kielbasach, a potem przedstawiłam mu chłopca. Gustav wydawał się trochę niezadowolony z niespodziewanego towarzystwa, ale wziął teczkę z rysunkami i usiadł na kanapie. Przyglądałam się, jak przerzuca rysunki w portfolio, i w jego doskonale znanej mi twarzy rozpoznałam zaskoczenie i radość odkrycia. Chłopak, nieświadomy niczego, kręcił się niecierpliwie i udawał, że

przeogląda katalog japońskich drzeworytów. Co kilka sekund zerkał jednak nerwowo na Gustava.

Gustav milczał. Oglądał w skupieniu. Wpatrywał się już w ostatni rysunek przedstawiający Gertie, ale najwyraźniej nie miał ochoty się z nim rozstać. Cała udawana z trudem swoboda chłopca gdzieś znikła. Zdenerwowany, obgryzał paznokcie.

- Gustavie, zlituj się nad tym chłopcem - powiedziałam w końcu. - On ledwo żyje.

- Myśli pan, że mam talent? - zapytał Schiele.

Gustav odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, był bowiem zatopiony w głębokiej rozmowie z jego rysunkiem. Cisza była trudna do zniesienia. Nagle Gustav wybuchnął śmiechem.

- Ależ tak! - wykrzyknął. - O wiele za dużo!

Z twarzy chłopaka znikła udręka i nawet się uśmiechnął. Gustav klepnął go w plecy, omal nie przewracając chuderlaka. Potem zaczęli rozmawiać o sztuce. Gustav wypytywał go o zajęcia na akademii, jakie robił ćwiczenia, kto go uczył. Kiedy zrozumiał, jak biedny jest młody student, kupił od niego dwa rysunki i zaprosił następnego dnia na obiad.

Chłopak wyszedł i wreszcie zostaliśmy sami.

- Widzisz, kiedy cię nie było, przyszła zima - powiedział Gustav.

- I tak by przyszła - skwitowałam.

Nie byłam w nastroju sentymentalnym. Chodziłam po pracowni i przyglądałam się obrazom, nad którymi pracował, jak wcześniej ten chłopak. Wyglądały mniej więcej tak samo jak przed moim wyjazdem.

- Pracuję nad czymś nowym - powiedział Gustav. - Poświęcam na to większość czasu, robię wstępne szkice.

Pokazał mi rysunek pary obejmujących się kochanków.

Motyw nie był nowy; wykorzystał go już we fryzie Beethoven, który pokazał w 1902 roku na wystawie Secesji. Tamten nosił tytuł Oto pocałunek dla całego świata!. Podobny rysunek zrobił także do fryzu mozaikowego w pałacu Stocleta i nazwał go Spełnienie. Nigdy jednak nie zrealizował tego pomysłu w postaci obrazu olejnego. Nigdy nie przedstawił tego wyobrażenia w formie samodzielnej, lecz tylko wśród innych wyobrażeń.

- Moim zdaniem ten temat może zaistnieć samodzielnie, nie uważasz? Jest tak prosty, a zarazem tak pełen symboliki i emocji.

- Jak bizantyńska ikona - powiedziałam.

W tym okresie Gustav wprowadzał do swoich obrazów sporo złocen i motywów dekoracyjnych. Wszystko to bardzo dobrze ze sobą współgrało.

Kompozycyjnie motyw był dość skomplikowany. We fryzie Beethoven postacie były nagie, a mężczyzna zasłaniał i przytłaczał kobietę. Na obrazie to było niemożliwe. Powinna być widoczna przynajmniej twarz kobiety. Może należałoby namalować ich z profilu. Żaden z dotychczas zrobionych rysunków nie był naprawdę udany. Gustav pokazywał mi je po kolei i odrzucaliśmy jeden po drugim. Potem wyciągnął szkicownik, nad którym pochyliliśmy się oboje, gdy rzucał na papier kolejne pomysły. Przymierzaliśmy możliwe pozycje postaci jak aktorów na scenie.

- Suzanne to dobra modelka, ale nie rozumie, co chcę osiągnąć. Poza tym ma nieodpowiedni typ ciała. Potrzebuję czegoś innego - powiedział.

- Może Lise? - podsunęłam.

- A ty mogłabyś? - zapytał.

Pomyślałam, że żartuje. Nie pozowałam mu od czasu, gdy malował mój portret. No i byłam zajęta, miałam mnóstwo pracy.

- Kto będzie pozował do postaci mężczyzny? - zapytałam.
- Ty?

- Nie potrzebuję do tego modelu - powiedział. -
Mężczyzna nie jest ważny.

Gustav nienawidził rysować samego siebie. Prawdę powiedziawszy, w swojej trzydziestoletniej karierze artystycznej namalował siebie tylko raz: jako widza na obrazie przedstawiającym teatr Szekspira w Burgtheater. Zrobił to tylko dlatego, że nie stać go było na modela, a wykorzystał już Ernsta, Georga i Franza Matscha. Zasłonił swoją twarz wielkim elżbietańskim kołnierzem i dobrze rozmieszczonym cieniem. Wtedy nabrał przekonania, że jego twarz i sylwetka nie nadają się do obrazów. Im bardziej oddalał się od historyzmu, tym mniej mężczyzn pojawiało się na jego obrazach.

Może wstydził się też swoich fizycznych niedoskonałości. Był niski, niższy ode mnie, chociaż żadne z nas nigdy o tym nie wspominało. Jedynie intensywne ćwiczenia z ciężarkami i długie codzienne spacerowanie ratowały go przed tuszą. Mocno też wyłysiał. Może więc to próżność powstrzymywała go od malowania autoportretów, lub jej przeciwieństwo. Czasami trudno to rozdzielić. Nie jestem zainteresowany malowaniem samego siebie, mówił zwykle, gdy pytał go o to jakiś dziennikarz. Dlaczego ktoś chciałby patrzeć na mój portret? Interesują mnie inni ludzie. Zwłaszcza kobiety. Nie znosił wywiadów i rzadko ich udzielał. Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś o mnie i o tym, czego pragnę, spójrzcie na moje obrazy, mówił dziennikarzom.

Niedługo potem zabraliśmy Egon Schielego do kabaretu Fledermaus, który został wymyślony i urządzony przez Warsztaty Wiedeńskie jako klub wiedeńskiej awangardy. Otworzono go zaledwie kilka tygodni temu i nie sposób było zdobyć tam wolny stolik, ale Gustav miał stałą rezerwację.

Kabaret był mistrzowskim dziełem Josefa Hoffmanna. Ściany baru pokrywały ceramiczne płytki w jaskrawych kolorach, ręcznie zdobione; niektórzy uważali, że przypominają twórczość psychicznie chorych. Płytki na ścianie kontrastowały ostro z czarno - białymi kaflami na posadzce. Krytycy, którym nie podobała się dekoracja ścian, mówili, że ogólny efekt można porównać do najzabawniejszej toalety na świecie. W tamtych czasach w Wiedniu wciąż było wielu ludzi bardzo przywiązanych do „kotarowej” szkoły wystroju wnętrz. Niektórzy uważali za skandal, że dania podawano na białych stołach bez serwet. Hoffmann uwielbiał skandale i złą sławę; to doskonale nakręcało interesy.

Trudno było zgadnąć, co o tym wszystkim myśli Egon Schiele. Kiedy stanął w drzwiach, z półgodzinnym opóźnieniem i mimo przenikliwego wiatru z włosami jeszcze mokrymi po myciu, zatrzymał się na chwilę i oglądał wnętrze, a następnie, zobaczywszy nas, ruszył w stronę stolika. Mówił niewiele, ale pił dzin szklankami, słuchając zespołu grającego popularne melodie. Tego wieczoru byli tam wszyscy nasi znajomi: August i Serena Ledererowie, Fritz Waerndorfer, Berta, Moll, Moser, Alfred Roller, Hoffmann; Gustav przedstawił im swojego nowego protegowanego. Kiedy Moll dowiedział się, że Gustav kupił od niego dwa rysunki, natychmiast próbował zwabić go do Galerii Miethke, mimo że przecież nie rzucił nawet okiem na jego prace. Chłopak powiedział, że pomyśli o tym. Moll przekonywał go, aby następnego dnia przyszedł do galerii ze swoim portfolio. Uderzyło mnie, że Schiele wcale nie okazywał takiej wdzięczności ani radości, jakie okazywałby każdy inny na jego miejscu. Sprawiał wrażenie, jakby już wiedział, że jest genialny, chociaż na razie był tylko biednym studentem. Śmieszył mnie widok Molla, grubego i zamożnego gościa w

drogim garniturze, który komplementował chudego chłopaczka w wyświechtanej marynarce.

Berta szybko oceniła chłopaka i stwierdziła, że jest zarozumiały. Założyła się o komplet łyżeczek Hoffmanna, że zniknie z naszego świata w ciągu sześciu miesięcy. Moser rozmawiał z nim o zaprojektowaniu kilku pocztówek dla Warsztatów Wiedeńskich i chłopak wydawał się zainteresowany tym pomysłem. Jedliśmy dyniowe biskwity i pieczonego kapłona z truflami. Kiedy doszliśmy do deseru, jabłek nasączonych brandy z lodami, Gustav zapytał go, co o tym wszystkim myśli.

- Absolutnie dekadencjki - odpowiedział Schiele. Nie wiedziałam, czy w jego ustach był to komplement, czy raczej nie.

- No cóż, oto przed tobą Wiedeń - powiedział Gustav wesoło. - Nie jesteśmy purytanami. - Mrugnął do mnie. - Przynajmniej nie wszyscy.

- Luteranie nie są purytanami, jak wiesz - powiedziałam.

- Oczywiście, że nie - zgodził się. - Przypomnij mi kościół z twojego dzieciństwa, to wspaniałe, puste pudło.

- Hoffmannowi bardzo by się podobał - zaproponowałam. - Trzeba o tym pomyśleć, mógłby zaprojektować kościół.

- Pałac Stocleta jest jak kościół - powiedział Gustav. - A z pewnością będzie kosztował więcej, niż kosztował dotąd jakikolwiek kościół.

- Nie wiem, czy się do tego nadaję - powiedział Schiele. - Może lepiej czułbym się gdzieś na wsi, w małym domku, gdzie miałbym dużo czasu i przestrzeni.

- Nie bądź idiotą - zachnął się Gustav. - Są tu wszyscy, którzy mogą ci pomóc. Chciałbym pokazać kilka twoich prac na wystawie, którą przygotowujemy w przyszłym roku. Tyle, ile zechcesz. Nie uciekaj teraz, kiedy właśnie cię znaleźliśmy.

Jaki chłopiec, jaki młody, nieznany artysta mógłby się oprzeć pochlebstwom i urokowi Gustava? Schiele ukrył zażenowanie w kolejnym drinku i obiecał, że przez sześć miesięcy będzie ciężko pracował, aby przygotować coś na wystawę.

- Zastanawiam się nad pewną sprawą - powiedziałam. - Myślę o nowoczesnych sukniach. Nie sprzedają się tak dobrze, jak powinny. A gdyby je zaprojektował jakiś znany artysta? Sądycie, że wówczas kupiłoby je więcej osób?

- To zależy od tego, kim będzie ten artysta - powiedział Gustav. - Nasz młody przyjaciel mógłby zaproponować coś naprawdę wyjątkowego, co chciałaby mieć każda dama w Wiedniu.

- Nie lubię ubrań - powiedział Schiele. - Nie lubię na nie patrzeć, nie lubię ich rysować. Dopiero gdy wydobędzie się kogoś z odzieży, można w nim znaleźć coś naprawdę interesującego.

- Dobrze powiedziane - zaśmiał się Gustav.

- Mógłbyś zaprojektować jakieś wzory i wspólnie zdecydowalibyśmy, jakie dobrać materiały. Moglibyśmy uszyć je w salonie i pokazać na manekinach. Może nawet zorganizowalibyśmy pokaz mody.

- Powinnaś uszyć je dla siebie - powiedział Gustav.

- Chcesz mnie namówić, abym wystąpiła jako modelka? - zapytałam. - Czemu nie Elizabeth? - Była jedną z naszych modelek w salonie. - Byłaby znacznie lepszą reklamą niż ja.

- Nieprawda - sprzeciwił się Gustav. - Projektantka nosząca własne stroje zawsze będzie najlepszą modelką.

- Twoje stroje - sprostowałam.

- Nasze stroje - poprawił mnie.

Po kolacji zaproszona grupa teatralna przedstawiła satyrę dotyczącą aktualnych wydarzeń politycznych. Później, aż do zamknięcia lokalu, kobieta o bogatym, głębokim alcie

śpiewała smutne piosenki. Egon Schiele, zataczając się od wypitego alkoholu, wrócił do pracowni i całą noc rysował z pamięci sceny z minionego wieczoru.

Po tym, jak przekonywałam Gustava, aby namalował samego siebie na obrazie przedstawiającym obejmującą się parę, przez kilka tygodni usiłował się z tego wykręcić. Powiedział nawet, że nie potrafi rysować samego siebie.

- Masz przecież lustra - przypomniałam. - Wielu artystów korzysta z luster. Mogłabym też zrobić ci zdjęcie. Albo ktoś mógłby sfotografować nas oboje i malowałbyś na podstawie zdjęcia.

- Nie - upierał się.

- W takim razie ja też nie będę pozować - powiedziałam.

Nadał się. Powiedział, że poprosi swoją nową ulubioną modelkę Annę, aby mu pozowała. Opowiadał mi, jaka jest cudowna, jaka uległa.

- Świetnie - zgodziłam się. - Jeśli nie chcesz, żebym to była ja, w porządku. Ale przecież to ty mnie prosiłeś, pamiętasz?

Jednak mniej więcej po tygodniu dał za wygraną.

- Robię to tylko dla ciebie, kochany głuptasku - zastrzegął się.

Często nazywał mnie kochanym głuptaskiem.

- Tylko dla ciebie mogę sobie zadać takie tortury.

Pracowaliśmy razem nad wyborem pozycji. Nie mogliśmy oboje stać, ponieważ byłam za wysoka. Poprosił, abym uklękła i ustawiła się profilem, a potem odwrócił moją twarz do siebie. Skręciłam głowę i uniosłam ręce do twarzy. Zamknęłam oczy. Przez kilka dni rysował mnie w takiej pozycji, aż wreszcie znecierpliwiłam się i przypomniałam mu o jego zobowiązaniu.

- Dobrze, ale tylko na chwilę - zastrzegł się - tylko zobaczę, jak by to wyglądało.

Słyszałam, jak ustawiał lustra: jedno oparł o ścianę tuż za mną, drugie umocował na sztaludze. Poczułam jedną jego dłoń na szyi, a drugą na podbródku. I jego usta na policzku. Położył swoją rękę na mojej, powiedział, zdejmując ze mnie suknię, ściągając ją z moich ramion. Otworzyłam oczy i ukradkiem spojrzałam w lustro. Czułam się dziwnie nieswojo, jakbym podglądała dwoje nieznajomych pieszczących się w parku. Ledwo rozpoznałam siebie w lustrze. To była wymyślona poza, udawanie miłości. Gustav nigdy nie myślał o miłości, gdy pracował nad obrazem. Myślał o przestrzeni i perspektywie, tysiącu elementów kompozycji, tak bardzo mu znanych, że od razu wiedział, czy coś jest w porządku, czy nie.

- Dlaczego chciałeś, żebym ci pozowała? - zapytałam go pewnego dnia.

Wzruszył ramionami.

- Dlatego, że to idealne zadanie dla ciebie.

- Ale dlaczego? - dopytywałam się. Zamyślił się.

- Potrzebowałam kogoś autentycznego - powiedział. - Niezbyt doskonałego, niezbyt doświadczonego.

- Dziękuję - powiedziałam. - Potrzebowałeś kogoś bez wdzięku i mało rozgarniętego, a wszystkie twoje modelki są do tego zbyt piękne i zbyt doskonałe.

Zmiał w kulę kartkę ze szkicownika i rzucił nią we mnie. Płynęła przez chwilę w powietrzu, po czym upadła na podłogę daleko od miejsca, gdzie klęczałam. Zastanawiałam się właśnie nad rozmasowaniem sobie szyi, gdyż złapał mnie bolesny skurcz.

- Nie utrudniaj - powiedział. - Dobrze wiesz, co chciałem powiedzieć.

Wiedziałam.

Gustav zazwyczaj pracował bardzo wolno; niektóre obrazy malował nawet przez pięć lat. Ten skończył wyjątkowo

szybko, ponieważ chciał go pokazać na wiedeńskiej wystawie sztuki razem z portretem Adele Bloch - Bauer.

One stanowią parę, wyjaśnił mi, z uwagi na złoto, na ornament i bizantyńskie powinowactwo. Ja jednak nie mogłam oprzeć się myśli, że pracował tak szybko, ponieważ ten obraz znaczył dla niego więcej niż inne, że miał osobiste znaczenie. Rzecz jasna nie pozwalał mi go oglądać. Powiedział, że będę musiała poczekać aż do wernisażu, jak wszyscy. Z niecierpliwością czekałam więc na ten dzień, aby zobaczyć, co z nas zrobił, nie w czasie tych niewygodnych sesji pozowania, ale przez te wszystkie lata, które upłynęły.

Rozdział 22

Kammer nad Attersee 4 kwietnia 1945

Kiedy wstałam rano, po raz pierwszy od tygodnia nie padało. Obie z Helene postanowiłyśmy spakować jedzenie na piknik i powędrować do pobliskiego zamku Kammer. Zamek Kammer to właściwie zdobiona sztukaterią willa o dachu pokrytym czerwoną dachówką, usytuowana na wzgórzu ponad miasteczkiem i otoczona drzewami oraz starannie utrzymanymi ogrodami. Często chadzaliśmy tam z Gustavem malować lub rysować okoliczne widoki. Kiedy mieliśmy szczęście i nie spotkaliśmy żadnych turystów, mogliśmy udawać, że jesteśmy panem i panią na zamku, którzy robią inspekcję ogrodów, podziwiają malownicze widoki i leniuchują na terenie swojej posiadłości. Gustav uważał, że ludzie i świat przyrody to nieskończenie fascynujące tematy, ale nie powinny znajdować się na tym samym płótnie, gdy więc w okolicy pojawiali się turyści, zwykle odwracaliśmy się na pięcie i wracaliśmy do domu. Byłam pewna, że podczas naszego pikniku nie pojawi się żaden turysta. Helene i ja będziemy paniami zamku. Tyle że w tamte letnie dni Gustav i ja nie musieliśmy się zmagać z błotem jak my teraz.

Helene zapakowała trochę chleba i kanapki z serem, a potem włożyłyśmy solidne buty i ruszyłyśmy w drogę. Drzewa zaczynały już nieśmiało wypuszczać pierwsze, bladozielone pędy. W efekcie powstało zjawisko pewnego zamglenia wizji, jakby gołe drzewo poruszyło się delikatnie podczas robienia zdjęcia. Powietrze pachniało nawozem i świeżą trawą. Z ziemi powyłaziły robaki, a ja starałam się na żadnego nie nastąpić.

Po drodze nie spotkałyśmy nikogo i wtedy dotarło do mnie, że jest niedziela. Byłyśmy jedynymi mieszkankami okolicy, które nie poszły do kościoła modlić się o zwycięstwo.

Przeszedłszy chyba ze dwa kilometry, skręciłyśmy na ścieżkę prowadzącą ku wzgórzom, do zamku. Było trochę ślisko, cieszyłam się więc, że wzięłam dębowy kijek znaleziony w szklarni. Musiałam też bardzo uważać na ślimaki. Nie miałam poczucia winy, że je zabijam, ale nie mogłam znieść chrzczenia pod butami. Na niektórych konarach drzew i na ścieżce leżał jeszcze śnieg, który nie chciał stopnieć. Po kilku minutach marszu odwróciłam się, aby popatrzeć na panoramiczny widok gór, otaczających Attersee jak szpony. Chmury spoczywały na postrzępionych wierzchołkach, teraz gładkich i białych od śniegu. Kiedy za dwa lub trzy miesiące śnieg stopnieje, łąki pokryją się kobiercami lilii i goryczek, floksów i obuwników.

Gdy weszłyśmy w aleję prowadzącą do bramy zamku, poczułam lekki dreszcz, mimo że byłam rozgrzana wspinaczką. Szpalery drzew po obu stronach drogi tworzyły geometryczne rozwiązanie perspektywiczne i budowały, niczym w wizjerze, kadr obejmujący otynkowane ściany, okna i tuż nad nimi czerwoną dachówkę. Z każdym krokiem pojawiał się przed oczami nowy widok. To było ulubione miejsce Gustava. Właśnie z tego punktu obserwacyjnego kilka razy malował zamek i stojąc tam, przypomniałam sobie jego obrazy. Prawdziwe drzewa nie są tak złowrogie, jak się wydają namalowane. Są patykowate i wymagają przystrzyżenia. Zamek był opuszczony.

Zbudowano go w osiemnastym wieku dla pewnego księcia, a jego potomkowie wyjechali na wojnę na Madagaskar. Kiedyś ściany zamku lśniły kremową bielą, chociaż na obrazach Gustava często były złocistożółte. Teraz budowla straciła swój blask i tajemniczą aurę, wydawała się ponura i najzupełniej normalna, pokryta grubą warstwą brudu, z zamkniętymi na głucho okiennicami.

Udało nam się znaleźć na zabłoconym trawniku dość dogodne miejsce na piknik. Trawa była zmierzwiona i pożółkła. Helene, jak zawsze przygotowana, rozwinęła brezentową płachtę, którą ze sobą przyniosła.

- Jaka szkoda, że nie mamy samochodu - powiedziałam. - Drogi są zupełnie puste. Mogłybyśmy rozwinąć nawet maksymalną prędkość. Nie musiałybyśmy w ogóle używać hamulców.

- A skąd wzięłybyśmy benzynę? - zapytała Helene. - Nawet gdyby nam nie zarekwirowano auta.

- Szczegóły, szczegóły - powiedziałam.

- A w razie awarii nie miałby nas kto popchnąć - zauważyła Helene. - Ile waży taki samochód, dwie tony? Nigdy byśmy go stąd nie wyciągnęły.

Na tym właśnie polegała różnica między Helene a mną. Moja siostrzenica wydawała się zadowolona z tego, co przynosiły jej dni, ja zaś ciągle marzyłam o czymś innym, o tym, czego nie mogłam mieć, czego nie wolno było stracić. Helene nie pamiętała swojego ojca, ale była bardzo do niego podobna, a przynajmniej do mojego wyobrażenia o nim, gdyby dane mu było dożyć pięćdziesięciu lat. Miała bardzo wyrazistą twarz, a przyprószone już siwizną włosy wymykały się niesfornie z węzła na karku. Wzięłam ją za rękę, aby poczuć jej ciepło i siłę.

Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu, kontemplując naszą małą dolinę. Po trawniku spacerowały dwie kozy, wachały ziemię w poszukiwaniu świeżej trawy. Po drugiej stronie jeziora, w Unterach, skończyła się msza i w kościele biły dzwony. Dźwięk płynął aż do Stuttgartu. Domy wyglądały z daleka jak pastelowe cukierki. Wszystko, jezioro, niebo, powietrze, zabarwione było odcieniem szarego błękitu. Gdybym była malarzem, użyłabym pruskiego błękitu, bieli tytanowej, palonej umbry. Inaczej niż zrobiłby to Gustav,

namalowałabym ogromne niebo z tymi majaczącymi w oddali chmurami niosącymi śnieg i tą rozpościerającą się nisko pokrywą. Namalowałabym odbicia chmur i nieba w wodzie. Włączyłabym także do swojego obrazu ludzi. Po jeziorze płynęłaby łódka, jedna lub więcej. Na brzegu kąpałyby się dziewczęta, spacerowałyby całe rodziny, które przyjechały z miasta na wypoczynek, ubrane w najlepsze, niedzielne stroje. W oczach widza jezioro nie byłoby w stanie skutecznie konkurować z ludźmi, a ludzie nie zniszczyliby zimnej perfekcji nieba swoimi znoszonymi butami i opalonymi twarzami.

- Pamiętasz motorówkę? - zapytała Helene. - Wujek Gustav był z niej taki dumny. Pierwsza motorówka w całej Austrii!

- Pamiętam, jak omal nie przejechał nią żony Heitzmanna - powiedziałam. - I jeszcze to, jak skończyła mu się benzyna w pobliżu Saint Wolfgang i musiał zostawić tam łódź i popłynąć do domu wpław.

- Jak ją sprowadziłaś? - zapytała Helene, chociaż doskonale знаła tę historię.

- Popłynęliśmy po nią naszą łódką z wiosłami - powiedziałam. - Właśnie tego ranka powiedział mi, że powinniśmy się jej pozbyć, bo jest przestarzała i zajmuje tylko miejsce w hangarze na plaży. Ale po tej przygodzie już nigdy o tym nie wspominał.

Helene wyjęła kanapki, kilka jabłek i kawałek czekolady zawinięty w srebrną folię. Bóg jeden wie, skąd ją wytrzasnęła. Kiedy jadłyśmy, poprosiła, abym opowiedziała jej więcej historii o Gustavie, jej matce i Ernście, a ja, aby ją zadowolić, opowiadałam i opowiadałam, aż minęło nam popołudnie.

Pocałunek, 1907

Gustav, sam w pracowni, stoi przed swoim nowym obrazem. Przyjechał tu pospiesznie, tuż po porannym spacerze, niecierpliwy i pełen zapału. Dzisiaj naprawdę zacznie. Ma już projekt, płótno jest gotowe, postacie zakomponowane, jest gotów zacząć. Ale jakoś nie może. Ponad godzinę patrzy na płótno, ale nie jest ani o krok bliżej przyłożenia do niego pędzla, niż był, gdy przyjechał do pracowni.

Krąży po pokoju, otwiera i zamyka okno. Podnosi z podłogi kota, drapie go po brzuchu, aż zwierzę zaczyna mrużyć i ocierać się o jego twarz. Robi sobie kawę i wypija ją, stojąc przed płótnem, usiłując zrozumieć, dlaczego ma z nim taki problem. Obraz jest jak partia szachów; musisz zaplanować każdy swój ruch. Kiedy wychodził z pracowni poprzedniej nocy, myślał, że wie, jak go zaatakować, ale w nocy coś się w nim zmieniło.

Nie różni się przecież aż tak bardzo od innych obrazów, które malowałem, myśli. Chociaż próba namalowania alegorycznego obrazu miłości to chyba największe zuchwalstwo, na jakie można się porwać. Co ja, u diabła, wiem o miłości? W porównaniu z tym alegoryczny obraz medycyny czy filozofii to znacznie łatwiejsze zadanie.

Są tutaj, szare i wycieniowane, narysowane ołówkami postacie, czekają, aby nadał im życie farbami. Po lewej stronie mężczyzna. To nie on. Rzecz jasna nigdy nie myślał poważnie, aby namalować na tym obrazie swój autoportret. Powiedział tak tylko, aby zadowolić Emilie, która nie wiadomo dlaczego dziwnie się przy tym uparła. Powinna wiedzieć, że nigdy nie namaluje swojego autoportretu, dla nikogo, nawet dla niej.

A po prawej dziewczyna. Kim jest?

Tak, to oczywiście Emilie. Trochę wyszczuplona, trochę wystylizowana, ale rozpoznawalna. Ma jej usta, jej włosy i jej ręce. I w tym właśnie tkwi problem, zdał sobie wreszcie sprawę.

Zawsze powtarzał: jeśli chcecie mnie poznać, dowiedzieć się, czego pragnę, przyjrzyjcie się moim obrazom. Wie, że jeśli namaluje kobietę podobną do Emilie Floge w objęciach mężczyzny, nawet nierozpoznawalnego, wszyscy będą wiedzieli. Pojawią się plotki, spekulacje. I poprosił ją, aby mu pozowała, z takim właśnie zamiarem. Chciał uczynić jakiś krok, złożyć jakąś deklarację. Czuł, że ostatnio odsunęła się od niego, zajęta swoją pracą, podróżami. Chciał ją z powrotem do siebie przyciągnąć. Ale teraz, stojąc tutaj przed tym obrazem, zdał sobie sprawę, że nie może tak postąpić. Nie, to nie może być Emilie, przynajmniej nie z taką oczywistością.

Zmiana jej sylwetki zajmuje mu kilka godzin. Zmienił kształt jej twarzy. Ręce należą już do innej kobiety. Emilie będzie rozczarowana, myśli. Od jak dawna czeka, aż namaluje jej porządny portret? Śmieje się do siebie gorzko. Prawie całe życie. Nigdy tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego nie lubiła tamtego portretu. Cóż to za absurd, że on nie wie, kim ona naprawdę jest? Zna ją lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej niż Helene, lepiej niż Pauline, lepiej niż jej własna matka. Postanowił na razie nic jej nie mówić. Kiedy zapyta, jak mu idzie malowanie, powie po prostu, że musiał dokonać kilku zmian w postaciach. To wystarczy, żeby zrozumiała. To dlatego jest jedyną osobą, z którą czuje się tak dobrze: nie musi wiele mówić, nie musi wygłaszać długich kwestii, aby wyjaśnić, o co mu chodzi. Stara się nie myśleć o wyrazie jej twarzy, kiedy zobaczy skończony obraz.

Czy to względy artystyczne, czy osobiste zmuszają go do zmiany obrazu w coś mniej jednostkowego, bardziej uniwersalnego? Trudno zmierzyć się z taką samowiedzą.

Trudno wejrzeć z tak bliska we własną psychikę. Wie jedynie, że gdy myśli o dziewczynie jako portrecie Emilie, nie jest zdolny wziąć pędzla do ręki. Jest sparaliżowany. Kiedy myśli, że to jest dziewczyna, jakaś dziewczyna, może zmieszać farby, położyć spodnią warstwę palonej umbry, a potem rozpocząć budowanie obrazu ochrą i naturalną sjeną. I to jest różnica między obłędem a spokojem - przynajmniej na czas, kiedy pracuje.

Rozdział 23

Gustav wykonał pięćdziesiąt rysunków przedstawiających projekty sukien. Niektóre były zbyt wymyślne, aby można je było uszyć, inne trzeba było zmodyfikować ze względów finansowych lub praktycznych. Prowadziliśmy długie dyskusje o tkaninach i ozdobach, a Gustav dokładnie mi opisywał, jak powinna według niego wyglądać każda suknia, jakie miałyby robić wrażenie, jak wyobrażał ją sobie na sylwetce kobiety. Ostatecznie ograniczyliśmy liczbę projektów do trzydziestu dwóch. Moim zadaniem było przerobienie jego rysunków na modele, następnie zanosłam je do salonu, aby je przystosować do moich wymiarów. Potem wykonywałyśmy prototypy z perkalu, aby się upewnić, czy zrobiłam formy zgodnie z koncepcjami Gustava i czy wyglądają tak, jak chcieliśmy. Kiedy już modele były dobrze udrapowane i upięte, przynosiłyśmy wytworne materiały, na które Gustav wydał małą fortunę. Muszę przyznać, że czułam się trochę dziwnie i niezręcznie, szyjąc dla siebie aż tyle wspaniałych strojów: jakbym była cesarzową Elżbietą.

Kiedy suknie były już gotowe, spotkaliśmy się z Gustavem w jego pracowni na sesji fotograficznej. Powiesiłam wszystkie stroje w korytarzu, który nabrał dość niesamowitego wyglądu teatralnej rekwizytorni: wytworne kreacje przysłoniły zgromadzone tam drzeworyty i rzeźby. Zdjęcia robiliśmy w ogrodzie, więc w przerwach zmieniałam kolejne suknie w pracowni.

Pierwszym modelem, w jakim pozowałam do fotografii, była prosta i wąska suknia popołudniowa ozdobiona karnawałowym wzorem, z dzwonowatymi, spływającymi kaskadowo rękawami trzy czwarte.

- Odwróć się i spójrz w stronę drzwi - powiedział Gustav.
- Pomyśl o torcie marcepanowym.

- Nie rozmawiajmy o jedzeniu - poprosiłam. -
Chciałabym zmieścić się w te wszystkie suknie, jak już je
sfotografujemy. Powiedz mi lepiej, jak ci idzie malowanie
obrazu obejmujących się kochanków?

- To bardzo stresujące - powiedział, gdy stałam
nieruchomo, pozując do długiej ekspozycji.

- Tylko tyle? - zapytałam.

- Poruszyłaś ustami - zwrócił mi uwagę. - Wyjdą nieostro.

- To może być niezły efekt - powiedziałam.

- Po prostu chcesz sobie pogadać - obruszył się. - Bądź
cicho i daj mi ponarzekać, jak fatalnie idzie mi malowanie.

Powiedział mi, że postacie wciąż nie były takie, jak chciał,
ale zdecydował się je namalować. Powiedział, że położył za
grube tło, że musiał je zmyć i ile godzin pracy mu to zajęło.
Powiedział, że koszt złotych płatków jest absurdalnie wysoki.
Słuchałam go, pozując w blad różowej sukni balowej z
wełnianego dżerseju, z rękawami z białego szyfonu. Kiedy
pozowałam w czarnej sukni wieczorowej z kołnierzem i
karczkiem w czarno - białą szachownicę, opowiedział mi o
młodym artyście z Warsztatów Wiedeńskich, którego
niedawno odkrył. Nazywa się Oskar Kokoschka.

- Doskonale sobie radzi z rysowaniem, studiuje w School
of Arts and Crafts. Co nie znaczy, że to widać, gdy ogląda się
jego prace. Jest dzikusiem, ale bardzo obiecującym.

- Dzikszy od Schielego? Bardziej obiecujący?

- Trudno powiedzieć - zamyślił się Gustav. - Co najmniej
równie szalony, ale inaczej.

- Kiedy poznam twój kolejny protegowanego? -
zapytałam.

- Wkrótce - obiecał. - Odwróć głowę trochę bardziej w
lewo. Powinniśmy wydać dla niego proszoną kolację.

Co znaczyło, że kolacja powinna być u mnie, z nim jako
gościem honorowym. Ale przywykłam do tego.

- W porządku - powiedziałam. - Tylko uprzedź mnie kilka dni wcześniej.

Weszłam do pracowni, aby przebrać się w letnią suknię z białą - czarnym wzorem w trójkąty na karczku, żywcem wyjętym z fryzu w pałacu Stocleta.

Fotografie ukazały się w „Journal of Arts and Crafts”. Byłam na nich uśmiechnięta, na większości z nich włosy miałam wysoko upięte, aby ukazać linię szyi. Gustav zwykle robił mi zdjęcia z profilu, bo tak najlepiej wyglądałam. Miałam na szyi naszyjnik, który mi podarował. Gustav znajdował się poza kadrem, ale i tak był na każdej fotografii, w klimacie sukien, w moim uśmiechu. Gdyby powiększyć zdjęcia, udałoby się dostrzec jego odbicie w tęczęwkach moich oczu.

Pocałunek został pokazany w 1908 roku na wielkiej wiedeńskiej wystawie sztuki - Kunstschau. Był to największy pokaz artystyczny, jaki kiedykolwiek odbył się w Wiedniu. Zorganizowali go dawni członkowie Secesji, którzy po rozstaniu się z grupą nie wystawiali od trzech lat. Miasto wynajęło im pustą działkę, przeznaczoną pod budynek filharmonii, a Hoffmann zaprojektował tam kompleks wystawienniczy składający się z pięćdziesięciu czterech pomieszczeń, z tarasami, ogrodami, dziedzińcem, teatrem na wolnym powietrzu i herbaciarnią. Otwarcie wystawy zbiegło się z obchodami sześćdziesiątej rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa. Pokazywano sztukę austriacką. Gustav miał dla siebie całą salę i wystawił szesnaście obrazów.

Byłam zbyt zajęta, aby pomagać w przygotowaniach, a ponieważ Gustav nie pozwolił mi obejrzeć Pocałunku aż do dnia wernisażu, zobaczyłam go tam po raz pierwszy. Przyszło bardzo dużo ludzi i oczywiście najbardziej tłoczno było w sali Gustava, zwłaszcza przed jego nowym obrazem. Gdy

przeciskałam się przez tłum, podchodzili do mnie znajomi i mówili, jak bardzo podoba im się ten obraz, i pytali, czy mnie też. Tak, odpowiadałam, jest wspaniały. Znalazłam sobie miejsce przy ścianie na wprost obrazu, aby przyjrzeć mu się, gdy tłum nieco się przerzedzi i będę miała lepszy widok.

Stałam tam i spoglądałam na tyły ludzkich głów, kiedy spostrzegłam Gustava, który przyszedł z wysokim, chudym młodzieńcem o okrągłych, sowich oczach z ciężkimi powiekami. Miał zmarszczone czoło i pociągłą twarz, której większą część stanowił podbródek. Stanowił typ mężczyzny, który z wiekiem chyba trochę wyprzystojnieje, ale teraz, w wieku dwudziestu lat, wydawał się całkiem przeciętny.

- Emilie Flöge, Oskar Kokoschka.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedziałam. Powiedziałam mu też, że podoba mi się jego plakat z młodą dziewczyną, zaprojektowany z okazji wystawy.

- Przypomina w stylu sztukę ludową - dodałam.

- Przyśnił mi się - powiedział Kokoschka. - Wszystkie najlepsze pomysły przychodzą do mnie we śnie. Mnie się podoba mój inny plakat, wydaje mi się, że lepiej się udał.

- Mam nadzieję, że tamten nie pojawił się we śnie.

- Nie, wzorowałam się na Goi Saturnie pożerającym własne dzieci, zna pani to dzieło?

Powiedziałam, że znam, chociaż nigdy nie byłam w Hiszpanii, więc nie widziałam go na własne oczy. Kokoschka wyjaśnił mi, że ten plakat nosił tytuł Tragedia człowieka, i że największą tragedią człowieka jest oczywiście śmierć. W ten sposób nawiązał do Goi, chociaż poza postaci z jego plakatu nie przypomina obrazu hiszpańskiego artysty ani tym bardziej jego stylu malarskiego. Uważał, że Goya lepiej rozumiał tragedię śmierci niż jakikolwiek inny artysta przed nim i po nim. Mówił pospiesznie, jakby się obawiał, że gdzieś go wywiozą, zanim skończy. Często odwracał się do Gustava,

aby sprawdzić, czy go rozumie. Pomyślałam, że może ten chłopak cierpi na bezsenność lub jest niedożywiony, albo jedno i drugie, i zaprosiłam go na kolację. Gustav odszedł z Kokoschką, a ja stałam nadal w tym samym miejscu i czekałam. Pocałunek udało mi się zobaczyć dopiero pod koniec wernisażu.

Od razu zrozumiałam, że mnie oszukał. Na obrazie nie było Gustava. Wyrzucił szkice, na których rysował siebie, i na obrazie umieścił postać innego mężczyzny. Jego twarzy prawie nie było widać, a ten niewielki fragment kości policzkowej i brwi, który namalował, nie przypominał rysów twarzy Gustava. Poza tym mężczyzna miał śniadą cerę, zbyt gęste i zbyt ciemne włosy. Coś dziwnego działo się z jego linią szyi, coś nieprawidłowego pod względem anatomicznym, niezrozumiałego, jeśli zważyć, ile postaci ludzkich namalował Gustav. Mężczyzna miał na sobie długi płaszcz przypominający fartuch, jaki Gustav nosił zwykle podczas malowania, ale ta szata była także czymś w rodzaju przebrania, skrywała go, pozostawiając tylko zarys sylwetki, złotą plamę.

Mnie też na tym obrazie nie było. Dziewczyna miała słodką, pospolitą twarz. Daremnie szukałam podobieństwa do moich kości policzkowych, silnego zarysu szczęki, wąskich ust. Wszystko zostało zmienione, wygładzone, zaokrąglone. Z niezadowoleniem zauważyłam też, że dziewczyna na płótnie ma dłonie Adele Bloch - Bauer.

Dziewczyna ta, kimkolwiek była, balansowała na krawędzi przepaści. Palcami stóp kurczowo trzymała się grani - w ekstazie erotycznej czy może w rozpacz? Stopy miała owinięte lub związane złotymi pnączami. Mężczyzna, kimkolwiek był, przedstawiony został w bardziej komfortowej pozie. Znajdował się po bezpiecznej stronie klifu. Stopy, skryte gdzieś pod szatą, swobodne, w każdej chwili mogły go

unieść w dal. Panował nad wyrazem swojej twarzy, nad emocjami, ponieważ był odwrócony od widza. W każdej chwili mógł się poczuć zmęczony tą dziewczyną i zepchnąć ją w przepaść. Mógł ją też pozostawić w rozpaczy i udęce, tak że nie pozostałoby jej nic innego jak tylko rzucić się w dół. Błogi wyraz malujący się na jej twarzy zdradzał, że nie była świadoma roztaczającej się wokół niej ciemności. Jej twarz znajdowała się w centrum, w samym sercu obrazu. Nagle poczułam, że ogarnia mnie na nią wściekłość, na jej szczerość, czyste serce, na jej niewinność i młodość. Czyż nie zdaje sobie sprawy, że jest w niebezpieczeństwie? Jak zamierza się z niego wydostać? Miałam ochotę wymierzyć jej policzek, obudzić z transu. Ale ona nadal się uśmiechała.

Obraz był oczywiście symboliczny. Był alegorią, a nie portretem, i nigdy nie miał być niczym innym. Czy nienawidziłam go za to, czym był, czy za to, czym nie był?

Gdyby Gustav znał moje myśli, pękłoby mu serce, więc tak jak w wielu innych sytuacjach, gdy moje serce pękało, postanowiłam mu tego oszczędzić i zaczęłam szukać na obrazie czegoś, o czym mogłabym uczciwie powiedzieć, że mi się podoba. Powiedziałam, że dzikie kwiaty przypominają mi te, które rosną nad Attersee. Powiedziałam, że podoba mi się jej suknia. Głośno zastanawiałam się, czy można byłoby ją skopiować, jak droga byłaby złota nitka i jak ciężka byłaby suknia. Pochwaliłam użycie złota, fakturę tła. Miałam wrażenie, że Gustav nie zauważył niczego niepokojącego. Ale kiedy odwiózł mnie do domu, poszłam do pokoju, rzuciłam się na poduszkę i płakałam, aż wyczerpana zasnęłam.

Obraz został sprzedany Österreichische Galerie za niewiarygodnie wysoką cenę. To było sensacyjne wydarzenie, ale Gustav bardziej zajmował się w tym czasie Kokoschką i jego ilustrowaną baśnią Die Träumenden Knaben, zadedykowaną Gustavowi, którą wystawił na Kunstschau.

Gustav uważał, że to najlepsza praca na wystawie, chociaż recenzenci, co było do przewidzenia, z furją krytykowali surowy, prymitywny styl Kokoschki i jaskrawe, płasko kładzione kolory. Gustav powiedział Kokoschce, że powinien mierzyć swój sukces ilością gniewu, jaki wzniecał, i cieszyć się z rezultatu na Kunstschau.

W 1911 roku to ja, dla odmiany, byłam sprawczynią wydarzenia towarzyskiego. Do Wiednia przyjechał Poiret ze swoimi modelkami, które prezentowały jego stroje w wielu stolicach europejskich. Z pomocą Warsztatów Wiedeńskich zorganizowałam na jego cześć przyjęcie w ogrodach na Praterze, parku rozrywki na peryferiach miasta.

Było późne lato, powietrze rozgrzane i upalne. Stoliki nakryliśmy białym lnem, na każdym ustawiliśmy pośrodku białą ceramiczną doniczkę delikatnych cyklamenów. Między stolikami była przestrzeń, w której miały się poruszać modelki prezentujące najnowszą kolekcję Poireta. Altana, która służyła im za przebieralnię, została zasłonięta białą bawełnianą tkaniną. W zaproszeniu zaznaczyliśmy, że goście proszeni są o przybycie w białych strojach. Kobiety, jak można się było spodziewać, włożyły swoje najlepsze białe suknie Poireta, aby go w ten sposób uhonorować.

Adele miała na szyi złoty naszyjnik z olbrzymimi opalami, których nie powstydzilaby się Kleopatra. Gorączkowo opowiadała mi najświeższe szczegóły ostatniego romansu Friedericke Beera. Schiele przyszedł ze swoją przyjaciółką, piękną i trzpiotowatą dziewczyną w taniej kretonowej sukience. Hoffmann pojawił się z alabastrową laseczką i obszedł wszystkie stoliki, korygując ustawienie doniczek. Przyszła też Alma, ale nie mogła włożyć białego stroju. Przed trzema miesiącami zmarł Mahler i jeszcze była w żałobie. W tradycyjnie uszytej czarnej sukni z krepy drastycznie odróżniała się od pozostałych, jasnych postaci. Domyślałam

się, jak musi cierpieć w tym upale, i kiedy zobaczyłam ją siedzącą samotnie i wachlującą się bez większego efektu serwetką, ogarnęło mnie współczucie. Posłałam do niej Kokoschkę ze szklanką zimnej wody, więc pewnie powinnam czuć się winna za wszystko, co zdarzyło się później.

Kiedy przywitałam się już ze wszystkimi, stanęłam trochę z boku, aby się upewnić, że wszyscy są zadowoleni i nie zapomniano o żadnym szczególe. Miałam na sobie suknię własnego projektu, prostą w formie, ale haftowaną nitką w kolorze kości słoniowej w fantazyjne kwiaty i ptaki. Na szyję zarzuciłam szkarłatny szal wykonany w Warsztatach Wiedeńskich. Było to wbrew zasadzie obowiązującej bieli, ale chciałam, aby można mnie było łatwo odnaleźć w tłumie.

Podszedł do mnie Gustav. Biały garnitur podkreślał jego opaleniznę.

- Czy nasz gość jest zadowolony? - zapytał.
- Rozmawia z Mollem - powiedziałam. - Co ty na to?
- Myślę, że zanudzi się na śmierć już po minucie, słuchając o szczegółach prowadzenia galerii - zawyrokował. - Czy twoim zdaniem Moll może próbować wyciągnąć pieniądze od tego biedaka?

- Uważam, że powinniśmy go ratować, zanim dojdzie do międzynarodowego incydentu - zdecydowałam.

Zaprowadziłam Gustava do Poireta i przedstawiłam ich sobie. Przez pierwsze kilka minut panowie uprzejmie komplementowali się nawzajem. Potem Gustav zapytał, jak mu się podoba Wiedeń.

Poiret powiedział, że ludzie są czarujący. Podobał mu się ogród na Prado, mimo męczącej obecności pszczół. Podobało mu się, jak poruszają się tu kobiety, zupełnie inaczej niż paryżanki, swobodniej, nie tak sztucznie. Smakował mu kirsch oraz wieprzowina w cieście z cukrem pudrem, którymi się raczył.

- Ach, Wiedeń! - westchnął Gustav, jakby to wyrażało wszystko.

- Co za szal - powiedział Poirot. - Podziwiam pani szal. Pociągnął za jeden koniec, tak że szal ześlizgnął mi się z szyi. Trzymał go w rękach i przyglądał się z uwagą, jakby badał jakieś starożytne dzieło sztuki.

- Prawdziwy jedwab - zawyrokował. - Od Bianchiniego. Ale nigdy nie widziałem takiego koloru.

- Barwiony specjalnie dla Warsztatów Wiedeńskich - wyjaśniłam.

- Doskonale wykonany haft - pochwalił. - Mogę zatrzymać ten szal?

- Czemu nie? - zgodziłam się. - Mam wiele innych.

- Wszystkie w tym samym kolorze? - zapytał. Powiedziałam, że jeden jest jadowicie zielony, a drugi w kolorze melona.

- Myślę, że mógłbym włączyć coś takiego do mojej następnej kolekcji. To inspiracja Orientem; miękkie, powiewny, daje wrażenie ruchu i nakładania się wielu cienkich warstw. Mam nadzieję, że to się doskonale sprawdzi.

- Czy Emilie dostanie procent od zysków? - zapytał Gustav.

Poirot roześmiał się.

- Nie, ale obiecuję, że prześlę jej w prezencie kilka najlepszych sztuk z kolekcji.

Kiedy odszedł, Gustav przetarł brew z szyderczą ulgą.

- Bałem się, że jeśli pobędzie z tobą dłużej, zabierze ci całe ubranie i zostaniesz nago.

- Jak w złym śnie.

- Lub dla kogoś dobrym.

W tym samym czasie na przyjęciu rozpoczynał się wielki romans. Alma i Kokoschka nie znali się, ponieważ kiedy Kokoschka rozpoczął swoją pracę z Warsztatami

Wiedeńskimi, Alma przebywała w Nowym Jorku. Po powrocie opiekowała się umierającym Mahlerem i chociaż już wtedy nawiązała romans z architektem Walterem Gropiusem, po śmierci męża pogrążyła się w autentycznej rozpacz. Przez wiele tygodni nie opuszczała domu. Właściwie na tym przyjęciu po raz pierwszy pojawiła się publicznie od czasu pogrzebu. Alma i Kokoschka nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni, a ja zapomniałam o tym, gdy posłałam go do niej ze szklanką wody. W naszym środowisku takie formalności nie miały jednak większego znaczenia.

Nie wiem, jak się jej przedstawił; gdybym miała ocenić sytuację, powiedziałabym, że jest dla niej zbyt nieokrzesany, zbyt dziwaczny. No i stanowczo za młody. Gdy jednak przyjrzałam im się ponownie, zauważyłam, że rozmawiają z wielkim ożywieniem. W pewnej chwili Kokoschka, mówiąc coś żarliwie, wziął Almę za rękę, a ona pozwoliła mu ją trzymać.

Rozmawialiśmy tylko o sztuce, powiedziała mi później Alma. Dopiero po kilku tygodniach spróbował mnie pocałować. Ale od tamtego popołudnia aż do chwili, gdy Kokoschkę powołano do wojska, właściwie się nie rozstawali. W 1914 roku namalował ją na obrazie, który nazwał Burza. Na tle fal granatowoczarnego oceanu, w centrum płótna widzimy pólężące postacie dwojga kochanków.

Mężczyzna jest mizerny, wynędzniały, kobieta skąpana w białym świetle. Ich związek był jak potężna ciemna burza, która ich pochłonęła i zniszczyła.

Rozdział 24

Rok później Schiele został aresztowany i skazany za obsceniczną. Gustav od pewnego czasu wiedział, że Schiele maluje dzieci, i chociaż sam nie widział w tym nic złego, ostrzegał go, jak inni ludzie mogą odbierać to, co robi. Proces toczył się w Neulengbach, pół godziny drogi pociągiem od Wiednia. Gustav bardzo się martwił o Schielego i pojechał do sądu w dniu ogłoszenia wyroku: rysunki mają zostać spalone, tak brzmiał wyrok. To była straszna chwila, jak się zdaje, zapowiadająca to, co stało się później.

Już od pewnego czasu nad światem wisiała wojna, ale starałam się o tym nie myśleć. Ogarniały mnie mieszane uczucia. Z jednej strony - myślałam - jaki byłby w takich czasach pożytek z pięknych strojów i fotografii mody, a nawet z obrazów? Z drugiej jednak - w czasach smutnych i brzydkich świat może nawet bardziej potrzebował piękna. W końcu oboje z Gustavem postanowiliśmy, że będziemy dalej robić to, co robimy, chociaż zamach w Sarajewie wstrząsnął nami, śmierć następcy tronu zasmuciła, a wiadomość o wojnie przybiła nas. Co mogliśmy zrobić? Mogłam przeskokić się jako pielęgniarka lub włączyć się w organizację pomocy potrzebującym, chociaż ani jedno, ani drugie nie wzbudzało mojego entuzjazmu. Gustav był za stary, aby zostać żołnierzem, nawet gdyby chciał, i za mało wygadany, aby zająć się polityką. Nie miał ochoty pisać artykułów do gazet ani wygłaszać przemówień. Chciał tylko malować.

Było bardzo trudno szyć stroje takiej jakości jak przedtem. Porty zostały zablokowane, zdobycie materiałów - nawet po wygórowanych cenach - graniczyło z cudem.

Musieliśmy radzić sobie bez francuskich tkanin, francuskich wzorów i francuskich katalogów mody. Starałam się rekompensować te braki jeszcze większą perfekcją wykonania, mimo że jedwab był kiepski i często

wybrakowany. Moje klientki doceniały jednak nasz wysiłek i pozostały wierne.

Życie codzienne było ciężkie. Wiele produktów - mąkę, mięso, opał - racjonowano. Gdy jednak znało się odpowiednich ludzi i miało dość pieniędzy, jak ja, zawsze można było je zdobyć. Niemal przez cały czas starałam się udawać, że nic się nie zmieniło. Razem z Gustavem nadal wyjeżdżaliśmy na lato nad Attersee, a on malował jak szalony, zmieniając płótna szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

Na jesieni 1917 roku Pauline zachorowała na zapalenie płuc i po kilku tygodniach choroby zmarła. Wydawało mi się, że to najgorsze, co mogło mi się zdarzyć - strata ukochanej siostry. Siostry, która wplatała mi wstążki we włosy, pożyczła pieniądze i całe życie wspierała swoją solidnością i praktycznością. Przez kilka miesięcy żyłam w jakimś otepieniu, aż zdarzyło się coś dużo gorszego.

Siedziałam w salonie i czytałam. Nawet w czasach smutku zawsze gdzieś z tyłu głowy czułam głęboką satysfakcję, że filc pod moimi stopami jest gruby i miękki, że moje krzesła o strzelistych oparciach wykonane są z lakierowanego hebanu, a stojąca przede mną taca do herbaty, w kształcie idealnego kwadratu, to kute srebro. Od lat zawsze znajdowałam kilka chwil w ciągu wypełnionego pracą dnia, aby zachwycić się ścianami, szafami lub zawiasami przy drzwiach w moim salonie. Jeśli to wszystko trwało, ja także mogę trwać.

Przeglądałam właśnie stare numery „Journal of Arts and Crafts”, poszukując artykułu o rumuńskich strojach ludowych, który kiedyś widziałam. Przekopawszy kilka pudeł, wreszcie go znalazłam. Artykuł był ilustrowany kilkoma fotografiami i sporą liczbą rysunków. Miałam pewne pomysły na nowe projekty sukien i robiłam szkice na marginesach.

Był jedenasty stycznia 1918 roku. Zmniejszono właśnie racje chleba i już po kilku dniach na peryferiach miasta, w

Wiener Neustadt, doszło do zamieszek na tym tle i potężnych strajków robotniczych; wtedy nie czytałam już nawet prasy, przestało mnie bowiem interesować, co w niej piszą.

Było bardzo zimno. Kiedy Gustav szedł do pracowni, w jego brodzie pojawiły się sopelki lodu; bolała go też głowa, ale zimno mogło wywołać ból głowy, zwłaszcza że zapomniał kapelusza, a był niemal zupełnie łysy.

W pracowni była też Johanna Staude, która miała mu tego dnia pozować. Gustav przygotowywał się do malowania jak zawsze, ale na chwilę położył się przed kominkiem. Nie mógł się rozgrzać. Później znalazłam na podłodze buteleczkę po aspirynie, tabletki rozrzucone były po całym pomieszczeniu. Widocznie zostawił ją otwartą na umywalce i koty zrzuciły ją na podłogę.

Miał pięćdziesiąt sześć lat, nie był jeszcze stary. Wciąż bardzo silny, bez śladu artretyzmu, nadal wiosłował po jeziorze, malował po nocach i zmieniał kochanki jak rękawiczki. W jego pracowni stało sześć nowych płócien, na różnych etapach malowania: Narzeczona, Portret Amalie Zuckerkandl, Portret damy, Portret kobiety w bieli, Twarz damy i Portret Johanny Staude.

Johanna miała grube kości i kwadratową twarz. Aby zmiękczyć jej wizerunek, Gustav owinął jej szyję boa z piór. Potem dorzucił do pieca. Jak się później dowiedziałam, nie czuł się źle, miał tylko lekkie mdłości. Nawet nie wspominał o tym Johannie. Gustav mieszał farby, Johanna bawiła się z kotem, który czaił się i polował na jej boa, gdy ciągnęła je po podłodze. Pochwaliła się Gustavowi, że jej syn właśnie wypowiedział swoje pierwsze słowo: cukier. Gustav, drocząc się z nią, powiedział, że to wcale nie jest dobry znak. Na kawałku papieru narysował świnkę z zakręconym ogonem, aby pamiętać, że ma przysłać Johannie kilka różowych cukrowych świnek z cukierni Demla.

Johanna miała jasne oczy, ciepłe i roześmiane. Zawsze ją lubiłam; było mi przykro, że właśnie jej się to przydarzyło. To było dla niej na pewno okropne przeżycie. Jednakże ze względu na Gustava byłam rada, że akurat ona się tam wówczas znalazła, a nie jakaś młoda, niedoświadczona dziewczyna, która mogłaby zemdleć lub przerażona uciec z pracowni. Myślę o tym cały czas, do dzisiaj; czy można było coś zrobić, aby temu zapobiec. Ale stało się, co się stało.

W końcu Gustav był gotów i Johanna znów owinęła się boa. Znieruchomiła, tylko delikatnie poruszała palcami, gładząc pióra.

- Przestań - upomniał ją Gustav. - Kiedy bawisz się piórami, opuszczasz podbródek.

Gustav pracował nad rozświetleniem jej twarzy. Nakładał jaskrawe barwy pomarańczy i błękitu. Tło wciąż było zupełnie nieopracowane, dziewiczo białe, jak nieposłane łóżko.

Nagle poczuł silny zawrót głowy. Zaczął się dusić, jakby z pokoju wypompowano powietrze. Później ostry ból. Czuł go wszędzie, w całym ciele. Zwalił się na podłogę, a jego ciało wydało dźwięk, jakby ktoś wrzucił worek na ciężarówkę.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Początkowo był jeszcze świadomy. Leżał na podłodze, ale nadal kręciło mu się w głowie. W powietrzu unosił się zapach farby. Johanna uklękła obok Gustava i dotknęła jego twarzy. Miała zimne ręce, głos głęboki i ciepły. Powiedziała do niego coś, ale on nic nie rozumiał. Kot ocierał się grzbietem o jego łydki. Johanna powiedziała mi, że niczym chory koń próbował wstać, ale udało mu się tylko unieść głowę o kilka centymetrów. Potem powiedział jedno zdanie.

- Poślij po Emilie.

Johanna wybiegła z pracowni i spotkała naszego przyjaciela Naumanna, który miał niesfornego psa. Natychmiast pobiegł po lekarza.

Siedziałam w salonie i czytałam, gdy nadszedł telegram. Nie wzięłam nawet płaszcza. Zbiegłam po schodach na ulicę. Już w taksówce zorientowałam się, że nadal trzymam w ręku egzemplarz „Journal of Arts and Crafts”. Otworzyłam okno i cisnęłam go w koleiny śniegu utworzone przez przejeżdżające samochody.

Kiedy wpadłam do pracowni, był już lekarz. Miał białą brodę i czarny kuferek medyczny. Zapytał, czy jestem żoną Gustava. Odparłam, że tak. Poinformował mnie, że Gustav miał udar. Zmartwiony, powiedział, że nic nie może dla niego zrobić. Możliwe, że wyzdrowieje sam; czasami, jeżeli uszkodzenia nie są poważne, mózg potrafi się sam zregenerować. Jedyne, co można zrobić, to zabrać go do domu i czekać.

Gustav leżał na kanapie przykryty kocem. Johanna klęczała obok niego na podłodze i próbowała napoić go wodą z łyżeczki. Woda spływała z prawej strony jego ust na podłogę. Lewe oko miał całkowicie otwarte, a prawe złowrogo przymknięte, jak u martwego człowieka. Jego twarz była bez życia, zwiotczała. Palce sztywne i wykrzywione, jak palce Adele.

Zabrałam go do siebie. Myślałam tylko o tym, że powinnam spędzać z nim każdą chwilę, tak długo, jak to będzie możliwe. Położyłam go we własnym łóżku. Dopiero później zrozumiałam symbolikę tej decyzji. Dzień przechodził w noc i znowu w dzień. Przyszedł lekarz i zbadał Gustava. Zostawił lekarstwa i powiedział mi, jak je dawkować. Kąpałam Gustava i zmieniałam mu pościel, przekręcałam go na łóżku, aby nie powstały odleżyny. Karmiłam go łyżeczką, podając bulion, owsiankę, puree z warzyw, jak dziecko. Kiedy byłam skrajnie zmęczona, zastępowała mnie Helene, a ja kładłam się do jej łóżka. Przychodzili goście, przynosili

doniczki amarylisów i uśmiechali się nerwowo, niepewnie. Wolałabym, żeby nie zadawali sobie tego trudu.

Powoli Gustav budził się ze stuporu. Po kilku dniach mógł już siadać, ale nadal nie mówił. Wodził bezwiednie wzrokiem po pokoju, a na jego ustach malował się ponury grymas. Szukałam Gustava takiego, jakiego znałam, ale nie mogłam go znaleźć. Mimo to byłabym wdzięczna za wszystko, co z niego pozostało, nawet gdyby to był blady cień człowieka, którego znałam.

Minął tydzień, potem drugi. Pomyślałam, że czuje się już na tyle dobrze, aby dać mu szkicownik i ołówek. Pomyślałam, że to go ucieszy. Lekarz mówił, że umysłowa stymulacja mogłaby przyspieszyć rekonwalescencję. Zacisnęłam mocno jego palce wokół ołówka i posłałam mu, jak mi się wydawało, krzepiący uśmiech. Przy pierwszej próbie zbyt mocno przycisnął ołówek do papieru, tak że wyprysnął mu z ręki i uderzył o moją pierś. Włożyłam mu go z powrotem. Teraz trzymał ołówek zbyt delikatnie, tak że wyślizgnął mu się z palców, stoczył się z łóżka i upadł na podłogę. Podniosłam go i podałam mu po raz trzeci. Tym razem udało mu się go utrzymać, a ja wyszłam, aby zostawić go samego, gdy będzie rysował.

Kiedy wróciłam po kilkunastu minutach z obiadem, Gustav nadal pracował. Postawiłam tacę i zajrzałam mu przez ramię. W ciągu dwudziestu minut narysował kółko wielkości ziarnka grochu. Następnego dnia godzinę zajęło mu narysowanie krzywego trójkąta. Kolejnego dnia przez całe popołudnie usiłował narysować literę V tak, aby linie się nie przecinały.

Dzień później znalazłam złamany ołówek pod łóżkiem.

Kiedy Gustav przekonał się, że nie może rysować, uszła z niego cała chęć życia. Przestał jeść. Błagałam go, zapewniałam, że z czasem odzyska dawną formę, że jest coraz

lepiej, że nie wolno mu się poddawać, ale nie miałam pewności, co słyszał i rozumiał. Mówiłam mu, że potrzebuje go, aby żyć, ale może to było za mało, aby on chciał żyć.

Zmarł na zapalenie płuc szóstego lutego 1918 roku.

Ostatnim słowem, jakie wymówił, było moje imię.

Rozdział 25

Kiedy kilka dni przed śmiercią Gustava pielęgniarce zgoliły mu brodę, stał się zupełnie niepodobny do siebie. Schiele narysował jego portret pośmiertny, ale nie mogłam się zmusić, aby go obejrzeć, ani wtedy, ani nigdy potem. Czasami napotykałam reprodukcję tego portretu w książkach i zawsze wtedy szybko odwracałam kartkę. Gazety pełne były informacji o pokojowych rokowaniach z Rosją oraz spekulacji o ewentualnym bliskim końcu wojny. O śmierci Gustava pojawiła się jedynie drobna wzmianka. Urzędnicy miejscy wystąpili z propozycją zorganizowania uroczystego pogrzebu, ze specjalną ceremonią pożegnalną, i wzniesienia pomnika. Odmówiłam. Po historii malowideł ściennych do auli uniwersyteckiej, po tym, jak wielokrotnie odmówiono mi profesury, po tym, jak wyklęła go prasa, miałby otrzymać uznanie pośmiertne - to byłaby hipokryzja. Schiele uważał, że pracownię Gustava należy zachować w takim stanie, w jakim była w chwili jego śmierci, zamienić w muzeum dla przyszłych pokoleń. Ten pomysł przemawiał do mnie, ale Gustav nie pozostawił po sobie żadnego majątku, a jego siostry, które zawsze wspierał materialnie, potrzebowały pieniędzy, które można było uzyskać za rzeczy znajdujące się w pracowni.

Jako wykonawca jego ostatniej woli sama musiałam o wszystkim decydować. Pewnego dnia znalazłam w pracowni na stole roboczym rysunek. Był to szkic do Pocałunku, leżał na samym wierzchu sterty innych prac, które wykonał na rok przed śmiercią. Nie miałam pojęcia, dlaczego zrobił szkic do obrazu dawno już skończonego, gdy nagle zauważyłam napis biegnący wzdłuż marginesu kartonu: EMILIE.

Dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy o tym obrazie? Teraz było już za późno i zostałam z tym rysunkiem i wieloma

pytaniem bez odpowiedzi. Oparłam głowę na blacie stołu i zapłakałam.

W chwili śmierci Gustava miałam czterdzieści cztery lata, ale czułam, że najlepsza część mojego życia już minęła. Nie byłam jedyną osobą, która tak o sobie myślała. Kiedy umarł Gustav, a potem Schiele i Moser, a wojna skończyła się rozpadem cesarstwa, wszyscy czuliśmy się tak, jakby z naszego życia znikło całe światło. Nadal odbywały się przyjęcia, wciąż potrzebne były więc nowe stroje, ale coraz mniej moich klientek kupowało nowoczesne kreacje. Córki moich najwierniejszych klientek uważały, że desenie i wzory, które im proponowałam, są dość osobliwe, a haftowane płaszcze - ekstrawaganckie i wyzywające. Chciały u mnie zamawiać rzeczy konwencjonalne, takie jak szyto w innych domach mody. Ponieważ nie miałam już dla kogo projektować, czułam się tylko krawcową, a nie projektantką.

Berta nadal wydawała przyjęcia, podobnie jak Adele, i artyści nadal je odwiedzali, świat sztuki przeniósł się jednak gdzie indziej, do pracującej nad nowym stylem stulecia grupy Bauhausu, i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Alma wyszła za mąż za architekta Waltera Gropiusa i przeniosła się do Berlina. Kokoschka wyjechał do Drezna. Z każdym takim wyjazdem nasz świat ubożał.

Bez Pauline i bez Gustava - Helene i ja stawałyśmy się coraz bardziej nierozłączne i coraz bardziej zależne od mojej siostrzenicy, Helene. Nadal chadzałyśmy do opery i do teatru, ale znacznie częściej przebywałyśmy w domu. Helene grała na fortepianie i śpiewała, czasami grywałyśmy w karty. Często zapraszałyśmy do siebie Hoffmanna lub Alfreda Rollera, bardzo ceniłam sobie ich towarzystwo i przyjaźń, ale to wszystko.

Nikogo innego nie było. Wiedziałam, że niektórzy oceniali moje postępowanie jako głupie, uważali, że zrobiłam z siebie

męczennicę, ale Helene to rozumiała. Alma wiodła bardzo burzliwe życie uczuciowe, była żoną Mahlera i romansowała z Gropiusem i Kokoschką, była żoną Gropiusa, gdy nosiła dziecko Franza Werfla, ale to nie było w moim stylu.

Początkowo niemal niezauważalnie najważniejsze klientki jedna po drugiej znikwały z mojego życia. Jedna wyemigrowała do Anglii, druga do Ameryki. W 1920 roku zmarła we śnie moja matka. W 1925 roku Adele, dość jeszcze młoda, zmarła na zapalenie opon mózgowych. Ktoś inny zmarł na raka. Niektóre klientki przeniosły się do innych domów mody, innych projektantów. Musiałam zwolnić kilka krawcowych.

W 1936 roku zmarła moja siostra Helene. Był to dla mnie straszny szok. Przez ponad sześćdziesiąt lat prawie się nie rozstawałyśmy, byłyśmy partnerkami w interesach, przyjaciółkami. Nie wiedziałam, czy będę zdolna bez niej żyć, i czasami nadal miewam jeszcze takie wątpliwości.

W tym czasie w Austrii powstał bardzo nieprzyjazny Żydom klimat polityczny. Co dnia pojawiały się nowe formy prześladowań: zwalniano profesorów wyższych uczelni, wyrzucano studentów. Ludzie tracili swoje przedsiębiorstwa. Nigdy nie interesowałam się polityką, tylko sztuką i chociaż byłam zbulwersowana, ze wstydem muszę przyznać, że nie zwracałam zbyt wielkiej uwagi, na to, co się działo. Nie miałam pojęcia, do czego to wszystko prowadzi.

Sytuacja stawała się z każdym dniem gorsza, wyjeżdżało coraz więcej ludzi, czasami ściganych przez policję: na początku 1938 roku wyjechała do Francji Alma; Ferdinand Bloch - Bauer uciekł do Zurychu, ale musiał zostawić wszystko, nawet portrety Adele.

Kiedy do Wiednia weszli Niemcy, ci z moich znajomych, którzy nie zdążyli jeszcze wyjechać, zostali wywiezieni. Mówiono, że ich przesiedlono, ale ja widziałam, jak konfiskowano ich domy, obrazy i meble. Płakałam, kiedy

wyjeżdżali, ale spodziewałam się, że wrócą, gdy tylko zmieni się sytuacja polityczna. Później jednak już nie byłam tego pewna.

Salon też powoli kończył swoją działalność. Byłyśmy odcięte od dostaw z Francji, klientela raptownie się zmniejszała i nawet najbardziej sentymentalna osoba wiedziała, że nie ma już na co liczyć.

Zamykałyśmy salon w listopadzie, najbardziej ponurym miesiącu w roku. Na dworze wiatr zacinał w twarz mokrym śniegiem z deszczem. Przychodząc z ulicy, strząsało się z płaszczy na podłogę kałuże na wpół zamarznętej wody. Helene cały czas zmywała schody szmatą, aby nikt się nie poślizgnął. Śnieg na drzewach topniał, skapywała z nich woda i natychmiast zamarzała, jak stearyna spływająca ze świec. Letnie kwiaty leżały na trawnikach w sztywnych, zbrązowiałych stosach, jak padli żołnierze.

Przygotowywałyśmy się do tej chwili od miesięcy, zwolniłyśmy najpierw jedną krawcową, potem drugą, aż w końcu została tylko Herta. Nadszedł wreszcie ten dzień, kiedy odwiedziła nas ostatnia klientka i złożyła ostatnie zamówienie. Zapomniałam już, być może świadomie, kto to był. Pamiętam natomiast, co zamówiła: garsonkę, coś praktycznego i pozbawionego fantazji w kolorze granatowym. To wydało mi się znamienne.

Ostatniego dnia, kiedy salon był jeszcze otwarty dla klientów, widziałam przez okno grupę żołnierzy legitymujących i rewidujących na ulicy trzy starsze kobiety. Kobiety miały głowy obwiązane wełnianymi szalikami. Tłum przyglądał się. Dwie zaczęły płakać. Trzecia zacisnęła usta jak zamkniętą portmonetkę i najwyraźniej nie bała się. W końcu pozwolono im odejść. Tłum rozszedł się, a kobiety zaczęły zbierać swoje rzeczy rozrzucone po ulicy.

Sprzedaliśmy wszystko, co mogliśmy sprzedać: maszyny do szycia, bele tkanin i niektóre elementy wyposażenia. Zorganizowałyśmy otwartą wyprzedaż i czułyśmy się upokorzone, obserwując podrzędnych kupców bezceremonialnie buszujących wśród rzeczy, z których wiele Gustav z takim smakiem zaprojektował, a Hoffmann tak perfekcyjnie wykonał. Niektórzy z nich nie mieli pojęcia, kim byli Klimt i Hoffmann.

Potem przyjechały ciężarówki i wywieziono rzeczy, które nikomu już nie były potrzebne: gołe manekiny krawieckie, nadające się tylko na podpałkę, połamane stoły i krzesła.

Helene robiła porządki w papierach. Były wśród nich rachunki, które musiałyśmy zatrzymać i zapłacić, formularze podatkowe do wypełnienia, bilanse księgowe, które należało uzupełnić. Chociaż nie prowadziłyśmy już salonu, zapowiadało się, że przejrzanie wszystkich tych dokumentów zajmie nam kilka miesięcy.

Kiedy zabrano już większe elementy wyposażenia, Herta zaczęła przeglądać pozostałe rzeczy, segregując - jedna sarta do wyrzucenia, druga do zostawienia. Sarta do wyrzucenia była trzy razy większa niż do zatrzymania. Były w niej pedały od maszyn krawieckich i wrzeciona, niesprzedane kapelusze, szale i spódnice; szpule liliowych, brązowych i turkusowych nici; paczki igieł; różnego rodzaju ozdoby krawieckie, takie jak futro, hafty, koronki, wstążki. Były też maleńkie jak pestki jabłek onyksowe dzety, opalizujące cekiny, farbowane na różowo strusie pióra, finezyjnie rzeźbione drewniane grzebienie.

To był koniec. Wszystko zostało sprzedane, papiery wypełnione, pieniądze złożone w banku. Zostałyśmy w brzydkim, zagraconym mieszkaniu. Zgłosiłyśmy się jako ochotniczki do szycia mundurów. Przynajmniej miałyśmy czym zapełnić sobie czas.

Zamieszkałam z Helene w małym mieszkaniu na trzecim piętrze bez windy przy Mariahilferstrasse i starałam się nie myśleć o przeszłości. Dopóki nie odwiedził mnie Moll.

Rozdział 26

Carl otrzymał właśnie nominację na stanowisko ministra kultury, bardzo poważny urząd. Czytałam o tym w gazetach. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś go ujrzę; minęły lata. I oto nagle pojawił się w przedpokoju naszego nędznego mieszkania.

Miejsce było naprawdę okropne. Ściany w szarym, pozbawionym wyrazu kolorze obłaziły z farby. Podłoga była nierówna, okna brudne. Ponieważ nie mogliśmy się rozstać z meblami wykonanymi w Warsztatach Wiedeńskich, stłoczyłyśmy je jak popadło w mieszkaniu. Pod fortepianem stały wciśnięte jeden obok drugiego stoliki, a na przeszklonych szafkach piętrzyły się stosy książek. Nie byłyśmy na tyle dzielne, aby obwiązać się linami i zawisnąć za oknem z kubłem i szmatą, ani na tyle przedsiębiorcze, aby powiesić na ścianach tkaniny, które zakryłyby zacieki wodne, a na podłogę rzucić dywany, zasłaniając w ten sposób sęki w deskach. Przez pewien czas opłakiwałyśmy nasz utracony salon, pokryte szarym filcem podłogi i obite jedwabiem ściany, po czym na dobre zarzuciłyśmy ideę życia w pięknym otoczeniu, do czego przez lata przywykłyśmy.

Na domiar złego miałyśmy w domu tylko odrobinę kawy i jakieś herbatniki, które leżały w szafce tylko dlatego, że żadna z nas ich nie lubiła. Helene konfidencjonalnie szepnęła mi w korytarzu, że zrobi szybko babeczki maślane, jeśli pozwolę gościowi mówić przez kilka minut. Z Mollem to nie było trudne - pozwolić mu mówić.

Jego niegdyś blond włosy były już niemal zupełnie białe, ale potężna sylwetka i ekspansywna osobowość nadal mogły wypełnić cały pokój. Rozłożył szeroko ramiona i objął mnie, witając się serdecznie.

- Emilie - powiedział. - To stanowczo za długo. Starzy przyjaciele, tacy jak my, nie powinni dopuścić do tego, aby tyle lat się nie widzieć.

Zastanawiałam się, dlaczego do nas przyszedł. W ciągu ostatnich dwudziestu lat widziałam go zaledwie kilka razy, ostatnio siedem lat temu, kiedy odwiedziłam jego galerię, aby obejrzeć obrazy pewnego młodego artysty, którego bardzo lubiłam.

- Prawie co wieczór schodzimy do kawiarni na kanapki - powiedziałam tytułem wytłumaczenia, kiedy Helene podała cienką kawę bez śmietanki i bez cukru. - Dwie starsze panie, które nie muszą się o nikogo troszczyć, są zbyt leniwe, by gotować.

- Ależ skąd. Wasza gościnność jak zawsze jest wspaniała. - Wyjął z kieszeni list. - Chciałbym ci coś przeczytać. To od Almy.

Alma wyjechała do Kalifornii wraz ze swoim trzecim mężem, dramaturgiem, który teraz pisał scenariusze w Hollywood. Ani ja, ani Carl nie bardzo wiedzieliśmy, o czym są te scenariusze, ale wszystko wskazywało na to, że Franz odniósł tam sukces.

- Pyta o ciebie - powiedział, przebiegając list wzrokiem. - O właśnie tu, pyta, czy udaje ci się prowadzić swój salon i czy ty i twoje stroje nadal są tak piękne jak kiedyś.

- Chyba musi bardzo tęsknić za krajem - zauważyłam sarkastycznie - skoro pisze tak miłe rzeczy o mnie.

- Ależ, ależ - Moll zaśmiał się z wdziękiem. - Alma cię podziwia.

- A co pisze o Kalifornii? - zapytałam, zachodząc w głowę, dlaczego Alma w ogóle napisała do ojczyzny.

Nie było między nimi ciepłych uczuć, zwłaszcza teraz. Miałam nadzieję, że przeczyta jeszcze jakiś fragment jej listu. Carl przerzucał kartki.

- „Światło jest tu niesamowite, wydaje się, jakby wlewało się naraz zewsząd, co za rozkosz dla malarza. Niestety, nie jestem malarzem, Franz też nie, ale często myślimy o naszych przyjaciółach artystach, jak bardzo byliby tym zachwyceni. Mieszkamy w niewielkim, otynkowanym na żółto domu, który przypomina mi trochę niektóre domy na przedmieściach Wiednia, tyle że przy tamtych nie było basenów ani zagajników drzew pomarańczowych i awokado”.

- Alma zawsze była skłonna do uniesień - powiedziałam.

To dziwne, jak bardzo miałam ochotę rozmawiać o Almie, chociaż kiedyś byłabym najszczęśliwsza, gdyby wpadła do jakiejś górskiej szczeliny i znikła na zawsze. Ale Moll schował list.

- Alma zdaje sobie sprawę, że już nigdy nie wróci do Austrii - powiedział. - Myśli o przyszłości. Zawsze była mniej romantyczna niż ty.

- Po co przyszedłeś, Carl?

- Prosić cię, abyś się przyłączyła do budowy nowego Wiednia. Miasta, które będzie najbogatszą i najpiękniejszą stolicą w Europie.

Zaśmiałam się gorzko, tak jak ostatnio zawsze się śmiałam.

- Lubiłam stary Wiedeń. Miałam w nim salon mody.

- Zbudowałaś swój sukces na słabych fundamentach. Nic dziwnego, że nie przetrwał. Proszę cię, abyś zaczęła na nowo. Tym razem właściwie. Rząd jest skłonny cię wspierać.

Starłam się zrozumieć, co on mówi.

- Mam być oficjalną krawcową nowego rządu? - To brzmiało absurdalnie. - Ale w jaki sposób można propagandowo wykorzystać moje stroje?

To go od razu zirytowało.

- Propaganda. To zabrzmiało, jakbyś słuchała angielskiego radia. Proszę cię tylko, abyś na nowo otworzyła salon. Pod naszymi auspicjami.

- Kim byliby moi nowi klienci? Wszyscy starzy umarli lub są na emigracji.

- Nikt nie umarł, Emilie - powiedział Moll uspokajająco. - Twoi kapryśni klienci opuścili cię dla Horsta Gernbacha, to wszystko. - Poklepał mnie współczująco po dłoni. - Pomożemy ci. Mogłabyś ubierać żony wszystkich członków rządu.

To była przerażająca wizja. Widziałam niektórych przedstawicieli rządu. Wszystko w nich było brzydkie, począwszy od oczu, układu ust, po sposób, w jaki się poruszali. Nosili bure i nijakie uniformy, surowe insygnia władzy. Nie byłam sobie w stanie wyobrazić, jak mogłyby wyglądać ich żony. Aby zamknąć temat, powiedziałam Carlowi, że zastanowię się nad jego propozycją. Wtedy okazało się, że to nie było wszystko, z czym przyszedł. Była jeszcze jedna sprawa. Chciał zabrać niektóre obrazy znajdujące się w moim posiadaniu, aby pokazać je Hitlerowi. Nie powiedział „twoje obrazy”, ale obrazy, które „znajdują się w twoim posiadaniu”. Jakbym jedynie opiekowała się nimi, gdy ich prawdziwi właściciele byli daleko stąd. Moll przygotowywał wielką wystawę sztuki germańskiej, a Fuhrer już dawno interesował się twórczością Gustava.

- Fuhrer jest wielkim mecenasem sztuki - powiedział Moll. - Wiesz pewnie, że kiedyś sam zamyślał być artystą. Na szczęście dla nas wybrał inną drogę, ale jego artystyczna wrażliwość wciąż jest bardzo głęboka.

- Sztuka Gustava nie jest polityczna - powiedziałam. - Powinieneś o tym wiedzieć jak nikt.

- Wszelka sztuka jest polityczna. Powinnaś o tym wiedzieć jak nikt.

- Prace Gustava należą do mnie.

- Czy nie jesteś trochę samolubna, Emilie? Rozumiem rzecz jasna dlaczego, doskonale rozumiem...

Przerwał, gdy Helene przyniosła babeczki. Nie przesiała mąki, a dżemu była ledwie resztką na dnie słoika, ale Moll wydawał się nie zauważać tych krępujących niedoróbek. Położył sobie na talerzu cztery babeczki i łyżeczką do kawy wyciągnął ze słoika tyle dżemu, ile zdołał.

- Ludzie zasługują na to, aby oglądać prace Gustava.

- A co z muzeami? Możesz je stamtąd wypożyczyć. Moll pochylił się na krześle i obnażył całą swoją kuratorską zachłanność.

- Ale chodzi o to, aby mieć prace z prywatnych zbiorów, rzadko pokazywane! O ileż bardziej znaczące, o ileż bardziej interesujące.

Chociaż Moll wiedział, że wcale nie musi mnie prosić o pozwolenie, aby wziąć te obrazy, i wiedział, że ja o tym wiem, nadal starał się mnie przekonać. Czyż nie przesiadywaliśmy razem w kawiarniach, upajając się Secesją?

- Gustav chciałby, abyś dała mi te obrazy na wystawę, Emilie - nalegał. - Pokazanie ich na tej wystawie ma wielkie znaczenie dla jego artystycznej sławy. Chyba nie chcesz, aby o nim zapomniano.

- Gustav nigdy nie zostanie zapomniany - zachnęłam się. - Nie pozwolę, aby tak się stało.

- To nie zależy od ciebie - powiedział. - Gdybym zechciał, mógłbym przejąć wszystkie jego prace i kazać je zniszczyć.

O to chodziło. Zapadło milczenie, a on obserwował wyraz mojej twarzy po tej informacji.

- O ile dobrze pamiętam Gustava, i to nie przez mgłę sentymentu, był on artystą, który chciał, aby jego prace oglądano. Nie interesowało go, gdzie ani dlaczego.

Moll miał władzę. Ja byłam nikim. Aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak niepewna była moja sytuacja. Każdy, kto miał coś, na czym im zależało, był zagrożony. Po prostu nie wiedziałam, że ja też mogę zaliczać się do tej grupy.

I wtedy nieoczekiwanie zachciało mi się śmiać, żalowałam, że nie ma Gustava, który śmiałby się ze mną. Kiedy żył, potępiano jego twórczość za to, że była brzydka i niebezpieczna, a teraz oto nagle doceniono ją jako wielkie osiągnięcie narodu, do którego należał.

Początkowo nie powiesiłyśmy w nowym mieszkaniu żadnego obrazu. Miałam wrażenie, że jego wygląd uwłaczałby dziełom sztuki. Wszystkie płótna starannie zapakowałyśmy i schowałyśmy do szaf, a największe stały oparte o ścianę w mojej sypialni. Po pewnym czasie zmieniłam jednak zdanie i powiesiłam jeden pejzaż na wprost łóżka, abym mogła bez przeszkód na niego patrzeć. Przedstawiał łąkę maków nad Attersee i przypominał mi słoneczne popołudnia oraz szalone spacerunki po wiejskiej okolicy. Zaprowadziłam Molla do sypialni i pokazałam mu obraz, który bardzo mu się spodobał. Następnie wyciągnęłam resztę płócien z szafy i usiadłam na łóżku, a Carl rozpakowywał obraz po obrazie i zapisywał ich tytuły w skórzanym notesie. Były tam jeszcze cztery pejzaże z okolic Attersee. Był też portret mojej siostrzenicy, jako małej dziewczynki, pastelowy portret przedstawiający mnie w wieku dwunastu lat, obrazy zatytułowane Nadzieja I i Nadzieja II, kartony z rysunkami do fryzu w pałacu Stocleta i na sklepieniu auli uniwersyteckiej.

- Jutro ktoś po nie przyjedzie - powiedział Moll, gdy skończył robić notatki.

- Czy jeszcze kiedyś je zobaczę? - zapytałam.

- Możesz przyjść na wystawę - powiedział.

- A potem?

- Zobaczymy.

Rozmawiałam potem o tym z Helene. Usiłowałyśmy przypomnieć sobie kogoś z rządu, kogo byśmy znały, do kogo mogłybyśmy zwrócić się o pomoc. Jednakże nikt z naszych znajomych już tam nie został.

- Co się stało z Mollem? - zastanawiała się Helene. - Na początku, kiedy otworzył galerię, starał się pokazywać kontrowersyjne prace, a ponieważ wstęp był prawie za darmo, każdy mógł je obejrzeć.

- Tę wystawę też będzie mógł obejrzeć każdy - powiedziałam. - Tylko słowo „każdy” zmieniło znacznie.

Nazajutrz, tak jak zapowiedział Moll, przyszli żołnierze i zabrali wszystko. Jak mogłam do tego dopuścić? Mieli broń, ale z pewnością by mnie nie zabili. Pozwoliłam im na to. Wielki kurator, obrońca sztuki. Przez tydzień wyglądałam przez okno. I pewnego dnia zobaczyłam, jak pod naszym domem zatrzymuje się wojskowa ciężarówka i wysiada z niej Moll.

- Zmienił zdanie o wystawie - oświadczył w drzwiach, przepuszczając żołnierzy, którzy wnosili do mieszkania obrazy. Wnosili je niedbale, uderzając o meble, i rzucali na podłogę jak worki kartofli. - A raczej nie o wystawie, tylko o tym, co ona ma pokazywać. Nie chce już, by były tam prace Klimta.

Powiedział to tak, jakby chodziło o jakąś postać historyczną, Durera albo Davida, kogoś dawno nieżyjącego, a nie kogoś, kogo znał.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

- Zdołaliśmy... pozyskaliśmy też parę Klimtów od innych ludzi - powiedział. - Było tam sporo portretów. Chciał oczywiście wiedzieć, kim były portretowane osoby.

I wtedy zrozumiałam. Amalie Zuckerkanl, Margaret Stonborough - Wittgenstein, Serena Lederer, Adele Bloch - Bauer, Hermine Gallia.

- Mimo że twoje płótna nie są... kontrowersyjne, nie chciał ich pokazywać. Przez chwilę myślałem, że każe mi je wszystkie spalić.

- Co się stało z innymi obrazami?

- Nie martw się o obrazy, martw się o siebie. W twojej sprawie jest teraz prowadzone dochodzenie. Wszystkie finansowe dokumenty z salonu podlegają kontroli.

- Za co? Jakie są zarzuty?

- W każdej chwili możesz zostać aresztowana. Moje słowa nie mają żadnego znaczenia. Gdybyś jednak chciała podjąć jakieś kroki, by wyemigrować, mógłbym ci pomóc.

Starał się być miły. Ale ja nie czułam wdzięczności.

- Wiedeń jest moim domem.

- Ale nie za cenę więzienia.

Pozostawało tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd jechać. Helene namawiała mnie na Paryż, ale życie za granicą, na wygnaniu, perspektywa, że nigdy więcej nie zobaczę Austrii i zostawię tu Gustava, była dla mnie nie do wyobrażenia. Wtedy pomyślałam o Attersee. Wiejska okolica, słabo zaludniona. Tylko czy to jest wystarczająco daleko? Napisałyśmy kilka listów do naszych sąsiadów, którzy zapewnili nas, że okolica jest spokojna.

I wkrótce tu przyjechałyśmy. W szopie leżały stosy drewna wysokie do ramion, a w szafach mnóstwo ciepłej pościeli. Miałyśmy jedzenie, świeże i w puszkach, oraz bardzo pomocnego sąsiada. Mogłyśmy się tu ukrywać do końca świata.

Kiedy mieszkaliśmy w Wiedniu, w naszym ciemnym i obskurnym mieszkaniu, godzinami wpatrywałam się w pejzaż przedstawiający łąkę maków i wspominałam każdą szkarłatną

kreskę na obrazie, przypominając sobie, jak bardzo byłam szczęśliwa, gdy Gustav malował to płótno. Czasami prawie płakałam z tęsknoty za nim i za Attersee. Jak na ironię teraz, gdy tu byłam, tak blisko, że wystarczyłoby niecałe piętnaście minut spaceru, aby znaleźć się w miejscu, gdzie stał Gustav, tamte czasy wydały mi się odległe jak nigdy dotąd. Pola były mokre i gołe. To nie była pora roku na maki.

Rozdział 27

Kammer nad Attersee 6 kwietnia 1945

Wczoraj Rosjanie zajęli Baden.

W nocy słyszałam samoloty buczące jak uciążliwe owady. Owinęłam się kołdrą i podeszłam do okna. Noc była gwiaździsta, świecił księżyc. Od czasu do czasu na niebie pojawiały się samoloty, leciały bardzo nisko, tak nisko, że mogłam zobaczyć na ich bokach napisy cyrylicą. Oczywiście nie byłam w stanie tego odczytać. Poszłam obudzić Helene. Leżała na plecach z szeroko otwartymi oczami.

- Zejdźmy do ziemianki - wyszeptałam, ciągnąc ją za ramię.

Powiedziała, że jeżeli będą chcieli nas zbombardować, żadna ziemianka nam nie pomoże, a jeśli nie będą bombardować, możemy zostać w łózkach i w cieple. Niemniej dała się w końcu namówić i ruszyła za mną, ciągnąc po podłodze kołdrę jak tren panny młodej.

Samoloty przelatywały z ogłuszającym hukiem tuż nad naszymi głowami, ale nie były groźne. Kierowały się na wschód. Po kilku minutach nie było po nich śladu, a my wróciłyśmy do łóżek i próbowałyśmy uratować jeszcze coś z bezsennej nocy.

Rano włączyłyśmy radio, ale nie było odbioru, usiadłyśmy więc na werandzie, aby poczytać lub udawać, że czytamy, i czekałyśmy. W cieniu panował chłód i obie owinęłyśmy się w grube wełniane koce jak w kokony.

Jeden z synów Heitzmanna przynosił nam listy z miasta. Najmłodszy, chyba miał na imię Peter, piegowaty jak indyjskie jajo chłopiec ośmioletni - lub dziewięcioletni, który zawsze miał we włosach jakieś źdźbła słomy lub liście, a w kącikach ust okruszki. Zwykle zanim dał jakiś znak świadczący o jego obecności, stawał cicho przed schodami i czekał, aż go zauważymy, ale tym razem usłyszałyśmy jego krzyki, jeszcze

zanim wyłonił się zza drzew. Biegł niezdarnie, jak zawsze, a ręce, w których nie było listu, majtały mu się po bokach. Krzyczał jakby triumfalnie, że Wiedeń płonie.

Nigdy rzecz jasna nie był w tym mieście. Nie kojarzyło mu się ze znajomymi twarzami, ze znajomymi ulicami. Myślał tylko o samolotach, o eksplozjach, może chciałby zobaczyć rosyjskiego żołnierza. Albo jakiegoś spadochroniarza z zestrzelonego samolotu. Razem z braćmi bawił się w wojnę w pobliskich stodołach i wokół nich i nie rozumiał, dlaczego matka karze ich za to, co robią.

Przez krótkofalówkę usłyszał komunikat ze szwajcarskiej radiostacji o bombardowaniu. Podobno płonęły całe dzielnice, nie potrafił jednak przypomnieć sobie które, chociaż wypytywałyśmy go o to gorączkowo, szarpiąc za kołnierz. Chłopak cofnął się, trochę przestraszony. Może wschodnie, powiedział, chcąc udzielić nam jakiejś odpowiedzi, a może południowe. No i budynek opery, pamiętał, że opera została zamieniona w kupę gruzów. Słyszając to, Helene osunęła się na krzesło. I Dunaj. Płonie Dunaj, dodał.

Wyobraziłam sobie ognistą powłokę paliwa lotniczego na Dunaju. To musiał być piękny widok, rzeka ognia. Żałowałam, że nie mogę tego zobaczyć.

Helene dała chłopcu zwyczajowy napiwek, chociaż zupełnie zapomniała, aby go poczęstować pierniczkami, które zrobiłyśmy z resztki cukru. Kiedy poszedł, wróciłyśmy do domu i włączyłyśmy radio, ale wiedeńska stacja nadal nie nadawała i wyglądało na to, że nikt nie wiedział nic więcej ponad to, co my już wiedziałyśmy. Zostawiłyśmy włączone radio i czekałyśmy. To, co powiedział chłopiec, brzmiało strasznie, ponieważ budynek opery znajdował się dość blisko naszego mieszkania, mniej niż kilometr. Rozmawiałyśmy o Hercie, naszym mieszkaniu i obrazach. Martwiłam się też o muzeum sztuki - czy strawił je pożar, czy freski Gustava,

które namalował na początku swojej kariery artystycznej, zamieniły się w popiół? Miałam nadzieję, że pracowni Gustava nic nie zagrażało, znajdowała się bowiem w zupełnie innej części miasta, ale czy ocalała Casa Piccola, tak blisko centrum? Chociaż salon od dawna już nie istniał, nie mogłabym znieść myśli, że budynek uległ zniszczeniu. I wtedy uzmysłowiłam sobie, że nie zniosłabym widoku zniszczonej żadnej części Wiednia. Że dla moich uczuć było bez znaczenia, gdzie upadłaby bomba.

Po kilku dniach przyszedł list. Długo pewnie można by opowiadać, jak zdołał do nas dotrzeć, mimo że sieć pocztowa nie działała, a w mieście panował chaos; a jednak stałam koło warzywnika, a chłopak Heitzmanna opowiadał o jakimś mężczyźnie, który szedł pieszo, jechał konno i omal nie został stratowany przez batalion wojska poruszający się w odwrotnym kierunku, a ja myślałam tylko o tym, jakie informacje mogą się znajdować w tej kopercie.

Papier był pomarszczony od deszczu, atrament miejscami całkiem spłynął. Herta zawsze pisała nieczytelnie, nawet w najlepszych czasach, ale udało mi się odczytać to, co mnie interesowało.

Mieszkanie zostało zniszczone. Napisała, że bomba uderzyła wprost w nasz dom. Bombardowanie było bardzo ciężkie i brygady straży pożarnej nie zdołały dotrzeć na miejsce w odpowiednim czasie, aby powstrzymać pożar, który strawił cały budynek. Herta przyszła tam następnego dnia rano, kiedy zgliszcza były jeszcze gorące, i poparzyła sobie rękę, szukając naszych rzeczy, ale udało jej się znaleźć tylko kilka sztućców i klosze od lamp. Nic nie wspominała o obrazach.

A więc najgorsze już się stało. Poczulałam nawet pewną ulgę. Nie było już sensu dalej się martwić; mogłam się teraz skupić na rzeczywistości, zamiast rozważać różne warianty

tego, co mogło się zdarzyć. Powinnam zacząć się przystosowywać do życia w świecie pozbawionym pewnych dzieł sztuki. Usiłowałam sobie wyobrazić drobniutką Hertę grzebiącą w gorejących zgliszczach, aby ocalić nasze łyżeczki. Nie chciałam, aby chłopiec, nadal grzecznie czekający na swój napiwek, zobaczył, że płaczę jak dziecko. Bez słowa podałam list Helene. Nie byłam w stanie nic powiedzieć.

- To cud, że nie zginęła - powiedziała w końcu Helene.

Powiedziała to łamiącym się głosem, ale szybko wzięła się w garść i przeczytała mi fragment listu opisujący losy naszych sąsiadów. Profesor Weigel i jego żona, którzy mieszkali obok nas, zginęli. Pani Schatz wyskoczyła z okna na czwartym piętrze, przeżyła, ale złamała sobie miednicę i nogę.

Casa Piccola ocalała. Aula uniwersytecka została całkowicie zniszczona, a tylna część budynku Secesji zmieciona z powierzchni ziemi. Na szczęście kopuła pozostała nietknięta.

- Wielki kosz kapusty - powiedziała Helene.

Rozplakała się. Sięgnęłam do kieszeni i podałam chłopcu pierwszy banknot, jaki napotkałam - dziesięć szylingów. Pobiegnął pędem do domu, bojąc się pewnie, że gdy zdam sobie sprawę z pomyłki, zawołam go z powrotem. Te nazwy, które wymieniła Helene, nic dla niego nie znaczyły.

Aula uniwersytecka. Tam miały zawisnąć Medycyna, Filozofia i Prawo.

- Co jeszcze? - zapytałam Helene.

- Dwa tygodnie przedtem do naszego mieszkania przyszedł Carl Moll i zabrał wszystkie obrazy do podziemnego schronu.

Wróciliśmy do domu i usiadliśmy na werandzie, skąd mogłyśmy obserwować jezioro i milczeć. W kącie dachu pod okapem, od zachodniej strony, para jaskółek uwiła sobie

gniazdo. Fruwały tam i z powrotem między brzozą a domem, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

Spojrzałam w drugą stronę, w kierunku Wiednia. Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam jedynie góry i unoszące się nad nimi mgły. Był irytująco ciepły kwietniowy dzień. W powietrzu pachniało siano, a świadomość, że sto kilometrów dalej toczy się wojna, wydawała się absurdalna. Drogą szło stado owiec.

Może to, co napisała Herta, nie było wcale prawdą. Może dowiedziała się tego z drugiej ręki. Przecież chyba zbombardowane obszary miasta otoczono kordonem policji i wprowadzono godzinę policyjną? Może to tylko plotki o auli uniwersyteckiej i gmachu opery?

Wyciągnęłam z kieszeni list i przeczytałam go jeszcze raz, ale Herta nie pisała, że słyszała o zburzeniu opery, na co liczyłam. Nie pisała też, że ktoś jej powiedział o zniszczeniu auli uniwersyteckiej.

Pomyślałam, że gdybym tam była, ochroniłabym je, chociaż wiedziałam, że to absurd. To tchórzostwo uciekać z miasta w ostatniej chwili, opuszczać je w najbardziej niebezpiecznym dla niego momencie, tuż przed atakiem, a ja przecież nie byłam tchórzem. Nie bałabym się ryzykować, że zostanę zastrzelona, zbombardowana czy umrę z głodu.

Mogłam wrócić. Mogłam przepłynąć całą drogę małą łódką i przycumować ją na kanale. Mogłam podjechać na wojskowej ciężarówce wiozącej grupę wiejskich chłopaków do obozu jenieckiego.

A jednak byłam tchórzem. Jeszcze nie byłam gotowa na te rachunki, jeszcze nie, nie mogłam rejestrować budowli zniszczonych i ocalałych, obrazów spalonych i tych, które się zachowały. W mojej głowie Wiedeń nadal był całością, widziałam go. Kiedy będę silniejsza, wrócę i stawię czoło stratom. Wrócę, gdy skończy się wojna.

Teraz potrzebowałam odpoczynku.

Miałam sen: malowałam portret Gustava. Płótno było wielkości ludzkiej sylwetki, bardzo nieporęczne. W porównaniu z nim mój pokój wydawał się mały. W pewnej chwili straciłam równowagę, potrąciłam obraz i przewróciłam go.

Czerwoną kredką pastelową narysowałam go en face pośrodku płótna, tak jak rysują dzieci. Mogła to także być praca umysłowo chorego. Niemniej udało mi się bardzo dobrze narysować oczy; należały jakby do innego rysunku, precyzyjne kreskowania krzyżowe wlały w nie życie. Oczy patrzyły w dół i w lewo, do wnętrza obrazu, nie na zewnątrz, na świat. Oprócz Gustava narysowałam też jego karykaturę w postaci kozła, którego głowa osadzona była na okrągłym cieple zbudowanym z dwóch worków. Tło pokrywały ordynarne wyrazy napisane kaligraficznym pismem.

Nie pamiętam, abym sama pisała te słowa, ale miałam je przed oczami. Pomyślałam, że może napisał je Gustav.

Trzeba je zamalować. Zaczęłam pokrywać obraz jaskrawymi, grubymi kreskami w kolorach czarnym i żółtym. Cały czas miałam w pamięci, że jest to naiwne działanie, że artyści budują obrazy warstwa po warstwie, zaczynają od wodnistych, rozcieńczonych i stopniowo dochodzą do warstw barw wyrazistych, do plam bieli i srebra. Nie powinno się kłaść na płótno od razu jaskrawej farby. W ten sposób niewątpliwie zniszczę obraz. Muszę zacząć wszystko od początku. Ale potrzeba ukrycia tego, co znajdowało się pod spodem, była silniejsza.

Postać Gustava była zniekształcona, ręce miał zbyt duże, czoło zajmowało trzy czwarte twarzy było nienaturalnie zmarszczone, cała jego twarz falowała niczym powierzchnia wody. Miał na sobie płócienny garnitur malowany w pawie, a stopy związane kobiecymi blond włosami. W tle widać było

gwiazdy, plamy, maki, samurajskich wojowników i, zupełnie nie wiadomo dlaczego, twarz Matki Boskiej z obrazu Dantego Gabriela Rossettiego. Namalowałam też inną kobietę, maleńką i prawie niewidoczną, w karnawałowym ornamencie. To rzecz jasna byłam ja. Ta gorączkowa praca bardzo mnie wyczerpała i kiedy płótno zostało już wystarczająco nasycone i nie było widać nic z poprzednich warstw, odetchnęłam z ulgą.

Wtedy mężczyzna na portrecie odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Pozwól mi wyjść - powiedział.

Nie widziałam w tym nic dziwnego. Rozciąłam pasmo włosów krępujących jego stopy i szpachelką wycięłam go z tła, a wówczas on wkroczył do pokoju, cały ociekając farbą. Usiadł na oparciu kanapy i natychmiast nasączył ją farbą, która zaczęła zalewać stoły, krzesła i wpełzać na ściany jak purpurowe i fioletowe winorośle. Po chwili w powodzi fioletowej barwy widziałam już tylko swoje ręce, ale nadal słyszałam głos Gustava.

- Emilie - powiedział.

Nota od autorki

Pisanie powieści historycznej z natury zakłada konieczność kompromisu. Prawda autentyczna dotycząca życia głównych bohaterów, w przeciwieństwie do prawdy artystycznej, rzadko umożliwia stworzenie pasjonującej narracji powieściowej. Aby rozwiązać ten dylemat, postanowiłam nie zmieniać faktów, aby przystosować je do narracji, ani nie zmieniać znacząco narracji, aby przystosować ją do faktów, lecz zogniskowałam Malowany pocałunek na tych aspektach życia, które zostały pominięte w zapisach historycznych lub zatarły się wraz ze śmiercią bohaterki i jej współczesnych. Jak Emilie Flöge poznała Gustava Klimta, o czym rozmawiali, pływając łódką po Attersee, co o nim myślała, jakimi uczuciami go darzyła i co on myślał o niej i czuł wobec niej - to są sprawy, o których historia nic nam nie mówi; żal, że nic o tym nie wiemy, może nam wynagrodzić wyobraźnia.

Aby trzymać się możliwie ściśle faktów z życia Emilie Flöge, korzystałam z następujących publikacji: Susanna Partsch, *Klimt. Leben und Werk*, München 1993 [wyd. pol. *Klimt. Życie i twórczość*, Warszawa 1998]; Wolfgang Georg Fischer, *Gustav Klimt und Emilie Flöge*, Wien 1987; Angelica Bäumer, *Gustav Klimt. Women*, tłum. Ewald Osers, London 1986; Frank Whitford, *Klimt*, London 1990. Ponieważ Emilie Flöge nie była znaną artystką ani postacią ze sceny politycznej, wzmianki o niej w zapisach historycznych są dość ogólnikowe, dotyczą głównie jej salonu i różnych interpretacji jej związku z Klimtem.

Czasami z zamysłem odbiegałam w książce od znanej mi z przekazów prawdy historycznej. Nie chcąc zbytnio rozpraszać fabuły, świadomie pominęłam pewne osoby i zdarzenia (np. Emilie miała brata, o którym w ogóle nie wspominam), zmieniłam też pewne daty, aby dodać narracji dramatyzmu. W

powieści Klimt maluje pastelowy portret Emilie, gdy miała ona dwanaście lat, chociaż w rzeczywistości portret ten powstał, gdy miała lat siedemnaście, nigdzie nie znalazłam też wzmianki, że artysta narysował wówczas także portrety jej sióstr. Klimt prawdopodobnie szkicował ciężarną modelkę Hertę, której postać znalazła się potem na obrazie Nadzieja I, rok lub dwa lata przed jego ukończeniem w 1902 roku, a ja kazałam mu ją narysować w roku 1890. Gerta, która pojawia się epizodycznie na początku powieści, nie jest żadną konkretną kobietą, lecz jedną z wielu postaci kobiecych, które przewinęły się przez lata przez pracownię Klimta, ale wszystkie inne kobiety, o których mowa w ustępach wyodrębnionych kursywą, istniały naprawdę i mniej więcej w takich sytuacjach, w jakich je pokazuję.

W powieści występuje wiele postaci historycznych - Carl Moll, Adele Bloch - Bauer, Alma Schindler. Nie twierdzę, że ich obraz w pełni odpowiada prawdzie historycznej. Carl Moll rzeczywiście był ministrem w hitlerowskim rządzie, ale epizod przywłaszczenia sobie kolekcji obrazów Emilie jest fikcją. Wizerunki Almy i Adele zostały w niezbędnym stopniu podkolorowane zgodnie z nastawieniem narratorki i w celu uatrakcyjnienia opowieści. Alma napisała w swoich wspomnieniach, że Klimt złamał jej serce. Adele nie zostawiła po sobie wspomnień i charakter ich związku jest czystą spekulacją. Powieść historyczna nie ma odtworzyć przeszłości, tak jak naprawdę wyglądała - byłoby to karkołomne zadanie - lecz stworzyć wyobrażenie, jak mogłaby wyglądać.